



Jacek Inglot

**WYPĘDZONY**

Breslau - Wrocław  
1945

Śledztwo w powojennym Wrocławiu

**Jacek Ingłot**

# **WYPĘDZONY**

A stylized, handwritten signature logo in black ink, consisting of the letters 'MIS' in a cursive, flowing script.

## I. Pole psów

Stał zepchnięty na skraj peronu. Za jego plecami kłębił się wypełniający stację tłum jazgoczących, podenerwowanych przedłużającym się oczekiwaniem ludzi. Za plecami zostawiał o wiele więcej niż ten tłum... Choć czy cokolwiek z tego zostało? Kraju, o który walczył przez ostatnie lata, już nie było. A także armii, w której służył. Towarzysze i przyjaciele - polegli lub, tak jak on teraz, ścigani niczym zwierzęta, próbowali przetrwać. W życiu Jana Korzyckiego wiele spraw i rzeczy przestało istnieć w ciągu ostatnich miesięcy. Czuł, jakby za nim rozciągała się spopielona kosmicznym ogniem jałowa pustynia. Komuniści w swoich gazetach nazywali to „koniecznością dziejową”.

W oddali zagwizdała lokomotywa. Ludzie, od paru godzin podrywający się na równe nogi przy każdym pojawieniu się byle ciuchci, i tym razem się ożywili. Rozległy się głosy podekscytowanych podróżnych, twierdzących, że to na pewno ten właściwy i wreszcie pojedą. Tym razem optymiści mogli mieć rację. Na tor przy peronie wtaczał się z wysiłkiem typowy wojenny skład, głównie towarowe lory i węglarki. Gwarna gromada runęła ku nim, atakując z furją pociąg niczym rój wściekłych os. Nie zważano na krzyki tych, którzy, nie dość silni, padali i byli deptani. Korzycki, potrącany przez tłoczących się pasażerów, głęboko odetchnął węglowym dymem i bez oporu dał się porwać wezbranemu nurtowi. Sam nie wiedział, jak znalazł się w środku wagonu.

\* \* \*

Noc zdawała się nie mieć końca. Siedzący w ciemnościach ludzie próbowali spać, kuląc się na ławkach i nie zważając na potworną ciasnotę. W wagonie przeznaczonym dla góra stu dwudziestu osób siedziało ich przeszło dwieście. Niektórzy leżeli pokodem na korytarzu, nieliczni szczęściarze wyciągnęli się na bagażowych półkach. Naprawdę nie mogli narzekać, skoro reszta pociągu składała się z towarowych lor i węglarek. Ich wagon był jedynym osobowym w składzie. Tu przynajmniej nie wiało i nie padało.

Korzycki też próbował spać, ale przeszkadzał mu smród od dawna niemytych ciał, przemieszany z odorem przetrawionego samogonu i zapachem czosnkowej kiełbasy. Od czasu do czasu zawiewało też moczem od strony zapchanego kibla, w którym wyrwano drzwi. Żałował, że nie wybrał dachu, z drugiej jednak strony noc była zimna, mocno wiało i łatwo mógł się przeziębnić, a i tak nie czuł się najlepiej.

Wciśnięta w jego bok przekupka przebudziła się gwałtownie, westchnęła spazmatycznie i odruchowo złapała za wielką kobiałkę przykrytą kielecką zapaską. W wagonie nie działały światła, ciemności rozjaśniało ledwie kilka świeczek, palonych w tych

boksach, gdzie ludzie, zamiast spać, woleli przesiedzieć noc przy samogonie i kartach. Kobieta obrzuciła Korzyckiego podejrzliwym spojrzeniem, wsunęła dłoń pod zapaskę i pomacała, czy aby zawartość kosza pozostała nienaruszona. Wcisnął kapelusz głębiej na oczy i udawał, że zasypia. Ale nie mógł spać, zwłaszcza że goście z boku obok hałasowali, stukając blaszanymi kubkami i głośno rozmawiając.

- Na Matjas, to znaczy na Matthiasstrasse, to idź, jak chcesz pohandlować - mówił jeden o głosie grubym i głębokim jak u operowego basa. - Nie szabruj tam, za blisko zarządu i Drobnera, a ten stary dziad odgraża się, że będzie za rabunek stawiał pod ścianę. Ale na razie nie ma kto tego pilnować, Drobner próbował sformować swoją milicję, zebrał coś ze sto pięćdziesiąt luda, z przymusowych, dał karabiny, ale kolesie po dwóch godzinach poszli w miasto szabrować. Nie frajerzy przecież.

- To jakby dał wilków do pilnowania owiec! - zaśmiał się jego kompan młodzieńczym falsetem. - No to kto łapie za szaber?

- Che, che, ano nikt - bas nie krył satysfakcji. - Drobner ma tylko garść ludzi z zarządu Miasta. Dwoją się i troją, ale nawet gdyby ich było dziesięć razy więcej i tak nie obstawią wszystkiego. Ale trzeba się śpieszyć, bo inaczej Ruscy wszystko zgarną.

Korzycki usłyszał, jak jeden odkorkowuje flaszkę i rozlewa biber do kubków.

- Znaczy się co? - zapytał falset. - Wywożą, co popadnie? Tamten głośno przełknął biber, chuchnął i z trzaskiem odstawił kubek na stolik przy oknie.

- Powiem ci, co słyszałem. O młynie. Ci z zarządu znaleźli jakiegoś inżyniera z obozu i kazali mu młyn uruchomić, taki wodny, bo trzeba mąki na chleb. Facet idzie, a tam ani jednej maszyny, o których mu powiedzieli Niemcy, co pracowali w tym młynie, bo dwa dni wcześniej Sowici przyjechali i załadowali wszystko, co się dało rozmontować, na ciężarówce. I tyle widziałeś maszyny. Inżynier popatrzył po pustych halach i chciał się zabierać z powrotem, a tu zajeżdża samochód pełen Ruskich i ich dowódca, lejtnant, żąda mąki. Inżynier pokazuje, że nie ma maszyn, i pyta, gdzie je Sowici wywieźli. Ten lejtnant to się nawet nie zdziwił, tylko wzruszył ramionami i powiedział: „Za Ural”. Tak szybko kradną, że jeden drugiemu nie mówi, co wywieźli.

Falset gwizdnął przeciągle, a potem znowu zagulgotała butelka.

- Nie żałuj sobie, skurwysyny - zauważył.

- A żebyś wiedział. Biorą, co się da, a najbardziej to rowery abo zegarki. Pamiętam, jak na Matjasie pytam ruskiego sierżanta, czy kupi zegarek. A ten się śmieje, odwija rękaw i pokazuje, że już sześć nosi. „U mienia czasów chwatić” - mówi. Zegarek w Breslau to nie sztuka, łapiesz sobie Niemiaszka i pokazujesz na przegub. Nawet nie dyskutują, od razu

ściągają.

Zaśmiał się rechotliwie i łyknął z kubka. Potem zakąsił, przez wagonowe smrody przebiła się woń zaprawionego czosnkiem boczku. Korzycki poczuł bolesny skurcz żołądka. Od wczorajszego rana nic nie jadł, a nawet dłużej, bo wodnistą aresztancką zupę trudno uważać za jedzenie.

- To takie głupie są, że jeszcze z zegarkami po mieście łążą? - zdziwił się falset.

- A bo to taki ichniejszy niemiecki ordnung, zawsze muszą wiedzieć, która godzina.

Znów rozległ się rechot, tym razem śmiali się we dwóch.

- Szlugi wyszły, a coś by się zapaliło - powiedział bas, kiedy już naśmiali się do syta.

- Poczekaj, coś zorganizuję - zaferował się jego towarzysz. Korzycki słyszał, jak tamten wstaje i usiłuje przedostać się w głąb wagonu przy wtórze przekleństw leżących w przejściu ludzi. Chyba dotarł w poblize drzwi, bo ktoś otworzył je z hałasem i do środka wleciała struga świeżego nocnego powietrza. Korzycki pomyślał, że dobre i to. I jemu chciało się palić. Przez chwilę rozważał nawet, czy nie spróbować kupić od nich papierosa, ale doktor nie dał mu zbyt wiele pieniędzy. Mógł ich potrzebować na coś innego.

Falset wracał od drzwi, znów klęli deptani przez niego ludzie, w końcu dotarł do swojego boksu i z głośnym sapnięciem usadowił się na ławce.

- Ciężko było - zauważył. - Towaru mało, wszyscy nastawieni na szaber, pusto jadą. Ale załatwiłem. Cymes, egipskie.

Sucho trzasnęła zapalniczka i po chwili doszedł do Korzyckiego papierosowy dym. Istotnie, sukinsyny palili camele, zapach dobrego tytoniu skręcał mu puste kiszki. Już chciał się złamać i poprosić o jednego, kiedy powstrzymało go, co usłyszał.

- Nie, nie, z żydowskim szabrem porównania nie ma - mówił bas, zaciągając się z lubością. - Żydzi, jak przyszło do likwidacji, mało co mieli. Co tam było lepszego, to wcześniej za żarcie poszło. A co jeszcze mieli, miękkie czy twarde, abo i brylant jaki, to na wywózkę brali ze sobą. Myśleli, że sobie życie za to kupią. Ale esesman w czapę dał, a forszę wziął, abo z trupa kazał wygrzebać. Dość, że jak się poszło na szaber do opuszczonych domów, to niewiele tam było, trochę potłuczonych garków, niby też pościel, ale marna, więcej tam pluskiew było niż pierza. Najbardziej się meble opłacały, bo tego do obozu wziąć nie mogli. Sam z Jędrzejowa piękny kredens dla teściowej przywiozłem.

- A w Breslau lepiej? - zapytał falset.

Znowu Korzycki usłyszał, jak szyjka butelki stuka o kubek. Chlupot lanego bimbru tym razem trwał dość krótko.

- Dobra flaszka była, ale się skończyła - westchnął tęsknie bas i czknął potężnie. -

Taaa, w Breslau lepiej, bez porównania. Bogate szwabskie miasto i wszystko zachowali. To oczywiście, co nie przepadło w czasie oblężenia, a i potem Sowieci sporo napalili...

- Co? Nie rozumiem, jak to napalili? Przecież miasto ich, to po co palić? - zdziwił się falset. Mówił niewyraźnie, z pełnymi ustami. Do Korzyckiego znowu doleciał czosnkowy zapach boczku. Od ssania w żołądku zrobiło mu się niedobrze.

- Ano właśnie nie wiadomo czy ich. - Bas przez chwilę żuł głośno, widać też poczęstował się boczkiem. - Niby ich, ale ci z PKWNU twierdzą, że nasze, po to przecie Drobnera prezydentem zrobili. Dość, że Sowiety spaliły to, czego nie można od razu zabrać. Ludzie mówią, że to dlatego, że nie chcą, by się Paliaczkom za dużo dostało. Przez tydzień po oblężeniu całe kwartały poszły z dymem, na ten przykład spalili w jednym kościele górę książek. Z uniwersytetu abo czegoś takiego. Z Drobnerem przyjechały profesory, niby to jakąś kulturę zabezpieczać, i cholery dostały, bo pono cenne te książki były. Awanturę Ruskim zrobili nawet, ale co, podskoczysz takim? Tacy, co za dużo skakali, to na białych niedźwiedziach są teraz.

- Ano są - przytaknął falset. - Ale jak oni wszystko spalą, nie będzie co szabrować!

- Spokojnie jak na wojnie, nie wszystko. Po tych awanturach już tak nie palą, wolą wywozić. Spieszyć się trzeba, to fakt, bo całe pociągi na wschód idą. Ale Niemiaszków sporo jeszcze zostało, może nawet połowa tego, co przed wojną. Fantów starczy na długo, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Na zachód i południe od rynku to nie masz nawet co chodzić, tam szło główne natarcie i Niemcy sami wypalali domy, nim Ruskie przyszły. Pustynia została, całe dzielnice do piwnic spalone, fantów mało albo popsute i popalone. Północ i wschód są lepsze, tam Niemców sporo, dużo domów całych albo tylko trochę ruszonych bombami. No i tam naród sobie za tę okupację wetuje, biorąc, co się należy, odszkodowanie znaczy się.

Znowu obaj wybuchnęli śmiechem. Zaszleścił papier, trzasnęła zapalniczka. Zapach cameli był nieznośny, Korzycki pomyślał, że się jednak przełamie i wyżebrze jednego. Z drugiej strony zawieranie znajomości z tymi osobnikami budziło w nim mdłości.

- Nawet Ruskim nie trzeba tego tłumaczyć. O, zatrzymał mnie patrol ichniejszej żandarmerii, jak niosłem kryształowe lustro toaletowe, zacne, w srebrnej oprawie. Pytają, skąd to mam. A ja im na to, że odszkodowanie biorę, bo w Warszawie całe mieszkanie straciłem, a w nim dwa takie lustra. Ci pod boki i w śmiech, aż im łzy poszły. A sami, choć trzech ich było, pięć rowerów targali. Bo na zegarki i rowery to oni najbardziej chciwi. Mówię ci, chłopie, Breslau to Kanada, teraz tam najlepsze czasy. I kto pierwszy, ten lepszy. Co teraz chwycisz, będziesz miał.

- Pewnie, pewnie, tak i w moich stronach mówią - odparł falset i zaciągnął się głęboko. - Ale jak się tam obrócić? Nikogo nie znam...

- Jak to nikogo? Mnie już znasz - zachnął się bas. - Pogadam ze Szmagą i wstawimy cię, gdzie trzeba, nic się nie bój. Fantów jeszcze dużo, starczy dla każdego. Odkujesz się, napijesz, a i jaką fajną Niemrę wyciupciasz, dasz kurwie konserwę i twoja. Pożyjesz wreszcie jak człowiek. Coś nam się po tej okupacji należy, nie?

Falset przytaknął i ścichli, kurząc w milczeniu papierosy. W tym momencie drzwi do wagonu znowu się otworzyły i ktoś, chyba konduktor, krzyknął, że za pół godziny Kluczbork. Zalegający na ławach i podłodze ludzie budzili się niechętnie, ziewając i pogadując do siebie półgłosem. Część z nich zaczęła sprawdzać tobołki, szykując się do wysiadki.

- Dopiero czwarta - zauważył bas. - Nie ma co się śpieszyć, do Oels ze trzy godziny, do Hundsfeldu z pięć. Wlecze się ten pociąg, jakby miał zaraz skonać, nie to, co przed wojną. Kimnąć się trza, bo potem zaraz do roboty. U Szmagi jak w kantorze u kupca, rozliczają cię z każdej godziny. Ale skoro zarobek taki, to i robota dobrze idzie. A bimberku na sen nie znalazłbyś może choć ociupkę, co?

Falset, któremu znajomość z basem wyraźnie zaimponowała, powiedział, że nie ma, ale zaraz zaproponował, że coś jeszcze skombinuje, lecz jego towarzysz oświadczył, żeby się nie fatygował, bo i tak śpić go ogarnia. Po chwili w istocie spał, poświstując i pochrapując. Korzycki spojrzął za okno. Głęboka czerń nocy przechodziła w szarzystą przedświt. Poczul się naraz bardzo zmęczony, monotony stukot kół działał usypiająco. Przymknął oczy i zapadł w męczący, płytki sen.

\* \* \*

Siedział w drewnitni i cholernie chciało mu się palić. Raczej nie powinien tego robić - podwórko co prawda było puste, ale diabli wiedzą, kogo mogło przynieść. Przywarł do szpary między deskami i zerknął na położony na tyłach wielkiej czynszowej kamienicy placyk, z jednej strony obramowany starym, pochylonym płotem, z drugiej ścianą niskiej, pobielonej wapnem oficyny. Ktoś musiał w niej przebywać, bo z komina snuł się dym. Korzycki z niepokojem uświadomił sobie, że gdy mieszkańcom skończy się drewno, pewnie przyjdą po nowe. Rozejrzył się po szopce. Po zimie nie zostało prawie nic z nagromadzonych zapasów, przy pniaczku z wbitym siekierą zauważył ledwo kilka nałupanych szczapek i wióry z kory na podpałkę. Jeśli ktoś brał drewno z samego rana, nie powinien zbyt szybko tutaj wrócić.

Odruchowo zerknął na zegarek. Niepotrzebnie, bo na UB skonfiskowano go w pierwszej kolejności. Dobry patek, dostał go na maturę od ojca. Chodził idealnie, jak przystało na szwajcarską markę, i wystarczało nakręcać go raz na trzy dni.

Całą wojnę przetrzymał, a teraz pewnie cieszy się nim któryś z tych bydlaków.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Od wizyty w domu doktora Galickiego mogły upłynąć dwie, może trzy godziny. Wiedział, że nie powinien do niego chodzić, ale w Piotrkowie nie miał innego kontaktu. A tułanie się bez dokumentów i pieniędzy po pełnym milicji i ubeków mieście było prawdziwym szaleństwem. Musiał zaryzykować, inaczej do wieczora z pewnością zgarnęliby go z ulicy albo ktoś by doniósł. Korzycki miał tu trochę znajomych, ale kilku osób nie mógł być pewien. Do komunistów przystawali ludzie, których nikt w najśmielszych snach by o to nie podejrzewał. Prawdę mówiąc, wcale im się nie dziwił, trudno było wierzyć w powrót rządu z Londynu, gdy się widziało kilometrowe kolumny sowieckich wojsk pancernych, niepowstrzymanie walących na zachód. Za nimi szli komuniści, głoszący, że są nową władzą. Wielu im uwierzyło, bo mieli za sobą siłę sowieckich bagnetów. Jedyłą, jaka się naprawdę liczyła.

Drgnął gwałtownie, zaniepokojony dobiegającym z podwórza odgłosem. Drzwi od oficyny skrzypnęły i na próg wyszła okutana w chusty babina z wiadrem w ręku. Przez chwilę bał się, że staruszka idzie po drewno - ale nie, podeszła do studni, odwaliła pokrywę i spuściła wiadro do środka. Kręciła skrzypiącą korbą, a Korzyckiemu skóra cierpła na plecach. To miejsce jednak nie było bezpieczne. Ktoś w końcu zajrzy do szopy, a on nie miał się gdzie ukryć ani jak stąd uciec.

Babina wyciągnęła wiadro ze studni i stękając, zaniosiła do izby. Zamknęła drzwi, a Korzycki otarł pot z czoła. Chyba robił się za stary do tej roboty. Przed Niemcami nigdy nie czuł aż takiego pietra. Ale ta nowa, czerwona okupacja wprowadziła inną jakość - przedtem, nawet w najgorszej opresji, zawsze wiedział, że może liczyć na drugiego Polaka. Teraz nie mógł liczyć na nikogo. Zbyt wielu przeszło na ich stronę. To dlatego na ulicy czuł się jak ścigane zwierzę. I po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał.

Ten doktor też się bał. Kiedy Korzycki zastukał do jego drzwi, dłuższą chwilę nie otwierał, choć Jan słyszał ruch wewnątrz mieszkania i gorączkowe, zduszone szepty. Potem drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. Wysoki, szpakowaty mężczyzna przyglądał mu się przez prawie minutę. Kiedy Korzycki powiedział, że przychodzi od Konrada, gospodarz wpuścił go, acz z wyraźnym wahaniem. Nie weszli do środka, stali w przedpokoju, przy wieszaku z płaszczami. Wyjaśnił pokrótce doktorowi, co robi w Piotrkowie, i poprosił o pomoc. Najważniejsze były nowe papiery, bo poprzednie zostały na UB. Doktor nie wyglądał na zachwyconego, ale obiecał pomoc - uciekinier odnosił wrażenie, że chyba tylko po to, aby się go jak najszybciej pozbyć z mieszkania. Kazał mu przyjść na to podwórko i poczekać w drewutni.



Znowu zachciało mu się palić i odruchowo zaczął szukać papierosów. Zapomniał, że i je zabrali mu ubecy. Ostatnią paczkę zrzutowych fajek. W kieszeni kurtki została jedynie zablakana zapalka. Wyjął ją i ze złością włożył między zęby. Ssąc gorzkie drewnienko, pomyślał, że i tak nie najgorzej mu poszło. Tamtych dwóch, co z nim wiali, ubecy postrzelili. Chyba padli na miejscu, ale nie był pewien - nie oglądał się, gnał przed siebie, wiedząc, że decydują ułamki sekund. Był z nich najszybszy i to go ocaliło. I ten zarośnięty krzakami ogródek, w który zdołał wskoczyć, nim strażnicy uporali się z dwoma pozostałymi uciekinierami...

Na podwórzu rozległy się czyjeś kroki. Zaniepokojony, przypadł do szpary. To był doktor, który wyszedł z bramy i zmierzał wprost do drewnutni. Nareszcie. Prawdę mówiąc, już zwątpił, czy Galicki w ogóle się pojawi. Mężczyzna minął studnię, rozejrzał się szybko na boki i podszedł do drzwiczek szopki. Korzycki cofnął się, bo w tym schowku nie było zbyt wiele miejsca.

Doktor ostrożnie wsunął do środka głowę i dłuższą chwilę mrugał oczyma, przyzwyczajając wzrok do panującego w komórce mroku.

- Dobrze, że pan jeszcze jest - powiedział i wszedł do drewnutni, starannie zamykając za sobą rozklekotane drzwi. - Trochę to trwało i bałem się, że pan nie wytrzyma. Ale udało się i mam dokumenty. Nie najlepsze, ale w PURze nie będą się im zbyt dokładnie przyglądać.

Wyjął z kieszeni podniszczoną kenkartę i podał Korzyckiemu. Dokument opiewał na Romana Malinowskiego, lat trzydzieści, z zawodu kancelistę. Zdjęcie nie było zbyt wyraźne, częściowo poplamione czymś brązowym, także litery wydawały się rozmazane, najwyraźniej od wody. Od biedy Jan był nawet trochę podobny do tego faceta, choć tamten nosił wąsy.

- Nic lepszego nie dało się załatwić - powtórzył doktor. - A to są przynajmniej prawdziwe papiery, po jednym topielcu. Czyste, bo odnotowano go jako niezidentyfikowanego, a papiery znalazł przypadkiem jeden z naszych pracujących w kostnicy. Nieboszczyk miał je w schowku wszytym w koszulę. Trochę rozmokły, ale tym lepiej.

- Pan mówił coś o PURze? - zapytał Korzycki, chowając kenkartę.

Doktor chrząknął, znowu sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną papierośnicę. Uprzejmie zaproponował papierosa, grubego, ręcznie robionego.

- Bez obaw, syn stoi na czatach - wyjaśnił, widząc, jak zaniepokojony uciekinier spojrzał w kierunku podwórza. Zapalili, a Korzycki zakrztusił się od gęstego, mocnego dymu. Doktor popalał niezgorszą chłopską machorkę.

- Trudno dzisiaj o dobry tytoń - usprawiedliwił się lekarz. - A co do PURu... To jak

właściwie pan sobie wyobraża swoją przyszłość? Słyszałem, że Konrad rozwiązał swój oddział dwa tygodnie temu?

Jan przytaknął i zaciągnął się głęboko, aż mu pociemniało przed oczyma. Machorka była mocna jak diabli.

- Dostaliśmy odprawę i ci, co chcieli, po sztuce krótkiej broni. Konrad nie wydał żadnych konkretnych rozkazów, powiedział, żeby wracać do domów. Uznał, że w obecnej sytuacji dalsze istnienie oddziału nie ma sensu. Dwa razy byliśmy w obławie NKWD i za tym drugim prawie nas dorwali, więc Konrad doszedł do wniosku, że trzeba wykonać rozkaz komendanta głównego o rozwiązaniu AK.

Doktor milczał, puszczając pod dach drewnutni długie smugi dymu.

- To nie był najfortunniejszy rozkaz - rzekł po chwili. - Sami się rozbroiliśmy i tym samym pozbawiliśmy jakiegokolwiek pozycji przetargowej... Teraz czerwoni robią, co chcą, UB ma całkowicie wolną rękę. Żaden z nas nie jest bezpieczny... Konrad powiedział panu o mnie?

- Tak. Powiedział, że gdyby były jakieś problemy, mam zgłosić się do pana...

Galicki rzucił papierosa na ziemię i przydeptał. Z kieszeni wyciągnął zwitek banknotów i podał Korzyckiemu.

- Przyda się parę groszy w podróży... Jak pan wpadł?

Jan wzruszył ramionami i zgasił niedopałek o brzeg pniaczka do rąbania drewna.

- Najgłupiej, jak można. Na dworcu, kiedy kupowałem bilet do Warszawy. Tam musiał być jakiś tajniak, bo wyłuskali mnie zaraz na peronie. Było ich czterech, nie miałem szans...

- Kto pana przesłuchiwał?

Skrzywił się, bo przypomniał sobie wychudłą, końską gębę tamtego.

- Nawet się przedstawił... porucznik Kaman. Niezła gnida, sprawiał wrażenie, jakby wszystko o mnie wiedział. I wiedział niemało, zwłaszcza o służbie u Konrada.

Na podwórku znowu rozległ się jakiś hałas. Obaj, jak na komendę, przywarli do szpar w ścianie drewnutni. Ale to była tylko babcia z oficyny, z hałasem wylewająca na ziemię mydliny z wielkiej miedzianej miski. Dłuższą chwilę milczeli, czekając, aż staruszka zniknie z powrotem w mieszkaniu.

- Oni dużo wiedzą - odezwał się Galicki. - Mieli tu swoje organizacje i rozpracowywali nas co najmniej od czterdziestego drugiego. Moim zdaniem nawet umieścili agentów w naszych oddziałach. To dlatego likwidacja naszej siatki idzie tak szybko. W Piotrkowie wpadli wszyscy poza moją sekcją... Panie poruczniku, dla mnie to oczywiste, że

dopóki siedzą tu Sowieci, nie mamy żadnych szans. Do komunistów przystaje dużo mętów, całe bandy kryminalistów, bydlaki czują, że się przy nich obłowią. A my jesteśmy w rozsypce... Do jesieni będzie po wszystkim. Dlatego mówiłem o Urzędzie Repatriacyjnym. Bo pan musi stąd zniknąć. W tych okolicach nie ma pan czego szukać, a do Warszawy pan się nie przedostanie. Został tylko jeden kierunek. Zachód.

Prawdę mówiąc Jan oczekiwał tych słów od chwili, gdy Galicki wspomniał o PURze.

- Znaczy się do Niemiec? - ni to zapytał, ni stwierdził.

- Na Śląsk Nadodrzański. Oni to nazywają „ziemiami odzyskanymi”.

- Odzyskanymi? To kiedyś je straciliśmy?

Doktor wydlubał z papierośnicy drugiego papierosa.

- Gdzieś tak w trzynastym wieku...

Korzycki parsknął mimowolnym śmiechem, ale umilkł, zgaszony surowym spojrzeniem lekarza.

- Jak zwał, tak zwał. W każdym razie komuniści organizują tam swoją administrację i rozpoczęli akcję osiedleńczą. Chyba poważnie myślą o przejęciu tych ziem, mówi się o całej dawnej regencji pruskiej aż do linii Odry i Neisse. Ponoć odbywa się to za pełną zgodą Rosjan... Wie pan, co to oznacza?

Wiedział. Jeszcze w lesie dyskutowali o tym, czy Sowieci oddadzą Wilno i Lwów. To, że teraz Ruscy pozwalali się polskim komunistom tak dobrze pożywić na trupie Rzeszy, świadczyło dobitnie, że Stalin z niczego nie zamierzał rezygnować. Nie po to pchał milionowe armie na zachód, aby cokolwiek Polsce oddawać.

- To gadanie czerwonych o powrocie ziem zachodnich do macierzy nie jest niczym innym jak mydleniem oczu - ciągnął Galicki. - Tak naprawdę chodzi o rekompensatę za to, co Sowiety zagarnęły na wschodzie. Idą już pierwsze transporty naszej ludności zza Bugu. Nie wiem, co z tego wszystkiego wyjdzie dla kraju, ale dla pana to jest szansa. Teraz na zachód wyjeżdża mnóstwo ludzi, co prawda przeważnie na szaber, jednak jest to tłum, w którym można się zgubić. I UB dopiero się tam organizuje, nie to, co tutaj...

Doktor podszedł do drewnianej ściany i wyjrzał na podwórko. Bez potrzeby, bo nikt się po nim nie kręcił.

- Pójdzie pan do tutejszego PURu i odnajdzie referenta Kowalczyka - mówił, wciąż odwrócony do Korzyckiego plecami. - Człowiek jest już uprzedzony. Wystawi panu skierowanie do Breslau... to znaczy Wrocławia. Tam miejscową administrację organizuje inżynier Kuligowski, mój dobry znajomy sprzed wojny. Da mu pan tę wiadomość - wyjął z kieszeni kartkę szarego papieru i podał do tyłu, nadal nie patrząc na Jana - a on powinien

panu pomóc. Ma u mnie pewien

18 dług z dawnych czasów. To porządny człowiek i raczej nie odmówi.

Westchnął ciężko, odwrócił się i ponownie otworzył papierośnicę. Dopiero teraz Korzycki zwrócił uwagę na jego oczy - szare, przygaszone i bardzo zmęczone.

- Zapalmy przed podróżą.

\* \* \*

Wagon szarpnął gwałtownie, budząc Korzyckiego. Śpiąca u jego boku baba chrapnęła głośno i nie otwierając oczu, przyciągnęła do siebie kobiałkę.

Była może trzecia, może czwarta, wagon pograżył się w ciemności, jedynie w dwóch boksach, gdzie siedzieli najbardziej zajadli karciarze, paliły się ogarki świec. Pociąg znowu szarpnął i wyraźnie zwolnił, a po chwili wjechał na jasno oświetlony peron. To mógł być Kluczbork, Jan nie widział napisu z nazwą stacji. Chciał nawet wstać i podejść do okna naprzeciwko, aby się lepiej przyjrzeć, ale po namyśle zrezygnował. Na peronie kręcili się jacyś ludzie, słyszał ich stłumione głosy, za brudnym oknem przesuwwały się niewyraźne sylwetki. Nie powinien zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza że reszta pasażerów potraktowała postój z całkowitą obojętnością, jedynie dwie czy trzy osoby przebudziły się, zerknęły za okno, ziewnęły i z powrotem umościły się do snu.

Po jakimś kwadransie postoju głosy na zewnątrz wzmogły się, z traskiem otwarto drzwi wagonu i do środka weszło kilku ludzi. Nie byli to pasażerowie. Jeden, idący z przodu, w mundurze i z pepeszą na piersi, zapalił latarkę i zaczął świecić po twarzach śpiących pasażerów. Za nim postępowało dwóch cywilów w ciemnych płaszczach i mocno nasuniętych na oczy czapkach. Cała grupa przeciskała się wzdłuż wagonu, depcząc po leżących w przejściu ludziach. Ten i ów budził się z przekleństwem, ale zaraz cichł, gdy mu poświecono latarką w oczy.

Gdy doszli do jego boku, Korzycki mocniej wtulił się w bok przekupki i udawał, że śpi. Światło latarki przesunęło się po jego twarzy, zatrzymało na moment, potem powędrowało dalej. Przeszukujący dotarli do końca wagonu i wyszli na peron. Słyszał, jak wymieniają między sobą uwagi o „szabrowniczej bandzie”. Ale szabrownicy najwyraźniej ich nie interesowali, bo nikogo nie zatrzymano.

Pociąg stał jeszcze przez czas potrzebny robotnikom torowym na opukanie kół, wpuszczono też nowych pasażerów, na szczęście niewielu. Pośród przekleństw i wyzwisk starych podróżnych jakoś się umościli, głównie na podłodze koło zaśmierdłego kibla, gdzie nikt przedtem nie chciał siedzieć. Skład szarpnął i znowu potoczyli się w ciemność. Jan pomyślał, że chyba nie warto już spać. Przez dłuższą chwilę walczył z nadciągającą falą

senności, aż wreszcie, wtulony w miękki bok tęgiej przekupki, poddał się i zasnął.

\* \* \*

Obskurny pokój o brudnych, odrapanych ścianach był oświetlony mocną, może nawet stuświecową żarówką. Nie była niczym osłonięta, a wisiała na gołym drucie. Korzycki, skulony jak małpa, siedział na malutkim drewnianym stołku, właściwie dziecięcym zydelku. Przesłuchujący stał obok stołu zarzuconego papierowymi aktowymi teczkami i czytał skoroszyt, co chwila marszcząc, jakby w zdziwieniu, brwi. Wysoki, szczupły, w nienagannie skrojonym mundurze. Mimo młodego wieku, włosy miał już przyprószone siwizną, a pod lewym okiem widniała podłużna, brzydko poszarpana blizna. Porucznik Albert Kaman, tak się przedstawił, nim pogrążył się w lekturze trzymanyh w ręku papierów.

Oprócz nich dwóch, w pokoju byli jeszcze strażnik z bronią przy pasie i protokolant, krępy chłopak o podkrążonych z niewyspania oczach, siedzący za biurkiem ustawionym pod wysoko usytuowanym, zakratowanym i dodatkowo zabitym deskami okienkiem. Przesłuchania prowadzono w piwnicy, pewnie aby na zewnątrz nie było słychać wrzasków bitych ludzi. Niemcy postępowali podobnie. UB miało się od kogo uczyć.

Stojący za stołem porucznik przewrócił ostatnią kartkę i powiedział:

- No dobra, możemy zaczynać...

Podsypiający za biurkiem protokolant drgnął, stłumił ziewnięcie i złapał za czysty arkusz.

- Jan Korzycki, pseudonim Korab, urodzony w Mińsku Mazowieckim w 1917, syn Stanisława... Zgadza się?

Już przedtem uznał, że zaprzeczanie oczywistym faktom nie ma sensu, dlatego postanowił potwierdzać to, co uznał za nieszkodliwe dla siebie i innych.

- Tak - oparł, pokonując suchość w gardle. Rano dali jedynie kubek lurowatej kawy zbożowej i kromkę razowca. Od tej pory nic nie miał w ustach. Przy okazji odkrył, że pragnienie bywało gorsze od głodu.

Porucznik zerknął na początek skoroszytu i pokiwał z uznaniem głową.

- Dosłużyliście się porucznika... tak jak ja... Ale pewnie uważacie, że mój stopień jest nieważny. Bo ważne są tylko te nadawane przez Londyn, co?

Nie odpowiedział. Jeśli tamten myślał, że da się złapać na tak prymitywną zaczepkę, to się mylił.

- No dobra... Od kiedy jesteście w Armii Krajowej?

Na to pytanie mógł odpowiedzieć. Okres walki z Niemcami nie mógł być czymś, o co powinni się czepiać.

- Od marca 1941. Najpierw podchorążówka, potem Szare Szeregi, wreszcie w oddziale specjalnym w Kierownictwie Dywersji.

Ubek wyglądał na zaskoczonego. Tego widocznie nie miał w swoich papierach. Korzycki domyślał się, że jego wiedza o nim pochodzi głównie od konfidentów, pewnie też od złamanych członków oddziału Konrada. A w lesie nie chwalił się swoimi dokonaniem w Kedywie. W ogóle niczym się tam nie chwalił. Lata w konspiracji nauczyły go trzymać język za zębami.

- Proszę, proszę, w samym Kedywie. Trafił się nam prawdziwy akowski arystokrata... A czym się tam zajmowaliście, jeśli można wiedzieć?

- Głównie rozpoznaniem. - Rozkręcał się powoli, cały czas uważając na każde słowo. Jeśli będą pytać tylko o okupację, nie powinno być źle. Z drugiej strony podejrzewał, że to najpewniej przygrywka, wstęp przed właściwym przesłuchaniem. - Rozpracowywałem główną komendę warszawskiego Gestapo... a to ze względu na dobrą znajomość niemieckiego, gdyż przed wojną studiowałem przez rok w Wiedniu na politechnice. Czasem, gdy było trzeba, udawałem Niemca. Dokładniej: rodaka Fihrera, Austriaka, z racji wiedeńskiego akcentu.

Porucznik przystawił sobie do stołu krzesło, usiadł i rozłożył skoroszyt.

- Mam tu informację, że pojawiliście się w lasach pilickich w kwietniu czterdziestego czwartego... Ciekawe... Czyżbyście przeczuwali, że zbliża się powstanie? I chcieliście je przeczekać na łonie przyrody?

No tak, czego się mógł spodziewać po czerwonej gnidzie... Zacisnął zęby, tłumiąc wybuch gniewu. Kamanowi o to właśnie chodziło. Chciał go poniżyć, przyprzeć do muru i zmusić do tłumaczenia się z tego, czego nie zrobił. Za wszelką cenę musiał zachować zimną krew i nie dać się sprowokować.

- Nie, wysłano mnie. Gestapo rozpracowało część naszej siatki, Niemcy złapali ludzi, którzy mnie znali... Zawsze w takich wypadkach wysyłano zagrożonego do lasu. Miałem nadzieję, że, jakby na coś się zanosilo, to mnie odwołają... Ale nie odwołali. Potem próbowaliśmy na własną rękę przebić się do Warszawy... Nic z tego nie wyszło.

Kaman zrobił taką minę, jakby wziął jego wyjaśnienia za dobrą monetę. Odsunął się od stołu, oparł obydwoma rękami na blacie i przyglądał mu się z dobrze udawaną sympatią.

- Dlaczego po rozkazie o rozwiązaniu AK nie wyszliście z lasu i nie zdaliście broni? - zaatakował. Szybko i gwałtownie jak grzechotnik, tyle że bez ostrzegawczego terkotu.

Korzycki milczał, zastanawiając się, co powiedzieć. Z drugiej strony, cokolwiek odpowie i tak będzie „zaplutym karłem reakcji”. Takim jak na plakacie, który widział na

ścianie dworca.

- O tym decydował dowódca - odparł w końcu, mając nadzieję, że Konrad nie był tak głupi jak on i nie dał się złapać. - A on najwyraźniej się nie śpieszył. Osobiście sędzę, że wiele do myślenia dało mu to, co stało się w końcu marca z naszymi dowódcami... którzy pojechali na rozmowę z pewnym sowieckim generałem i już nie wrócili. Radio Londyn podało po paru dniach, że są w Moskwie, uwięzieni. A potem nie mieliśmy za dużo czasu na myślenie, bo zaczęły się obławy. Ale rozkaz został w końcu wykonany, bo kilka dni temu oddział rozwiązano. Wracalem właśnie do domu, kiedy aresztowano mnie na dworcu.

Gdy to mówił, patrzył w nieruchome, stalowoszare oczy tamtego. Widział, jak Kaman je mruży, próbując ukryć gniew. Przez moment błysnęła w nich nienawiść, więc Jan miał nadzieję, że ubek wybuchnie, ale porucznik natychmiast się opanował. Jednak fachowiec - pomyślał akowiec z niejakim podziwem.

- W jakim celu chcieliście jechać do Warszawy? - szczechnął ostro. - Po rozkazy? A może sami wieźliście polecenia od tego... Konrada?

Chyba go nie dorwali - pomyślał Korzycki z ulgą. Gdyby Konrad wpadł, pytania byłyby inne. Bardziej konkretne.

- Chciałem wrócić do Warszawy - powtórzył. - Do domu... przynajmniej zobaczyć, co z niego zostało. Rodzice mieli duże mieszkanie na Żoliborzu. Przenieśliśmy się z Mińska jeszcze w trzydziestym piątym, ojciec otrzymał posadę w gimnazjum męskim na Batorego. Nie ma tego w aktach? - zdziwił się obłudnie.

Ubek nie odpowiedział, wstał, podszedł do protokolanta i patrzył mu przez ramię, jak zapisuje zeznanie. Pokazał mu coś palcem i protokolant zamasyście wykreślił część tekstu.

- Bajki, bajki i bajania - powiedział Kaman, wskazując pisarczykowi jeszcze jeden fragment do skreślenia. - Ale mamy trochę czasu, pogadamy sobie... I to nie raz, jak myślę.

Pogadali. Z kapitanem Orzeszko, który wziął na siebie rolę złego gliny. Rozmowy z nim kosztowały Korzyckiego dwa zęby, wybite z prawej strony górnej szczęki. Kapitan był mańkutem, ale bił z wprawą, doskonale posługując się kastetem, w niczym nie ustępując bandzirom z Targówka. Opowieści o powrocie do domu rodzinnego bardzo go denerwowały. Rozmawiali zresztą niewiele, bo Korzycki zbyt krwawił z dziur po wybitych zębach. Krew zalewała mu gardło i tylko charczał coś w odpowiedzi, gdy tamten pytał o jego kontakty w Piotrkowie i Warszawie. W końcu musieli przerwać, gdy zapaskudził krwią podłogę i rękaw kapitańskiego munduru.

Potem wypadł dzień przerwy i Korzycki spodziewał się, że sprawę pociągnie porucznik Kaman, usiłując łagodną perswazją wyciągnąć to, czego nie zdołał wybić kastetem

Orzeszko. Do kolejnego przesłuchania jednak nie doszło, ponieważ nieoczekiwanie zarządzono wyjazd do innego więzienia. Ludzie z celi gadali, że przewiozą ich do Kielc, do wielkiego więzienia UB. A potem, prawie na rogatek Piotrkowa, w ciężarówce, której tylne koła wpadły w niezbyt starannie zasypaną dziurę po bombie, poszło zawieszenie i milicjanci z eskorty, chcąc nie chcąc, kazali im wysiadać.

W czasie okupacji nauczył się, jak korzystać z takich okazji. Zwłaszcza że nie miał nadziei na przeżycie kolejnego spotkania z kolegami porucznika Kamana i kapitana Orzeszko.

\* \* \*

Do Oels - „Oleśnicy”, jak wykrzyczał konduktor - dotarli z pierwszym brzaskiem. Korzycki obudził się znacznie wcześniej, kiedy noc przeszła w szarówkę przedświt. Dupa mu ścierpła od drewnianej ławki, a i przekupka chrapała coraz paskudniej. Inni też budzili się powoli, ziewali, kaszleli i pluli, wyciągali z waliz i plecaków zapasy, zabierając się do wczesnego śniadania. Zapach słoniny i boczku sprawił, że jego kiszki skręciły się w bolesny supeł. Żałował, że w PURze nie skorzystał ze stołówki, ale bał się, że ucieknie mu pociąg, którego odjazdu co chwila oczekiwano. Kolejna doba w Piotrkowie byłaby samobójstwem, musiał natychmiast wyjechać. Po ucieczce więźniów z ciężarówki bezpieczeństwa przetrząsała całe miasto, dom po domu.

Aby nie myśleć o jedzeniu, zaczął oglądać mijany krajobraz. Granicę z Rzeszą przekroczyli w środku nocy, pociąg włókł się niemiłosiernie, góra czterdzieści na godzinę, i kiedy się rozjaśniło, mógł sporo zobaczyć. Jechali przez krainę zupełnie płaską, słabo zadrzewioną, dobrze rolniczo zagospodarowaną.

Widział regularną szachownicę pól żółcących się ładnie wyrosłym zbożem. Mijane budynki, solidne murowańce z czerwonej cegły, kryte dachówką, wyglądały na całe lub nieznacznie uszkodzone. Front widocznie szybko przeskoczył te tereny, zatrzymując się dopiero na Breslau i linii Odry. Nigdzie nie dostrzegł żadnej ludzkiej postaci, błysku światła czy dymu nad kominem. Domy sprawiały wrażenie opuszczonych. Pewnie mieszkańcy, przestraszeni hitlerowską propagandą, uciekli przed „bolszewickimi bandami”. Całkiem słusznie - pomyślał. Sowieci gwałcili i rabowali nawet w teoretycznie sojuszniczej Polsce. Co więc wyprawiali tutaj, wołał nie dociekać. W jednym z mijanych opustoszałych miasteczek dostrzegł na podwórku wychudłego psa, który na widok toczącego się pociągu zaczął skowytać. Jan wzdrygnął się mimowolnie, bo psi głos rozpaczy wwiercał się w uszy, przebijając się przez zgrzyty i klekoty zdezelowanego wagonu, ale współpasażerowie, zajęci zapychaniem gąb chlebem ze słoniną, nie zwrócili na niego uwagi.



Poczuł czyjś badawczy wzrok. To gruba przekupka obudziła się i patrzyła na niego spod ciasno zawiązanej kraciastej chusty. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak mu burczy w brzuchu, że spać nie można. Co to, kawalerze, wybrałeś się na zachód i nawet kromki chleba nie masz?

Odpowiedział możliwie najsympatyczniejszym grymasem i wzruszył ramionami. Kobieta pokiwała wymownie głową i sięgnęła w głąb przykrytej zapaską kobiałki. Wyciągnęła szmaciane zawiniątko, które ostrożnie rozwinęła. Korzycki dostrzegł skibkę razowego chleba, słoninę i dwa gotowane jajka. Przekupka znowu sięgnęła do koszyka i wyjęła składany kozik.

- Na, niech se poje. Bładziutki jakiś, mizerniutki. Z obozu może, co? - mówiła, sprawiedliwie dzieląc jedzenie na dwie porcje.

Nie odpowiedział. Wbił zęby w kromkę razowca z płatem słoniny. W tej chwili nic więcej go nie obchodziło. Byłby połknął wszystko od razu, ale zreflektował się - w lesie też zdarzało się pogłodować. Najlepiej żuć powoli i starannie, aby starczyło na jak najdłużej. Przełknął pierwszy kęs i uśmiechnął się z wdzięcznością do kobieciny, która zręcznie obrała i podała mu jajko. Miała nawet sól.

- A ty co, też do Breslau na szaberek? - trąkotała beztrąsko. Znowu sięgnęła do przepastnej kobiałki i wyciągnęła ćwiartkę bimbru, nawet nieźle wyklarowanego. - Na, pociągnie dla kurażu. Z rana krew trza ogrzać.

Pociągnął. Bimber palił w gardle, ale zarazem naprawdę ogrzewał. Upił jeszcze trochę i oddał resztę kobiecie, która dokończyła flaszkę jednym haustem, jakby piła mleko. Beknęła zdrowo i otarła usta.

- Z tym Breslau to bym uważała - powiedziała. - Kawaler mi się za grzeczny wydaje, a tam dużo teraz rozrabiają. Same ruiny, a w nich esesmany z karabinami wciąż siedzą. Niejednego Polaka ustrzelili, a i Ruscy, tacy gieroje, też się ich boją. Raz byłam i więcej nie pojedę, w Oleśnicy też handelek da się zrobić. Nie, nie jadę do Breslau, a i tobie nie radzę.

- Święta racja, dobrodziejko, po co Breslau? To dzicz i gruzy, nie ma co się pchać - powiedział ktoś znajomym basem. Z sąsiedniego boksu wyrzał ku nim właściciel głosu, przyszyty na jeża gruby osobnik w skórzanej kurtce, nieco zbyt dopasowanej. Na okrągłej, pyzatej twarzy wykwitł fałszywy, acz w intencji szczery uśmiech. - Pełno Niemców, którym nie wiadomo co strzeli do głowy. Lepiej tam nie jechać.

Przekupka obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Taki niby mądry, ha? A sam gdzie jedzie, jak nie do Breslau? - zapytała.

Uśmiech na twarzy pyzatego jakby nieco skwaśniał.

- Ja tylko na parę dni, w interesach - wyjaśnił z godnością. - W urzędowej delegacji.

Oświadczywszy to, usiadł i wdał się w cichą pogawędkę z falsetem. Korzycki wcześniej przyuważył, że to młody chłopak, blady rudzielec w krótkim płaszczu przerobionym z wojskowego szynela. Dobiegały od nich pojedyncze słowa: „fanty”, „Szmaga”, „transport”.

- Już ja znam takich urzędników - mruknęła przekupka. - Jak zrobili urząd od szabru, to może i go wysłali. Albo sam się wysłał.

Nie podjął tematu, nie chcąc drażnić mężczyzn z sąsiedniego boksu. Skierował rozmowę na to, co ona sama porabia na zachodzie. Kobieta, widać z natury gadatliwa, opowiadała chętnie i ze szczegółami. Mieszkała we wsi pod Włoszczową, gdzie miała z mężem siedem mórg ziemi. - Dziedzica bolszewicy przegnali i ziemię mają między nas dzielić. Dziedzic dobry był, dawał zarobić, ludzie go bronili, ale nic nie poradzili. Sam Siemiątkowski prosił, aby tumultu nie robić i się rozejść. - Bardzo go żałowała, ale ziemię, jeśli dadzą, zamierzała wziąć. To nawet rozumiał, taka chłopska natura, jak dają, to się bierze. A kawaler myśli, że potem odbiorą, co? - zapytała niespokojnie, widać nie do końca przekonana do sposobu zdobycia tej ziemi. Odpowiedział, że, jak słyszał, jeśli polski chłop coś dostanie, to nigdy nie odda. Uspokojona, dalej opowiadała, że zwiedziła się o tym „zachodzie” od sąsiadki, która była tu wcześniej i za mendel jajek z Oleśnicy futro z lisa przywiozła i srebrną zastawę. I że handel idzie taki, jakiego jeszcze Polska nie widziała.

- No, i co mogła Stasiakowa, mogłam i ja. Czwartą raz już jadę, z kiełbasą i jajami. Tam, przed Breslau, niby od naszej strony, to nikt prawie na wsi nie został, te niemieckie bauery przed Ruskimi wszystkie uciekły, tak się bały. I dobrze, bo to bolszewickie nic nie warte tałatajstwo. A te, co po miastach zostały, nic świeżego jedzenia nie mają, same kasze i konserwy. Za mięso i jarzynę wszystko z domu wyniosą. Ja tam takie fajanse od nich przywiozłam, że nawet dziedzic takich nie miał, muchen czy jakoś tak na nich pisało. A takie malowanie na nich, że aż oczy bolą od patrzenia, same cudeńka.

Gadatliwa przekupka wysiadła w Oleśnicy wraz z częścią pasażerów. Ale w wagonie wcale nie zrobiło się luźniej, bo z peronu wtoczyła się do wagonu istna fala ludzka, a raczej sfora nieogolonych, wprost kapiących brudem osobników, potwornie śmierdzących, ubranych w poplamione kufajki i marynarki z grubego sukna, najpewniej z farbowanych koców. Każdy ścisnął pod pachą kłęb usmolonych jutowych worków. Trzymali się razem i patrzyli wilczo na resztę pasażerów, która traktowała ich z wyraźną odrazą. Wstręt był tak wielki, że kilka osób wyniosło się ze swoich boksów, woleli stać w przedsionku wagonu, byle tylko z nimi nie przebywać. Horda brudasów rozlokowała się błyskawicznie w opróżnionych przedziałach

- kiedy już usiedli, niektórzy wyciągnęli zza pazuch talie niemiłosiernie wytłuszczonych kart i zaczęli grać, racząc się bimbrem, który krążył w kilku wielkich, dwulitrowych butelkach. Palili przy tym skręciuchy z wyjątkowo obrzydliwej machorki.

Na miejscu opuszczonym przez handlarkę usadowił się młody chłopak, jasny blondyn w studenckiej czapce. Miał perkaty nos i dobroduszny uśmiezek przyklejony do szerokich warg. Lecz niebieskie, chłodne i bystre oczy zdradzały osobę bynajmniej nie gamoniową.

- Ta joj, ale typy - powiedział, śpiewnie zaciągając z lwowska i spoglądając na boks zajęty przez rżnących w karty brudasów. - Niech mnie dunder świnię, to pewnie ci wsypiarze. Słyszałem o nich, na wsypy są strasznie chciwi. Co dorwą pierzynę, to zaraz prują i wysp do wora. To podobno najlepszy teraz interes.

Tyłu ich, że Niemiaszkom niedługo zabiorą ostatnią pierzynę. Wot, swołocz.

Jan przytaknął niemo, bojąc się, że któryś z szabrowników usłyszy i będzie awantura. Ale tamtym najwyraźniej było obojętne, co się o nich wygaduje. Młócili w karty, popijali bimber i głośno gadali, dokąd najbardziej oplaca się pójść. Padały niemieckie nazwy ulic i placów, jeden wyciągnął poszargany plan miasta i pokazywali sobie, którędy najlepiej przejść przez gruzy.

- A kolega to pewnie też, jak mniemam, na szaber czy handelek jakiś?

Zagadnięty drgnął, zaskoczony bezceremonialnością pytania. Ale taki widać był styl jego przypadkowego towarzysza.

- Nie - odparł. - Mam skierowanie do pracy w Zarządzie Miasta.

Sąsiad spojrzał na niego z uznaniem i pstryknął w daszek czapki.

- Aj, nietakt! Honor zwracam i o wybaczenie proszę. Pan pozwoli, że się przedstawię. Edward Czeszejko, student, a właściwie kandydat na studenta. Gdyby nie ta wojna, byłby już na trzecim roku... A do Wrocławia jadę, bo tam jest nasz rektor i, jak piszą w gazetach, polskie uczelnie będzie zakładał, uniwersytet i politechnikę. Ze Lwowa ja wyjechał późno, na zapisy do Krakowa nie zdążył. Ale skoro Jego Magnificencja rektor Kulczyński do Wrocławia się udał, znak to jasny, że nasz Jan Kazimierz i lwowska politechnika tam się przeniosą. I wyczytał ja w gazecie, że kto teraz przyjedzie i pomoże w odbudowie, to indeks ma w kieszeni. Ta i jadę. Po naukę, nie na szaber - podkreślił, patrząc na karciarzy, który przerwali grę i zaczęli wyglądać przez okna, zdradzając wyraźnie oznaki podniecenia.

Znowu pojawił się grubas w skórze. Rozradowany, zacierał ręce.

- Nu, riebiata, sobirajties - powiedział głośno. - Dalej ten pociąg nie pojedzie, most za Hundsfeldem zwalony. Wysiadka.

Zgrzytnęły hamulce i pociąg zaczął się zatrzymywać. Jeszcze dobrze nie stanął, kiedy

wsypiarze, złapawszy za swoje worki, rzucili się hurmem do drzwi, depcząc i roztrącając stojących w przejściu ludzi. Pierwsi zaczęli wyskakiwać z wagonu, zanim lokomotywa wjechała na peron. Korzycki widział, jak podnosili się z ziemi i znikali za budynkiem stacji. Najwyraźniej bardzo im się śpieszyło.

- Wot, swołocz - powtórzył Czeszejko. - Tak im do grabienia pilno. Hundsfeld to będzie z niemieckiego Psie Pole? Czytałem ja podanie, że pod Wrocławiem Bolko Krzywousty z Niemcami o Śląsk się bił i tyle dziadów nabił, że ich psy po polu rozwłóczyły. To musi być ta okolica.

Pozostali pasażerowie podnosili się z siedzeń i kolejno wysiadali. Ich miejsce natychmiast zapełniali nowi pasażerowie, których tłum kłębił się na peronie. Pewnie od wielu godzin czekali na pociąg, który miał zaraz wracać do Oleśnicy. Pchali się do drzwi i okien, nie przejmując się, że nie wszyscy jeszcze wysiedli. Każdy taszczył ze sobą szaber: obrazy, dywany, pościel, garnki i różne kuchenne statki, a także brudne, połatane wory wypchane bliżej nieokreślonym dobrem. Najbardziej rozrabiali dwaj rośli młodzieńcy, usiłujący wcisnąć przez okno ogromną żeliwną wannę. Nie bardzo dawali radę, wanna była za duża, ale szli w zaparte, nie zważając na przekleństwa ludzi, którym przeszkadzali zapakować do wagonu własny towar.

Kiedy wagon prawie wypełnił się nowymi pasażerami, Korzycki i Czeszejko wreszcie zdołali wyjść, zeskakując ze stopnia na niski peron. Hundsfeld okazała się niedużą podmiejską stacyjką, prawie nieuszkodzoną, trochę tylko postrzelaną z broni maszynowej. Na zadaszonym peronie stał najprawdziwszy polski kolejarz w mundurze i z białoczerwoną opaską na rękawie.

Niektórzy z przyjezdnych zagadywali do niego przyjaźnie, a on odpowiadał z uśmiechem, wskazując za siebie, w stronę miasta. Pewnie pytali o drogę.

Z doczepionych do ich wagonu lor towarowych też wypadali ludzie, niektórzy z wielkimi tłumokami, inni zupełnie bez bagażu. Zwolnione przez nich miejsca natychmiast zajmowali powracający z szabrem. Peron zapełnił się kotłującym się tłumem, nowo przybyli krzyczeli do siebie, wypytywali, przeklinali PUR i komunistów, inni, widać znający teren, od razu znikali w drzwiach stacji. Przez chwilę mignęli Janowi znajomi z sąsiedniego boksu. Bysior w skórzanej kurtce poszeptał chwilę z kolejarzem, a potem, skinąwszy na młodzieńca w przykrótkim płaszczu, zniknął w drzwiach szopy przyklejonej do głównego budynku dworca. Po chwili pojawił się znowu, prowadząc dwa rowery. Wsiedli na nie i popedałowali wzdłuż peronu, a potem ścieżką wydeptaną obok torów.

Lokomotywa gwizdnęła, sapnęła i zaczęła się toczyć do tyłu, odsłaniając przedpole

stacji. To, co wtedy zobaczyli dwaj młodzi ludzie, zaparło im dech w piersiach.

- Wiele ja już w życiu widział, ale coś takiego... - wyszeptał Czeszejko.

Na rozciągającej się za torami łące ujrzeli coś, co przypominało zawartość domu towarowego, który jakiś olbrzym uniósł nad ziemię i wytrząsnął ze środka zawartość. Ogromną połąć ziemi zastawiały setki, jeśli nie tysiące wózków i wózeczków, najrozmaitszych kształtów i rodzajów, od dziecinnych po taczki, platformy i ręczne wózki na węgiel, drewniane i metalowe, dwu, trój - i tetrokołowe. Korzycki widział nawet łóżko na kółkach. Przebierali w nich wsypiarze i inni szabrownicy, mężczyźni i kobiety, oglądając uważnie wybrane egzemplarze i sprawdzając, czy mają dobre koła, kłócąc się przy tym, spierając, przepychając i wygrażając pięściami. Kiedy wózek został już wybrany i wywalczony, łapali za uchwyt i ciągnęli wzdłuż torów w stronę miasta. Szli luźną hałastrą, krzycząc i śmiejąc się, stukocząc niemiłosiernie kołami swych doraźnych środków transportowych o kolejowe podkłady.

Nie można było zgubić drogi. Prócz torów kierunek wskazywała szara chmura wisząca nad miastem, podpierana kilkunastoma czarnymi słupami. Mimo że od upadku twierdzy minęło przeszło dwadzieścia dni, Breslau wciąż płonął.

- Tak my co, chyba poszukamy tego PURu? - zapytał kandydat na studenta.

Jan patrzył na znikających w oddali ludzi i myślał o zamordowanym niemieckim mieście, którego dymiące, posiekane zwłoki teraz rozszarpywano. Lecz nie zdołał wykrzesać z siebie nawet odrobiny współczucia.

## II. Trupy

Drogę do PURu wskazał im uprzejmy kolejarz z peronu. Musieli pójść brukowaną uliczką prowadzącą w stronę Hundsfeldu, niewielkiego miasteczka na przedmieściach Breslau, zabudowanego dwu - i czteropiętrowymi kamienicami. Nie toczono o nie zbyt intensywnych walk, więc, podobnie jak stacja, prawie nie było zrujnowane, widzieli jedynie kilka domów uszkodzonych przez artylerię. Ulica prowadziła prosto do nieco dziwnego, bo trójkątnego, ryneczku, na którym przystanęli, nie bardzo wiedząc, gdzie teraz powinni się obrócić.

Nie było też kogo zapytać, bo wokół nie widzieli żywego ducha, ani Niemca, ani Polaka. Miasteczko wyglądało jak wymarłe: z okien zwisały brudne białe prześcieradła, skrzypiały upiornie ramy szeroko otwartych okien, często bez szyb. Położone na parterach kamienic sklepy i warsztaty miały witryny i wejścia zabite deskami. Do kilku z nich włamano się i coś z nich wyniesiono, bo na chodniku i ulicy walały się pogruchtane meble, sprzęty i maszyny. Nic nie zakłócało powszechnej martwoty, gdy jednak Korzycki uważniej przyjrzał się frontonom kamienic, zauważył kilka zamkniętych i zasłoniętych okien - w jednym kotara poruszyła się i zaraz zastygła. Obserwowano ich.

- Wsypiarze już tu byli - powiedział Czeszejko, wskazując na tumany pierza, które, niczym jesienny puch z topoli, przemieszczało się po bruku, poruszane porywami wiatru. - A Niemiaszki gdzieś wybyli...

Kotara poruszyła się jeszcze raz, jakby ten, kto ich obserwował, poruszył się nieostrożnie. Jan spuścił wzrok, nie chcąc, aby osoba za oknem zorientowała się, że została zauważona. Rozejrzał się też za bramą, w którą mogliby wskoczyć, gdyby spróbowano ich ostrzelać. Co prawda pilnujący stacji kolejowi strażnicy twierdzili, że okolica jest raczej spokojna, nie to co za rzeką, w Breslau, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Lepiej za długo tu nie stójmy - mruknął do Edwarda. - Ktoś nas obserwuje.

Znajdowali się przy północnej ścianie trójkątnego ryneczku. Podejrzane okno znajdowało się na trzecim piętrze kamienicy usytuowanej w lewej pierzei. Gdyby ktoś chciał stamtąd strzelać, miałby ich jak na dłoni. Korzycki spojrzął za siebie i dostrzegł w ścianie kamienicy wysokie schodki i wąskie drzwi, przez kogoś już wyłamane, prowadzące do warsztatu czy sklepu. Trącił towarzysza w ramię i wskazał je oczyma.

- Chodu! - syknął.

Kandydat na studenta miał niezły zryw, pierwszy dopadł zbawczego otworu. Jan rzucił się zaraz za nim, cały czas czekając na strzał w plecy. Ale nikt nie strzelał. Mimo to,

gdy wpadł do warsztatu, odruchowo schował się pod wielkim stołem, na którym wały się resztki pociętych skór i rzemieni. Kiedyś urzędował tu szewc.

Czeszejko, widać mniej przejęty potencjalnym snajperem, stał przed półkami i przeglądał poustawiane na nich obuwie.

- E, nic nie zostało - powiedział, rzucając za siebie but bez podeszwy. - Co dobre, to zabrali, gnidziarze... A mnie by się nowe buty przydały, bo zelówki mam mocno przytarte.

Gmerał dalej, zrzucając na podłogę zawartość półek w nadziei, że szabrownicy przegapili jakąś zdatną do noszenia parę. Korzycki, nieco zawstydzony swym cykorem, wylazł spod stołu, podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zasłona w podejrzanym oknie wydawała się zupełnie nieruchoma, nie widział choćby szpary. Chyba już nikt tam nie stał.

Chciał zawołać Czeszejkę i wyjść na ulicę, kiedy usłyszał odległy turkot. Ktoś, bardzo jeszcze daleko, jechał po bruku wozem o nieogumionych kołach. Edward też usłyszał ten odgłos, bo zostawił półki z butami i nie przejmując się niczym, przeszedł koło Jana i zeskoczył ze schodków na chodnik. Spojrzał w kierunku stacji i pokręcił w zdziwieniu głową.

Korzycki, czując się coraz bardziej głupio, też wyszedł na ulicę. Istotnie, widok był zdumiewający. Od strony stacji toczyła się na kołach pozbawionych opon platforma do wożenia węgla, ciągnięta przez dwóch ludzi uczeponych podwójnego dyszla. Trzeci siedział na wozie, na kilku wypchanych workach. Osobliwy pojazd, straszliwie hałasując łomoczącymi o bruk felgami, zbliżał się powoli. Gdy dotarł do ryneczku, repatrianci zauważyli, że dyszel dźmierzyło dwóch starszych mężczyzn w kapeluszach i wytartych jesionkach, na których rękawach widniały białe opaski z literą N. Popędzał ich krępy, wąsaty młodzian w cyklistówce, z pistoletem maszynowym MP na kolanach i białoczerwoną opaską na rękawie marynarki. Pogwizdywał wesoło, stukając do rytmu obcasami wyglansowanych oficerek. Kiedy zobaczył stojących na chodniku Czeszejkę i Korzyckiego, zawołał:

- Prrr, psiekrwie! Halt!

Obaj starszankowie złapali za dyszle i zaparli się mocno, usiłując zatrzymać rozpędzoną platformę. Udało im się to dopiero po kilkunastu metrach. Stanęli tuż przed przybyszami, przyglądającymi się w zdumieniu temu osobliwemu transportowi. Starcy dyszeli ciężko, dyskretnie ocierając pot z czoła. Nie wyglądali najlepiej, a ten bardziej wiekowy z nich, o twarzy pobrużdżonej i okolonej siwą brodą, położył swoje ramię dyszla na ziemi i usiadł na nim, najwyraźniej nie mogąc ustać na nogach. Miał na karku co najmniej siedem krzyżyków.

- Pozwolił ktoś siadać? - ryknął młodzian i złapał za automat. - Aufstehen, schnell!

Przerażony staruszek zerwał się na równe nogi i chwycił za dyszel, z obawą oglądając się na woźnicę. Wyglądał na naprawdę skonanego, był blady i zlany potem. Bardziej wisiał na dyszlu, niż go trzymał.

- Szybko ci padną te chabety, jak je będziesz tak traktował - kwaśno powiedział Czeszejko. Wyraźnie mu się nie podobało to, co widział. - Ta nie widzisz, że to żadne napasione esesmany, tylko stare dziadki?

- A tobie co do tego? - obruszył się młodzieniec.

- Nic - wtrącił Korzycki. - Ale ten stary ma chyba słabe serce. Jak ci padnie przy wozie, możesz mieć kłopoty. Nie wolno, ot tak sobie, zabijać Niemców.

Chłopak wydał pogardliwie wargi, ale coś jednak do niego dotarło, bo zeskoczył z wozu i gestem pozwolił jeńcom na odpoczynek. Z ulgą przysiedli na krawężniku.

- Danke - powiedział ten starszy, patrząc z wdzięcznością na Jana.

Przyszły student sięgnął do kieszeni i wyjął pogniecioną paczkę kazbeków. Pojednawczo wyciągnął papierosy w stronę konwojenta.

- Zapalimy, pogadamy - zaproponował.

- Czemu nie - zgodził się tamten.

Zapalili i Korzycki z przyjemnością wciągnął do płuc mocny dym. Co jak co, ale Rosjanie mieli talent do mocnych rzeczy: wódki, fajek i trzymania za mordę. Przez chwilę w milczeniu ćmili swoje papierosy.

- A wy na co? - zapytał konwojent, patrząc na nich badawczo.

- Nie rozumiem - odparł Czeszejko.

- Na co się nastawiacie? Pościel, biżuty, meble? A może garnki? Albo sprzęt jaki czy apteki?

- My nie na szaber, tylko na studia i do pracy. Konwojent pstryknął peta na bruk i nie zważając na młodszego Niemca, który natychmiast rzucił się po niedopałek, zmierzył obu przybyszy od stóp do głów, jakby dopiero teraz poznał, że ma do czynienia ze spadłymi z księżycy cudakami, po czym parsknął ogłuszającym śmiechem.

- Che, che, a to dobre - rechotał - do Breslau po naukę i pracę. Niech mnie diabli... Wy to macie pomysły...

Splunął pod nogi, poprawił pistolet i zaczął się gramolić na platformę. Niemcy, nie czekając na rozkaz, wstali i złapali za dyszle.

- Czekaj no, PURu szukamy. - Edward złapał za brzeg platformy. - To podobno gdzieś niedaleko.



- Ano niedaleko - zgodził się wciąż rechoczący pod nosem konwojent. - Ja tam właśnie jadę. Wio, koniki.

Niemcy stęknęli, szarpnęli za dyszel i platforma powoli ruszyła. Czeszejko i Korzycki poszli za nimi. Tamci wykręcili i pociągnęli wóz wzdłuż prawej pierzei rynku, potem wzdłuż muru, za którym rozpościerał się przykościelny park. Po mniej więcej dwustu metrach i minięciu kilkunastu wyludnionych kamienic zatrzymali się przed murem z czerwonej cegły i bramą. Po obu jej stronach wisały białoczerwone flagi, a przed wierzejami stał na warcie cywil w kraciatej marynarce i z karabinem, ponemieckim mauserem, na ramieniu. Jadący na platformie konwojent cmoknął i staruszkowie posłusznie skręcili, wjeżdżając na duży dziedziniec z trzech stron otoczony ceglanyymi budynkami. Na największym, położonym naprzeciwko bramy, także wisała białoczerwona flaga.

Na dziedzińcu stała pod ogniem wojskowa kuchnia, rozsiewając woń nieśmiertelnej żołnierskiej grochówki. Korzycki znowu poczuł skurcz w żołądku, który dawno już zapomniał o słoninie od przekupki spod Włoszczowej. Koło kotła kręciło się kilku ludzi z białoczerwonymi opaskami i dwóch chłopców. Ci, gdy tylko platforma przystanęła nieopodal, natychmiast rzucili się do worów, które podawał im konwojent. Łapali je i nieśli do jednego z budynków. A uwolnieni od mordęgi staruszkowie z jękiem ulgi przysiedli na położonym na ziemi dyszlu.

Kuchnię zawiadywał tęgi, nieogolony osobnik w skórzanym fartuchu i brudnym kucharskim czepcu na głowie. Na widok przybyszy uśmiechnął się przyjaźnie i pokazał na wielki stół nakryty zielonym obrusem, który poprzednio musiał być okienną storą, na co wskazywały złociste frędzle. Wokół stało parę wykwintnych krzeseł o misternie rzeźbionych poręczach i jedwabnej, wyszywanej złotą nicią tapicerce.

- To z hrabiowskiego dworu - wyjaśnił kucharz - bo tu nie ma nic, wszystkie krzesła i stoły spalili Sowieci podczas oblężenia. Nawet głupiego zydlą nie zostawili, sukinkoty.

Z tego samego źródła musiała pochodzić i zastawa, złożona z ozdobnej porcelany, oczywiście miśnieńskiej - jak ocenił Korzycki, co najmniej z końca osiemnastego wieku. Tylko sztuce były zwyczajne, aluminiowe, poszczerbione od długiego używania. Widać hrabiowskimi srebrami ktoś wcześniej zdołał się zaopiekować.

- Hans! - krzyknął kucharz. - Zupa dla gości. Suppe! Jeden z chłopaków zajętych noszeniem worków zostawił swój pakunek koledze i błyskawicznie podleciał do stołu, porwał wielką wazę i podstawił ją kucharzowi, który wielką chochlą nalał grochówki. Korzycki i Czeszejko usiedli przy stole, po chwili chłopak postawił przed nimi dymiącą wazę. Nałożyli sobie do pohrabiowskich talerzy porządne porcje zupy i bez ceregieli zaczęli jeść. Do

zagryzania dostali pajdy razowego chleba.

- Jedzcie, bo naprawdę dobra, najlepsza w Breslau - pochwalił się kucharz. - Zamieniliśmy cukier na ruską tuszonkę i wyszła grochóweczka jak ta lala. W mieście takiej nie dostaniecie, o nie, tam na peklowinie gotują.

Nie bardzo wiedzieli, o co mu chodzi, ale nie zawracali sobie tym głowy, bo zupa zdawała się naprawdę niezła, zwłaszcza dla wygłodniałych żołądków. Kucharz tak się ucieszył ich wizytą, że aż zlął z kuchni i przysiadł się do stołu, z ukontentowaniem patrząc, jak wcinają.

- A wiecie, że wy tu pierwsze repatrianty? - powiedział. - Trzy dni tu jesteśmy jako niby ten punkt PURu, a tu nikogo, ani psa z kulawą nogą. Same szabrowniki, co to od razu do miasta, ledwo z pociągu wylizają. Tak im prędko, że nawet na darmową zupę nie chcą. Co za naród teraz nastał, boskie pojęcie nie ogarnia!

- Niech pan tyle nie filozofuje, panie Potyrała - usłyszeli. Od strony największego budynku, tego z flagą, szedł ku nim szczupły blondyn w doskonale skrojonej marynarce w pepitkę i z obowiązkową białoczerwoną opaską. Nie mógł mieć więcej jak dwadzieścia osiem, może trzydzieści lat, ale już tryskał urzędowym majestatem, jakby był co najmniej wicewojewodą.

- Repatrianci przyjadą, i to tylu, że panu zupy nie nastarczy - dodał, podszedł do stołu i poklepał go familiarnie po ramieniu.

Kucharz uśmiechnął się krzywo, widać nie przepadał za tym.

- To nasz pan kierownik - wyjaśnił i natychmiast poderwał się z krzesła. Z leżącego nieopodal stosiku wziął kilka kawałków drewna i zaczął podkładać do ognia pod kuchnię.

- Magister Gadek - przedstawił się blondyn. - Z kim mam przyjemność?

Podali swoje nazwiska i wyjaśnili cel przybycia do Wrocławia. Gadek klapnął na wolne krzesło, pobieżnie przejrzał podetknięte mu papiery, a potem zasepił się na dłuższą chwilę, jakby nie bardzo wiedząc, co z nimi począć.

- Dobrze, że was jest dwóch, pojedynczego człowieka bym dalej nie puścił. Tam, za rzeką, jest dziki kraj. Teoretycznie pod naszą administracją i sowiecką okupacją, ale tak naprawdę nikt tam nie rządzi. Zresztą sami się przekonacie.

Jan zapytał, gdzie powinien szukać zarządu, do którego miał skierowanie.

- Pójdziecie Hundsfelderstrasse... - rzekł pan magister, ale przerwał, widząc, że nie wiedzą, o czym mówi. - Tą drogą, którą szliście od stacji, prosto jak strzelił. Przekroczycie najpierw mniejszą rzekę, Weide, potem ulicą von Korna aż do mostu na Odrze. Nigdzie nie skręcajcie, aż dojdziecie do Bluecherstrasse, gdzie pod numerem 27. siedzą nasze władze z

prezydentem Drobnerem.

Spojrzał na zegarek, potem na niebo, jakby badał położenie słońca.

- Jest dopiero dziesiąta. Jeśli zaraz wyruszyacie, powinniście dojść przed zmierzchem. I tylko oczy miejcie dookoła głowy...

Jan nie słuchał, co dalej mówił kierownik. Kiedy podnosił łyżkę do ust, poczuł na sobie czyjś wzrok. To jeden z Niemców ciągnących platformę, ten starszy, patrzył na niego z przejmującą, bolesną intensywnością. Twarz miał bladą i ściągniętą, a z oczu ciekły mu łzy.

\* \* \*

Wrócili na Hundsfelderstrasse i pomaszzerowali w kierunku centrum. Wkrótce zostawili za sobą miasteczko i wkroczyli na wielkie nadrzeczne łąki, przez które przebiegała droga. Tu i ówdzie rosły kępy drzew. Po prawej widniały tory kolejowe na wysokim nasypie. Gdy podeszli bliżej, zauważyli, że kończyły się nagle, ucięte na zbombardowanym moście. Kandydat na studenta przystanął i rozejrzał się, kręcąc z dezaprobatą głową.

- Ot, głupi naród, patrz pan, ile dobra namarnowali. Ze dwa porządne deszcze i nic z tego nie będzie.

Korzycki bez słowa przytaknął. Spomiędzy wysokich, bo niekoszonych traw wystawało tyle rzeczy i rozmaitych kłopotów, że dałoby się nimi obdzielić mieszkańców kilku dużych wsi. Łąki po obu stronach drogi były zavalone setkami porzuconych przedmiotów, wszystkim, co dało się wywlec z grabionych mieszkań, a co szabrownicy, widząc zmęczeni targaniem tego dobra, uznali w końcu za niepotrzebne i niewarte dalszego trudu. Widzieli stojące pod drzewami krzesła i stoły, a nawet obite skórą fotele. W rowach poniewierały się maszyny do pisania, szafki i komody, wielkie obrazy w ciężkich ramach, dywany, części wyposażenia kuchennego, zlewy, kotły i gary, aparaty nieznanego przeznaczenia, popsute rowery i rozwalone wózki. Na środku jezdni stała wielka trzydrzwiowa szafa z ogromnymi lustrami, trochę tylko popękkanymi. Nie mieli pojęcia, jakim cudem doniesiono ją tak daleko. No i wszędzie, na drodze i poboczu, poniewierały się drobniejsze rzeczy, jakby powypadały ze zbyt wypchanych worów: sztućce, kubki, pantofle, kapcie, sztuki garderoby, weki z owocami, bańki, szmaty, podarte papiery a nawet płyty gramofonowe, wszystko potraskane i zdeptane. Brukowaną jezdnię zaścierały stopy odłamków po stłuczonej porcelanie i fajansie. Odłamki te sucho trzaskały pod stopami. Było tego tyle, że Korzycki nie mógł się oprzeć wrażeniu, przynajmniej część zbito ot tak sobie, dla czystej uciechy.

- Ja ze Lwowa wyjechał z jedną walizką - powiedział gorzko Czeszejko, patrząc ze zgrozą na ogrom tego marnotrawstwa. - A ilu jest takich jak ja, co zostawili za Bugiem

wszystko? I kiedy na to patrzę, myślę sobie, że ja i ci, co tak robią, jesteśmy Polacy nie tego samego gatunku.

Jan nic mu na to nie odpowiedział. Podeszedł do skraju szosy i, nie wiedząc po co, wyciągnął z chaszczki ciśnięty przez kogoś obraz, przedstawiający rokokową damę w tiulach i białej, wysoko upiętej peruce. Co najmniej połowa osiemnastego wieku. Patrzył w jej niebieskie, filuternie zmrużone oczy i myślał o tym obcym mieście, którego skarby teraz grabiono i marnotrawiono. O tym, że mimo usprawiedliwienia wojną, okupacją i niemieckimi grabieżami, jest w tym jakaś niegodziwość.

Stał tak z obrazem w dłoniach, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. W końcu odłożył go tam, skąd wziął, kładąc twarzą do dołu, aby pierwszy deszcz nie splukał farby. Sam był zdziwiony tą troską o obraz, który do niego nie należał i o którym pewnie za chwilę zapomni. Może dostrzegł w spojrzeniu sportretowanej kobiety coś, co nakazywało odrobinę szacunku.

Wędrowali dalej szlakiem szabrowników, zbliżając się do miasta. Coraz wyraźniej widzieli wiszącą nad nim chmurę, a raczej zasnuwającą horyzont ciemną kurzawę, mieszaninę dymu i pyłu. W pewnej chwili, gdy wiatr, wiejący do tej pory z zachodu, zmienił kierunek na południowy, poczuli odór. Suchy, gorzkawy smród spalenizny, który wionął im w twarz. Spojrzeli na siebie z niepokojem i mimowolnie przyśpieszyli kroku, wymijając porzucone na drodze trzy maszyny do szycia, zupełnie dobre singery.

Bali się, że będą musieli przeprować się przez rzekę wplaw, ale most drogowy okazał się w zupełnie niezłym stanie.

Więcej, siedział przy nim, a raczej spoczywał w wygodnym fotelu ustawionym przy barierze, wartownik, cywil z opaską i karabinem. Palił papierosa i patrzył na nich bez sympatii spod kapelusza z pomiętym rondem.

- A wy gdzie? - zapytał, gdy zbliżyli się na odległość kilku kroków. Podniósł ostrzegawczo karabin, aby wiedzieli, że nie żartuje. Mógł mieć nie więcej jak dwadzieścia lat.

- Do pracy - powiedział spokojnie Korzycki, wyjmując skierowanie z PURu. - Szukamy zarządu miasta, powiedziano nam, że jest na Bluecherstrasse.

Wartownik uważnie obejrzał papier i wzruszył ramionami.

- Już nie, przenieśli się w okolice Schweidnitzerstrasse, tam zajęli jakiś niemiecki urząd czy sąd. To kawałek za Rynkiem. Jak będziecie wyciągać nogi, zdążycie przed zmierzchem. Prosto tą drogą, nigdzie nie skręcać.

Oddał skierowanie, nasunął kapelusz na oczy i zdawał się pograżać w drzemce. Udawanej, bo zmrużone oczy patrzyły na nich uważnie. Korzycki wsunął dokument do kieszeni i wyminął go bez słowa, wchodząc na most. Za nim podążył Czeszejko.

- Czego on tu pilnuje? - zapytał przyszedły student, gdy oddalili się na wystarczającą odległość. - Niemców, żeby nie jeździli na szaber do Polski?

Jan zaśmiał się i przyspieszył kroku. Miasto było coraz bliżej, widzieli pierwsze budynki czerniejące na zasnutym dymem widnokręgu.

\* \* \*

Dopiero po drugiej stronie Weide zauważyli ślady toczonych walk. Przez łąki, równoległe do rzeki, biegł wysoki nasyp kolejowy. Niemcy opierając się na nim zbudowali linię obrony.

Przybysze widzieli sieć głębokich rowów strzeleckich upstrzonych gniazdami karabinów maszynowych i stanowiskami dział przeciwpancernych. Pod wiaduktem stało, dobrze osłonięte nasypem, samobieżne działo. Wzdłuż drogi walało się mnóstwo poniszczonego, ale też - przynajmniej na oko - zupełnie dobrego sprzętu wojennego, którego Rosjanie widać jeszcze nie sprzątnęli. Za nasypem zaczynały się pierwsze domy, luźno rozrzucone jednopiętrowe wille postrzelane przez artylerię. Ale wielkich zniszczeń wciąż nie było widać.

Dotarli do rozwidlenia drogi - zgodnie ze wskazówkami nie skręcili w lewo, tylko poszli dalej prosto Hundsfelderstrasse. Po prawej minęli parowy młyn z dachem częściowo zmiecionym podmuchem wybuchu. Ślady bombardowania były zresztą powszechne, co chwila musieli omijać strzaskane i obalone na drogę drzewa. Jezdnię dziurawiły dziesiątki lejów, mniejszych po pociskach artyleryjskich i gigantycznych po bombach lotniczych. Teraz zrozumieli, dlaczego kierownik PURu obawiał się, że nie zdążą do centrum przed zmrokiem - obchodzenie zwalów ziemi przemielonej z kostką brukową i ceglami zajmowało dużo czasu, a wędrówka wykrotami stawała się morderczą. Jakiś kwadrans po minięciu młyna dotarli do pierwszej typowo miejskiej, zwartej zabudowy. Po lewej stronie drogi ciągnął się szereg domów o prostej, nowoczesnej architekturze - trzypiętrowych budynków o płaskich dachach, jednolitej elewacji i małych, prostokątnych oknach. Wyglądały na czynszówki zbudowane dziesięć, góra dwadzieścia lat temu. Bombardowania oszczędziły ten kwartał, a przynajmniej domy widziane od ulicy wydawały się mało uszkodzone. Jedynie tu i ówdzie brakowało dachówek, no i szyby zostały dokumentnie wytluczone. Resztki szkła okiennego zaścieniały bruk, nieprzyjemnie chrzęszcząc pod butami.

Kamienice były przynajmniej częściowo zamieszkałe, gdyż wiele otworów okiennych było przysłoniętych kawałkami dykty czy skleconymi z desek prowizorycznymi okiennicami. W paru miejscach wystawały rury od kóz. Czuli dym, przynoszący kuchenne zapachy. Kiedy minęli pierwsze budynki, dostrzegli człowieka, który obserwował ich chyba od dłuższej

chwili, wyglądając zza węgła. Kiedy się zbliżyli, zniknął. Usłyszeli za to kilka podniesionych głosów. Z głębi poprzecznej ulicy nadchodziła grupa ludzi.

- Rosjanie - z niepokojem powiedział Czeszejko. - Może lepiej odskoczyć?

Na to było już za późno, zza rogu wytoczyła się grupa czterech wyraźnie podchmielonych i rozochoconych żołdatów pod przywództwem rumianego, wąsatego sierżanta. Na ich widok żołnierze zamarli i odruchowo złapali za pepesze. Korzycki natychmiast podniósł ręce i powoli zbliżył się do nich, mając przyklejony do twarzy uprzejmy uśmiech. Obok postępował kandydat na studenta, także z uniesionymi rękami. Z podpitym sowieckim żołnierstwem lepiej nie żartować.

- Zdrastwujcie, towarzyszczi - rzucił Edward. - My Paliaki.

Sierżant przyjrzał im się nadspodziewanie byстрыm wzrokiem i gestem kazał żołnierzom opuścić broń. Podeszli bliżej, a Jan pokazał skierowanie do zarządu miasta, wystawione też po rosyjsku. Sierżant dłuższą chwilę czytał dokument, potem oddał go Korzyckiemu.

- Wsio w pariadkie - rzekł i sięgnął do kieszeni. - Zakuritie? Korzycki zauważył, że podoficer na każdym przegubie ma po dwa zegarki. Rosjanin wyciągnął srebrną papierośnicę zdobioną złotym pruskim orłem i poczęstował ich, o dziwo nie nieśmiertelnymi kazzbekami, ale zupełnie znośnymi węgierskimi papierosami. Palili i słuchali przestróg sierżanta, mówiącego o siedzących po piwnicach esesmanach, kiedy od strony podwórka dobiegł ich potworny jazgot wielu ludzkich głosów i nagle zza węgła wyleciała młoda kobieta w samej tylko bieliźnie, zakrwawiona i wzywająca pomocy. Krzyczała coś po niemiecku, ale tak piskliwie, że Jan nic nie rozumiał. Widział tylko jej oszalałe, rozbiegane oczy w posiniaczonej, pokrwawionej twarzy. Zaraz za nią wybiegł niski mężczyzna w starym wojskowym szynelu z odprutymi pagonami, chwycił wrzeszczącą kobietę i przemocą wepchnął do najbliższej bramy. Ktoś tam musiał być, bo wyciągnęły się ręce i szamocząca się Niemka została wciągnięta do środka.

Człowiek w szynelu, gdy tylko się z nią uporał, podbiegł truchcikiem do sierżanta i coś zaczął klarować mu do ucha. Do Korzyckiego dochodziły łamane rosyjskie słowa mieszane z niemczyzną. Dosłyszał, że w jednym z mieszkań rozrabia pijany sowiecki żołnierz. Rosjanin słuchał i marszczył brwi, aż odepchnął z niechęcią Niemca.

- Wot, Iwan z kurwą poigrał - powiedział. - Nu, i szto sluczilos?

Tamten znowu dopadł do jego ucha, ale nie zdążył już niczego wytłumaczyć, bo usłyszeli strzał, potem drugi. Odgłos pistoletowej palby dobiegał gdzieś z głębi osiedla. Sierżant poderwał się, gwizdnął na swoich ludzi i pobiegli w tamtym kierunku. Po niespełna

minucie rozległ się terkot pepesz. Korzycki i Czeszejko spojrzeli po sobie i natychmiast ruszyli w dalszą drogę.

Strzelanina ucichła po paru minutach, kiedy dotarli na przedmoście. Ze szczęśliwie ocalałej tabliczki wynikało, że są na ulicy von Korna. Rozejrzeli się uważnie. I ten rejon, oczywiście, został zbombardowany, ale nierównomiernie. Ciąg kamienic po lewej stronie został ledwo draśnięty, brakowało paru fragmentów dachów i płatów tynku, spod których wyzierały krwistoczerwone plamy cegieł. Za to po prawej stronie seria bomb burzących trafiła prosto w kwartał solidnych, kilkupiętrowych kamienic. Korzycki nie potrafił powiedzieć, ile miały pięter, ponieważ dachów i górnych kondygnacji po prostu nie było. Frontony budynków stojących od ulicy zostały dosłownie zdmuchnięte, ukazując rozprute i zasypane gruzem wnętrza mieszkań. Od rzeki zerwał się lekki wiaterek i znów poczuli charakterystyczny odór.

- Trupy - powiedział Czeszejko i skrzywił się z niesmakiem. - Pewnie nie zdążyli uciec do schronu. Jeśli lato wypadnie gorące, całe miasto będzie śmierdzieć jak jedna wielka trupiarnia. Bo tu pewnie jest więcej takich, co nie zdążyli...

Jan unióśł palec, nakazując milczenie. W okolicy panowała cisza, zupełnie jak na cmentarzu, słychać było jedynie szelest targanych przez wiatr szpargałów zaśmiecających jezdnię, dlatego odgłos dobiegający od strony zburzonych kamienic zabrzmiał szczególnie donośnie. Ktoś buszował wśród ruin, szczękając żelaznymi narzędziami i klnąc na czym świat stoi. Brzmiało to tym bardziej absurdalnie, że nikogo nie widzieli. Jednak we wnętrzu zburzonego do połowy narożnego domu ktoś szabrował, niespecjalnie przejmując się tym, że nadwreżone bombami ściany mogą się w każdej chwili zawalić.

A właściwie było to dwóch ludzi.

- Na, Maciejku, łap! - dyrygował ktoś podniesionym i mocno zachrypniętym głosem. - A ino mocno!

- To sam łap! - odkrzyknął mu ktoś głosem wysokim i wyraźnie młodszym. - Nie widzisz, że trup napuchł i wejście zatyka? Jakaś gruba Niemra, szpekciem napchana. Nie ruszę, choćbym pękł. I smród straszny!

- Co tam nie ruszysz! Zaprzyj się, a pójdzie - odparł ten z chrypką. - Złap babę za buty i pociągnij, to jakoś cholerę przesuniesz. A te buty to potem zabierz, bo skóra mi się widzi dobra. Ze dwa górale na targu za nie weźmiemy. A smrodu to się nie bój, bo cię nie zabije. Weź chustę, zlej jaką perfumą i gębę owiń, to i wytrzymasz.

Słyszeli dobiegający z głębi domu szurgot - ktoś przesuwiał coś ciężkiego pośród rumoru spadających cegieł i pękających desek.

- I tak trzeba było od razu, Maciejku! - zawołał, nie kryjąc satysfakcji, zachrypnięty. - I patrzaj no, gruba i bogata. Widzisz te pierścionki? Na co się gapisz, czekasz, aż inni przyjdą i wezmą? Ściągaj.

Na chwilę zapadło milczenie, jakby tajemniczy Maciejek usłuchał polecenia i zabrał się do zdejmowania biżuterii z trupa dawnej mieszkanki Kornstrasse.

- No kurwa, nie daję rady! - zawołał młodzian prawie płaczliwie. - Nie schodzą, tak babie paluchy napuchły.

- A scyzoryk masz? - szyderczo zapytał zachrypnięty. - Mam cię nauczyć, jak się go otwiera? I nie czekaj z tym, bo tam w środku fajne fanty widzę. Jak to jej mieszkanie, to sobie użyjemy.

Słuchający tej osobliwej rozmowy Korzycki i Czeszejko drgnęli gwałtownie - od strony poprzecznej ulicy dobiegł ich ostry turkot. Ktoś toczył po kocich łbach jezdni wózek na kołach okutych żelaznymi obręczami. Zgrzytliwy dźwięk nieprzyjemnie wwiercał się w uszy. Po chwili zza zakrętu wynurzyła się osobliwa para - dyszel drewnianego wózka ciągnęła może siedemnastoletnia dziewczyna, rudzielec o drobnej figurze, ubrana w zbyt obszerne męskie palto, podarte wełniane pończochy i duże wojskowe buciory, a pchał go starzec pewnie siedemdziesięcioletni, o czerwonym nosie i kwadratowej, białej jak mleko brodzie, odziany w ponemiecki wojskowy szynel z wyprutymi dystynkcjami. Na wózku targali mnóstwo gratów, co prawda porządnie poukładanych: na przedzie garnki, miednice, talerze i rozmaite kuchenne statki, potem jakaś komódka i dwa krzesła, z tyłu pościel i ubrania. Na komódce pyszniła się, przywiązana sznurkami i wyglądająca na całkiem nową, maszyna do szycia Singera.

Ciągnąca wózek para, stękając i sapiąc, minęła bez słowa stojących przed zburzonym narożnym budynkiem mężczyzn, wtoczyła swój pojazd na Kornstrasse i wykręciła w stronę Hundsfeldu. Przez dłuższą chwilę patrzyli na starca i dziewczynę, pełni mimowolnego podziwu dla ich upartego wysiłku. Tamci uważnie manewrowali pojazdem między lejami, czujnie chwytając i układając z powrotem na wózku spadające graty.

Głosy dobiegające z wnętrza kamienicy ucichły, zastąpione przez rumor odwalanych desek i przesuwanych mebli. W robocie musiała być siekiera, bo Jan i Edward słyszeli rumor rozwalanych drzwi. Niewidoczni mężczyźni nie ustawali w robocie, pracowicie ryjąc we wnętrzu zburzonego budynku.

- Nic tu po nas - zauważył Czeszejko i wzdygnął się, jakby owionął go przejmujący chłód. - Ten most przed nami wygląda na nieuszkodzony. Trzeba nam za Odrę, i to spiesznie, bo słońeczko wysoko.



Korzycki skinął głową. Dalej sterczeć w tym miejscu nie było sensu, zwłaszcza że bijący z trzewi rozprutego budynku smród stał się wprost nieznośny. Widocznie dwaj zaradni amatorzy fantów znaleźli więcej zabitych i nie potraktowali ich lepiej niż trupa grubej Frau. Ruszył za przyszłym studentem w stronę mostu.

\* \* \*

Rzeczywiście, okazał się cały, choć mocno posiekany przez kule i odłamki, na dodatek jego środek tarasowało pogięte i popalone żelastwo, jakby resztki samochodów i wozu pancernego. Najprawdopodobniej sowieckie samoloty szturmowe dorwały na środku przeprawy niemiecką kolumnę transportową. Pojazdy zbiły się w jedną masę i doszczętnie spłonęły, jednak po prawej stronie, na chodniku, zostało dość miejsca, aby przejść. Kiedy przebrnęli przez zator, Czeszejko przystanął i wychylając się przez balustradę, spojrzał w dół, widać ciekaw rzeki. Spod środkowego filaru wybiegała murowana grobla, dzieląca nurt na pół. Poziom rzeki był niski, pod wodą widoczna była kamienna podsypka, na której osiadały różne śmieci, gałęzie, ale też fragmenty drewnianych konstrukcji, deski, szmaty, skrzynki po amunicji, a nawet biały, dziecienny wózek z różową firaneczką osłaniającą od słońca twarz niemowlaka.

- Patrz pan, jakiś Helmut tam się zaplątał - powiedział Edward, wskazując na coś bezpośrednio pod mostem.

Korzycki wychylił się i zobaczył, że także na kolistym postumencie, z którego wyrastał mostowy filar, osiadło mnóstwo śmieci. Na samym wierzchu, zaplątany w drut kolczasty, leżał trup w niemieckim mundurze. Nie widzieli jego twarzy, bo ciało było częściowo zanurzone w wodzie. Wiatr, wiejący do tej pory od wschodu, zmienił nagle kierunek i poczuli mokry, chłodny podmuch od strony rzeki, który przyniósł mdlący zapach rozkładającego się ciała.

- Tam, w mieście, będzie tego więcej - zauważył kandydat na studenta. - Trudno, trzeba się jakoś przyzwycząić.

W tym momencie nurt, płynący do tej pory leniwie, wzburzył się, widać poruszony nagłym prądem. Skryty pod powierzchnią wody korpus leżącego pod mostem trupa poruszył się i wynurzył. Zobaczyli siną twarz objedzoną częściowo przez ryby, wpatrzoną w nich pustymi oczodołami. Nagie zęby szczyrzyły się w upiornym uśmiechu, jakby zabity Niemiec z fałszywą serdecznością witał ich w Breslau. Jan wzdrygnął się i odsunął od balustrady.

Przeszli potem przez mniejszy most, przerzucony nad kanałem biegnącym wzdłuż głównego koryta rzeki. Po prawej stronie zauważyli rozległy kompleks fabryczny, częściowo zniszczony. Ale wysokie kominy stały nienaruszone, a większość wysokich ceglanych

budynków zachowała się, choć ze ścianami podziurawionymi armatnimi pociskami. Od razu poznali, co tutaj produkowano.

- Piwko na taki upał byłoby niezłe - zauważył Czeszejko i łapczywie pociągnął nosem. W miarę jak zbliżali się do browaru, chmielowy zapaszek stawał się coraz intensywniejszy. - Dam sobie głowę uciąć, że jakby dobrze poszukać, jakaś nieruszona beczka by się znalazła...

Korzycki pokręcił przecząco głową.

- Na pewno zaminowali - stwierdził. - To piwko wypiłbyś u świętego Piotra...

Jego uwagę zwróciła kamienica po lewej stronie ulicy. Kiedyś stał tu duży, co najmniej czteropiętrowy budynek. Uderzenie bomby, niczym cios gigantycznego topora, odrąbało ścianę frontową - teraz zalegała na chodniku w postaci wału gruzu, z którego sterczały potrzaskane deski. Wnętrze kamienicy zmieniło się w osypisko pokruszonych cegieł, z jamami w miejscach, gdzie kiedyś znajdowały się pokoje. Nie to jednak zastanowiło Jana - w załomach poszczerbionych murów tkwiły małe drewniane krzyże z przypiętymi kartkami, jak się domyślał, z wypisanymi nazwiskami spoczywających pod gruzowiskiem ofiar. Naliczył ich kilkanaście, a gdy przeniósł wzrok na sąsiedni, rozłupany na pół budynek, zobaczył kolejne krzyże wetknięte w szpary lub położone na parapetach wypalonych okien.

Czeszejko, niepomny przestróg towarzysza, podszedł do wywalonej przez wybuch bramy browaru i wyciągając szyję, rozglądał się po fabrycznym dziedzińcu. Machnął w końcu ręką i wrócił od Korzyckiego. Przez dłuższą chwilę patrzyli na krzyże w ruinach.

- Dużo ich - powiedział wreszcie Edward. - Za okupacji to ja na takie niemieckie nagrobki mógłbym patrzeć godzinami, ale tutaj...

Przerwał i machnął z rezygnacją ręką. Były akowiec sądził podobnie. To miasto było jednym wielkim grobem.

\* \* \*

Wciąż prześladował ich smród spalenizny. Miasto, mimo że od oblężenia minął prawie miesiąc, nadal płonęło, czarne liźnięcia ognia widzieli na murach nielicznych niezburzonych domów. Po minięciu browaru szli nie tyle ulicą, ile raczej wąwozem obramowanym po obu stronach wyszczerbionymi ścianami zbombardowanych kamienic. W ruinach tlił się ogień, pomiędzy osmalonych murów wypełzał ciężki, smolisty dym. Nie wiał wiatr, więc opar opadał na ziemię, zasnuwając powietrze szarością. Chwilami nie dało się oddychać. Ale te małe lokalne ogniska nie wydawały się groźne. W głębi ulicy paliło się coś większego. Kiedy przeszli kilkadziesiąt metrów, zobaczyli płonący budynek. Jakimś cudem bomby oszczędziły dom, ściana frontowa stała nienaruszona, ale teraz kończył go podłożony przez kogoś ogień. Przez wybite okna walił brunatny dym, wnętrza pokoi rozblęskiwały

krwawo, kiedy ognisty żywioł trafiał na smaczniejszy kąsek.

Teraz wiedzieli, skąd wzięły się widoczne nad miastem słupy dymu. Tych pożarów nikt nie gasił. Zresztą, na ulicy nie dostrzegli żywego ducha. Okolica wyglądała na opuszczoną przez ludzi - za bardzo zresztą nie mieliby gdzie mieszkać, chyba że w piwnicach, jeśli jakieś ocalały.

- Może to być sprawka szabrowników - powiedział Czeszejko, gdy osłaniając twarz od żaru, minęli płonący budynek, przyciskając się do podziurawionej przez odłamki ściany przeciwległej kamienicy. - Coś tam gadali w pociągu, niby że ferajna niedobrze postępuje. Włazą do piwnic, a że ciemno, to sobie podpalonymi gazetami świecą. I jak takiego parzyć w palce zacznie, to na ziemię ciepnie ogarek. Nie dogasi, tylko idzie dalej, a tam wszędzie dużo pierza, niby z tych pierzyn, co je na wyspy trzepią. No i zajmuje się cholerstwo jak sucha trawa. Ci w pociągu gadali, że do dupy z taką robotą, bo przecież w budynkach może być jeszcze sporo dobrych fantów.

Zamilkł, bo minęli ostatnią, częściowo tylko zburzoną kamienicę i wyszli na obszerny plac. Zatrzymali się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Zobaczyli krajobraz jak na Księżycu. Plac w rzeczywistości musiał być dużo mniejszy, ale bomby znacznie go poszerzyły. Po większości otaczających go domów zostały nieduże wzniesienia cementowoceglanego gruzu, niekiedy sypkiego niczym żwir. Kilka sąsiednich kwartałów zostało zrównanych do poziomu gruntu, jakby przemielonych w gigantycznym młynie. Ta dzielnica musiała przejść naprawdę ciężkie naloty dywanowe.

- Dużo wolnych przestrzeni będą mieli w tym mieście - zauważył Edward, widocznie musiał do każdego ciekawego widoku dodać swój komentarz. - Może jakieś ogródki jordanowskie tu porobią?

Korzycki pomyślał, że byłby to największy plac zabaw w historii. Pomieściłoby się na nim z dziesięć tysięcy dzieciaków.

Kiedy tak stali i patrzyli na nieziemską, zrytą kraterami pustą ciągnącą się przez dobry kilometr, za ich plecami coś hurkotnęło i spadło z trzaskiem na ulicę.

- Helgę, achtung! Achtung!

Odwrócili się jak na komendę, a Jan odruchowo poszukał u pasa broni, której już przecież nie nosił. Kamienica, ostatnia po tej stronie ulicy, została tylko częściowo uszkodzona. Podmuch bomby burzącej zdarł duży fragment ściany frontowej i bocznej, odsłaniając wnętrza mieszkań - do widoku wypatroszonych domów zdążyli się już przyzwyczaić. W jednym z odsłoniętych pokoi, który musiał być łazienką, bo widzieli kafelki i kawałek nienaruszonej wanny, zobaczyli młodą kobietę w pokrytym pyłem palcie i chustce

na głowie. Stała na skraju urwanej podłogi i patrzyła z niepokojem w dół. Pod nią, na osypisku, które utworzyło się ze zmielonej przez bombę frontowej części budynku, siedziała na skrzynce po granatach mała, może pięcioletnia dziewczynka. Dziecko trzymało w ręku potarganą, szmacianą lalkę i wystraszonymi oczyma patrzyło na dwóch mężczyzn. Wcale nie przejmowało się cegłą, która upadła na chodnik tuż obok, widać potrąconą przez matkę buszującą w pomieszczeniach zrujnowanego budynku.

Uwagę Korzyckiego przykuły wielkie oczy dziewczynki, ostro kontrastujące z mizerną, trójkątną twarzyczką. Widział już takie szare twarze o ściągniętej, porowatej jak papier skórze, dawno temu w Warszawie, gdy zdarzało mu się zejść do getta. To dziecko głodowało.

Przypomniał sobie o chlebie, który dostał w PURze od uczynnego kucharza. Pomacał się po kieszeni i wyciągnął owiniętą w gazetę kanapkę. Podszedł do małej i podał jej paczuszkę, ale dziecko cofnęło się, spoglądając z obawą to na niego, to na matkę. Odwinął papier i pokazał, że w środku jest chleb. Intensywny zapach tuszonki przekonał dziewczynkę, że to nie podstęp - wyciągnęła chudą rękę i szybko porwała kanapkę, niczym małopka ulubiony przysmak. Wbiła zęby w czarny komiśniak i w jej oczach pokazały się łzy. Płakała i jadła, ledwo co żując, gwałtownie połykając wielkie kęsy. I to Jan widział kiedyś w getcie.

Odwrócił się i spojrzał w górę. Umorusana kobieta patrzyła na niego w milczeniu. Na jej ściągniętej niepokojem twarzy także znać było ślady głodu.

- Danke - powiedziała po prostu.

Odwróciła się i poszła w głąb budynku dopiero wówczas, gdy oddalili się na znaczną odległość i nabrała pewności, że nie zawrócą.

Szli przez zamieniony w pustynię plac, przedzierając się przez zwały gruzów, wpadając niekiedy po kostki w ceglany pył. Sowieckie bombowce wykonały naprawdę solidną robotę. Jeśli ludzie stąd nie uciekli, zginęli wszyscy, nikt nie miał prawa przeżyć tej piekielnej młócki. Na pozostałościach czegoś, co musiało być kiedyś przyjemnym skwerkiem, zobaczyli kilkanaście małych kopczyków opatrzonych zbitymi z desek krzyżami, nadwerężonymi i poprzewracanymi, pewnie przez wybuch. Zabijanie tego miasta trwało naprawdę długo, skoro obrzucano bombami nawet umarłych.

Pierwsze odgłosy życia dobiegły do nich, kiedy mijali wielki krater wybity dużą, pewnie półtonową bombą lotniczą. Na jego dnie wałało się kilka jeszcze nieporzewiałych hełmów, blaszane pojemniki na maski pegaz i pogięte żelastwo. Z ziemi wystawało też coś, co mogło być skrawkiem przysypanego ceglany mianem munduru, ale Korzycki wołał się nie przyglądać. Wtedy od strony kamienic stojących u wylotu widocznej po drugiej stronie

placu ulicy dobiegły ich niewyraźne hałasy, odgłosy krzyków czy kłótni.

Czeszejko przystanął, przez chwilę nasłuchiwał z niedowierzaniem, po czym wdrapał się na zasłaniającą widok górkę gruzu. Tam przystanął i przez dłuższą chwilę wpatrywał się przed siebie.

- A niech mnie licho! - zawołał, odwracając się w stronę towarzysza. - Tam są ludzie... i to nasi!

Zeskoczył z piargu i zniknął. Korzycki westchnął i, chcąc nie chcąc, podążył za nim.

Po drugiej stronie zwałowiska zobaczył coś, co przypominało skrzyżowanie domu wariatów z perskim jarmarkiem. Ten rejon Breslau został oszczędzony przez bomby, tak jakby cały ładunek trafił w pustynię, przez którą właśnie przebrnęli, i już nie starczyło go na kolejne budynki. Znaleźli się na szerokiej ulicy zabudowanej secesyjnymi kamienicami, których frontony były oszczędzone bliznami po kulach z karabinów maszynowych - czyli, jak na miejscowe warunki, wydawały się nienaruszone. Mieszkali tutaj ludzie, bo okna były zasłonięte dyktami przetykanymi tu i ówdzie kawałkami szkła. Reszta szyb chrzęściła pod stopami kotłujących się ludzi.

Po obu stronach nieuprzątniętej jeszcze ulicy odbywał się gorączkowy handel. Na zasypanych gruzem i kłakami wszechobecnego pierza chodnikach tłoczyli się kupujący i sprzedający, rozlegał się gwar słów polskich, niemieckich i rosyjskich. Grube baby w kolorowych zapaskach, wyglądające na chłopki z kieleckiego, oferowały z wielkich koszy jaja i ziemniaki. Obok nich usadowił się tęgi osobnik o nalanej, czerwonej twarzy, prowadzący coś w rodzaju sklepu mięsnego

- na skleconej z paru skrzynek i desek ladzie oferował konserwy mięsne, głównie rosyjską tuszonkę i amerykańskie puszki z unry. Najwięcej jednak było Niemców, kobiet i starszych ludzi, sprzedających ubrania, pościel i rozmaite statki domowe

- naczynia, garnki, czajniki, a nawet rodowe porcelanowe zastawy. Niektórzy wynieśli elektroluksy, ale te nie cieszyły się powodzeniem u polskich przekupek, które wybałuszały gały na metalowy pojemnik z karbowaną rurą i pytały, co to za czortostwo. Królował handel wymienny, a jako waluty używano bimbru, którego jedno i dwulitrowe butle krążyły z rąk do rąk. Szczególną estymą cieszył się spirytus lekarski, rozlewany menzurkami. Przedmioty i towary zmieniały właścicieli pośród kłótni i wrzasków okraszanych polskimi i niemieckimi obelgami.

Polaków na targowisku wydawało się stosunkowo niewiele, w oczy rzucał się patrol złożony z dwóch cywilów uzbrojonych w karabiny i z białoczerwonymi opaskami na rękawach przybrudzonych kurtek. Spoglądali z godnością na tubylców, którzy traktowali ich

z wyraźnym respektem - mężczyźni czapkowali, przechodząc obok funkcjonariuszy. Widać przyjęli do wiadomości zmianę władzy.

Czeszejko zatrzymał się przy starej Niemce siedzącej na obitym zielonym pluszem fotelu o fantazyjnie rzeźbionych poręczach, pewnie wyniesionym wprost z jej salonu. Była ubrana w czarną, żałobną suknię. U jej stóp, obutych w wykwintne, choć zakurzone lakierki, wyłożony na płaskiej skrzynce po pancerfaustach spoczywał porcelanowy skarb - sześć delikatnych, perłowobiałych filiżanek zdobionych w motywy roślinne oraz czajniczek o łabędziach, wdzięcznych kształtach, udekorowany bukolicznymi scenkami. Porcelanowe cacka wyglądały jak stado bajkowych ptaków, które na chwilę przysiadło na gruzowisku, by odpocząć w drodze do egzotycznych krajów. Zachwycony chłopak przykucnął przy starej i ostrożnie podniósł jedną z filiżanek, patrząc na nią pod światło.

- Moja babcia też miała takie. Kupiła je jeszcze za austriackich czasów, to markowa miśnieńska porcelana. - Pokazał Korzyckiemu fabryczny znak wymalowany na denku. - W czterdziestym roku serwis ukradł sowiecki lejtnant, którego musiała przyjąć na kwaterę. Przekłete Iwany, gołodupcy, nic nie mieli i kradli, co popadło.

Ostatnie słowa powiedział półgłosem, rozglądając się dookoła. Wśród handlujących kręcili się sowieccy żołnierze, wymieniający wojenną zdobycz na wódkę. Tej, przybyli z głębi Polski markietanie, mieli w bród i handelek kręcił się aż miło. Obie nacje wydawały się w doskonałej komitywie.

Stara kobieta spojrzała z nadzieją na oglądającego jej serwis przyszłego studenta.

- Vier Pfunde Kartoffeln - powiedziała. Chłopak odłożył filiżankę na miejsce.

- Ich habe keine Kartoffeln - odparł i westchnął ciężko. - Zresztą co ja bym tu robił z porcelaną? Prędzej przydałaby się menażka.

- Zwei Pfunde - powiedziała staruszka i w jej bladoniebieskich oczach pojawiły się łzy. Pewnie od dawna nic nie jadła.

Edward pokręcił przecząco głową i wstał, otrzepując spodnie. Ruszyli dalej, kierując się w stronę wylotu ulicy. Od grupki Polaków, zajadle kłócących się z dwoma Niemkami oferującymi na sprzedaż dziecięce ubranka, oderwał się niski osobnik w czarnej, kolejarskiej kurtce i poplamionej cyklistówce. Człowieczek podbiegł do nich i trącił Korzyckiego w ramię.

- Koledzy pewnie nowi - powiedział lekko chrapliwym dyszkantem, jakby dopiero przechodził mutację. - Od Hundsfeldu idziecie, co? Pewnie by się co wypilo, co? A może i co więcej, co? Bo jakby co, to ja mam tu niedaleko taką fajną piwnicę, bimberek się znajdzie, a i ogóreczek na zakąskę. Górala za ćwiartkę, co? A może byście co ruchnęli, tak po podróży,

co? Mam tam też taką jedną Niemkę, postawna, biodrzasta blondyna, wypisz wymaluj Marlena Dietrich. Mówią, że była strażniczką w Ravensbrück. No i jak nie tryknąć tu prawdziwej esesmanki, takiej czystej na sto procent aryjki, co? Coś nam się po tej wojnie należy, co? Dwa górale za kwadransik z blondyną, od dwóch to trzy wezmę, bo to hurt, co?

Nie zwalniali kroku, słuchając tej przemowy z coraz większą irytacją. Człowieczek nie odstępował, podskakiwał Janowi pod łokciem, podkreślając wypowiedane kwestie gwałtowną gestykulacją. Jego chytra twarz o ciemnych, głęboko osadzonych oczach i małym, ostrym nosie miała w sobie coś szczurzego.

- Spadaj pan w podskokach - warknął zdenerwowany Czeszejko. - Bo jak przywalę, to się nogami nakryjesz, cooo?

Alfons odskoczył od nich jako oparzony. Po jego minie było widać, że takiej reakcji raczej się nie spodziewał.

- Spokojnie, rodacy! - zawołał. - Na interesach się nie znacie, co?

Przestał się nimi zajmować, zauważywszy bardziej obiecujących klientów. Podbiegł do dwóch lekko chwiejących się na nogach sowieckich żołnierzy i zaczął coś im klarować, machając rękami i wskazując na pobliską kamienicę. Tamci jednak kręcili przecząco głowami, może dlatego, że na bramie wisiał, wymalowany na kawałku deski czarny napis „Typhus”.

Dwaj przybysze zostawili za sobą gwarne targowisko. Doszli do końca ulicy - po prawej stronie zauważyli wielki gmach, prawie nieuszkodzony, jeśli nie liczyć dziur w dachu po stłuczonych dachówkach. Nad wejściem powiewała flaga z czerwonym krzyżem. Cudem ocalony przed bombami szpital działał, widzieli suszące się w oknach bandażę, a przed bramą, na murku przy schodach, siedział człowiek w białym kitlu, paląc papierosa i wystawiając dawno niegoloną twarz do słońca. Kiedy go mijali, obrzucił ich obojętnym spojrzeniem. Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich kobieca głowa w nienagannym białym kornecie. Zakonnica powiedziała coś do mężczyzny, który sapnął z irytacją, pstryknął przed siebie niedopałek i wszedł do środka.

Szpital i położona naprzeciwko niego kamienica okazały się ostatnimi stojącymi budynkami w tym kwartale. Za poprzeczną ulicą, aż do nadrzecznego bulwaru, ciągnęło się rozległe gruzowisko. Bomby miały nieregularny rozrzut, część domów została zburzona do fundamentów, z innych ocalały pojedyncze ściany czy narożniki. Te smętne resztki nadawały się jedynie do wyburzenia.

- Kolejny kandydat na skwerek - zauważył Edward, patrząc na sterczące z kup gruzu ułamki murów. - Coś mi się zdaje, że to będzie bardzo zielone miasto. Gdzie tylko spojrzysz,

kroi się rabatka wielka jak stadion.

Korzycki uśmiechnął się pod nosem, przystanął i przymknął na chwilę oczy. Widok ruin zaczynał go nużyć, czuł się zmęczony oglądaniem rozprutych bombami domów, ciągnących się kilometrami gruzowisk, pustych jam po bramach i oknach w wypalonych budynkach. Breslau sprawiał wrażenie miejsca całkowicie niezdatnego do życia, w czasie oblężenia przemienił się w betonowoceglaną pustynię. Jan nie potrafił zrozumieć, po co komunistom kolejne zniszczone do fundamentów miasto. Tak jakby mało im było Warszawy. Przejmowanie tego niemieckiego rumowiska wydało mu się pomysłem co najmniej dziwnym, jeśli nie szalonym.

Dochodzili do rzeki, co dało się poznać po odległym szumie. Widocznie niedaleko znajdował się jakiś jaz, przez który przewalała się woda. Czeszejko, podniecony faktem, że zbliżali się do historycznego centrum miasta, przyśpieszył kroku i wysforował się do przodu. Pierwszy minął wyburzony kwartał, dotarł na skrzyżowanie położone tuż przy bulwarze i gwałtownie przystanął. Jan widział, że ktoś leżał na jezdni. Chłopak pochylił się nad ciałem, potem wyprostował się i pokręcił z rezygnacją głową.

Korzycki dogonił go po minucie. Na zaśmieconym gruzem bruku leżały na wznak zwłoki mężczyzny w czarnym niemieckim uniformie, niewojskowym, najprawdopodobniej pocztowym lub tramwajarskim. Ktoś przykrył mu twarz gazetą, przyciskając papier kawałkiem cegły, aby nie porwał go wiatr.

- Co tak stanąłeś? - zapytał. - Po prostu jeszcze jeden nieboszczyk.

Przyszły student patrzył na trupa i skubał w zamyśleniu wargę.

- Sęk w tym, że on mi wygląda na świeżego. Powinien cuchnąć, a nie cuchnie.

Pochylił się ponownie i złapał za gazetę, odsłaniając twarz bruneta, na oko czterdziestoletniego. Korzycki wzdrygnął się, zdążył już trochę odwyknąć od takich widoków. Ktoś poderżnął Niemcowi gardło, pod szyją widniała koszmarna szrama pokryta czarnym strupem. Jan nie zauważył śladów krwi na bruku, co świadczyło o tym, że mężczyznę zabito w innym miejscu, potem ciało przeniesiono i porzucono na skrzyżowaniu. Podzielił się swymi spostrzeżeniami z Czeszejką.

- A po co ktoś miałby coś takiego robić? - chłopak nie krył zdumienia.

- Ano po to, żebyśmy go znaleźli - odparł Korzycki. - Witajcie w Breslau, mieście trupów.



### III. Strzały i krzyki

W centrum miasta najbardziej przynębiający okazał się widok rynku. Niemal surrealistyczny - pośrodku kwartału częściowo zburzonych i wypalonych do gołych murów kamieniczek stał prawie nietknięty renesansowy ratusz z nieco tylko obtłuczonym tynkiem i dziurami w spadzistym dachu po zrzuconych podmuchem dachówkach. Po sukiennicach zostały szkielety osmalonych ogniem murów, straszących olbrzymimi wyrwami tam, gdzie bezpośrednio trafiły bomby. Szczególnie groteskowo wyglądała jedna z kamienic na północnej pierzei: jej prawa część była nienaruszona, jeśli nie liczyć wybitych okien i dziur po odłamkach, z kolei lewą równo ze ścianą działową odrąbało uderzenie ciężkiego pocisku. Zostało po niej ożebrowanie budynku, sterczące w pustce żelazne pręty i belki po zmiecionych ścianach oraz podłogach, skręcone i poplątane, jakby pogniecione przez rozgniewanego olbrzyma. Przez częściowo zburzoną kamienicę widzieli resztki stojących za nią domów. Nad kupami strzaskanych cegieł snuły się smużki dymu, czuć było spaleniznę i wszechobecny, mdlący, trupi odór.

Czeszejko gapił się na gruzowisko z otwartymi ustami, kręcąc głową, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Ani jednego całego domu, same ruiny - powiedział. - Sto albo i dwieście lat trzeba będzie odbudowywać. Jak ja wyjeżdżał z Krakowa, to nie myślał, że tak to wygląda. A może w ogóle nie warto?

Korzycki nie rozumiał, co tamten ma na myśli. Nie warto odbudowywać czy wyjeżdżać z Krakowa? Też się nad tym zastanawiał. To, co widział wokół, pozbawiło go wszelkich złudzeń względem Breslau. Przez rynek właściwie nie dało się iść, bruk zaścierała gruba, niekiedy prawie metrowa warstwa ceglanego gruzu z rozwalonych kamieniczek, przemieszanego ze szczątkami mebli, żelastwem, elementami ekwipunku żołnierskiego, szmatami, resztkami potrzaskanych okiennic. Śmieci pokrywał szklany miąg, pierze i mnóstwo podartego papieru. Jan przystanął przy jednej kupie, na której szczycie, pewnie posadzony przez jakiegoś dowcipnisia, spoczywał połączany barokowy aniołek, słodko uśmiechnięty i mrużący bladoniebieskie oczęta. Kościoły szabrowano w pierwszej kolejności.

Na gruzowisku ktoś już pracował, wokół rynku odgarnięto dla pieszych dwumetrowej szerokości ścieżkę. Przybysze wrócili nią na południową pierzeję, przed konny pomnik Fryca w pirogu z pióropuszem. Jakimś cudem, tak jak ratusz, był prawie nietknięty przez pociski. Z tablicy na cokole wyczytali, że pomnik przedstawiał Fryderyka Wilhelma III. Przez dłuższą chwilę w milczeniu kontemplowali wyjątkowo okazały monument.

- Patrz pan na tę jego pruską, butną minę - w końcu odezwał się Czeszejko. - Że też jakaś ruska bomba go nie rozwalila, pierdolonego junkra.

Za plecami usłyszeli hałas, ktoś potracił grubszy ułamek gruzu i roześmiał się głośno.

- Spokojnie, obywatele, i na niego przyjdzie kolej - dobiegł ich rozbawiony głos.

Obrócili się i zobaczyli młodego człowieka w szarej, sfatygowanej kurtce i czarnym kapeluszu. Na rękawie miał białoczerwoną opaskę z napisem: „Zarząd Miejski m. Wrocławia”.

Kilkanaście metrów dalej, na skrzyżowaniu ulic dobiegających do rynku z zachodu i południa, stało pięciu mężczyzn w roboczych ubraniach i z łopatami w rękach. Patrzyli z obawą w ich kierunku.

- Stehen nicht so herum! Arbeiten! - krzyknął do nich młodzieniec. Mężczyźni chwycili za łopaty i zaczęli zgarniać gruz z jezdni, sypiąc go na kupy pod ścianami zrujnowanych kamienic.

- Są coraz bardziej leniwi, mimo że dostają deputaty żywnościowe - powiedział pracownik zarządu. - Z tym Wilusiem sobie poradzimy, tak jak z feldmarszałkiem, któregoście pewnie też widzieli. Pójdą na przetop, już tam w Katowicach piece rozpalili. - Ostatnie zdanie powiedział z nieskrywaną nienawiścią.

Korzycki pokazał mu skierowanie z PURu i zapytał o inżyniera Kuligowskiego.

- Znajdziecie go w sądach na Schweidnitzerstrasse, to będzie za starą fosą miejską. Pójdziecie tą ulicą prosto na południe - wskazał na skrzyżowanie, na którym pracowali niemieccy robotnicy - miniecie operę, potem zamek, potem po lewej pomnik kolejnego Wilusia i za fosą skręcicie w prawo. Łatwo poznać, bo przed wejściem wisi polska flaga. Macie, panowie, może co zapalić?

Jan nie miał, ale Czeszejko sięgnął do chlebaka i wyciągnął kapciuch dobrze nabity machorką. Skręcili papierosy z niemieckich ulotek, których z kolei nie brakowało pracownikowi zarządu. Paliły się dobrze, ale i śmierdziały farbą drukarską. Młody człowiek okazał się bardzo rozmowny i nie szczędził im wiedzy o Breslau.

- Sami widzicie, co jest. Rozpierducha na fest, nie wiadomo, w co ręce włożyć. Trzeba przy tym uważać i na Sowietów, i na Niemców. Nie uwierzycie, jak to bractwo się szybko skumało. Doszło do tego, że miejscowi chodzą do wojskowych komendantów na skargi, jakich to niby krzywd od Polaków doznają. Udają, że już nie pamiętają, co się tu działo po kapitulacji, jak czerwonoarmiejcy hulali po mieście, palili, rabowali i gwałcili co popadło, a jak który Niemiaszek krzywo spojrział, od razu kulkę pałuczył. Ale już im wszystko odpuścili, już ich kochają i wysługują się im, jak mogą. A najlepsze, że kogo tylko spytasz, to zawsze

był antyfaszystą, organizacje sobie nawet pozakładali. Wyjątkowo szybko spsiali, przynajmniej jak na wczorajszą rasę panów. A co wam zresztą będę mówił, posiedzicie w Breslau, znaczy się we Wrocławiu, to sami zobaczycie co i jak.

Z poprzecznej ulicy wyjechała platforma pchana przez kilku ludzi. Urzędnik pożegnał się uprzejmie i pośpieszył ku nowym robotnikom, wrzeszcząc coś po niemiecku o leniwych hitlerowskich świniach. Widocznie czekał na tę brygadę od dawna.

Czeszejko i Korzycki skończyli palić i ruszyli we wskazanym kierunku środkiem zrujnowanej ulicy, przypominającej raczej skalisty wąwóz - i to po trzęsieniu ziemi. Osypiska gruzów sięgały pierwszego piętra, musieli się na nie mozolnie wspinać. Szli z duszą na ramieniu, bo pod spodem mogły być niewypały. Tu i ówdzie dało się zauważyć ludzi łączących po gruzach i zagląających do wybebeszonych mieszkań. Jeśli byli to szabrownicy, łup mieli raczej niewielki, część domów została dosłownie przemielona na kruszec ciężkimi bombami lotniczymi. Musiało tu dojść do nalotu dywanowego, podobnego do tych, alianci zafundowali Hamburgowi czy Dreznu.

Minęli skrzyżowanie z szeroką ulicą, podobnie zniszczoną, przeszli obok gotyckiego kościoła, jak na miejscowe standardy nienaruszonego, bo tylko z wytłuczoną dachówką i zbitymi witrażami. Dalej znajdował się jednopiętrowy hotel, też właściwie cały, jeśli nie liczyć rozwalonego narożnika. Mimo braku tych kilku pokoi lokal prezentował się całkiem okazale, więcej, wydał się czynny, bo z głębi budynku dobiegał ożywiony gwar, ktoś brzdąkał też na pianinie. Korzycki pomyślał nawet, aby tam zajrzeć, bo pić mu się chciało, ale po chwili wahania zrezygnował. Spotkanie z Kuligowskim było ważniejsze.

Po lewej, tak jak zapowiadał spotkany na rynku urzędnik zarządu, za kolejnym, mocno zdewastowanym kościołem, zobaczyli pomnik. Odlany w brązie Wiluś, oczywiście na koniu i w paradnym mundurze, patrzył spod pikielhauby na zrujnowane miasto, kiedyś jedno z pereł jego cesarstwa.

- Patrz pan, co za ironia losu - powiedział, nie kryjąc irytacji, Czeszejko. - Całe miasto w proszku, a te cholerne Prusaki na cokołach nietknięte. Chyba tylko po to, żeby się z nas nabijać, jakby mówili: „Patrzcie, jakie królestwo dostajecie”. Tamten na rynku miał rację, trzeba ich jak najszybciej na złom. Przetopić tę ich pruską butę na kościelne dzwony, ot co!

Jan nie skomentował tej filipiki, choć rozumiał chłopaka. W sterczących pośród morza gruzów nieuszkodzonych pomnikach było coś głęboko niestosownego. Panowie na cokołach powinni podzielić los miasta, któremu patronowali, tak jak stało się to w Warszawie. Widział na drukowanych w prasie fotografiach poniewierające się na placu Zamkowym szczątki kolumny Zygmunta i posąg króla leżący na bruku. Ale to była Polska i jej tragiczny

monumentalizm, tu zaś miał do czynienia z miastem rzuconym na kolana, z mieszkańcami liżącymi buty swych katów. Jedyne figury na pomnikach jeszcze stały wyprostowane.

Dłużej o tym nie rozmyślał, bo doszli do szerokiej fosy, widocznej za dużym, częściowo zburzonym budynkiem o wyraźnie zamkowo-pałacowym charakterze. Przypomniał sobie, że widział go jeszcze przed wojną na pocztówce. To musiała być siedziba królów pruskich, pełniąca też funkcję jakiegoś muzeum. Zauważył przed bramą wielką wojskową ciężarówkę. Jacyś cywile ładowali na nią meble i duże paki owinięte szarym sukniem. Pracowali w dużym pośpiechu, rozglądając się czujnie dookoła.

Po minięciu wypełnionej śmieciami fosy przybysze skręcili w lewo, w stronę długiego budynku z czerwonej cegły, przypominającego pseudośredniowieczny zamek. Miał nawet wieże z blankami, o dziwo niezburzone.

\* \* \*

Inżynier Kuligowski, a właściwie wiceprezydent Kuligowski, jak ich pouczono przy wejściu, wyglądał na bardzo zmęczonego. Cały czas przecierał podkrążone, zaczerwienione z niewyspania oczy, przeglądając rozłożone na biurku dokumenty. Wysokie, z lekka już łysiejące czoło znamionowało człowieka o niepośledniej inteligencji. Marszczył je teraz, z irytacją stukając palcami w blat. Urzędował w prowizorycznie urządzonym pokoju, dość, jak na miejscowe warunki, luksusowym, bo w oknach tkwiły szyby, widocznie niedawno je wprawiono. W powietrzu czuć było jeszcze zapach kitu.

Na ich widok westchnął ciężko i z pewną niechęcią wziął podane mu dokumenty. Pobieźnie przejrzał papiery.

- Pana z otwartymi ramionami przyjmie rektor Kulczyński - zwrócił się do Czeszejki.  
- Grupa naukowa zabezpiecza majątek tutejszych uczelni i bardzo potrzebuje ludzi, jak zresztą my wszyscy. Urzędują na Rossmarkt, w bibliotece miejskiej. Ale niech pan teraz nie idzie, zrobiło się późno, a wieczorami lepiej po Wrocławiu nie spacerować. Proponuję kolację w naszej stołówce i nocleg u nas. Do rektora pójdzie pan rano.

Oddał mu dokumenty, dając do zrozumienia, że w jego przypadku audiencja jest skończona. Kiedy za kandydatem na studenta zamykały się drzwi, spojrzał na Korzyckiego.

- A jeśli chodzi o pana...

Jan sięgnął do kapelusza i zza zakładki wyciągnął kartkę od Galickiego. Podał ją Kuligowskiemu, który szybko przeczytał list, zaczął go drzeć na drobne kawałki.

- A więc takie buty... - mruknął. Przez chwilę myślał nad czymś intensywnie. - No cóż, mogłem się tego właściwie spodziewać, nie pan pierwszy, nie ostatni. Na szczęście w tym mieście tak potrzeba ludzi do roboty, że nikt nie zadaje zbędnych pytań. I, przynajmniej

przez jakiś czas, tak będzie. Pan ma pewnie spore doświadczenie z konspiracji i partyzantki...  
Jest pan oficerem?

- Porucznikiem.

- Doskonale. Milicja też cierpi na brak ludzi, a ci, co do niej wstępują, przeważnie nie stanowią wartościowego elementu. Niektórzy robią to tylko po to, aby łatwiej szabrować. Ktoś taki jak pan bardzo by się przydał... Poza tym służba w milicji uchroni pana przed bezpieczeńką, niezbyt jeszcze rozbudowaną na tym terenie. Co pan na to?

Kuligowski nie czekał na odpowiedź, wstał zza biurka i podszedł do okna. Parzył przez dłuższą chwilę na zburzone do parteru skrzydło pruskiego neogotyckiego zamku i przylegającą doń ulicę z poszczerbionymi kamienicami.

- Wiem, jak to wygląda. Wrocław jest zburzony co najmniej w siedemdziesięciu procentach. Na zdrowy rozum i w sto lat nie da się tego odbudować. Ale ludzie, jeśli zechcą, mogą góry przenosić. Proszę mi wierzyć, z czasem to miasto stanie się miejscem nadającym się do życia. Innego nie będziemy mieli, bo Wilna i Lwowa już nie dostaniemy...

Odwrócił się i spojrzał badawczo na gościa, jakby niezbyt pewien, czy może mówić otwarcie.

- Mówi się o amnestii dla takich jak pan... Władze będą chciały uczynić jakiś spektakularny gest wobec społeczeństwa i zagranicy. To może być dla pana szansa na normalne życie, może nawet we Wrocławiu.

Korzycki uśmiechnął się zdawkowo, nie chcąc okazać się nieuprzejmym. Jakoś nie chciało mu się wierzyć w łaskawość Kamana i jego kolegów.

- Nie mam chyba zbyt wielkiego wyboru. Co konkretnie miałbym robić?

Inżynier wrócił do biurka i spośród zalegających na nim papierów wyciągnął pomiętą i poplamioną, zadrukowaną po niemiecku ulotkę. Podał ją swemu gościowi. Widniejący na ulotce tekst był zwięzły: „Zabrania się wszelkiej współpracy z rosyjskimi i polskimi okupantami. Każdy Niemiec, który nie podporządkuje się niniejszemu zarządzeniu, zostanie ukarany śmiercią. Komendant twierdzy Wrocław”. Jan przeczytał raz i drugi, ale nadal kompletnie nic nie rozumiał.

- Sądziłem, że ostatni komendant Festung Breslau powędrował wraz z załogą twierdzy do sowieckiej niewoli.

- Tę ulotkę znaleziono przed dwoma dniami przy zwłokach Hermana Kapkego, członka Vereinigung Deutscher Antifaschisten, organizacji antyfaszystowskiej, która z nami współpracuje. Zastrzelono go w biały dzień na Schweidnitzerstrasse - wyjaśnił Kuligowski.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał:

- Dajcie tu Bucholtza!

Po niespełna minucie do pokoju wkroczył niski, korpulentny człowieczek, kompletnie łysy, o głowie okrągłej i gładkiej jak kula bilardowa. Podobnie gładka i bez wyrazu wydawała się jego twarz. Zatrzymał się przed biurkiem i w postawie zasadniczej oczekiwał na polecenia.

- Pan Heinz Bucholtz to jeden z liderów VDA i jest nam bardzo pomocny. Niech pan nam powie, co mówią Niemcy o tym komendancie.

Człowieczek chrząknął i odezwał się niskim, tubalnym, zupełnie niepasującym do mikrej postury głosem:

- Ludzie mówią, że gauleiter Hanke, zanim tuż przed kapitulacją odleciał ostatnim samolotem z twierdzy, wyznaczył jednego z wyższych funkcjonariuszy NSDAP na przywódcę Werwolfu w Breslau. On jest takim tajnym komendantem, stojącym na czele ruchu oporu... Kilka dni po wkroczeniu Rosjan pojawiły się ulotki głoszące, że mimo upadku twierdzy walka trwa dalej. A potem zaczęło się zabijanie naszych ludzi, to znaczy antyfaszystów.

Przestał mówić i spojrzał pytająco na Kuligowskiego, który dał mu znak, że może odejść.

- Bucholtz sam ma niezłego pietra, bo i do niego mogą się dobrać. Tamci doskonale wiedzą, kto dla nas pracuje.

- Czego w związku z tym oczekuje pan ode mnie? Inżynier wziął do ręki ulotkę sygnowaną przez domniemanego komendanta i przyjrzał się jej uważnie.

- To trzeba będzie ukrócić - powiedział. - I nie chodzi mi o tych parę niemieckich trupów. Działalność tego „komendanta” podważa nasz autorytet i władzę, gorzej, daje Niemcom nadzieję, że nie wszystko skończone. A na to nie możemy sobie pozwolić. Przecież pan widział, co tu się dzieje. We Wrocławiu przebywa być może nawet dwieście tysięcy Niemców, a nas jest ledwo kilkuset i musimy bronić przed rozszabrowaniem to, co ocalało. Miastem tak naprawdę rządzą Rosjanie i robią, co chcą. Pozwolili Niemcom powołać nawet własny zarząd z niejakim Hartmanem na czele. Sowietci przygotowują się na każdą ewentualność, a my możemy robić jedynie dobrą minę do złej gry. Nasi sojusznicy doskonale wiedzą, że te tereny może nam oficjalnie przyznać dopiero konferencja pokojowa, a ta będzie zwołana nieprędko, może dopiero jesienią. Dlatego tak ważna jest każda oznaka, że panujemy nad sytuacją. Musimy jak najszybciej znaleźć tego człowieka i odpowiednio go ukarać.

- To znaczy zabić?

Wiceprezydent nie odpowiedział, otworzył szufladę i wyjął z niej kilka niebieskich

kartek.

- Tu ma pan bloczki do naszej stołówki. Na razie zostanie pan u nas. Jest do objęcia posterunek przy Kaiserstrasse, ale oficjalny przydział i ludzi do obsady załatwię panu jutro.

Do pokoju wszedł bez pukania wysoki, chudy jak tyczka młodzieniec w mundurze z dystynkcjami podporucznika. Nachylił się do ucha Kuligowskiego i klarował mu coś po cichu, czego inżynier słuchał z coraz bardziej cierpiętniczym wyrazem twarzy. Korzycki zrozumiał, że powinien się wynosić.

Dopiero na korytarzu uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Kanapki od szczodrego kucharza z PURu oddał dziewczynce, a po sycącej porannej zupie zostało jedynie wspomnienie. Nie musiał pytać o stołówkę, woń rozgotowanej kaszy sprowadziła go na parter. Tam, w jadalni urządzonej w obszernej gotyckiej sali o wielkich ostrołukowych oknach z resztkami wybitych witraży, kuchnia wydawała posiłki. Przy długich stołach o zniszczonych blatach siedzieli ludzie z białoczerwonymi opaskami na rękawach, wielu z bronią, i pałaszowali kaszę polaną brązowym sosem i z wkładką mięsną w postaci boczku. Unoszący się z talerzy zapach nie należał do specjalnie smakowitych, w jadalni cuchnęło nadpsutym mięsem. Przy ustawionym pod oknem stoliku zobaczył Czeszejkę, który, widać już po kolacji, raczył się kawą. Chłopak też go zauważył i pomachał mu wesoło, zapraszając do stolika. Korzycki pobrał swoją porcję od niedogolonego, ponurego jak śmierć kucharza i przysiadł się do kandydata na studenta.

- Nie najlepiej wonieje, nieprawdaż - ni to spytał, ni stwierdził Edward. - To przez ten boczek drugiej świeżości.

- On nie jest nawet trzeciej świeżości - rzucił siedzący przy sąsiednim stoliku młody blondyn w niedopasowanej marynarce w szkocką kratę. Obok postawił mausera, niedbale opierając go lufą o skraj blatu. - To peklowina z niemieckich beczek, jeszcze z oblężenia. Zasolona, ale jest gorąc, więc zaśmierdła. Podobno maczają ją w lizolu czy czymś takim, zanim pójdzie do kotła. Da się zjeść, tylko trzeba dużo musztardy. Proszę skorzystać z mojej.

Postawił przed Korzyckim duży słoik z brązową mazią.

- To pewnie ostatnia musztarda w Festung Breslau - oświadczył. - Diabli wiedzą, kiedy zdobędę następną.

Jan roześmiał się i posmarował przydzielony mu kawałek tłustego boczku grubą warstwą przyprawy. Rzeczywiście, z nią jakoś dawał się zjeść. Poza tym, naprawdę był głodny i wtrząchnąłby go nawet saute. Partyzantka nie do takich rzeczy go przyzwyczaiła.

Przygodnie poznany młodzieniec, nie czekając na zaproszenie, przysiadł się do ich stolika, i, wcale niepytany, zaczął o sobie opowiadać. Nazywał się Ernest Nyczek i do Breslau

przyjechał z Jędrzejowa.

- Nic tam dla mnie nie było do roboty. Ojciec ma warsztat szewski, ale klepanie fleków mnie nie ciekawi - perorował. - Dlatego jak zobaczyłem plakaty wzywające do wyjazdu na Śląsk, to sobie pomyślałem: „Czemu nie?”. Byłem w batalionach, lufę od kolby odróżniam, czas na przygodę. No i nie zawiodłem się, tu jest lepiej niż na Dzikim Zachodzie.

Korzycki pomyślał, że pewnie chłopak w dzieciństwie naczytał się Karola Maya i zawsze marzył, aby zostać drugim Winnetou czy Old Shatterhandem.

- Na stepach Teksasu to chyba jednak lepiej pachniało - zauważył Czeszejko, krzywiąc się ironicznie. - Bo tu jedzie trupem albo zepsutym mięsem. Mało to przygodowe.

Chłopak z Jędrzejowa wzruszył ramionami, sięgnął po kapciuch i zaczął skręcać papierosa. Widząc zgłodniały wzrok Korzyckiego, podsunął mu tytoń i bibułki, a raczej karki z pociętej niemieckiej gazety.

- Kto powiedział, że będzie lekko? - Przypalił skręta, zasnuwając stolik dymem z machorki. - Da się radę, w lesie przeszedłem niejedno...

W tym momencie na zewnątrz rozległ się głośny huk, który przeszedł w przeciągły rumor rozpadających się murów, tak jakby ktoś odpalił w ruinach ładunek wybuchowy. To musiało być blisko, bo budynek cały zadrżał, a na głowy jedzących ludzi posypał się z sufitu tynk. Potem zapadła cisza, przzerwana po dłuższej chwili przeciągłym staccato pistoletu maszynowego, na ucho Jana - szmajsera. Po paru sekundach odpowiedziały ostre pistoletowe strzały. Dobiegały chyba z okolic rynku.

- Chcieliście napadu Indian, to go macie - mruknął Nyczek, strzepując z marynarki okruchy tynku. - Ciekawe, Apacze czy Komańcze?

Dużo później Korzycki dowiedział się, że w prywatnej nomenklaturze Nyczka Apacze oznaczali esesmanów z Werwolfu, a Komańcze pp bandytówszabrowników. Do sali zajrzał podporucznik, którego Jan widział u Kuligowskiego. Oficer rozejrzał się, wskazał na paru ludzi, w tym i ochotnika z Jędrzejowa, po czym polecił im pójść ze sobą. Wybrani mężczyźni, przeklinając w żywy kamień, wstawali od stołów i chwytali za broń.

- Po diabła te alarmy - powiedział Nyczek, zdmuchując pył z zamka mausera i repetując karabin. - Zanim dobiegniemy, nie będzie po nich śladu. Musztardę możecie zjeść do końca.

Zarzucił karabin na ramię i zaczął się przeciskać między stolikami w kierunku drzwi, nie zważając na rzucane w jego kierunku przekleństwa ludzi, którym przeszkadzał w jedzeniu. Dobiegające z zewnątrz strzały nie czyniły na nich specjalnego wrażenia. Rozległa się druga i trzecia seria ze szmajsera, po czym zapadła cisza. Czeszejko odstawił kubek i



zaczął się żegnać.

- Na mnie już czas, chcę przed zmrokiem zdążyć na Rossmarkt, tam w jakiejś bibliotece siedzą ludzie rektora Kulczyńskiego. To niedaleko, nie będę czekał do jutra. Powinienem pośpieszać, bo wszyscy mówią, że łażenie po nocy po tych ruinach to samobójstwo. Nawet za dnia jest niezbyt bezpiecznie, jak słyhać.

Wstał i chwycił za swoją walizkę. Korzycki żegnał się z nim z prawdziwym żalem. Edward okazał się całkiem przyjemnym kompanem, co należało docenić w tym nieprzyjemnym mieście.

Po odejściu kandydata na studenta Jan został jeszcze w stołówce, popijając zaskakująco dobry kompot z gruszek. Rozmyślał o tym, co usłyszał od Kuligowskiego. Niewątpliwie wstąpienie pod fałszywym nazwiskiem do organizowanej przez nową władzę milicji było znakomitym sposobem na zniknięcie z pola widzenia Kamanowi i jego kolegom z UB. Skutecznym jednak tylko na jakiś czas, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że w końcu ktoś go rozpozna, choćby widząc na ulicy. Miasto, mimo że zmasakrowane przez oblężenie, będzie przyciągało coraz więcej ludzi. W ruinach leżało za dużo dobra, które można było ukraść lub przehandlować. Ale parę tygodni mógł w tej milicji posiedzieć, w końcu musiał coś jeść i gdzieś mieszkać. Potrzebował czasu, aby odetchnąć i zastanowić się, co dalej.

Stołówka powoli pustoszała, mężczyźni, skończywszy posiłek, wychodzili. Na sali pojawiły się dwie kobiety z wielkim kotłem, do którego zgarniały brudne naczynia. Sądząc po chustach na głowie, zawiniętych z przodu w charakterystyczny walek, miejscowe Frauen. Szwargotały zresztą między sobą cicho, patrząc na Korzyckiego, któremu nigdzie się nie śpieszyło. Za to znowu zachciało mu się palić i żałował, że nie poprosił Nyczka o jeszcze jednego skręta. Kiedy kobiety stanęły przed jego stolikiem, patrząc z niemym ponagleniem, wstał i raptownie zachwiał się na nogach, czując nagły przypływ zmęczenia. Oparł się ręką o blat i głęboko zaczerpnął powietrza. Zaczynały z niego wylać dołek na UB i zarwane przez śledczych noce. Ziewnął głośno, nie potrafiąc się oprzeć gwałtownemu przypływowi senności.

- O, widzę, że kolega chce lulu - zauważył siedzący dwa stoliki dalej człowiek, niski i niezwykle barczysty, najpewniej szofer, bo był ubrany w powalany smarami kombinezon roboczy. - To zapraszam na piętro, w prawym skrzydle mamy coś w rodzaju bursy, znajdzie się dla kolegi siennik i kawałek koca. Coś mi się wydaje, że więcej nie będzie trzeba.

Jan podziękował. Uprzejmy szofer poczęstował go jeszcze papierosem, mocnym, węgierskim. Korzycki pomyślał, że w ramach milicyjnego deputatu musi koniecznie zażyczyć sobie tytoniu. Pałac i ziewając, wchodził szerokimi schodami na piętro, potem skręcił w

korytarz, szukając zapowiedzianych sypialni. Niczego takiego jednak nie znalazł - pokoje były pozamykane, a w jednym siedzieli zajadłe się ze sobą kłócący ludzie - kiedy próbował do nich zagadać, zbyli go machnięciem ręki, dając do zrozumienia, żeby nie przeszkadzał.

Tak dotarł na koniec korytarza i znalazł się przed dużymi, solidnie wyglądającymi podwójnymi drzwiami. Zauważył, że są lekko uchylone, widniała w nich szpara szerokości trzech palców. Z pokoju dobiegały stłumione odgłosy, ktoś mówił podniesionym tonem. Pochylił się i przyłożył oko do szpary.

W środku zobaczył dwóch mężczyzn stojących obok masywnego, zawałonego papierami biurka. Niepozorny cywil w znoszonym tużurku, siwiuteńki jak gołąb i wąsaty jak Piłsudski, stał przed wyższym i brzuchatym sowieckim pułkownikiem o szerokiej, czerwonej, mięsistej twarzy, jakby przed chwilą wyrzniętej ze świńskiego zadu. Rosjanin trząsał się ze złości i wygrażał cywilowi pięścią.

- Sabaka ty dla mienia, a nie prezydent, polskaja sabaka, panimajesz?! - warczał zduszonym z gniewu głosem. - Pa twojemu, wasze wywozim? Takoje ono wasze, kak i niemieckoje. Bieriom to, szto zawajewali. Swajej krowju! A wy ketamu nie kasajtjes... Toże, mnie, wielikije „pany” naszlis. Za mała was na Sibiri wywieźli.

Stojący przed nim mężczyzna skurczył się w sobie jak uczeń karcony przez nauczyciela.

- No, towariszcz pułkownik, na asnowie dogowora mieźdu naszymi własciami...

Sowiec parsknął, nie na żarty rozszłoszczony. Nie dał Polakowi skończyć zdania, tylko z całej siły trzasnął go w twarz otwartą dłonią. Człowiek w tużurku zachwiał się i aby nie upaść, chwycił za brzeg biurka. Korzycki widział, że na jego wargach pojawiła się krew.

- Pajmi na kaniec, parszywaja sabaka, szto włast dla tiebia eta ja! - wycedził pułkownik, po czym wytarł rękę w klapę marynarki uderzonego mężczyzny. - Ja dla was Bog i car, pania!?! Apiat' wam, Paliaczkom, maczija w goławu udarila biez przicyny.

Korzycki poczuł za plecami ruch. Ktoś stojący za nim złapał za klamkę i delikatnie zamknął drzwi. Odwrócił się i zobaczył Kuligowskiego, który z palcem na ustach nakazywał mu ruchem głowy, aby odeszli parę kroków. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, inżynier powiedział, ścisząc głos:

- Sam pan widzi, kto tu naprawdę rządzi. Sowietci, jeśli zechcą, wyrzucą nas z Wrocławia w ciągu godziny. - Miał zaciśnięte szczęki, kiedy to mówił. - I zrobią to, jeśli wiatr powieje w inną stronę.

- Czy ten człowiek, to był... - zapytał Korzycki.

- Owszem, to doktor Drobner, prezydent miasta z nominacji rządu. Ale jego godziny

są już policzone, zapadła decyzja o dymisji... Oczywiście, niech pan nikomu nie mówi, co widział. Dla własnego bezpieczeństwa.

Inżynier popatrzył na zamknięte drzwi, zza których wciąż dobiegały stłumione odgłosy burzliwej rozmowy.

- Skręcił pan do niewłaściwego skrzydła, pokoje sypialne są po przeciwnej stronie. Jutro po śniadaniu proszę się u mnie zameldować.

We wskazanym korytarzu Jan znalazł kilka otwartych pokoi. Stało w nich trochę łóżek, na niektórych, mimo że dopiero zbliżała się ósma wieczór, spali ludzie - w ubraniach, przykryci kocami i płaszczami. W jednym pustym pomieszczeniu zobaczył w kącie stos materacy, wyciągnął jeden i położył pod oknem. Zdjął buty, wcisnął je pod zagłówek, okrył się kurtką i zamknął oczy.

Spał mocno. Przez sen słyszał strzelaninę, walenie w garnki i kobiece głosy rozpaczliwie wołające „Hilfe”.

**IV. Posterunek na Piastenstrasse** na śniadanie dawali to samo co na kolację. Kasza podlana brunatnym sosem bez smaku i śmierdzący boczek. Mięso bez musztardy wchodziło ciężko, ale wiedział, że musi jeść. Tak jak wszyscy, którzy pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Od stolików dobiegały go strzępy rozmów - mówiono, aby zażerać, co jest, bo jutro może być jeszcze gorzej, jako, że aprowizacja jest coraz gorsza, a niemieckie zapasy się kończą. Jan zastanawiał się tylko, kiedy od tej peklowiny dostanie sraczkę. Inni chyba też się tego obawiali, bo w czasie posiłku często raczyli się z manierek i obtłuczonych flaszek. Przez smród zepsutej wieprzowiny przebijał się zapaszek bimbrowy, wzięcie miał chyba też spirytus lekarski.

- Bez porządnego kielicha niech pan nie wstaje - usłyszał znajomy głos.

Nad nim stał Nyczek z zielonkawą butelką w ręku.

- Spiryt prosto z gorzelnii, zdołaliśmy obronić cysternę przed Ruskimi - wyjaśnił. - Rozrabiamy to z kompotem gruszkowym, takim puszkowym, w niemieckich magazynach jest tego pełno. Wychodzi słodkawy zajzajer, ale za to daje, ile trzeba. No i pięknie dezynfekuje!

Nie czekając na przyzwolenie, wlał mu do pustego kubka po herbacie całkiem solidną miarkę.

- Duszkiem, żeby te szwabskie smrody przetrawić.

Gęsty, słodkawy płyn palił w gardle, Jan czuł ognistą strugę spływającą do żołądka. Wiedział jednak, że Nyczek ma rację. Inaczej groziła mu biegunka.

- Tak właściwie to przysłał mnie prezydent Kuligowski. Czeka w swoim biurze.

W gabinecie był ktoś jeszcze wysoki, szpakowaty mężczyzna w spłowiałym mundurze z opaską z napisem MO i dystynkcjami kapitana. Obaj rozmawiali o czymś z ożywieniem, patrząc na rozłożony na biurku plan miasta. Inżynier wskazywał na nim mundurowemu różne punkty, a tamten kręcił przecząco głową.

- Nie mam ludzi, obywatelu prezydencie, przecież nie urodzę! Tu całe miasto trzeba by obstawić, a ja mam stu siedemnastu milicjantów. Wczoraj miałem stu dwudziestu, ale trzech w nocy zdezerterowało. Wolą szabier niż obronę ładu i porządku.

Kuligowski, widząc wchodzących Korzyckiego i Nyczka, uśmiechnął się pod nosem.

- Skoro już o ludziach mowa, kapitanie Matuszak... Pan Malinowski przyjechał do nas z Piotrkowa i szuka jakiegoś zajęcia. Ma doświadczenie wojskowe i myślę, że można mu powierzyć odpowiedzialną funkcję... Powiedzmy, dowódcy posterunku.

Kapitan przyjrzał się Korzyckiemu uważnym, taksującym wzrokiem. Egzamin wypadł widać pomyślnie, bo powiedział:

- Nie mamy nikogo w rejonie Kaiserstrasse. Niemcy wyburzyli tam całą dzielnicę, chcieli wybudować zapasowe lotnisko. Został po tym wielki plac między dwiema odnogami Odry i kupa gruzów, w których gnieździ się rozmaity element. Trzeba by tam założyć posterunek. Podejmie się pan tego zadania?

Jan przytaknął, nieco zdziwiony tym, jak krótko milicjant zastanawiał się nad jego kandydaturą. Widocznie braki kadrowe były naprawdę dotkliwe i rekrutujący świadomie woleli nie zadawać zbyt dociekliwych pytań. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie: w ciągu pięciu minut został zaprzysiężony i dostał oficjalny przydział na dowódcę posterunku w stopniu sierżanta. Do pomocy przydzielono mu Nyczka awansowanego na kaprała oraz niejakiego Walczaka, ponurego, niedogolonego typa wyglądającego na fetniaka z Pragi. Jan dostał parabelkę jako broń przyboczną, białoczerwoną opaskę z napisem MO oraz ogólne polecenie, aby w rejonie Kaiserstrasse znaleźć jakiś lokal nadający się na milicyjną placówkę, zająć go i wyposażyć w to, co „da się na miejscu zorganizować”. Wyruszyć mieli natychmiast, po pobraniu suchego prowiantu. Dostali takowy w postaci dwulitrowej konserwy mięsnej - należy się jedna na trzech, jak wyjaśnił wąsaty sierżant z kwatermistrzostwa - i paru kostek czarnego chleba.

Dochodziła dziesiąta, kiedy opuścili gmach sądu. Poszli w stronę rynku trasą, którą Korzycki przemierzył wczoraj z Czeszejką. Przodem, niejako na czujce, szedł Walczak, najlepiej z nich uzbrojony, bo w pepeszę. Widać było, że zna się na rzeczy: posuwał się skrajem jezdni, skokami, cały czas pilnie patrząc w okna na piętrach mijanych domów - tych, które wciąż stały. Za nim, w odległości dwudziestutrzydziestu metrów, podążali Ernest Nyczek - ten dodatkowo obciążony plecakiem z jedzeniem - i Korzycki, ubezpieczając się nawzajem. Ostrożność była jak najbardziej wskazana, co słyszeli dobiegające z różnych stron strzały. Ta pukanina, zwłaszcza w południowych dzielnicach, chwilami tak się nasilała, jakby bitwa o miasto wciąż trwała.

Chłopak z Jędrzejowa okazał się bardzo rozmowny. Zręcznie przeskakiwał z jednej kupy gruzu na drugą, cały czas perorując.

- Sporo jeszcze esesmanów po piwnicach siedzi, psubraty bały się iść do sowieckiej niewoli. I słusznie, boby im Iwan kęsim kesim zrobił, jak Azja Tuchajbejowicz staremu panu Nowowiejskiemu. A że im się żarcie skończyło, to atakują nasze magazyny. Nie jest lekko, nic dziwnego, że bractwo do milicji się nie garnie. Dostać kulkę po wojnie to czysta głupota!

- To dlaczegoś ty wstąpił?

- Mówiłem, dla przygody!

Dotarli właśnie do Rynku i Ernest przystanął przed frontonem narożnej kamienicy z

ocalałym fragmentem napisu: Pelze. A właściwie jej szkieletu, wewnątrz zostało bowiem całkowicie wyburzone, stropy i ściany działowe runęły. Kiedyś musiał mieścić się tam ekskluzywny magazyn odzieżowy. Przez poszarpane otwory okienne widzieli w środku resztki wciąż stojących ścian nośnych, najwyraźniej odporniejszych na wybuch. Śmierdziało spaloną skórą, po futrach ze sklepu zostały zaścielające ulicę popielate i brunatne kłaczki. Jeden, uniesiony porywem wiatru, pofrunął i trafił wprost do dłoni Korzyckiego. Nim ten zdążył go strzepnąć, kłaczek rozpadł się, zostawiając po sobie odrobinę szarego pyłu, który przesypał się między palcami. Jak wszystko tutaj - przemknęło mu przez głowę. - To, co zostało z miasta, stopniowo zanikało, przechodziło w nicość.

- W stronę tej Kaiserstrasse to musimy iść raczej na wschód - zauważył Nyczek. - Dalej prosto jest uniwersytet, powinniśmy skrócić w prawo, w Albrechtstrasse. Zdołałem plan miasta od jednego Niemiaszka, dał za paczkę fajek. - Poklepał się po chlebaku.

Jan gwizdnął na Walczaka, który za bardzo się wysforował. Kiedy tamten zawrócił, weszli w kolejny wądoł ruin. Przeszli nim jakieś pięćset metrów i znaleźli się na wielkiej pustaci. Neumarkt - jak uprzejmie poinformował Ernest.

- Rzeczywiście, będzie można tu urządzić nowy targ, i to spory. Jak to kiedyś wywiozą - zauważył Korzycki.

To, co widzieli, musiało być skutkiem nalotu dywanowego. Po okalających kwadratowy plac kamieniczkach pozostały jedynie wypalone ściany frontowe. Cokolwiek stało na placu, został z tego rozdrobniony gruz, zalegający tu i ówdzie w nieregularnych kupach. Jan poczuł, że znowu zaczyna go irytować monotony, męczący widok ruin. Były wszędzie, gdziekolwiek się spojrzano. Ani jednego całego muru, okna czy dachu, nawet z drzew zostały jedynie osmalone kikuty, niczego, na czym można by zawiesić oko, nawet symbolicznego skrawka zieleni. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w ogóle nie widział tu ptaków ani ich nie słyszał. Gdyby nawet przeżyły oblężenie, nie bardzo miałyby się czym żywić.

Kapral Nyczek zatrzymał się przy podziurawionym pociskami słupie ogłoszeniowym i przyglądał się resztkom przyklejonych plakatów. Krzywił się, usiłując coś odcyfrować z podartego i osmalonego papieru. Walczak poszedł w głąb placu, zaintrygowany zawartością wywróconego dziecięcego wózka. Fetniak jak nic - pomyślał Korzycki.

- Ajapana znam, widzieliśmy się już powiedział półgłosem Ernest, wyraźnie nie chcąc, aby grzebiący w betach Walczak ich słyszał. - Rok temu prawie, zgrupowanie w sierpniu pod Pińczowem, mieliśmy iść na pomoc Warszawie. Pan dowodził plutonem w kompanii Konrada. Porucznik Korab, jeśli się nie mylę.

Jan drgnął jak uderzony prądem. Cholera, nie przypuszczał, że wpadnie tak szybko. Pamiętał to zgrupowanie, zebrało się prawie tysiąc ludzi z BCh i AK. Że też chłopak akurat jego musiał zapamiętać.

- Spokojnie, panie poruczniku, kolegów z partyzantki się nie sypie - mruknął kapral, cały czas zerkający w stronę Walczaka, który nic ciekawego nie znalazłszy, porzucił wózek i wracał do nich. - Porządny z pana człowiek, ludzie z plutonu dobrze o panu mówili. Na mnie może pan liczyć, język za zębami trzymać umiem... A teraz tędy - dodał głośniejszym głosem, wskazując na północ, wzdłuż czegoś, co było kiedyś wschodnią stroną Neumarktu. - Musimy przejść przez rzekę.

Korzycki spojrzał uważnie na Nyczka, który mrugnął do niego porozumiewawczo i wesoło pogwizdując, ruszył przodem. Jan westchnął ciężko i podążył za chłopakiem, nie czekając na Walczaka, który zatrzymał się przy porzuconej walizce.

Nowo mianowany sierżant znał tę okolicę, szli tędy wczoraj z Czeszejką po tym, jak znaleźli leżącego na bruku trupa. Minęli wielką ceglana halę, za którą znajdował się krótki metalowy most oszczędzony przez bomby. Znaleźli się na wyspie, w najstarszej części miasta. Najbardziej przygnębiający był widok strawionego przez pożar, pełnego książek kościoła. Teren w promieniu kilkuset metrów pokrywał szary nalot pochodzący ze spalonego papieru. W powietrzu fruwały, na podobieństwo upiornych ptaków, czarne płaty, niegdyś skórzane i kartonowe okładki. Na niektórych dało się odcyfrować zarysy gotyckich liter. Chrzęściły grubą warstwą pod stopami, gdy mężczyźni przebijali się w stronę mostu. W powietrzu wciąż unosił się gorzki zapach spalenizny, mimo że od pożaru minął już miesiąc. Nyczek, jak zwykle ciekawy wszystkiego, zajrzał przez zwęglone, ale wciąż cudem trzymające się framugi odrzwia do środka świątyni. Pokręcił z niesmakiem głową.

- Pod sufit tego dobra chyba było. Cholerne ruskie gnoje, to ich robota. Po deszczach zostanie z tego kupa błota. Jeden profesor mi mówił, że pół miliona książek się tu sfajczyło. Jezusie Nazareński, mój nauczyciel od polskiego miał może ze dwieście, a i tak najwięcej w całym Jędrzejowie.

Korzycki minął go bez słowa i wdrapał się na tarasujące ulicę wielkie zwałowisko. Za nim był kolejny żelazny most. Na prawo od niego, za kościołem ze spaloną biblioteką, rozciągały się ruiny jakby średniowiecznych budowli. W oddali widział dwie wieże gotyckiego kościoła. Przypominał sobie ten pejzaż z sesji w wiedeńskim fotoplastykonie. Widokówki przedstawiały najstarszą część Breslau, zabytkowy ostrów z katedrą. Teraz wieże były osmalone przez pożar i pozbawione kopułastych, wieńczących szczyty hełmów. Sterczały jak dwa czarne, zwęglone palce, oskarżycielsko wyciągnięte ku niebu. Bomby nie

oszczędziły nawet tego miejsca, pamiętającego pewnie czasy Piastów.

Za mostem skręcili na północny wschód i, po przejściu obok kwartału częściowo zrujnowanych kamienic, znaleźli się na ulicy prowadzącej z północy na południe. Dalsza wędrówka na północ nie miała sensu, oddaliliby się od Kaiserstrasse, poszli więc na wschód. Precyzyjnie się przez barykadę zrobioną ze stosu płyt chodnikowych i wagonu tramwajowego, całkowicie wypalonego, z którego został jedynie metalowy szkielet. Ktoś odrzucił z boku trochę płyt i między tramwajem a murem kamienicy powstało wąskie przejście, mieszczące człowieka i ewentualnie wózek z drobnym szabrem. Po drugiej stronie wyszli na coś, co kiedyś mogło być skrzyżowaniem ruchliwych śródmiejskich arterii, a teraz było zasłanym odłamkami cegieł i szkła placykiem, otoczonym ścianami częściowo zburzonych domów. Pośrodku stał ogołocony z gąsienic wrak niemieckiego wozu pancernego z zawadiacko zadartą ku niebu lufą karabinu maszynowego.

- Pan spojrz, panie sierzancie, pewnie z samolotu działkiem walnęli - powiedział Walczak, wskazując na dziurę w burcie pojazdu. - Poszedł zbiornik paliwa, sfajczyli się, czuć jeszcze.

Istotnie, w miarę jak podchodzili do wraku, coraz mocniej odczuwali gorzki smród spalenizny. Walczak podszedł do otwartego włazu, zajrzał do środka i głośno pociągnął nosem.

- Nie było co zbierać - zawyrokował. - Spalili się do kosteczki.

Nyczka wóz nie zainteresował. Wyciągnął z torby plan Breslau i znowu próbował zorientować się, gdzie właściwie są. Korzycki zerknął mu przez ramię. Jego zdaniem mogła być to dzielnica Elbing, jej wschodnia część. Jak na standardy wrocławskie, stosunkowo mało zniszczona, wiele domów stało, choć brakowało dachów, niektóre były wypalone lub pozbawione frontowych ścian. Okolica wyglądała na zupełnie opuszczoną przez ludzi, nie widzieli też szabrowników, zwykle zawzięcie myszkujejących w rozwalonych mieszkaniach.

- To by była - Ernest podsunął mu pod nos pomięty plan - Kreuzstrasse, skrzyżowanie ze Stern... Tak mi się zdaje.

Rozejrzał się po okolicznych domach w poszukiwaniu tabliczek z nazwą ulicy, daremnie, bo narożne kamienice zostały zbombardowane i przemieniły się w osypujące się kupy gruzów. Jan pomyślał, że powinni konsekwentnie iść na wschód, w stronę Kaiserstrasse - nawet jeśli się zgubią w tym nieoznakowanym labiryncie ruin, to prędzej czy później będą się musieli natknąć na wyburzoną dzielnicę. Placu długości dwóch kilometrów nie sposób przegapić.

Walczak ciągle się kręcił wokół wypalonego pojazdu, jakby spodziewał się znaleźć



coś interesującego. Niewiele pożytku będę miał z tego szabrownika - pomyślał były akowiec, obserwując, jak milicjant, diabli wiedzą po co, zagląda pod wrak.

Poczuł, że Nyczek trąca go w ramię.

- Panie sierzancie, pan to słyszy?

W głębi domniemanej Sternstrasse coś się działo. Co prawda nic nie widzieli, ale panującą wokół martwą ciszę zakłócały dziwne odgłosy, wyraźnie słyszeli przenikliwy ni to lament, ni to skomlenie. Ktoś nadchodził z głębi ulicy - nie mogli go zobaczyć, bo widok zasłaniały sięgające pierwszego piętra ceglane osypiska, tarasujące w wielu miejscach ulicę. W ten rejon trafiła wyjątkowo celna seria bomb burzących. Jan wskazał Nyczkowi stanowisko po prawej stronie wozu, za stertą pustych skrzynek po pociskach. Walczakowi nie musiał nic mówić, milicjant wcisnął się pod spód spalonego pojazdu, robiąc sobie zarazem zaimprovizowaną strzelnicę z kilku odłamków strzaskanych płyt chodnikowych. Sam wpadł do zburzonej bramy i przypadł we wnęce, w której kiedyś były solidne, pewnie dębowe drzwi - została po nich wysadzona z osady, posiekana odłamkami i najeżona drzazgami framuga. Z palcami na spustach czekali. Dziwaczne odgłosy to cichły na chwilę, to znów rozbrzmiewały głośniejsz, jakby lamentującym brakowało tchu lub opadali z sił.

Pokazali się po kilku minutach, wynurzając się niespodziewanie zza zalegającej na jezdni kupy gruzu. Pierwsza podążała matka, wielka, wychudzona szympansica o jasnobrązowej, podpalanej na rudo sierści. Szła pochylona, w typowo małpi sposób podpierając się rękoma. Nawet z tej odległości można było zwierzęciu policzyć wszystkie zębra. Zostawiała za sobą krwawe ślady, widać poraniła się na zasłanej gruzem i potłuczonym szkłem jezdni. Za nią włókł się mniejszy szympans, pewnie jej dziecko - też wyglądał na rannego, ale gdy zostawał za bardzo z tyłu, zrywał się, podbiegał do matki i przytulał do jej boku, rozglądając z obawą po zrujnowanej ulicy. To malec wydawał owe dziwaczne, ni to ludzkie, ni to zwierzęce, żałośliwe odgłosy. Matka poruszała się bardzo ostrożnie: przystawała tu i ówdzie, zadzierała głowę i węszyła, przepatrując rumowiska, czasem podnosiła coś z ziemi, oglądała i odrzucała ze wstrętem. Korzycki pojął, że zwierzęta były głodne i ruszyły w miasto, by szukać jedzenia.

Nyczek poruszył się i chciał podnieść, ale Korzycki głośnym psyknięciem kazał mu nadal leżeć.

- Musiały zwiać z zoo - powiedział chłopak. - Słyszałem, że większe zwierzęta zjedli w czasie oblężenia, a te małe chyba uciekły. To zoo jest gdzieś na Bischofswalde... Pewnie nikt go nie pilnuje.

Małpa, zaniepokojona nieznanymi głosami, znieruchomiała. Patrzyła w ich kierunku,

stała prawie wyprostowana, z daleka podobna do niewysokiego, przygarbionego człowieka.

- Fiedler pisał, że Indianie potrafili zrobić z małpy całkiem dobrą zupę... Pan pewnie też to czytał.

Jan usłyszał, jak Walczak odciąga zamek pepeszy.

- Małpa w zupie czy potrawce, wreszcie jakieś świeże mięso... - mruknął milicjant i zaczął się przymierzać do strzału.

- Ani mi się waź! - syknął ze złością Korzycki. - Spróbujemy je złapać.

Nyczek wlepił w niego zdumiony wzrok.

- Ale po co? - wyjącał. Korzycki nie słuchał, zastanawiając się, jak schwytać zwierzęta. Nie mieli żadnych sieci ani sznurów. Pomyślał, że małpy powinny być oswojone, w końcu pochodziły z zoo. Może same podejda, jeśli się je odpowiednio zachęci?

Ostrożnie, starając się nie robić hałasu, wyszedł zza węgła. Pistolet schował wcześniej do kabury i pokazał szympansicy puste ręce. Zwierzę spojrzało wprost na niego - widział oczy, czarne, wilgotne i pełne przejmującej, wprost ludzkiej rozpacz. Drgnął, uderzony tym spojrzeniem niczym biczem. Uczynił zachęcający gest, żałując, że nie ma w kieszeni bodaj ogryzka jabłka. Szympanśica stała bez ruchu, wciąż wyprostowana, patrząc to niego, to na Ernesta, który wylazł zza skrzynek i stanął za jego plecami. Małpi malec, widocznie coraz bardziej głodny i zniecierpliwiony, trącił matkę w bok i zakwilił dojmująco. To zdecydowało. Szympanśica porwała dziecko, zarzuciła sobie na plecy i, przygięta pod ciężarem, pobiegła w bok, w stronę zburzonej kamienicy. Zaczęła wspinać się po gruzowisku, najwyraźniej chcąc zniknąć w ruinach. Coś Janem targnęło, uświadomił sobie, że to Nyczek szarpie go bez pardonu za rękaw.

- My stąd wiejmy, panie sierżancie. Tam są miny! Dopiero teraz zauważył wetkniętą w gruzy obłupaną deskę z rosyjskim napisem nabazgranym czarną farbą: MINY. Szympanśica zmierzała dokładnie w to miejsce. Zatrzymała się przed tablicą, odwróciła się i spojrzała na Korzyckiego przenikliwym, małpioludzkim wzrokiem, tym razem pełnym rezygnacji i niewypowiedzianego smutku. Poczul, że coś go ściska za gardło. Machnął do niej rozpaczliwie, pokazując na dół, na ulicę, w idiotycznej nadziei, że zwierzę zrozumie, zawróci i zejdzie. Ale szympansica zignorowała wezwanie, odwróciła się, ominęła tablicę, weszła wyżej, wspięła się na szczyt częściowo zburzonej szczytowej ściany stojącego tu niegdyś budynku i zniknęła w głębi gruzowiska.

- W nogi! - wrzasnął Nyczek. - Za pancerkę, szybko. Rzucili się w kierunku wraku, pod którym wciąż leżał

Walczak. Gdy usłyszał, co się święci, wpełzł głębiej pod podwozie. Ledwo dopadli

wypalanej skorupy i zdołali przykleknąć, rozległ się ogłuszający huk. Resztki domu, w którym skryła się szympanśca, rozprysły się na boki. Deszcz odłamków zabębnił o pancerz. Kulili się rozpaczliwe za wozem, mając nadzieję, że mają wystarczającą osłonę. Podniosła się chmura ceglanego pyłu, zasnuwając całą ulicę. Kasłali, przyciskając usta do rękawów i próbując oddychać przez płótno. Musieli poczekać, aż kurz opadnie. Kiedy się podnieśli, zobaczyli, że na miejscu domu widnieje wielki lej, obramowany na brzegach bryłami skruszonego muru. Wybuch okazał się tak silny, że runęło także kilka ścian kamienic stojących po drugiej stronie ulicy. Rumor walących się domów zdawał się trwać bez końca.

- Tyli dobrego mięsa się zmarnowało - powiedział Walczak, który ze stęknieniem wygramolił się spod spalonego pojazdu.

- Co prawda, to prawda - westchnął kapral. - Tamtędy lepiej już nie iść, trzeba to obejść. Jak nic półtonówka. Ruskie mają dobre bomby, nie ma co.

Korzycki milczał, myśląc o szympanścy znikającej między murami, tulącej uczonego szyi malca. Myślał o jej niezwykłych oczach, w których prócz żalu chciałby ujrzeć wybaczenie. Ale w tym mieście był to towar najbardziej deficytowy.

- To którądy pójdziemy? - zapytał Nyczek, znowu podsuwając mu pod nos plan Breslau.

Wynikało z niego, że - o ile istotnie znajdowali się na Sternstrasse - jeśli pójdą na wschód, tam, skąd przyszły małpy, trafią w końcu w okolicę Kaiserstrasse. Wyruszyli, obchodząc naruszony eksplozją niewybuchu kwartał, przemykając pod ścianami wypalonych kamienic. Okolica wydawała się całkowicie wyludniona, do zamieszkania nie nadawały się nawet piwnice, ciężkie bomby lotnicze przebiły się do fundamentów. Wydawało się, że w ruinach powinna panować martwa cisza, ale coś słyszeli - delikatny szmer osypującego się pyłu, czasem stukot potrąconego kamyka. Korzycki nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że są obserwowani. Czyjeś bystre oczy patrzyły na nich, kiedy mijali czarne jamy wypalonych bram.

- Szczury, panie sierżancie - powiedział Nyczek, rozglądając się dookoła. - Są wszędzie. Dla nich to kanada, tyle trupiny pod gruzami. Nażrą się za wszystkie czasy.

Walczak, który szedł na szpicie, gwizdnął przeciągle, pokazując na coś w głębi ruin. Podeszli, odruchowo repetując broń. Zatrzymali się przed kamienicą z częściowo zburzoną ścianą frontową. Skruszone cegły utworzyły osypisko na tyle wysokie, że można było zajrzeć do środka budynku. Milicjant przyglądał się czemuś z wyraźnym zainteresowaniem.

Bomba, która trafiła w dom, zniszczyła mieszkania usytuowane od ulicy, te położone dalej jedynie odsłoniła, burząc ściany działowe. Patrzyli na pokoje z prawie nietkniętą

zawartością, kuchnie z kredensami pełnymi naczyń i karafek, sypialnie z wielkimi małżeńskimi łóżami, pokoje dziecinne z półkami pełnymi lalek w różowych tiulach, salon muzyczny z fortepianem, na którym leżały rozsypane nuty. W jednym z pokoi widzieli bogato, świątecznie zastawiony stół. Stał tuż nad skrajem urwanej podłogi, jakby oderżniętej gigantyczną piłą. Jedna noga wisiała tuż nad wyrąbaną w trzewiach domu jamą. Korzycki patrzył na porcelanową wazę, w której nadal tkwiła chochła. Alarm przeciwlotniczy musiał zastać lokatorów podczas obiadu. Już do niego nie wrócili. Zastanawiał się, jakim cudem bomba, która zmieliła w pył połowę domu, zostawiła prawie nietkniętą resztę.

Zostawiła coś jeszcze - na parterze, w wąskim pokoiku, pewnie służbówce służącej, zobaczyli kłębiącą się na żelaznym łóżku szarą, popiskującą masę. Szczury gorączkowo żarły coś, co leżało na materacu. Przypominały obrzydliwą, mechata, ogoniastą kołdrę, ruszającą się we wszystkich kierunkach.

- Dziwne, że dopiero teraz się dobrały. Pewnie było dla nich za wysoko - beznamietnie zauważył Walczak. - O, widzi pan tę belkę? To po niej przylazły. Musiała spaść, jak walnęła ta małpia bomba.

Na dźwięk jego głosu szara kołdra prysła, jakby trafiona granatem. Szczury smyrnęły po podłodze i wsiąkły w dziury w ścianach. Zobaczyli leżący w łóżku szkielet, prawie już zupełnie obrany z mięsa. Korzycki wzdrygnął się, ujrawszy wyszczerzone zęby czaszki. Resztki długich włosów wskazywały, że trup był kiedyś kobietą. Uśmiechał się teraz do nich upiornie, jakby szyderczo zachęcając do odwiedzin skromnego pokoiku.

- A niech to lichu, czegoś takiego jeszcze nie widziałem! - krzyknął Nyczek, patrząc na rozciągającą się za osypiskiem ulicę.

Z na w pół zasypanego piwnicznego okienka wyłaziły szczury - tłuste, wypasione niczym małe prosiaki. Ale tusza nie przeszkadzała w zwinności. Gryzonie żwawo wyskakiwały na ulicę, wdrapywały się na zalegające jezdnię nieforemne bryły gruzu i przeskakując zręcznie z jednej na drugą, gnały do położonej naprzeciwko kamienicy. Pojawiało się ich coraz więcej, najpierw dziesiątki, potem setki, wyłaziły też z innych dziur i okienek. Ich sierść błyszczała, czarne ślepka czujnie strzelały w kierunku stojących mężczyzn, ale zwierzęta nie wydawały się zestresowane obecnością ludzi. Po kilku minutach pod osypiskiem przepływała istna rzeka szarości, popiskująca i chrobocząca, podnosząca chmurę pyłu i wszędobylskiego pierza. Kurz zakręcił mężczyznom w nosie i zaczęli spazmatycznie kichać. To zdumiewająco podziało na szczury. Gwałtownie przyśpieszyły, szara struga zaczęła nagle cienieć i topnieć. Po paru sekundach ostatnie nagie ogonki zniknęły w dziurach po drugiej stronie ulicy. Ale to nie był koniec, po chwili pokazał się jeszcze jeden

- wyjątkowo duży okaz, rozmiarami przewyższający kota, o gładkiej, połyskliwej sierści i sfałdowanym podgardlu. Szedł powoli, ociężale, nie śpiesząc się. Majestatycznie ciągnął brzuszysko po ziemi. Gdy dotarł na środek jezdni, zatrzymał się i obrzucił tkwiących na osypisku ludzi obojętnym spojrzeniem. Taksował ich tak przez chwilę, a potem, wciąż ostentacyjnie powolny, wlaźł do wybitego w murze otworu. Prawdziwy król miasta ruin. Jedyny, który władał nim naprawdę.

Kiedy szczyrza rzeka skryła się wśród gruzów, milicjanci ruszyli dalej w stronę Kaiserstrasse. Stopniowo wychodzili ze strefy największych zniszczeń. Pojawiały się budynki częściowo ocalałe, a nawet zamieszkane, o czym świadczyły zastawione deskami okna. Pokazali się też pierwsi ludzie - za kolejnym skrzyżowaniem zobaczyli starszego człowieka ciągnącego ręczny wózek. Na widok uzbrojonych mężczyzn natychmiast skręcił do najbliższej bramy.

- Nie ma co, czują Niemiaszki mores! - Walczak zaśmiał się. - I słusznie, bo żarty się skończyły.

Uczynił gest, jakby chciał pobiec za staruszkiem, ale Korzycki kazał mu dać spokój i iść dalej. Zbliżało się południe, a oni wciąż nie natrafili na tę cholerną Kaiserstrasse. Ale znaleźli za to cenną wskazówkę - po przecięnięciu się obok spalonego i podziurawionego kulami wraku autobusu zobaczyli niezniszczony fragment bramy z numerem i nazwą ulicy: „Sternstrasse 62”. Szli we właściwym kierunku. Po drodze oglądali zdumiewające rezultaty tego, co potrafił zrobić z miasta nalot dywanowy. Najbardziej zadziwił ich widok szyn tramwajowych, których kilkanaście metrów wybuch wyrwał z podłoża. Sterczały teraz, zadarte ku niebu, pogięte w dziwaczne esyfloresy niczym dwa monstrualne metalowe węże cierpiące na artretyzm.

Przy następnej bramie spotkali młodą dziewczynę, mimo skwaru okutaną po szyję w stary płaszcz i w chustce na głowie. Niosła wiadro wypełnione wodą. Na pytanie o Kaiserstrasse zrobiła dziwną minę i pokazała przed siebie, w kierunku najbliższego skrzyżowania, a potem w prawo. Nie chciała z nimi rozmawiać, chwyciła za pałąk naczynia i zniknęła w podwórzu. Dochodziły stamtąd kuchenne zapachy, świadczące o tym, że w częściowo zrujnowanym domu żyli jacyś ludzie. W widocznych w głębi podwórka drzwiach pojawił się chłopczyk w krótkich, letnich porciętach. Dostrzegłszy uzbrojonych mężczyzn, natychmiast z płaczem pobiegł z powrotem, pewnie do mamy.

Przeszli jeszcze przez chmurę dymu wydobywającego się z płonącego domu. Wyglądał na oszczędzony przez bomby, pożar musiał wybuchnąć niedawno, pewnie za sprawą buszujących w piwnicy szabrowników. Nyczek powiedział, że grasanci przyświecali

sobie zapalonymi gazetami, które, kiedy się dopalały, rzucali pod nogi, nie zważając, że wszędzie walało się pierze z rozprutych pierzyn. Świetny przepis na pożar. Budynek dogasał, z osmalonych okien walił siwy dym, płomieni prawie już nie było widać.

- Ścierwa, nie Polacy tak robią - syknął wściekle Nyczek, patrząc na dymiącą kamienicę. - A gdzie mają mieszkać ci, co przyjadą ze wschodu? Sam mam krewnych pod Tarnopolem. Pisali, że się będą repatriować do Polski, bo pod Sowietami nie da się żyć. W gruzach będą siedzieć? Jakbym takiego gada dorwał, to...

Nie dokończył, tylko nerwowo zarepetował mausera, aż Jan się wystraszył, że chłopak z tej wściekłości może wygarnąć do pierwszego z brzegu przechodnia. Na szczęście na ulicy nikogo nie było, choć Korzycki dałby sobie głowę uciąć, że są obserwowani. Mijali po drodze sporo częściowo zabitych dyktą okien, za którymi coś się ruszało. Niemcy siedzieli w mieszkaniach i widać woleli nie wychodzić na ulicę. Z pewnością bali się szabrowników i sowieckich żołnierzy.

Po kwadransie dotarli do wskazanego skrzyżowania, skąd skręcili w prawo w, jak wynikało z tabliczki na pogiętym słupie, Piastenstrasse. Pierwsze domy po obu stronach ulicy, oszczędzone przez bomby, zachowały się całkiem dobrze, jeśli nie liczyć zerwanych dachów i postrzelanych ścian. Następnym, które powinny stać za poprzeczną ulicą, Fiirstenstrasse, po prostu nie było.

Nie zobaczyli też żadnych ruin ani wypełnionych gruzem lejów po bombach. Przed nimi rozciągał się rozległy plac, długi na blisko dwa kilometry, szeroki na co najmniej kilkaset metrów. Daleko po prawej widzieli pylony wiszącego mostu przechodzącego przez Odrę oraz, po jego lewej, grupę długich, kilkupiętrowych budynków. Pas wolnej od zabudowy przestrzeni miał kształt wydłużonego trójkąta, węższego od strony północnej, szerszego od południowej. Na skraju pustaci leżały niskie przyzmy gruzu, których widocznie nie zdążono uprzątnąć.

Teren został starannie wyrównany i pokryty w części asfaltem, w części zaś ubitym ceglanym tłuczniem. Korzycki, z trudem wierząc własnym oczom, spojrział na plan Nyczka - wynikało z niego, że między dwiema odnogami Odry prawie bez śladu zniknęło kilka gęsto zabudowanych ulic, promieniście odchodzących od położonego w połowie Kaiserstrasse ronda, Scheitniger Stern, tak jakby setki stojących tu niegdyś domów zostało wbitych w ziemię gigantycznym kafarem, a ich resztki rozgnieciono i wyrównano walcami.

Przez parę minut w milczeniu spoglądali na upiorną ceglaną pustynię. Nikogo na niej nie widzieli, jedynie wiatr czasem podrywał tuman czerwonego miału.

- Nie widziałem tego jeszcze, ale mówili mi, że tak to właśnie wygląda - odezwał się

w końcu Ernest. - Tutaj miało być lotnisko. Myśleli, że Hitler przyśle im pomoc samolotami. Zapędzili tu jakieś pięćdziesiąt tysięcy luda, także kobiety i dzieci, i kazali rozwalić całą dzielnicę. Taki był rozkaz tego sukinsyna, gauleitera Hankego. Saperzy wysadzali domy, a ludzie wywozili gruz i wyrównywali grunt. Jak się Rusczy zwiedzieli, to urządzili im tu piekło, walili z armat, a ich piloci szyli z karabinów maszynowych do robotników jak do kaczek. Mówią, że zginęło ze dwadzieścia tysięcy, nie tylko Niemców, ale i sporo naszych, z robót przymusowych. A najlepsze jest to, że żaden samolot ani tu nie wylądował, ani stąd nie wystartował. Czyste niemieckie szaleństwo.

I to w najlepszym wydaniu - pomyślał Korzycki, patrząc na widoczne po drugiej stronie lądowiska domy. Mocno oberwały od bomb, na żadnym nie ostał się choćby fragment dachu.

Zauważył, że na długich budynkach stojących na nabrzeżu obok mostu pracują jacyś ludzie. Widział sylwetki w roboczych kombinezonach, siedzące okrakiem na dachowych belkach i najwyraźniej kładące nowe poszycie. Ci pilnie uwijający się robotnicy, z oddali podobni do mrówek, w powszechnej martwocie wyglądali nierealnie jak widma fatamorgany.

- Ani chybi nasi wzięli się do politechniki - wyjaśnił Nyczek. - Podobno nie jest tak bardzo zniszczona.

- Dobra, nie ma co tu tak sterczeć - odezwał się milczący do tej pory Walczak. - To właściwie gdzie będzie ten posterunek?

\* \* \*

Odpowiedni lokal znaleźli na rogu Stern i Piastenstrasse. Przedtem musiała być tam knajpa, o czym świadczyły resztki postrzelanego szyldu z nieczytelną nazwą, wiszącego pod daszkiem podpartym jedną śmieszłą kolumnką w musztardowym kolorze. Drzwi zostały wyłamane, leżały w środku, a pomieszczenia nosiły aż nadto widoczne ślady pobytu sowieckich żołnierzy. Stoły zwalono na kupę pod ścianą, krzesła połamano, kran z piwem wyrwano z kontuaru wraz z rurami. Pewnie żołdaci wściekli się, bo był suchy. Podłogę pokrywała gruba warstwa szkła po potłuczonych butelkach i porcelanowe skorupy po filiżankach i talerzach, przemieszane z resztkami podartych plakatów z hitlerowską propagandą. Na ścianach wisiały podziurawione landszafty z sielskimi widoczkami. Nad barem widniał jaśniejszy kwadrat popstrzony śladami po kulach, pewnie po portrecie Fihrera Tysiącletniej Rzeszy, do którego jakiś czerwonarmiejec wygarnął z pepeszy. Mimo znacznej dewastacji lokal miał wiele zalet - wysoko położone, łatwe do przesłonięcia okna, stosunkowo wąskie drzwi, które bez trudu dałyby się zabarykadować knaj pianymi stołami, niezniszczony bar z kranem. Jan ze zdziwieniem odkrył, że leciała z niego woda. Na zapleczu

znajdowało się kilka pomieszczeń nadających się do przystosowania na zbrojownię i biuro, a także wielka kuchnia. Bezcenne okazały się schody prowadzące do obszernej piwniczki - co prawda nie znaleźli w niej nawet jednej niestłuczonej butelki, ale za to idealnie nadawała się na areszt.

Porządki zaczęli od podłogi. Zmiotli zalegające na niej szkło i resztki zgruchotanych naczyń, wyrzucając śmieci na ulicę. Połamane krzesła zanieśli do kuchni, gdzie - prócz dwóch gazowych - stał jeden piec węglowy. Mieli teraz na czym gotować. Z części zwalonych na kupę stołów wykonali coś w rodzaju osłaniającej wejście prowizorycznej barykady. Walczak, który okazał się z zawodu stolarzem, obiecał, że do wieczora osadzi z powrotem wywalone z zawiasów drzwi. Korzycki uporządkował kontuar baru, postanawiając, że miejsce to będzie pełnić funkcję tymczasowego biura. W jednej z szuflad znalazł częściowo tylko zapisany zeszyt - niemiecki barman odnotowywał w nim ilość przyjętego towaru. Idealnie nadawał się, po wydarciu kilku kartek, na książkę meldunkową. Był i kopiowy ołówek, a także wieczne pióro, choć całkiem wyschnięte.

Nyczkowi nie dawała spokoju piwniczka. Schodził do niej kilka razy i starannie oglądał ściany, jakby nie mógł uwierzyć, że Sowietci wymietli ją do czysta. Słyszeli, jak tam uparcie stukał i pukał. W końcu wystawił głowę zza drzwi i zawołał radośnie:

- Chodźcie, znalazłem!

Okazało się, że w podłodze piwniczki znajdował się zamaskowany właz prowadzący do schowka. Ktoś w nim ukrył wcale okazałą baterię trunków w poręcznych skrzynkach - francuskie koniaki i wina, sporo sznapsa i wódki. Ale Ernesta najbardziej ucieszyło blisko dwadzieścia dwulitrowych butelek spirytusu.

- Bo w tym Breslau to pieniądze na nic, figę za nie kupisz, poza tym Niemcy mają tylko hitlerowskie marki, do podtarcia tyłka dobre. Spiryt to teraz najlepsza waluta, wszystko na gramy przeliczysz. Za ten skarb będziemy żyli jak królowie.

- A skąd ty wiedział, że ten Szwab miał taką kryjówkę? - zapytał Walczak.

Chłopak roześmiał się i mrugnął szelmowsko.

- Knajpiarz to knajpiarz, nieważne, Polak, Niemiec czy Żyd. Obok ojcowego warsztatu była karczma Szmula Pereca, przed wojną oczywiście. Czasem brał mnie do pomocy, jak miał dużo gości, na posyłki byłem. Żydzisko nikomu nie ufało, ale mnie jakoś lubił. Też miał skrytkę z wyborowymi trunkami i kiedy aptekarz z rejentem przychodzili na obiad, to im stamtąd najlepszą starą przynosiłem. Oczywiście, przedtem Szmul kazał mi przysiąc na Najświętszą Panienkę, że nikomu o niej nie powiem. Kiedy go pytałem, po co mu taki schowek, powiedział, że to na wypadek, gdyby go okradli lub spalili. Miałby z czym



zaczynać od nowa. Nie zaczął, bo go razem z jego Salcią i bachorami wywieźli, ludzie mówili, że do Belżca. Skrytki Niemcy nie znaleźli, a co tam było, wyniosłem potem chłopakom do lasu.

Westchnął ciężko i sięgnął do wnęki. Wyciągnął ze skrzynki dwie butelki trzygwiazdkowego koniaku, ale Walczak wołał wódkę.

- Dopiero wieczorem - zastrzegł Korzycki. - Teraz jest jeszcze robota. Musimy skombinować jakieś łóżka albo chociaż materace. Inaczej będziemy spać na gołej podłodze.

Nycek z Walczakiem poszli sprawdzić mieszkania w domach po przeciwnej stronie ulicy. Wrócili nie tylko z materacami i kocami, ale też skrzynką z narzędziami. Bardzo się przydała przy następnych remontach. Potem Jan wziął się do pisania pierwszego dziennego meldunku, Walczak do wstawiania drzwi, a Nycek - pitraszenia. W kuchni znalazło się sporo kaszy i trochę ryżu. Sowievi, spragnieni wódki, wzgardzili tą nędzną zdobyczą. Dzięki temu kapral mógł ugotować gęsty krupnik okraszony konserwą z przydziału. Na podpałkę zużył dwa krzesła.

- Sukinkoty wytlukli wszystkie talerze - powiedział, stawiając na barowym kontuarze parujący garnek z zupą. - Jutro coś skombinuję. Na razie pojemy jak na wsi, z jednego saganka.

Nie mieli nic przeciwko temu, bo dochodziła czwarta i zdążyli porządnie zgłodnieć. Korzycki zagryzał krupnik komiśniakiem i zastanawiał się, co dalej powinni zrobić. Dzielnica wyglądała na prawie bezludną, ale mogły to być pozory. Z pewnością w okolicznych, na oko mało zniszczonych, domach znajdowało się sporo Niemców. Nie wiadomo, czy i na ile groźnych. Słyszeli co prawda strzały, ale dość odległe, od południa, zza rzeki. W najbliższym sąsiedztwie zaimprovizowanego posterunku zdawał się panować spokój, ale Jan był zbyt wytrawnym konspiratorem, aby nie zdawać sobie sprawy, że w rzeczywistości sprawy mogły wyglądać zupełnie inaczej. Skąd miał wiedzieć, czy w sąsiedniej piwnicy nie siedzą zamelinowani esesmani? Nie wiedział, bo na dobrą sprawę nic nie wiedział poza tym, że był w obcym, zrujnowanym mieście i jadł krupnik. Zaśmiał się do tej idiotycznej myśli na cały głos, aż tamci spojrzeli na niego zdziwieni. Zastanawiał się, czy dziś jeszcze wysłać chłopaków na patrol, po namyśle doszedł jednak do wniosku, że lepiej dać sobie spokój. Zbliżał się zmierzch i sensowniej było poświęcić pozostałe godziny dnia na lepsze zabezpieczenie posterunku.

Po posiłku rozwalili kilka stołowych blatów i uzyskanymi tym sposobem deskami zastawili okna, aby je zabezpieczyć przed granatami. Między deskami zostawili szpary na dwa palce, by móc obserwować teren i w razie potrzeby prowadzić ostrzał. Także w drzwiach

Walczak wyciął dwa wąskie poziome otwory. Gdy zapadł zmierzch, dawna knajpa zmieniła się w zupełnie przyzwoicie obwarowaną fortecę.

Korzycki postanowił, że w nocy będą trzymać wartę. Rzucili losy i jemu wypadła pierwsza kolejka. Walczak i Nyczek położyli się na skombinowanych materacach w dawnym kantorku właściciela knajpy, który zamienili na tymczasową sypialnię. Już po chwili dobiegło stamtąd gulgocie otwartych flaszek, a potem potężne chrapanie.

On też sobie nie krzywdował. Popijał oszczędny łykami koniak, chodził po sali restauracyjnej i wyglądał na zewnątrz przez szpary. Dookoła panowały egipskie ciemności, jeśli nie liczyć domu, który kilkaset metrów dalej palił się na Sternstrasse. Od paru godzin gorzał jasno niczym pochodnia, widać dogasający ogień znalazł sobie nową strawę. Blask dochodził aż na skrzyżowanie z Piastenstrasse.

Jan nie zapalał światła, nie chcąc zwracać niczyjej uwagi, zwłaszcza że słyszał strzały. Od północy, i to całkiem blisko, kilka ulic dalej. Wyglądało to wręcz na regularną nocną bitwę: walono z karabinów i broni maszynowej. Pukanina zaczęła się o jedenastej i trwała prawie godzinę, potem raptownie ucichła, jak ucięta nożem.

Wsluchiwał się w odgłosy martwego miasta i zastanawiał się, co dalej robić. Właściwie powinien być wdzięczny losowi - oto, dzięki Kuligowskiemu, z tropionej zwierzyny sam stał się myśliwym. Reguły gry w powojennym świecie przypominały ruletkę. Zwłaszcza tu, w Breslau, królował przypadek. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że bieg zdarzeń wcale nie był zdeterminowany i że dlatego on sam wciąż ma szansę. Kto wie, być może, jeśliby jakimś cudem odnalazł tajnego komendanta Werwolfu, nowa władza okazałaby mu łaskę. Może komuniści naprawdę ogłoszą amnestię dla zaplutyh karłów reakcji i pozwolą im na życie w tym ich nowym, rzekomo demokratycznym państwie. Ale czy rzeczywiście chciał służyć czerwonym? Ludziom, którzy zabrali jego kraj? Bo w końcu to, co się działo, nie było przecież niczym innym jak wielką europejską kradzieżą. Sowietów jeszcze w trzydziestym dziewiątym zrabowali połowę Polski, na spółkę z Niemcami. Teraz, kiedy wygrali, nie mają zamiaru nic oddawać, a okradzionemu proponują rekompensatę na pokonanym przez siebie drugim złodzieju. Ale i tę pozostawioną przez Stalina połowę Polski ukradli jego pomagierzy i agenci, głosząc się jedyną prawowitą władzą. Dla takich jak on nie zostało już nic.

Mają rację ci, którzy mówią, że wszyscy kradną - pomyślał i popił koniaku. Polska to kraj złodziei, i to durnych złodziei, bo im ten odzyskany w osiemnastym roku śmietnik ukradziono. Czy ludzie o tym wiedzieli? Taki Nyczek na przykład. Sam się zgłosił na milicję, nie musiał przecież uciekać na zachód, bechowców bezpieka nie ruszała. Czy ten chłopak

wiedział, że skradziono mu ojczyznę? Albo Walczak. Ten z pewnością miał w dupie, kto kogo i z czego okradł. Sam zamierzał robić to samo, przyjechał tutaj, aby się obłowić na tym doklejonym do resztek Polski kawałku Niemiec, nic więcej go nie obchodziło. I kto wie, czy on i od niego podobni nie są w kategoriach tego nowego złodziejskiego świata najmądrzejsi.

Koniak palił w gardle i przyjemnie rozgrzewał. Był równie dobry jak ten, który ojciec trzymał w bibliotece, za Encyklopedią Britannica, zawsze z tego powodu lekko wysuniętą z półki. Ciekawe, co zostało z ich mieszkania... Czytał w biuletynie, że w tamtym rejonie Warszawy toczyły się ciężkie walki. Pewnie są tam takie same gruzy jak tutaj. Dobrze, że staruszek tego nie oglądał, zmarł rok przed powstaniem, zawsze narzekał na serce. Od matki i siostry Jan miał jeszcze w listopadzie wiadomość, że przeszły przez obóz w Pruszkowie i zdołały przedostać się do Żyrardowa, gdzie zamieszkały u krewnych. Co się z nimi działo teraz, nie wiedział, ale ufał w spryt Aliny. Jego siostra potrafiła sobie w życiu radzić, za okupacji rozkręciła intratny handelek bimbrem, zarabiała lepiej niż przed wojną, gdy uczyła muzyki. Poradzi sobie i teraz, nie to co on, pieprzony żołnierz wolności.

Korzycki zabełtał pękatą butelką i odkrył, że prawie ją osuszył. Cholera, upiłem się na tej warcie - skonstatował. Postanowił, że raz kozie śmierć, wypije do końca. Też w końcu choć raz mógł mieć wszystko w dupie, a co? Najwyżej go zastrzelą, wszystko jedno kto, czy dziś Niemcy czy jutro ubecy. Kiedy przelykał ostatnią porcję, usłyszał dobiegające z zewnątrz odgłosy kroków. Ktoś szedł ulicą. Jan drgnął i nagle wytrzeźwiawszy ze strachu, przywarł do wyciętych w drzwiach otworów. W ciemności rozjaśnianej dalekim pożarem zobaczył niewyraźne, pochylone sylwetki. Jacyś ludzie przebiegali przez skrzyżowanie. Taszczyli coś na plecach, wyglądali z tymi garbami jak wielbłądy. Korzycki byłby się roześmiał, gdyby nie bijący od nich metaliczny poblask. Mieli broń.

Przemknęli pod oknami posterunku cicho niczym szczury i pobiegli w stronę pustyni na Kaiserstrasse. Po chwili zniknęli w ciemnościach. Jan patrzył na opustoszałe skrzyżowanie, mrugając oczami. Nie był pewien, czy to wszystko nie było jedynie pijackim zwidem.

Dom w głębi Sternstrasse palił się coraz potężniej, rzucając chybotliwy blask na ruiny.

\* \* \*

Rano okazało się, że Walczak dał nogę z warty, kradnąc broń i dwie butelki spirytusu ze schowka. Korzycki właściwie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń. Sam zdał wartę o pierwszej w nocy Nyczkowi, którego o piątej zmienił Walczak. Kiedy obudzili się o ósmej, stolarza już nie było.

- Kurde, ten skurczysyn też przyjechał na szaber - powiedział z goryczą chłopak. - Jak

tak dalej pójdzie, za miesiąc z tego miasta zostaną tylko gruzy. Nawet jeden garnek tusię nie uchowa.

- Dobrze, że zostawił żarcie - zauważył Korzycki. Siedzieli w kuchni przy śniadaniu złożonym z komiśniaka smarowanego zawartością puszek. Pili też herbatę, którą Ernest miał zachomikowaną. Chłopak przejawiał zdumiewające zdolności aprowizacyjne, zdołał gdzieś wygrzebać puszkę marmolady z wiśni, której użyli jako cukru. Ponieważ nie zanościło się na to, że komenda miejska przypomni sobie o nich w najbliższym czasie, Jan postanowił wysłać chłopaka z meldunkiem. Nyczek od razu zaproponował, że weźmie trochę spirytusu i zrobi zakupy na Matjasie, bo też nie podejrzewał, by szybko dostali zaopatrzenie. W Breslau każdy musiał troszczyć się o siebie sam. Tyle już obaj zrozumieli.

Wyruszył po dziewiątej, zaopatrzonego w wielki worek na dobra z Matjasu. Korzycki został sam. Nic się nie działo, jeśli nie liczyć krótkiej wymiany ognia w rejonie Bischofswalde. Pojedyncze, dobiegające z daleka strzały słyszał zresztą cały czas. Napisał w książce meldunkowej notatkę o dezercji Walczaka, po czym zabrał się do czyszczenia parabelki. Nic więcej do roboty nie potrafił sobie wymyślić. Placówka z tak zredukowaną obsadą nie miała najmniejszego sensu, dlatego w meldunku, który zaniósł chłopak, prosił o dodatkowych ludzi. We dwóch z Nyczkiem mogli co najwyżej otworzyć knajpę, na pewno nie posterunek.

Kiedy koło południa zastanawiał się, czy nie opuścić na chwilę lokalu, aby w okolicznych mieszkaniach poszukać czegoś do czytania, bo po raz czwarty czyścić broni mu się nie chciało, ktoś cicho zastukał do drzwi.

Na ulicy stał młody człowiek w czapce maciejówce i jasnym prochowcu, wysoki brunet o pociągłej, bladej twarzy i ostrych, spiętych rysach. Pod pachą trzymał podniszczoną skórzaną teczkę, wyglądał jak inkasent z gazowni. Sęk w tym, że w Breslau nie było gazu.

Korzycki ostrożnie uchylił drzwi, trzymając w ręce odczyszczony i zarepetowany pistolet. Patrzył ponad głowę przybysza na okoliczne bramy i okna, wietrząc zasadzkę. Facet sprawiał wrażenie niegroźnego, ale cholera wie, co zamierzał. Może w pobliżu czaili się jego kumple z Werwolfu.

- Nazywam się Bronek Kluska i przysyła mnie pan Bucholtz, pan wie, Heinz Bucholtz. - Mówił co prawda po polsku, ale z twardym niemieckim akcentem. - Do pomocy i w celu udzielenia wszelkiej informacji.

Skryty częściowo za drzwiami Korzycki przyjrzał mu się uważnie. Mimo tej prezentacji mężczyzna w prochowcu wciąż nie wzbudzał specjalnego zaufania.

- Właż, ale łapy trzymaj w górze, tak żebyś je dobrze widział - powiedział w końcu

Jan, odsuwając się, aby zrobić mu przejście.

Gdy tamten, z posłuszenie podniesionymi rękami, znalazł się w środku, natychmiast postawił go pod ścianą i obszukał. Nie miał broni ani przy sobie, ani w teczce.

- No, co tak stoisz? - Milicjant wskazał mu krzesło, które wczoraj Walczak zdołał złożyć z kilku połamanych egzemplarzy. Tworzyło komplet z secesyjnym szachowym stolikiem, przy którym pewnie bywalcy knajpy rozgrywali kiedyś zacięte partie.

Kluska usiadł i rozejrzał się krytycznie po pomieszczeniu.

- Mogę załatwić parę krzeseł, a także kobiety do sprzątania - oznajmił. - Brudno tu bardzo.

- Nie ja nabrudziłem - odgryzł się Korzycki, choć bezceremonialna rzeczowość tamtego nieco go zaskoczyła. - Powiedz mi raczej, coś ty za jeden i jak mnie znalazłeś.

Kluska sięgnął do kieszeni i wyciągnął elegancką srebrną papierośnicę. Nie zdążył jednak zapalić, bo nowo mianowany sierżant wyjął mu ją z ręki i wydłubał ze środka papierosa. Poprzednie fajki zniknęły wraz z Walczakiem, a Nyczek nie palił, choć obiecał, że kupi na Matjasie tytoń. Kilka głębokich sztachów uspokoiło Jana na tyle, że nawet oddał przybyszowi papierośnicę. Choć właściwie nie musiał. Broniek Kluska nie schował jej jednak, tylko położył na stoliku.

- Polak jesteś czy jak?

- Ojciec był z Poznańskiego, matka stądwyjaśnił wysłannik Bucholtza. - Tak naprawdę to nazywam się Bronislaus Kloska, ale Kluska lepiej brzmi. Przynajmniej w tych czasach. A jak was znalazłem?... Już od wczoraj wiemy, że tu się urządziliście.

No proszę, jaki szczyry - pomyślał Korzycki. Pan Broniek przy bliższym poznaniu sporo zyskiwał. A przynajmniej starał się sprawiać takie wrażenie.

- No i jakie wieści ma dla mnie pan Bucholtz? - Sam usiadł po drugiej stronie stolika, w wygodnym fotelu, w którym kiedyś wygrzewał swój zapewne należycie tłusty zadek niemiecki restaurator. Sołdaci oszczędzili go, porznęli jedynie obicia bagnetami.

Mężczyzna sięgnął do skórzanej teczki i wyciągnął pomietą zadrukowaną kartkę.

- Wczoraj na mieście ukazała się nowa ulotka. Pan poczyta.

Wydrukowany po niemiecku tekst głosił: „Śmierć sowieckim i polskim okupantom! Każdy Niemiec, który okaże w jakikolwiek sposób pomoc najeźdźcom, zostanie z mojego rozkazu rozstrzelany. Niemcy, sabotujcie polecenia okupantów, utrudniajcie działania ich władz i urzędów. Walka trwa. Pozostańcie wierni, nie wszystko stracone. Niedługo nadejdzie chwila, kiedy powstaniemy i zapłacimy im za nasze krzywdy. Komendant Festung Breslau”.

- W sumie nic nowego - zauważył Korzycki, rozpościerając kartkę na stoliku - poza

tym wezwaniem do powstania. Ciekawe, jak on sobie wyobraża walki w tych gruzach, z kobietami i dziećmi jako główną siłą zbrojną.

- My sobie tego nie wyobrażamy - odparł Kluska. - Tego niebezpiecznego szaleńca trzeba jak najszybciej ująć. Ludzie są zdesperowani, skończyły im się zapasy z oblężenia, wielu głoduje. Jak się poczują przyparci do muru, to nie wiadomo, co zrobią.

- Jak to nie wiadomo? Pójdą z pięściami na sowieckie czołgi i zostaną zabici. - Jawne szyderstwo w głosie Jana nie zrobiło na tamtym wrażenia. - Trupy nie są głodne ani spragnione. Co jak co, ale to Niemcy doskonale wiedzą. Sporo ćwiczyli na wschodzie.

- Proszę pana, my chcemy współpracować. Ani wam, ani nam nie jest potrzebna kolejna masakra. Przecież wojna się skończyła.

Kluska sięgnął po papier, jakby chciał go zabrać, ale Korzycki go powstrzymał. Jeszcze raz przyjrzał się ulotce. Wyglądała na bardzo porządnie wydrukowaną, na profesjonalnej maszynie, a nie jakimś spirytusowym powielaczem.

- No dobra, co właściwie wiecie o tym... komendancie?

- Niezbyt wiele. Krąży mnóstwo pogłosek, ale nie wiadomo, czy mają coś wspólnego z prawdą. Powiada się, że komendantem jest Ortsgruppenleiter, to znaczy szef obwodowej grupy partii nazistowskiej. To możliwe, bo o paru z nich nic nie wiemy, rozplłynęli się w powietrzu, zupełnie jak Gauleiter Hanke. Jeśli nie uciekli w Sudety, to zeszli do podziemia i działają w Werwolfie. Inni jednak mówią, że to jeden z ukrywających się lokalnych dowódców SS, wcale przez Hankego nie wyznaczony, który sam się ogłosił komendantem. Niezależnie od tego, kim jest ten człowiek, jedno nie ulega wątpliwości: to fanatyk, który przed niczym się nie cofnie. Jest groźny dla was i dla nas.

Tego akurat Kluska vel Kloska nie musiał mu tłumaczyć. Korzycki zastanawiał się, jak właściwie miał dorwać tego drania. Przebywał dopiero drugi dzień w obcym mieście, na dodatek zamienionym w kupę gruzów. Gdzieś tam, pod ruinami, w jednej z setek piwnic, siedział sfanatyzowany nazista, tłukący na prasie swoje ulotki i nasyłający zabójców na kolaborantów. Pewnie pomaga mu ściśle zakonspirowana grupka. Jak znaleźć tych ludzi w zburzonym, ogarniętym chaosem mieście zamieszkanym przez wrogą ludność? Jan doskonale pamiętał z doświadczenia, że wytropienie takiej organizacji jest niezwykle trudne, trwa miesiącami i jeśli się udaje, to najczęściej dzięki przypadkowi. Gestapo najskuteczniej pomagali zdrajcy i donosiciele. To przez donos wpadła jego komórka i cztery miesiące przed powstaniem musiał uciekać do lasu. Może dzięki temu kapusiowi jeszcze żyję - przemknęło mu przez głowę. Dużo później dowiedział się, że koledzy z jego sekcji, którzy uniknęli aresztowania i zostali w mieście, walczyli na Starówce. Żaden nie przeżył.

Spojrzał na bladą twarz pana Bronka. Tamten naprawdę się bał. Widział to po jego niespokojnych, myszkujących oczach i napiętych rysach. Jan nie miał pojęcia, jak mu pomóc. Nie wiedział nawet, co znajduje się za rogiem. To miasto było jak afrykańska dżungla - gęstwina ruin i pogiętych żelbetów, a gdzieś w niej ukryci w piwnicznych dziurach dzicy, tyle że z karabinami zamiast dzid. Będzie musiał ją poznać, nauczyć się jej jak żeglarz nieznanego morza, rozpoznać rafy, płycizny i przyjazne zatoki. Zajmie mu to miesiące, może lata. O ile będzie mu dane tyle czasu. Koledzy porucznika Kamana w końcu go tu wytropią, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. A wtedy znowu stanie się ściganą zwierzyną.

- Nie wiem, co zrobić z tą sprawą. Obsada posterunku składa się ze mnie i jeszcze jednego człowieka. Posłałem go właśnie po wsparcie. Nawet gdy je dostanę, przede wszystkim zajmiemy się zabezpieczaniem najbliższej okolicy. Nie mam w tej chwili żadnych możliwości, aby zająć się tropieniem tego waszego „komendanta”. To byłoby działanie po omacku, jak macanie stogu siana w poszukiwaniu igły. Musiałbym mieć jakiś konkretny punkt zaczepienia, a nie niesprawdzone pogłoski. Ta jego grupa wygląda mi na doskonale zakonspirowaną, skoro nikt o niej właściwie nic nie wie. Gdyby jednak coś się pojawiło...

Słyszając ostatnie słowa, Kluska wyraźnie się ożywił.

- To znaczy, gdyby pojawił się ten „punkt zaczepienia”, to...

- Każdy popełnia błędy. - Jan sięgnął do papierośnicy, którą przybysz zostawił otwartą na stoliku, i bez krępacji wyjął jeszcze jednego papierosa. - On też go w końcu popełni. Im siatka konspiracyjna dłużej działa, tym większa szansa, że zdarzy się wpadka. Dajmy mu szansę się wykazać.

- Ale znowu zginą ludzie!

Korzycki zachnął się, ale jednocześnie zastanowił, na ile ten deklarowany humanitaryzm Kluski jest szczery. Tak naprawdę chodziło mu o własny tyłek. Jako czołowy działacz Vereinigung Deutscher Antifaschisten stanowił doskonały cel dla zabójców komendanta.

- Jesteśmy w Breslau - przypomniał, patrząc młodzieńcowi twardo w oczy. - Tu szczury tuczają się na trupach jak wieprzki. Powinniście przywyknąć. My w Polsce przywykliśmy.

Jego gość zrobił kwaśną minę, ale nic nie odpowiedział. Widocznie nie tego się spodziewał. Wstał i przez chwilę niepewnie patrzył na leżącą na stoliku papierośnicę. Korzycki zauważył jego wahanie. Wytrząsnął z puzderka kilka papierosów i wcisnął mu cenny przedmiot do ręki.

- Nie wszyscy Polacy to złodzieje - mruknął. - A kobiety do sprzątanias proszę

przysłać.

Po odejściu Kluski przez godzinę nic się nie działo, jeśli nie liczyć paru odległych detonacji niewypałów i zawalenia się budynku, który w nocy palił się na Sternstrasse. Widocznie ogień przeżarł belki stropowe i w końcu runęły podłogi. Korzycki uchylił drzwi i miał z głębi knajpy dobry widok na skrzyżowanie, szczególnie na północną część Piastenstrasse, gdzie zachowało się sporo budynków. Na pustych do tej pory ulicach po południu zaczął się ruch. Pojawili się mieszkańcy, początkowo na zagruzowanych chodnikach pokazali się pojedynczy przygarbieni starcy, przemykający pod murami z tobołkami pod pachą, potem przeszły trzy dostojne Frauen w chustach i welwetowych kostiumach. Trzymały w rękach torby, a jedna targała zegar ścienny z kukułką. Zapewne wybierały się na targ na Matjasie. Zjawiły się nawet jakieś dzieci, z ruin dobiegły przenikliwe krzyki. Chyba chłopcy bawili się w żołnierzy.

Zobaczył też innych ludzi, nie wyglądających na breslauerów. Z głębi Sternstrasse nadeszło czterech mężczyzn. Brudni, zarośnięci, w podartych i poplamionych marynarkach szli zwartą grupą, obrzucając okolicę badawczym spojrzeniem. Czasem zatrzymywali się w bramach zrujnowanych domów, zaglądali do środka, pokazywali palcami i dyskutowali między sobą, jakby oceniając, czy rzecz jest warta zachodu. Nie śpieszyli się, najwyraźniej pewni swego. Korzycki zastanawiał się, czy im się nie pokazać, tak profilaktycznie, ale po namyśle uznał, że to głupi pomysł. Był sam, a tamci mogli być uzbrojeni. Poza tym nie widział, aby kolesie szabrowali, nie mieli nawet worków.

Najwyraźniej tylko się rozglądali, wybierając teren przyszłej eksploracji.

Szabrownicy skręcili w Piastenstrasse i poszli w kierunku lotniska. Widocznie spodziewali się sutego łupu w gruzach pozostałych na obrzeżach placu. Na częściowo zamieszkanym ulicach bali się grabić, przynajmniej za dnia. Z tą swoją sprytną, zwierzęcą aktywnością przypominali Janowi miejscowe szczury - też ogryzali trupa Breslau, szukając co smakowitszych kąsków. Po namyśle uznał nawet, że w kategoriach teorii Darwina postępowali jak najbardziej racjonalnie, zajmując najlepszą pozycję w toczącej się walce o byt. Im kto sytuował się bliżej zwierzęcia, tym większe miał szanse na przetrwanie.

Godziny czerwcowego, upalnego dnia ciągnęły się niemiłosiernie. Korzycki popatrywał na skrzyżowanie, na dreptających za swoimi sprawami Niemców i popijał zimną herbatę, którą zostawił mu Nyczek. I nudził się niemiłosiernie, bo zupełnie nic się nie działo, nawet strzelać przestali. Z tych nudów wypił trochę koniaku z nowej butelki, ale wiedział, że nie może się upić. Przez chwilę wydawało mu się, że siedzi w kawiarni gdzieś na Nowym Świecie i zaraz podejdzie kelnerka, aby zapytać, czy nie chce drugiej lampki. Przymknął



oczy, usiłując przywołać w pamięci obraz miasta, którego też już nie było. I z zaskoczeniem odkrył, że mu się nie udało. Tamten obraz przyblakł i wydawał się tak nierealny, jakby wyjechał z Warszawy przed wieloma laty, a nie zaledwie przed rokiem.

Z zamyślenia wyrwał go nagły hałas. Ktoś awanturował się na ulicy, tuż przed knajpą. Jan podniósł się i ostrożnie wyjrzał przez drzwi. Na placyku po drugiej stronie Piastenstrasse szarpało się ze sobą dwóch mężczyzn. Niski, chudziutki staruszek z bródką w zaokrąglony szpic, dziwnie podobny do Janusza Korczaka, ubrany w nieco za obszerny tużurek, bronił się przed atakiem barczystego faceta w podartej kufajce bez rękawów. Napastnik złapał staruszkę za kołnierz marynarki i potrząsał nim jak gruszą. Jego ofiara krzyczała niewyraźnie po niemiecku, coś o tym, że zegarek już oddała. Bandzior nie rozumiał lub nie wierzył, bo targał nieszczęsnym dziadkiem coraz mocniej, przeklinając po polsku i rosyjsku, aż Korzycki przestraszył się, że złamie mu kark. Otworzył więc kaburę i kładąc dłoń na kolbie pistoletu, wyszedł przed knajpę.

- Daj mu spokój, on nie ma zegarka! - krzyknął do kufajkowca.

Szabrownik zamarł, po czym obrzucił go wrogim spojrzeniem. Opaska z napisem MO nie uczyniła na nim specjalnego wrażenia.

- Czego się wtrącasz? - warknął. - Nie wtykaj nosa, gdzie nie trza, bo ci go przytrzasną! Też mi się gieroj znalazł!

Korzycki uśmiechnął się krzywo i lekko wysunął parabelkę z kabury. Tamten zobaczył ten wymowny gest i z niechęcią puścił starca, który zachwiał się i nie mogąc się utrzymać na nogach, przykucnął gwałtownie. Szabrownik wytarł ręce o poły kufajki, jakby miał do czynienia z czymś wyjątkowo obrzydliwym, po czym obrzucił milicjanta nienawistnym spojrzeniem.

- Też mi się kochaś Niemiaszków znalazł! - syknął. - Jeszcze się spotkamy, frajerze, Breslau to mały grajdół. Drugim razem nie dam się zaskoczyć.

Złapał za leżący na ziemi worek i obróciwszy się na pięcie, poszedł Sternstrasse w kierunku Starego Miasta. Korzycki obserwował go dłuższą chwilę, a potem zajął się starcem, który wciąż nie mógł ustać na własnych nogach. Ujął go pod ramię i zaprowadził do knajpy, tam posadził przy stoliku i poczęstował koniakiem. Niemiec był tak rozdygotany, że nie mógł trafić kubkiem do ust.

- Danke - powiedział, upiwszy łyk.

- Może pan iść? - spytał Jan po niemiecku. - Daleko pan mieszka?

Staruszek pokręcił głową na znak, że niedaleko. Upił jeszcze jeden mały łyk i widać było, że poczuł się znacznie lepiej. Rozejrzał się nawet z ciekawością po lokalu, w którym

pewnie kiedyś bywał na kawie. Jego wzrok na moment zatrzymał się na ścianie nad barem, gdzie wisiał portret Hitlera.

- To ja już pójdę. - Podniósł się z krzesła. - Ja naprawdę nie mam zegarka. Sowieccy żołnierze zabrali mi go zaraz na początku.

- Wierzę panu. - Korzycki odprowadził go do drzwi. Wyrzwał na zewnątrz, chcąc mieć pewność, że kufajkowiec zniknął na dobre.

Starzec pożegnał się i poszedł wzdłuż Piastenstrasse w stronę grupy ocalałych kamienic. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymał się i zaczął rozmawiać z trzema kobietami, które zmierzały do skrzyżowania. Coś im tłumaczył i pokazywał przy tym na knajpę. Kobiety pokiwały głowami i poszły prosto ku wciąż stojącemu w drzwiach Janowi.

Przewodziła im Frau Mueller, jak się przedstawiła starsza, ale energiczna niewiasta, której bez szemrania słuchały dwie młodsze, czterdziestoletnie panie, Frau Recke i Frau Ziegler. Oświadczyły, że przysłał je Herr Kloske w celu wykonania prac porządkowych. Nim Korzycki zdążył ochłonąć ze zdumienia, zniknęły na zapleczu, a po chwili pojawiły się przebrane w robocze chałaty, zakasały rękawy i zabrały się do sprzątania. Wydobyły z jakiegoś zakamarka miotły, wiadra i szmaty, nagotowały wody w kuchni i zaczęły zmywać podłogi i pucować ocalałe meble, wyrzucając na ulicę wszystko to, co było zepsute i zniszczone. Pracowały w milczeniu, z istic niemiecką metodycznością. Wolał się wynieść na ulicę, przepędzony szuraniem mioteł i oparami ze zmywanych wrzątkiem podłóg.

Nyczek zastał go opartego o podpierającą daszek nad wejściem musztardową kolumnienkę i palącego ostatniego zarekwirowanego Klusce papierosa. Poszukiwacz przygód z Jędrzejowa przybył sam, za to z wypchanym furazem plecakiem.

- Żarcia dali dość, ludzi nie, bo nie mają - zaraportował. - Przez jakiś czas mamy sobie radzić sami.

- Wiśta wio, łatwo powiedzieć. - Korzycki właściwie nie spodziewał się innych wieści. - Masz chociaż papierosy?

- A jakże, dostałem egipskie, z unrowskich paczek. Bardzo się ten spiryt przydał, bo kwatermistrz łajza i kombinator. Ale jak zobaczył flaszkę, od razu się wszystko znalazło.

Ernest otworzył ze zdziwienia oczy, widząc Frau Recke, która wyszła przed knajpę z wiadrem brudnej wody. Jan pokrótce opowiedział mu o Klusce i ekipie sprzątajacej.

- Czemu nie, sprzątaczką na posterunku zawsze się przyda - zauważył chłopak. Na jego zdrowy rozsądek zawsze można było liczyć.

Zjawiała się Frau Mueller i zameldowała, że lokal został z grubsza uporządkowany. Powiedziała też, że jutro może przynieść parę krzeseł z opuszczonych mieszkań, a także

pościel, której panom oficerom najwyraźniej brakuje. Podziękował uprzejmie i nie zważając na pełen oburzenia wzrok Nyczka, dał kobiecie kilogramową konserwę do podziału na wszystkie sprząające.

- Ta puszka też z unryy, z amerykańską wołowiną. Im wystarczyłaby tuszonka albo i sama kasza - burknął kapral.

Lecz Korzycki nie miał ochoty na dyskusję o racjonalnej gospodarce środkami żywnościowymi. Zagonił podkomendnego do przygotowywania obiadu, a właściwie kolacji. Od rana nic nie jadł i jak cholera ssało go w żołądku. Kiedy chłopak smażył w kuchni mięso, on popijał koniak i rozkoszując się egipskim tytoniem, zastanawiał się, po jakie lichu kazano mu założyć ten posterunek. Nie miał przecież żadnych możliwości, aby zaprowadzić w okolicy bodaj pozór prawa i porządku. Nie sądził, aby samą swą obecnością zdołał powstrzymać szaber i rozbój. Nie był w stanie kontrolować terenu nawet w zasięgu wzroku, a w każdej chwili mógł zostać załatwiony przez zaczajonego w ruinach strzelca. Podejrzał, że nie pourzędują tu z Nyczkiem zbyt długo. Wystarczy, że dowie się o nich jakaś działająca w pobliżu banda Werwolfu. Choć akurat „wilkołaki” wydawały się bardziej zajęte tropieniem kolaborantów, jeśli brać na serio drukowane oświadczenia „komendanta”.

Na kolację zjedli kaszę z gulaszem z amerykańskiej puszki. Nyczek naprawdę dobrze ich zaopatrzył. W nagrodę dostał pierwszą wartę. Korzycki zamknął się w sypialni i popijając koniak, w którym zaczął się rozsmakowywać, studiował przy świeczce plan Breslau. Sam właściwie nie wiedział po co, w końcu uczenie się układu ulic, których być może już w ogóle nie było, nie miało większego sensu. Mimo to starał się zapamiętać topografię dzielnic położonych na zachód od lotniska. Potem, zmęczony i lekko pijany, zasnął.

Obudziła go seria ze szmajsera. Tym razem strzelano naprawdę blisko. Przed sobą, w pełgającym płomyku świecy, zobaczył wystraszoną twarz kaprała. Chłopak szarpał go za ramię i krzychał:

- Panie poruczniku, atakują nas! Walą z maszynówek! Akurat przestali. Korzycki dmuchnął na świecę i zarepetował parabelkę.

- Przestań wrzeszczeć. Co się dzieje?

- Już miałem kończyć wartę, kiedy usłyszałem na zewnątrz jakiś rumor. Myślałem, że to szczury buszują w ruinach, ale wtedy poszła seria, prosto w nasze okna. Długa, sukinsyn wywalił z pół magazynka, aż drzazgi fruwały z tych desek, cośmy nimi okna zastawili. Padłem na podłogę i poczołgałem się tutaj. A oni wtedy zaczęli kanonadę, ze trzy maszynki słyszałem.

Jan nie słuchał go, tylko popełził z pomieszczenia służącego za sypialnię do małego

korytarzyka, łączącego pokoje na zapleczu z salą barową. Jeśli tamci planowali atak, uderzą od drzwi wejściowych. Ostrożnie zajrzał do sali restauracyjnej - serie zmasakrowały deski zastawiające okna, przez wielkie dziury wpadało światło księżyca. Tym lepiej - uznał - będzie widać, jeśli wtargną przez drzwi. Czekał z napięciem na atak, wsłuchany w zapadłą nagle ciszę. Słyszał tylko dyszenie Nyczka, który leżał obok, przytulony do kolby mausera. Korzycki wiedział, czego się spodziewać. Najpierw skrzypną drzwi, a potem rozlegnie się grzechot toczącego się po podłodze granatu. Potem błysk, huk i seria do środka.

Nic takiego jednak się nie stało. Po jakimś kwadransie martwej ciszy usłyszeli jedynie rumor potraconych cegieł, widocznie napastnicy zmieniali pozycje. Ale i potem nic się nie działo. Padły jeszcze strzały, lecz nie do nich, dobiegały z daleka. Tak, cały czas czekając w napięciu na atak, dotrwali do świtu. Nikt więcej nie strzelał.

Rano obejrzeni posiekane kulami ściany i sufit. Porządki ekipy Frau Mueller diabli wzięli, podłogę zaścierały grudy odłupanego tynku i resztki postrzelanych desek. W końcu Korzycki odważył się wyjrzeć za drzwi i zobaczył dwie stare Niemki targające jakieś bety w dziecinnym wózku. Zaczynał się kolejny dzień w Breslau. Nocni strzelcy już dawno się ulotnili. Doszedł do wniosku, że chodziło im raczej o postraszenie niż poważny napad, inaczej tak szybko by się nie zwinęli. I pewnie nie był to nawet Werwolf. Najwidoczniej ich obecność w tym miejscu zaczęła komuś przeszkadzać. Kto wie, czy czegoś wspólnego nie miał z tym szabrownik w kufajce, któremu Jan nie pozwolił obrabować staruszka.

- Musimy się porządnie obwarować - powiedział do Nyczka. - Najlepiej byłoby zastawić okna worami z piaskiem, a skoro ich nie ma, to ceglówkami. I zostawić tylko wąskie otwory na strzelnice.

Wysłał go w gruzy, aby poszukał całych cegieł, sam chwycił miotłę. Kiedy wymiatał na ulicę pokruszony tynk, zobaczył zmierzającą w stronę posterunku Frau Ziegler. Kobieta zapytała, czy nie potrzebuje pomocy. Powiedział jej, że przydałoby się trochę cegieł. Spojrzała na niego zaskoczona, ale pomyślała przez chwilę, po czym skinęła głową i odeszła, obiecując, że wróci najdalej za godzinę.

Kiedy Korzycki kończył zamykanie, zjawił się Nyczek. Nie miał ani jednej cegły, za to na plecach targał podłużną skrzynkę z pancerfaustami.

- Znalazłem ją na takim jednym zagraconym podwórku. Jest tam i druga - wysapał. - Tak sobie pomyślałem, że przydałoby się nam trochę artylerii... gdyby znowu przyszli.

W skrzynce znajdowały się trzy doskonale zachowane pancerzownice, te lżejsze, kalibru 101, ale do planowanych celów obronnych nadawały się doskonale. Jan natychmiast wysłał Ernesta po pozostałe. Zastanawiał się, jak wykorzystać tę broń. Doszedł do wniosku,

że najlepiej będzie, jeśli zainstalują pancerfausty w oknach, wsunięte w strzelnice jako rodzaj artylerii fortecznej. Nie mógł jednak zbudować działobitni bez cegieł.

Wtedy, jakby słysząc jego myśli, zjawiła się Frau Ziegler z dwoma kilkunastoletnimi chłopcami, najwyraźniej synami, ciągnącymi ręczny czterokołowy wózek wyładowany po brzegi nowymi ceglówkami. Widać musiała wiedzieć o jakimś jeszcze nietkniętym przez szabrowników składzie budowlanym. Z pomocą kobiety i chłopców Korzycki zastawił ceglami trzy okna knajpy wychodzące na zachód i dwa na północ, zostawiając pośrodku dwa wąskie otwory. W szczeliny tych zaimprovizowanych strzelnic włożył po pancerfauscie, tak aby głowice było widać na zewnątrz. Teraz każdy, kto miałby ochotę urządzić im nocny koncert, musiał się liczyć z odpowiednią ripostą.

Kiedy Nyczek wrócił z drugą skrzynką, aż gwizdnął z podziwu, widząc zabezpieczone ceglówkami i najeżone pancerzownicami okna. Ich posterunek zmieniał się w prawdziwą twierdzę. Kapral nie był już tak zachwycony, kiedy się dowiedział, że Korzycki wycenił starania Zieglerów na dwie puszkunrowskiej wołowiny.

- Pan to niedługo tym Niemkom wszystko odda - stwierdził, przeglądając plecak z zapasami i zarazem dyskretnie rachując pozostałe konserwy. - Jedna by w zupełności wystarczyła.

- Mickiewicz pisał, że Niemcy też ludzie. I muszą jeść.

- A czy wiesz, kiedy to pisał, wiedział, jak ciężko w Breslau o żarcie?

Korzycki roześmiał się, patrząc z satysfakcją na swe dzieło. Jednym z trzech doniesionych przez kaprala pancerfaustów uzbroił okno wychodzące na północ, pozostałe dwa rozmieścił na drugiej linii obrony, czyli na ich wczorajszym stanowisku, przy wejściu na zaplecze. Mogli je stamtąd odpalić, gdyby napastnicy wdarli się przez drzwi do środka knajpy, a potem uciec znajdującym się przy kuchni tylnym wejściem.

Zapłacił Frau Ziegler tak dobrze, bo zamówił u niej coś jeszcze. Kazał jej do wieczora przynieść uszytą polską flagę. Kiedy to mówił, twarz kobiety stężała, ale nie odezwała się ani słowem, poza zwięzłym „Jawohl”. Miał broń, jedzenie, był władzą. A władzy się słucha, a nie się z nią dyskutuje. Dodatkowo polecił jej przynieść kawałek dykty i czerwoną lub czarną farbę. Frau Ziegler spisała się na medal i przed wieczorem w miejscu dawnego szyldu knajpy zawisł wymalowany na dykcie napis „Milicja Obywatelska Posterunek Piastenstrasse”, ozdobiony umieszczoną poniżej białoczerwoną flagą. Jeśli ktoś chciał ich wystraszyć ostatnią strzelaniną, teraz dostał odpowiedź.

Kolejna noc upłynęła spokojnie. Widocznie wczorajsi goście uznali, że na razie wystarczy.

Tak zaczęła się ich służba. Oprócz dyżurów na posterunku próbowali nawet organizować patrole. Korzycki w kantorku na zapleczu znalazł klucze do knajpy - w ciągu dnia zamykali drzwi i wychodzili pospacerować po sąsiednich ulicach. Często Nyczek wybierał się na patrol sam, wyraźnie lubił wałęsać się po ruinach, nie przejmując się niewybuchami i chybottliwymi murami, nie wspominając o snajperach. Niewiele z tych wycieczek wynikało poza tym, że wreszcie zaczęli się orientować w najbliższej okolicy, obszarze o kształcie nieregularnego trójkąta, ograniczonym od południowego wschodu pustynią po Kaiserstrasse, a od północy ciągnącymi się nad Odrą łąkami. W tej dzielnicy ocalało sporo, bo - na oko - około połowy domów. Mieszkali w nich wyłącznie Niemcy. W miarę jak oddalał się koszmar oblężenia i zamykani w koszarach Sowietów zaczęli znikać z miasta, breslauerzy coraz śmielej pojawiali się na ulicach. Po części zmuszał ich do tego głód, gdyż zapasy, które zgromadzili przed zimą, właśnie się kończyły. Jedynym sposobem zdobycia jedzenia był handel. Milicjantom zdarzało się widzieć całe kawalkady starszych ludzi wędrujących z tobołami w kierunku Matthiasstrasse, czyli Matjasu, jak mawiali Polacy. Próbowali przetrwać, sprzedając resztki swego mienia. Wielu tam nie docierało, tracili wszystko, ograbieni po drodze przez bandytów, którzy wyłaniali się spomiędzy ruin niespodziewanie, niczym duchy. Przeważnie byli to Polacy, ale nie brakowało też sowieckich dezertersów i ukrywających się niemieckich żołnierzy. Korzycki domyślał się, że to pewnie esesmani, którzy dobrze wiedzieli, co ich czeka w rosyjskiej niewoli. Zdarzały się też, jak zaświadczały ofiary napadów, bandy mieszane narodowościowo, sowieckopolskie lub sowieckoniemieckie.

Prawdziwym przekleństwem stali się szabrownicy. Wyrzuceni z pociągów na Hundsfeldzie, szli potem przez miasto falami, żarłoczni jak szarańcza, ogryzając do kości to, co jeszcze zostało z dawnego Breslau. Korzyckiemu i Nyczkowi kilka razy udało się ich przepłoszyć, gdy usłyszeli rozpaczliwe wezwania grabionych ludzi, desperacko broniących tego, co im jeszcze po wcześniejszych rabunkach zostało. Raz myśleli, że dorwali gang na gorącym uczynku. Zobaczyli na Hirshstrasse samochód z platformą wypełnioną sprzętem biurowym. Ekipa składała się z czterech mężczyzn wynoszących wyposażenie z pomieszczeń opuszczonej niemieckiej firmy. Kiedy milicjanci ich zatrzymali, okazało się, że to specjalna grupa eksploracyjna Ministerstwa Oświaty, wysłana w celu pozyskania przydatnego mienia polonickiego, co poświadczało odpowiednie pełnomocnictwo. Takich ministerialnych ekip, jak usłyszeli, krążyło po mieście wiele.

Na Sternstrasse pojawiły się, kierowane przez ludzi z zarządu miasta, grupy robocze zajmujące się odgruzowaniem. Urzędnicy twierdzili, że przygotowują jezdnię do

uruchomienia pierwszego we Wrocławiu tramwaju, linii od Dworca Odra do Bischofswalde. Korzycki, patrząc na to, co zostało z torowiska, wątpił, czy cokolwiek zdziałają w przewidywalnej przyszłości. Szyny i trakcję trzeba było położyć na nowo. Od nich też dowiedział się, że doktor Drobner nie jest już prezydentem.

Patrząc na krzątających się na jezdni ludzi, zastanawiał się, po co to wszystko. Dla kogo właściwie mieli rekonstruować miasto? Dla tych koczujących na gruzach resztek Niemców? Dla Polaków, napływających do miasta cienkim strumieniem? Prawie nikt, poza tryskającymi urzędowym optymizmem oficjelami, nie wierzył, że ziemie nad Odrą pozostaną przy Polsce. Jeden z napotkanych lwowiaków powiedział mu wprost, że nie ma zamiaru nawet rozpakowywać walizek, bo najdalej za dwa tygodnie Amerykanie zaczną przeciwko Sowiętom wielką ofensywę i pewnie we wrześniu wróci do siebie. Mówił to z najgłębszym przekonaniem. Polską obecność w Breslau traktowano jako tymczasową, dlatego tak śpieszono się z grabieżą. Każdy chciał zagarnąć jak najwięcej, nim ci, którzy naprawdę wygrali tę wojnę, wydadzą ostateczny werdykt. Jak zwykle, dla Polaków niekorzystny. Zastanawiał się też, czy sam nie powinien postąpić podobnie - obłowić się jak należy i zniknąć, kupiwszy sobie przedtem kolejną fikcyjną tożsamość. To właśnie, na zdrowy rozum, powinien zrobić. Ci, którzy go ścigali, na pewno o nim nie zapomnieli. Czas chaosu kiedyś się skończy i polowanie zostanie wznowione.

Tak niewątpliwie by postąpił człowiek rozsądny, ale on nie potrafił. I sam nie wiedział dlaczego. Może ze względu na Frau Ziegler, w której oczach, kiedy dawał jej konserwy, dostrzegł łzy. A może dlatego, że na posterunek zaczęli przychodzić Niemcy, prosząc o ochronę przed rabunkiem odbywającym się jawnie i bez najmniejszego skrępowania. Byli inni niż ci, których zapamiętał z czasów okupacji, nawet inni niż ci z okresu studiów w Wiedniu. Ci Niemcy, podobnie jak Polacy, też przegrali tę wojnę.

\* \* \*

Dowództwo przypomniało sobie o ich posterunku po przeszło dwóch tygodniach. Wtedy pewnego popołudnia przypedałował osobiście kapitan Matuszak z komendy miejskiej w eskorcie czterech milicjantów. Widzieli ich z Nyczkiem z daleka, bo przybysze na skrzyżowaniu Sternstrasse z Hedwigstrasse musieli zleźć z rowerów i dalej brnąć pieszo. Ten odcinek ulicy nie został jeszcze uprzątnięty i na jezdni zalegała gruba warstwa stłuczonych cegieł pomieszanych z odłamkami szkła. Lepiej było prowadzić rower, niż ryzykować przecięcie cennych opon.

- Niedobrze - powiedział kapral, obserwujący przez szeroko otwarte drzwi posterunku zbliżającą się grupę. - Jak idzie do nas zwierchność, to znaczy, że czegoś od nas chce. Będą

kłopoty.

Widać to było nawet po marsowej minie Matuszaka. Kapitan wszedł do dawnej knajpy i pobieżnie zlustrowawszy ten ich zaimprovizowany posterunek (wstawione w otwory strzelnic panczerfausty nie uczyniły na nim widocznego wrażenia), po zdawkowym powitaniu przystąpił od razu do rzeczy. Nawet nie zażądał księgi raportów, usiadł przy stoliku pod oknem i wyciągnął z mapnika plan Breslau. Jego ludzie zostali na zewnątrz. Okolica wyraźnie im się nie podobała, bo nawet nie zapalili, tylko z palcami na spustach przepatrywali pobliskie gruzy.

- Pozwólcie tutaj, sierżancie - powiedział kapitan, rozkładając plan na stoliku. - Dziś w nocy zrobicie akcję. Na szaberbandę.

Korzycki pochwycił zirytowane spojrzenie Nyczka. Z miny podwładnego wynikało, że chętnie popukałby się w czoło. Jan psyknął do niego groźnie, a kapitan, do końca rozłożywszy sfatygowany plan miasta, wskazał na nim rejon na południe od przecinającej centrum linii kolejowej.

- Tutaj - powiedział, stukając znacząco w papier. - Tutaj jest pies pogrzebany.

Zamilkł, jakby czekając na ich pytania, a kiedy milczeli, kontynuował:

- W tym rejonie, w Dzielnicy Południowej, czyli Krietern, mamy największy problem. Jak wiecie, te kwartały za Dworcem Głównym, położone wzdłuż Strasse der SA, zostały najbardziej zniszczone. I to nawet nie w czasie bezpośrednich walk, lecz przez te ich Brandskommanda, które wypalały i wysadzały domy. No i w rezultacie powstał tam prawdziwy labirynt ruin przysypanych z wierzchu gruzem piwnic i innych kryjówek, w których siedzi najrozmaitszy element. Trochę Werwolfu, dezterterzy, nasza pospolita bandyterka, no i szabrownicy. Nie mamy nad tym terenem żadnej kontroli, bandziory robią, co chcą. Działali głównie w okolicy dworca i Hubenstrasse, ale jak wzmocniliśmy tam ochronę obiektów, zaczynają się wyprawiać za Odrę, na wschód od Sandisel. W wasz rejon, innymi słowy.

Wymownie puknął na planie w Kaiserstrasse. A raczej w miejsce, gdzie kiedyś była.

- Ale przecież ten wiszący most jest uszkodzony i nie do przejścia - przytomnie powiedział Ernest. - To jak przełazą?

Lecz kapitan był doskonale przygotowany.

- Niby się nie da, a wszyscy przełazą - odparł. - Ludzie kładki porobili, położyli na dziury i da się przejść. Bo skąd niby tyle narodu na Matjasie? A poza tym według naszych informacji bandyci mają łódkę, na którą ładują fanty i przewożą przez rzekę.

Korzyckiemu coraz mniej się to wszystko podobało. Z tego, co opowiadał kapitan,



jasno wynikało, że mieli do czynienia z dobrze zorganizowaną grupą, pewnie doskonale uzbrojoną i zorientowaną w terenie. W Breslau amatorzy, którzy natychmiast nie zwijali się z łupem i lekkomyślnie zbyt długo zabawili w mieście, prędko dostawali kulkę lub kosę pod zebro. Wiele wskazywało na to, że miasto było stopniowo dzielone przez poszczególne bandy szabrownicze na kontrolowane przez nie sektory.

- Jakie mamy zadanie? - zapytał.

Kapitan patrzył w zamyśleniu na rozłożony plan i dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Trzeba by się zasadzić w nocy i złapać paru... Ot tak, dla przykładu. Żeby nie grasowali tak jawnie.

Kiedy to powiedział, opuścił wzrok, nie chcąc spojrzeć im w oczy, wyraźnie zażenowany wydanym poleceniem. Wysyłanie ludzi w sam środek nocnego Breslau zakrawało na szaleństwo, o ile nie był to pluton piechoty wzmocniony bronią maszynową. Nikt się nie odzywał i zapadło krępujące milczenie.

- A kto niby ma to zrobić? - zapytał w końcu Korzycki. - Bo w obsadzie posterunku jestem tylko ja i kapral Nyczek. Ten drugi milicjant, Walczak, na samym początku zwiął z bronią, o czym meldowałem. Nie zdziwiłbym się, gdyby dołączył do tamtych z Dzielnicy Południowej.

Matuszak zasępił się i nerwowo zerknął przez otwarte drzwi na zewnątrz, gdzie stali jego ludzie. Robiło się coraz później i bezpieczny powrót do komendy stawał się mocno problematyczny.

- Zostawię panu dwóch funkcjonariuszy - powiedział i znowu pochylił się nad planem.

- Wczoraj w nocy banda próbowała dostać się na teren politechniki, ale studenci ze Straży Akademickiej dali im do wiwatu. Tam już raczej nie pójda, sądzimy, że spróbują raczej tutaj.

- Pokazał na rejon wokół skrzyżowania Marienstrasse i Tiergartenstrasse. - Jest tu sporo budynków nieznacznie tylko uszkodzonych, z mieszkańcami. Niemcami - dodał. - Naszych tam jeszcze prawie nie ma. Zadanie brzmi: zasadzić się w nocy w rejonie między mostem a Marienstrasse, poczekać na bandę, ująć jak najwięcej bandziorów... A przynajmniej ostrzelać i zniechęcić - dopowiedział, widząc kwaśną minę Korzyckiego. - I to byłoby na tyle... Czas na mnie.

Zgrabnie złożył plan i wsunął do mapnika. Wstał i skierował się do wyjścia, ale na progu przystanął i oznajmił:

- Skrzypiński i Janicki, zostajecie do dyspozycji sierżanta Malinowskiego. Wykonać.

Złapał za rower i wraz z resztą eskorty ruszył w głąb zasłanej gruzem ulicy. Dwaj wskazani milicjanci wyglądali jak kupki nieszczęścia. Przez chwilę, ogłupiali, wpatrywali się

w plecy oddalającego się kapitana, aż wreszcie, ponagleni przez Nyczka, wgramolili się z rowerami do środka. Ustawili je pod kontuarem i zameldowali się przepisowo.

Skrzypiński, jasny blondyn o pociągłej, pokrytej piegami twarzy, wyglądał na lat może dwadzieścia. Gapił się w Korzyckiego jak cielę i cały czas mrugał lewym okiem, ani chybi w nerwowym tik. Drugi, Janicki, prezentował się bardziej okazale - ciemnowłosy bysior około trzydziestki, dość swobodny w zachowaniu, lekceważąco żujący w kąciku ust ogryzek zapalki. Jan znał takich zuchów z partyzantki. Przynajmniej jest szansa, że ten się nie spietra - pomyślał.

- Jakiś plan, obywatelu sierzancie? - zapytał Nyczek. - Nie bardzo mi się widzi ta akcja...

- Nie jesteśmy na wakacjach, a na służbie, kapralu - odparował. - Pójdziecie z Janickim zobaczyć te domy. Sprawdźcie, czy jest jakieś przejście od tego niby lotniska, jakaś ścieżka czy przełaz... I pośpieszcie się, musicie wrócić przed nocą.

- To się wie. - Ernest pstryknął w daszek czapki w imitacji salutu.

Kiedy wyszli, został sam z blondynem, który wyglądał na coraz bardziej zestrachanego. Trzeba go czymś zająć - pomyślał - bo mi się całkiem rozklei.

- Długo w służbie? - zapytał.

- Trzy tygodnie - odparł Skrzypiński i kurczowo złapał za kolbę pepeszy.

- Na nocnej akcji byliście? - indagował dalej. - Nnnie... - Ręce chłopaka drżały coraz mocniej. Miał potężnego pietra. Cholerny Matuszak dał mu na nocną robotę kompletnego szczawia.

- No to będziecie - powiedział z udaną dobrotliwością. - Siądnijcie przy stole i sprawdźcie broń. Tego nigdy dosyć, zwłaszcza przed walką.

Chłopak, wciąż z wystraszoną miną, usiadł przy stoliku z szachownicą i zaczął rozkładać swoją pepeszę na czynniki pierwsze. Korzycki przyniósł mu puszkę smaru i garść pakuł, a sam, aby dać dobry przykład, też rozłożył swoją parabelkę. Takie wspólne czyszczenie broni wyraźnie Skrzypińskiego uspokoiło, robił to sprawnie i z pojęciem. Pogadali też sobie trochę. Młodzieniec opowiedział mu, jak to znajomy pepeerowiec zaagitował go do wyjazdu na zachód z rodzinnego Ciechanowa i jak już we Wrocławiu wstąpił do milicji. Do tej pory głównie pilnował komendy miejskiej, tak że nie miał się gdzie ostrzelać.

- No to dziś się ostrzelasz - oznajmił Korzycki, patrząc przez wyczyszczoną wyciorem lufę parabelki. Ze zburzonej bramy położonej naprzeciwko posterunku kamienicy wyszedł Nyczek z Janickim. Zatrzymali się na chwilę, rozejrzeli na boki i szybko pojedynczo

przeskoczyli przez ulicę. Przynajmniej ci znali się na robocie.

Raport kaprała był krótki i rzeczowy:

- Jest ścieżka w gruzach, aż do lotniska, dobrze już wydeptana. Miejscowi chodzą nią do studni, ulicami niebezpiecznie, bo mury się wałają. Tamci pewnie o niej wiedzą.

Jan poskubał się w zamyśleniu w podbródek. Zastanawiał się, jak ułożyć plan akcji.

- Poczekamy do zmroku i wtedy pójdziemy. Podzielimy się na dwójki, a potem zasadzimy po obu stronach ścieżki. I sobie na nich poczekamy. Ale, uwaga, jak przyjdą, to ich przepuszczamy. Ogień otwieramy, dopiero kiedy będą wracali i tylko na moją komendę.

Milczeli, przetrawiając jego słowa. W końcu odezwał się Skrzypiński:

- No dobrze, ale jak ich przepuścimy, to pójdą szabrować...

- I o to chodzi, baranku boży - kpiąco rzucił Nyczek. - Jak będą targali wory z fantami, nie będą mogli tak od razu sięgnąć po broń. A w tę stronę będą szli z palcami na cynglach... Dobrze to obywatel sierżant wykombinował.

Janicki też nie miał zastrzeżeń, bo opatrzywszy szybko swego szmajsera, walnął się na leżący pod ścianą fotel bez nóżek, pewnie oberwanych na opał, i wyciągnął kapciuch. Wnet zadymił cały posterunek smrodliwą sowiecką machorką.

- Może egipskiego? - uprzejmie zaproponował Korzycki, ale tamten odmówił.

- Wolę taki - powiedział. - Na zesłaniu przyzwyczajony. Mówił z zaśpiewem, jak typowy lwowiak. Nyczek rozpałił w prymusie, który kiedyś przywłókł z Matjasu, i zrobił wszystkim herbaty. Znalazł też ruską konserwę i kawał razowca z przydziału, starczyło dla każdego po pajdzie z grubą warstwą tuszonki. Jan po raz kolejny przekonał się, że ten chłopak to prawdziwy skarb. A już na pewno fenomenalny organizator. Komenda nie przysyłała zaopatrzenia, ale dzięki zapasom spirytusu na niczym im nie zbywało.

Czekali na zapadnięcie zmroku, pogadując do siebie niespiesznie. Zajmowanie stanowisk za dnia było zbyt ryzykowne, banda mogła mieć w ruinach obserwatora. Korzycki wiedział, że lepiej zrobić to pod osłoną ciemności. Czas dłużył się niemiłosiernie, dopiero co minęła czerwcową równonoc, ściemniało się grubo po dziewiątej. Ernest chciał zrobić jeszcze herbaty, ale nikt nie wyraził ochoty. Czuli narastające podniecenie, jak to przed akcją. Nie chciało się wtedy jeść ani pić.

Wreszcie, za kwadrans dziesiąta, Jan dał rozkaz wymarszu. Pociemniało już na tyle, że na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Księżyc był w pełni i oświetlał gruzy upiornym blaskiem, ale przyzwyczajone do ciemności oczy milicjantów widziały całkiem sporo. Nyczek prowadził ich sobie tylko znanymi ścieżkami. Te jego solowe łążęgi i penetracje okolicy nareszcie się na coś przydały.

Szli przez labirynt umarłego miasta, przedzierając się przez wnętrza rozprutych bombami kamienic, potykając się o wszechobecne sterty gruzu. W księżycowej poświacie widniały nad nimi kikuty ścian, chwiały się betonowe bloki uczone powyginanych żelaznych prętów. Panowała absolutna cisza, przerywana jedynie piskiem i szurgotem szczurów uczujących w rumowiskach - trupiej karmy wciąż im nie brakowało. Milicjanci, przecinając kolejne podwórka, co chwila wchodzili w chmurę mdlącego odoru z rozkładających się, pogrzebanych pod rumowiskiem ciał. Czasem też sucho zaszeleściły wyprute ze ścian i sufitów trzciny, poruszone nagłym podmuchem wiatru. Mężczyźni przeciskali się przez wąskie wyłomy, patrząc z obawą w górę, na kaskady desek zwisających z przepołowionych, uciętych wybuchem podłóg.

W pewnej chwili Nyczek pochylił się, przelazł przez dziurę w murze i zniknął po drugiej stronie.

- Tutaj, obywatelu sierżancie - dobiegł jego gruby szept.

Przeszli po kolei za nim. Po drugiej stronie muru znajdowała się niewielka kotlinka, powstała na miejscu wielkiej czynszowej kamienicy ze studziennym podwórkiem. Z budynku zostały jedynie fragmenty zewnętrznych ścian, reszta domu, zmielona eksplozją na drobne grudy, chaotycznym gruzowiskiem wyścielająca nieckę podwórka - nasuwałoby się nieodparte skojarzenie z kotlinką wylobioną w górskim zboczu, gdyby nie swąd spalenizny i trupi smród. Nawet w ciemnościach doskonale można było dostrzec biegnącą środkiem zagłębienia ścieżkę wydeptaną w ceglanym osypisku. Prowadziła w stronę położonych dalej, przy Geislerstrasse, kilkupiętrowych kamienic, częściowo tylko zniszczonych. Tak jak mówił Matuszak, zamieszkanym - widzieli nagle światelka przebijające się przez szczeliny w zasłoniętych czy zabitych oknach.

Korzycki szybko zlustrował teren.

- Nyczek, z Janickim zajmijcie stanowisko za tym murkiem obok dziury, którą weszliśmy. Ja z młodym przyczaję się tutaj. - Wskazał na lejkowaty dół powstały na miejscu, jak się domyślał, trafionej bombą piwnicy. - I tak jak mówiłem, przepuszczamy drani, dorwiemy ich, jak będą wracali. Teraz czekamy, nie gadać i nie palić.

Zajęli wyznaczone stanowiska. Jan dobrał je tak, aby powracający z łupem szabrownicy dostali się w krzyżowy ogień ich automatów. No, chyba żeby chcieli się przedtem poddać. Uśmiechnął się do siebie krzywo na tę niedorzeczność i improwizując osłonę od strony ścieżki, ustawił przed sobą kilka cegieł, a obok położył dwa granaty, ponemieckie zaczepne tłuczki. Miały posłużyć za ostateczny argument w ewentualnej ogniowej dyskusji.

Siedzieli ze Skrzypińskim w dziurze i czekali. Młody, podniecony akcją, co chwila wystawiał głowę, wypatrując szabrowników, aż Jan musiał mu wytłumaczyć, że w ten sposób tylko zdemaskuje ich stanowisko. Tamci będą szli wielką gromadą, więc z daleka będą słyszalni. Na razie dobiegały ich wyłącznie hałasy czynione przez szczury buszujące w ruinach, czasem od centrum albo z południa dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów - jak każdej nocy trwała rytualna pukanina. Kiedy tak nasłuchiwał nocnych głosów miasta, ponownie zdał sobie sprawę, że nie słyszy ptaków. Wybite i przepłoszone w czasie oblężenia, nie chciały wrócić. Może kiedyś, gdy gruzy porosną trawą i ustanie ta wieczna strzelanina...

Tamci przyszli zaraz po północy. Posuwali się ostrożnie, w grupach po dwóch, trzech. Poruszali się niemal bezszelestnie, pewnie owinęli buty szmatami. Widział przez szparę w ceglach, jak w załomie muru mignęły ciemne, pochylone sylwetki. Przynajmniej niektórzy mieli broń, bo raz czy dwa w ciemnościach błysnęło metalicznie. Wpadali na ścieżkę, szybko przebiegali przez kotlinkę i znikali w rumowisku. Tak jak zapowiadał Matuszak, szli w stronę domów ze światłami. Starał się policzyć biegnące ścieżką cienie, ale nie wszystkich zobaczył, mogło ich być nawet piętnastu czy szesnastu. Jak na warunki wrocławskie, prawdziwa armia. Obrócił się i zamarł na widok wytrzeszczonych oczu Skrzypińskiego, których białka lśniły jak dwa księżycy. Nieszczęśnik znowu złapał pietra, oddychał spazmatycznie, śliniąc się i dławiąc. Korzycki uczynił uspokajający gest ręką i przyłożył palec do ust. Trochę to pomogło i chłopak przestał sapać. Leżeli przytuleni do gruzów, czekając, aż tamci przejdą. Po kilku minutach wszelkie odgłosy ucichły.

Jan odprężył się. Robota w budynkach zajmie tamtym co najmniej dwie godziny. Właściwie można się było przespać i nawet chciał to zaproponować Skrzypińskiemu, kiedy się zaczęło.

Najpierw rozległo się pojedyncze walenie w garnek, po chwili dołączyły do niego kolejne blaszane tamtamy. I okrzyki, kobiece, zrozpaczone głosy, wołające: „Hilfe, hilfe!“. Coraz głośniej do krzyczących dołączały się kolejne głosy, po minucie cały kwartał wrzeszczał jak opętany, waląc czym popadnie w gary i patelnie. Kocia muzyka narastała, przyłączali się wciąż nowi „muzycy”, aż do momentu, kiedy padły strzały. Najpierw jeden, a potem jeszcze dwa, w krótkim odstępie. Krzyki urwały się jak ucięte nożem.

- Kolesie wzięli się do roboty - mruknął Korzycki, moszcząc się wygodniej w dole. - Trochę im zejdzie.

Chłopak ze zmieszana miną wpatrywał się w odległe domy. W niektórych oknach światła gasły, pojawiały się za to w innych, aby po chwili też zniknąć. Wyglądało to tak, jakby majaczące w ciemnościach budynki wysyłały światu wiadomość rozpaczliwym,

chaotycznym alfabetem Morse'a.

- A my na to nic? - zapytał. - Tam przecież grabią ludzi!

- A my nic - potwierdził Jan. - Widziałeś, jaka to banda? Mają przewagę w ludziach i pewnie w uzbrojeniu. Jedynie w zasadzce mamy szansę.

Mijał kwadrans za kwadrans. Od strony grabionych domów dobiegały stłumione odległością odgłosy, pojedyncze, urywane okrzyki, strzały, trzaski i rumor jakby wyłamywanych desek. Banda czyściła kwartał rzetelnie, rabusie znali się na robocie. A potem rozległ się ten krzyk.

Nie tyle krzyk, skowyt jakiś, nieludzki, bydlęcy wręcz, jakby kogoś żywcem obdzierano ze skóry. Nie zawierał nic poza monstrualnym bólem. Przenikliwy, przypominający skrobanie nożem po szkle wrzask wwiercał się do szpiku kości. Korzycki czuł, jak ciepnie mu skóra na twarzy, a usta wypełnia ohydny, metaliczny posmak. Wreszcie, po nieskończonej długiej chwili, zwierzęce wycie zamilkło, zakończone spazmatycznym zadławieniem. A potem, po sekundzie potrzebnej na zaczerpnięcie oddechu, rozległo się ponownie, jeszcze straszniejsze i bardziej nieludzkie, rozcinające uszy niczym brzytwa w rękach szalonego fryzjera, chlastającego na odlew po gardle klienta. Krzyk urwał się w połowie wydechu, równo z suchym pistoletowym wystrzałem.

Skrzypiński głośno przełknął ślinę.

- Ktoś nie chciał oddać fantów - wyjaśnił Korzycki. - I to był jego duży błąd.

Nadal patrzyli w stronę budynków, całkiem już zaciemnionych. W jednym z okien raptownie pojaśniało, ale nie było to światło. Na zewnątrz pojawiły się jęzory ognia i zaczęły lizać ściany, sięgając dachu. Znowu podniosła się fala krzyków, choć tym razem wołano: „Es brennt! Es brennt!” i walono w pokrywki. Ogień pojawiał się w kolejnych oknach, wrzaski i harmider się wzmagaly.

- Zaraz przyjdą - powiedział do Skrzypińskiego i zarepetował parabelkę. - Przygotuj się!

Istotnie, pierwsi bandyci pojawili się po kilku minutach. Szli przygięci wielkimi worami, dobrze oświetleni na tle gruzów przez wzmagający się za ich plecami pożar. Rozmawiali cicho, klnąc w żywy kamień ciężary na plecach. Kiedy czoło karawany wkroczyło do kotlinki, Korzycki wychylił się zza cegieł i krzyknął:

- Stać, milicja! - I natychmiast przypadł do ziemi, celując do pierwszej z brzegu postaci z workiem.

Ciemne sylwetki zamarły na moment, po czym natychmiast rozprysnęły się na boki, nurkując w rumowisko i wsiąkając w noc. Posypały się strzały. Szabrownicy mieli rewolwery

i co najmniej jeden pistolet maszynowy.

- Ognia! - ryknął Jan, strzelając do cienia, który przycupnął za stertą strzaskanego muru.

Nyczek natychmiast wygarnął z mausera, zastukotał szmajser Janickiego. Tylko Skrzypiński nie strzelał, gapił się na Korzyckiego z otwartymi ustami, kurczowo trzymając w obu rękach broń.

- Strzelaj! - Jan ryknął do niego i znowu wygarnął do podejrzanego cienia. - Wal przed siebie!

Tamci, dobrze ukryci w rumowisku, odgryzali się coraz mocniej, kule zagwizdały rykoszetami, odbijając się od ocalałych ścian. Chłopak oprzytomniał na tyle, że podniósł się na kolana i wygarnął długą serię w kierunku wylotu dolinki, pakując w rozjaśnioną potężniejącym pożarem ciemność pół magazynka pepeszy. Korzycki ściągnął go na dół, a potem złapał za tłuczki, wyrwał zawlecзки i wałnął jeden po drugim tam, skąd, jak mu się zdawało, najgęściej padały strzały. Huknęło raz i drugi, podniósł się ceglanowapienny tuman, w którym wszystko utonęło. Nyczek strzelał na przemian z Janickim, ale po chwili przzerwali.

- Panie poruczniku, oni dali nogę - powiedział kapral. - Bokiem poszli, w stronę rzeki.

Miał rację. Strzały ucichły, słyszeli za to oddalający się tupot wielu nóg. Ale nie wszystkim się udało. Od wylotu dolinki dobiegły ich głośne jęki i nawoływania:

- Rodacy, nie strzelajcie, na rany Chrystusa! - jęczał ktoś, kogo nie widzieli, bo widok zasłaniały resztki ściany. - Jak to tak, do Polaka strzelać, życia go pozbawiać? Miejcież Boga w sercu!

Nyczek wstał i zaczął powoli iść w kierunku krzyczącego człowieka. Oslaniał go Janicki, także Korzycki rozglądał się pilnie po okolicznych rumowiskach. Nic tam się jednak nie działo, banda uciekła, porzucając jednego ze swoich, najwidoczniej rannego.

Zza załomu muru wychynął Ernest, prowadząc przed sobą utykającego, jęczącego osobnika ubranego w skórzaną kurtkę i wysokie oficerskie buty. Jeniec prawą nogawkę spodni miał rozerwaną i na białej goleni było widać krew. Nie widzieli jego twarzy, bo głowę wysmarował jakimś czernidłem. Korzycki wylazł ze swej dziury i wyszedł im na spotkanie.

- No co wy, z rodakiem tak postępować? - skamlał szabrownik. - I za co? Że sobie od Szwabów wezmę, co mi za okupacji ukradli?

- Milcz, swołocz! - rzucił przez zęby Nyczek. - To obywatel sierżant tym granatem skubańca załatwił.

Korzycki nie zdążył odpowiedzieć, bo usłyszał trzask karabinowego pocisku, kruszącego cegłę gdzieś w górze. Natychmiast rzucił się na ziemię, tak jak i kapral, który

pociągnął za sobą jeńca. Przez chwilę słuchali odgłosu osypywania się poruszonego gruzowiska. Drugi strzał gwizdnął im tuż nad głowami, jakby nieznany snajper wstrzeliwał się stopniowo w kotlinkę.

- Widzę, skąd wali - zawołał Janicki. - Z tych rozwalonych domów tuż nad rzeką, na prawo od mostu. Snajper jakiś, albo od tej bandy, albo z Werwolfu. Tajój, strzyla jak na karnawał.

Jakby to potwierdzając, trzecią kulkę snajper posłał tuż nad jego głową, druzgocząc kamionkowy parapet, dziwnym trafem prawie nietknięty, choć z samego okna został nieforemny otwór o poszczerbionych brzegach. Janicki stęknął, uderzony spadającym obłamkiem. Nie ulegało wątpliwości, że tajemniczemu strzelcowi udało się ich przygwoździć. Korzycki wraz z Nyczkiem zaczęli powoli pełznąć w stronę dziury, w której wciąż siedział zestrachany Skrzypiński, kiedy raptem usłyszeli ostre staccato zenitówki. W ciemnościach zajaśniały pociski smugowe, mknąc po niebie niczym czerwone, rozwścieczone osy. Działko, ustawione gdzieś na terenie politechniki, waliło płasko wzdłuż rzeki w dom, z którego byli ostrzeliwani. Przeczekali trzy długie serie, po czym zebrali się i skoczyli do dziury w murze, z której przed paroma godzinami wyleźli. Działko wypluło jeszcze jedną serię i zamilkło. Usłyszeli za to z oddali przeciągły rumor, typowy dla walących się ścian. Janicki wyjrzał przez dziurę i pokręcił z podziwem głową.

- Ta i pozamiatali, studenciaki jedne - powiedział z uznaniem. - Kamień na kamieniu z tego domu nie został. Całkiem się zawalił, razem z tym gnojem, co do nas strzelał.

- Studenci ze Straży Akademickiej znaleźli niemieckie działko przeciwlotnicze i galantnie je wyrzucili - wyjaśnił Nyczek. - Łebskie chłopaki, nie ma co.

Jan nie zaprzeczył. Otrzeptał się z kurzu i poprawił czapkę. Ernest wypchnął przed siebie szabrownika, który, cały skurczony i wyglądający jak siedem nieszczęść, trzymał się za zranioną nogę i pojękiwał boleściwie, z ostentacyjną przesadą.

- A z tym gagatkiem co zrobimy? - zapytał.

Korzycki wzruszył ramionami i schował pistolet do kabury.

- Jak to co? Zabieramy na posterunek. To uroczysta chwila, Nyczek, bo to przecież nasz pierwszy aresztant!



## V. Ostatni Untersturmführer

Pochwycony szabrownik nazywał się - wedle jego oświadczenia, bo dokumentów żadnych nie miał - Eugeniusz Buczek i pochodził z Sochaczewa. Nic więcej nie chciał powiedzieć, poza tym, że do Wrocławia przyjechał, aby odbić sobie niemieckie okupacyjne grabieże, a o żadnych mordach i rabunkach nic nie wiedział. Zmęczonemu nocną akcją Korzyckiemu nie chciało się go naciskać i postanowił odesłać więźnia rano do komendy miejskiej, aby zajął się nim kapitan Matuszak z kolegami. Ale pomysł zamknięcia aresztanta na resztę nocy w piwniczce okazał się fatalny w skutkach. Wiedziony psim chyba węchem szabrownik odkrył schowek z alkoholami i nad ranem w knajpie rozległy się sprośne przyspiewki, rześko wyrykiwane przez Buczka. Jak skrupulatnie wyliczył Nyczek, skurczysyn wysuszył dwie butelki sznapsa.

Jan z ulgą pozbył się szabrownika z posterunku, odsyłając go wczesnym rankiem - wraz z meldunkiem o przebiegu nocnej akcji - w eskorcie Janickiego i Skrzypińskiego. Ci się z nim nie patyczkowali i kiedy pijany w sztok Buczek padał na twarz, kopali go tak długo, póki nie stawał na nogi. Włókł się potem opornie. Poszturchiwany lufami, machał rękami i bełkotał pod nosem o wrednych rodakach i nieprawdziwych Polakach.

Korzycki patrzył za nimi, póki nie zniknęli w głębi Sternstrasse. Potem zasiadł przy szachowym stoliku do kubka z mocną brazylijską kawą, którą Ernest kupił na Matjasie. Dawno nie pił tak dobrej, ostatni raz chyba przed wyjazdem z Warszawy.

Kiedy kończył śniadanie, zjawił się Kluska. Na wstępie zapytał, czy pan sierżant jest zadowolony z pracy przysłanych Niemek. Tak, Jan był zadowolony, co wyraził, częstując przybysza egipskim. Ale tamtemu chodziło o coś jeszcze.

- Mamy pewne informacje o komendancie - powiedział ściszym głosem, tak jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać. - A właściwie jest pewien człowiek, z którym koniecznie powinien pan porozmawiać. Ale on tu nie przyjdzie, za bardzo się boi.

- To gdzie? - Korzycki pociągnął łyk stygnącej kawy, ignorując pożądlive spojrzenie Kluski. Niemcy pewnie do tej pory ćpali te swoje paskudne wojenne ersatze.

- W mieszkaniu Frau Mueller. Zjawi się tam za dwie godziny.

- Co to za facet? - Zrobiło mu się żal pana Bronka i dał znak Nyczkowi, aby nalał mu kubek kawy.

- Kiedyś był bardzo wysoko w partii... blisko Hankego. Resztę sam panu powie. - Gość długo rozkoszował się aromatem napoju, nim odważył się upić pierwszy łyk. - Proszę przyjść za dwie godziny na Piastenstrasse 52, będę tam czekał.

Po jego wyjściu Korzycki przez moment zastanawiał się, czy te konspiracyjne środki ostrożności nie są aby przesadzone. Z drugiej strony Kluska pewnie wiedział swoje. Jan też był przekonany, że posterunek jest pod obserwacją. Co prawda od pamiętnego nocnego ostrzału panował spokój, być może szczerzące się z okien pancerfausty działały odstraszająco, ale to nie znaczyło, że nikt się nimi nie interesował. Ciekaw był zwłaszcza, jak na nocną zasadzkę zareaguje szaberbanda.

A jeśli tamci tylko czekają na okazję, aby im się odwinąć? Możliwość odwetu wydawała się jednak mało prawdopodobna, tacy goście przyjeżdżali do Breslau rabować, a nie toczyć regularne walki z milicją. Pewnie przejdą nad tym do porządku dziennego i na jakiś czas zmienią rejon działania. Przynajmniej on tak by zrobił na ich miejscu. Zostało jeszcze wiele innych dzielnic do wyszabrowania.

Kluska czekał na niego w bramie prawie nietkniętej kamienicy, podmuch bomby zrzucił jedynie część dachu z narożnika. Ale okazało się, że Frau Mueller nie mieszkała pod 52., a przewodnik, wciąż rozglądając się na boki, powiódł go dalej, pod 56. Korzycki śmiał się w duchu na tę niemiecką konspirację, ale bez protestu dał się prowadzić. Weszli do domu przez bramę z wyrwanym jednym skrzydłem. Poza tym drobiazgiem nie było widać większych zniszczeń, jeśli nie liczyć wybitych szyb i podziobanego odłamkami tynku. Skręcili na schody prowadzące na piętra, zatrzymali się na drugim, pod lokalem numer siedem.

Frau Mueller zajmowała niewielkie dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, której okna wychodziły na podwórze. Wydawało się skromnie wyposażone. Gospodyni była, jak poinformował Kluska, wdową po mistrzu kominiarskim. Przyjęła ich w kuchni, przy stole nakrytym nienagannie wykrochmalonym obrusem zastawionym filiżankami z parującym płynem, który na pewno nie pachniał oryginalną herbatą. Siedział za nim młody jeszcze mężczyzna o posiwiałych, białych jak mleko włosach i zmęczonej, poznaczonej bruzdami twarzy. Na widok Korzyckiego wstał i przywitał się, oddając skłonem głowy wojskowy salut. Jan zignorował ten niepotrzebny gest i usiadł na krześle stojącym tyłem do częściowo przesłoniętego dyktą okna - wolał mieć oko na mieszkanie, ktoś jeszcze mógł w nim przebywać. Kluska przycupnął na brzeżku swojego krzesła i spojrzał znacząco na Frau Mueller, która natychmiast wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę panowało krępujące milczenie. Korzycki nie odzywał się, chcąc dać tamtym do zrozumienia, że to oni są petentami. Patrzył, jak białowłosy siorbie gorący napar, nawet nie próbując udawać, że mu smakuje. Wydawał się zdenerwowany, drżała mu ręka, kiedy stawiał filiżankę na stole. Przedłużającą się ciszę przerwał Kluska.

- Pan... - zawahał się, chyba nie wiedząc, jakie nazwisko wymyślić -...Becker ma informację o człowieku, którego poszukujemy.

- Gwoli ścisłości - głos człowieka nazwanego Beckerem też drżał - tylko wydaje mi się, że wiem, o kogo wam chodzi. Dowodów nie mam, bo ten człowiek po kapitulacji zapadł się pod ziemię.

Korzycki obrzucił ich poirytowanym wzrokiem. Nie tego się spodziewał.

- Sądziłem, że udało się wam zidentyfikować komendanta. A widzę, że marnuję swój czas!

- Spokojnie, niech pan wysłucha, co on ma do powiedzenia - rzucił szybko Kluska, widać wystraszony, że Polak zaraz wyjdzie. - To naprawdę ważne.

Jan wzruszył ramionami i sięgnął po filiżankę. Tak jak myślał, suszona marchewka z dodatkiem kwiatu lipy. Poczul się naraz jak w środku okupacji - matka każdego ranka raczyła ich tym ersatzem herbaty. Dzięki Nyczkowej aprowizacji zdążył odwyknąć od takich smaków.

Skinął głową na znak, aby białowłosy mężczyzna mówił dalej.

- To działo się w bunkrze pod Neumarktem, czwartego maja, wieczorem. Tego dnia u komendanta Niehoffa byli wrocławscy księża z obu Kościołów, protestanckiego i katolickiego, namawiając go na poddanie miasta z uwagi na bezsens dalszej walki. Bo też i sensu ona nie miała żadnego, Hitler się zabił, Berlin padł, fronty się rozsypały. Załoga Breslau, poza armią Schoernera w Czechach, była jedynym większym zgrupowaniem, które nadal stawiało opór. Beznadziejny, a Niehoff o tym wiedział. I bez ich namów zamierzał poddać twierdzę. Na wieść o tym w bunkrze pod Neumarktem zebrała się grupa wysokich rangą esesmanów. Wezwano i mnie, miałem reprezentować gauleitera. Przedmiotem narady był stosunek SS do planowanej kapitulacji. Tak jakby dało się coś zrobić. Oni wiedzieli, co z nimi zrobią Ruscy - to samo, co, jak jeden z nich określił, „my ich oficerom i komisarzom”. Dlatego wielu z nich proponowało walkę do samego końca, inni chcieli się przebijać w Sudety do Schoernera, a paru nie mówiło nic, ale po ich oczach widziałem, że wiedzą, co zrobić. Jeden nawet zaraz to zrobił, gruppenfuhrer Heydebrand. Znałem go, naprawdę twardy facet. Od początku narady siedział z pochmurną miną, na przemian repetując i rozładowując pistolet, mimo że go proszono, aby tak się nie bawił. W pewnym momencie wyszedł na korytarz, starannie zamknął za sobą drzwi i po chwili usłyszeliśmy strzał. Palnął sobie w łeb.

- Co to ma wspólnego z tajnym komendantem? - zapytał Korzycki, niezbyt ciekaw opowieści o samobójczym heroizmie esesmanów.

- Tam był ktoś jeszcze, Obersturmbannführer Hurst. Znałem go jeszcze sprzed wojny

jako zajadłego nazistę. Słyszałem, że służył na wschodzie w specjalnych grupach egzekucyjnych, Einsatzgruppen, podobno też w Auschwitz... On na pewno nie miał nic do stracenia, Sowieci rozwaliliby go pierwszego. I to właśnie on, kiedy inni esesmani kłócili się na temat ucieczki do Schoenera, powiedział, że prawdziwy Niemiec nigdzie nie ucieka, tylko walczy. „Powinniśmy, jak Polacy, zejść do podziemia i kontynuować walkę w konspiracji, po to Führer powołał Werwolf”, tak się wyraził. Zapytał, kto do niego dołączy, ale nikt jakoś nie miał ochoty, jego pomysł wydawał się innym całkowicie niedorzeczny, najwyraźniej mieli już dość zabawy w wojnę. Wtedy Hurst oświadczył, że pójdzie do gauleitera Hankego po pełnomocnictwa, ale nie wiem, czy do niego dotarł, zresztą Hanke miał wtedy co innego na głowie, musiał zadbać o własną skórę.

- Udało nam się zdobyć zdjęcie tego Hursta - wtrącił Kluska i sięgnął do teczki. Wyjął z niej fotografię na oko czterdziestoletniego mężczyzny w mundurze obersturmbannführera SS, blondyna o wąskiej twarzy, ostrym, drapieżnym nosie i cienkich, zaciśniętych wargach. Rasowy nordyk, jak z podręcznika Rosenberga, pewnie jeszcze niebieskooki - pomyślał Korzycki. Palce aż się rwały do pistoletu na widok tej superaryjskiej twarzy. Prawdziwy nazistowski Übermensch.

- Na tym zdjęciu nie ma jeszcze blizny pod lewym okiem. Szrama przecina policzek aż do szczęki - dodał Becker. - Na początku oblężenia został ranny w głowę odłamkiem.

Jan jeszcze raz starannie przyjrzał się fotografii, starając się dokładnie zapamiętać wszelkie szczegóły twarzy esesmana.

- Przygotuj mi kilka fotokopii i podrzuć na posterunek - zwrócił się do Kluski. - Dlaczego on mi o tym opowiada? Nagle odkrył, tak jak inni Niemcy, że w gruncie rzeczy zawsze był antyfaszystą?

Pan Broniek uśmiechnął się cierpko.

- Pan... Becker potrzebuje pilnie opuścić Breslau, bo zbyt wielu tutejszych pamięta jego partyjną przeszłość. NKWD miałyby do niego mnóstwo pytań, podobnie jak wasza bezpieka. A nasza organizacja może mu pomóc w szybkim wyjeździe.

- Już raz o mało nie wpadłem, jakiś sukinsyn na mnie doniósł. Przypadkiem wyszedłem z domu pięć minut przed najściem Sowietów. Czekali na mnie dwa dni. - Becker gwałtownie wypił resztkę zimnej już herbaty. Jego zęby dzwoniły o porcelanę. Korzycki patrzył na niego z rozbawieniem, zastanawiając się, czy właśnie wtedy osiwił ze strachu.

- Co jeszcze wiecie o tym esesmanie?

- Niewiele... Na pewno nie było go w żadnej grupie wziętych do niewoli, nie zidentyfikowano też jego trupa. Prawdopodobnie przebrał się w cywilne ciuchy i przepadł

gdzieś w mieście. W tych ruinach można się ukrywać tygodniami. - Kluska wzruszył bezradnie ramionami.

Korzycki patrzył spod oka na obu Niemców, zastanawiając się nad wartością tego, co mu powiedzieli. W sumie niewiele się dowiedział, choć przynajmniej miał pierwszego podejrzanego. Ale czy ten Hurst był jeszcze w mieście? Może po wejściu Sowietów duch bojowy go opuścił i dawno temu zwał w Sudety? A jeśli jednak nadal przebywał w mieście, gdzie go szukać? I kto miałby to zrobić? Potrzeba było batalionu wojska, aby przeczesać przynajmniej co bardziej podejrzone gruzowiska. Prawdę mówiąc, najlepsza byłaby brygada.

- No dobra, to już jest coś - powiedział, podnosząc się. - Będziemy się rozglądać za tym człowiekiem. Także wy, towarzysze antyfaszyści, uruchomcie swoją agenturę. A panu - zwrócił się do domniemanego Beckera - życzę bezpiecznej drogi... - chciał powiedzieć „do domu”, ale ugryzł się w język -... tam, gdzie chce pan jechać. Z panem, panie Kluska, będziemy w kontakcie.

Kiedy wychodził, zobaczył Frau Mueller dyżurującą przy drzwiach, tak jakby bała się, że Jan zabłądzi w przedpokoju. Kiedy przechodził obok drzwi do pokoju stołowego, zrozumiał dlaczego. W głębi pomieszczenia mignęła mu smukła postać dziewczęca, blondynka w jasnej sukience. Twarzy, przysłoniętej włosami, nie dostrzegł. Dziewczyna robiła coś przy dużym stole, ale, pewnie spłoszona jego krokami, zniknęła w niewidocznej z korytarza części pokoju. Uśmiechnął się pod nosem i, podziękowawszy Frau Mueller za herbatę, wyszedł z mieszkania.

Kończył się czerwiec i miasto powoli, jak podnoszony ze śmiertelnej choroby rekonwalescent, wracało do życia. Na ulicach pojawiało się coraz więcej brygad roboczych zajmujących się odgruzowaniem. Składały się z Niemców płci obojga kierowanych przez ludzi z zarządu miasta. Zaścielające jezdnię hałdy cementowego i ceglanego tłucznia znikwały, wrzucane na platformy i wywożone. Tam, gdzie od razu nie dało się ich wywieźć, odgarniano je na chodniki, byle zniknęły z jezdni. Z kolei na Sternstrasse pojawili się tramwajarze. Szli krok w krok za ekipami odgruzowującymi, oczyszczali torowisko oraz kładli nowe szyny i trakcję, całkowicie zerwaną przez bomby. Mieli zamiar jeszcze w sierpniu uruchomić pierwszy tramwaj łączący Dworzec Odra z Bischofswalde. Zdaniem Nyczka, który rozmawiał z przysłanym z Krakowa specjalistą nadzorującym robotę, równie dobrze mogliby sobie projektować poprowadzenie torowiska do Katowic. Ale tramwajarze uparli się i rzeczywiście w ciągu tygodnia dotarli aż do skrzyżowania z Hirschlandstrasse. Tam stanęli na dłużej, bo musieli się przebić przez dwie kamienice, zdmuchnięte przez bomby na jezdnię. Zarząd miasta uaktywnił się też propagandowo, ukazała się polska gazeta, tygodnik zatytułowany

optymistycznie „Nasz Wrocław”. Korzycki przejrzał dostarczony przez Ernesta egzemplarz, ale nie znalazł nic ciekawego. Redaktorzy piali z zachwytu nad powrotem miasta do macierzy, sławiąc trud pionierów odbudowy i chwając się osiągnięciami. Odwieczna polskość Breslau nie ulegała, ich zdaniem, wątpliwości. Jan uważał, że znacznie uczciwiej byłoby nazwać gazetę, a pewnie i miasto, „BreslauWrocław”. W tej przejściowej epoce przydałaby się nazwa oddająca to, co się naprawdę działo - narastanie na gruzach starego, niemieckiego miasta nowego, obcego tworu, implementowanego z nienawistnej Polski. Zastanawiał się, jak Niemcy odbierają to, co się działo z ich Heimatem. Pewnie polska inwazja wydawała im się czymś przykrym, ale jednak tymczasowym - jak atak pleśni na beczkę kiszzonej kapusty. Gdy minie sowiecka okupacja, po prostu wyrzucą skażoną warstwę na śmietnik i wszystko będzie po staremu.

Niektórzy nawet przystąpili do działania, o czym świadczyła wizyta niejakiego Kurta Henckla, czterdziestoparolatka o chytrych, biegających na boki oczach. Człowiek ten, ubrany jak sowiecki komisarz w skórzaną kurtkę i takową czapkę, przedstawił się jako dzielnicowy pełnomocnik Antifaschistische Freihaitbewegung, w skrócie Antify, organizacji współpracującej z radziecką komendanturą wojskową w Breslau, i zażądał, aby Korzycki i Nyczek natychmiast opuścili zajmowany nielegalnie obiekt. Wysłuchali go w osłupieniu, nie wierząc własnym uszom. Kiedy skończył swą przemowę, dostał w pysk od kaprała. Chłopak był krewki i odwykły już od, jak się wyraził, „szwabskiego chamstwa”, więc nie żałował ręki i pan pełnomocnik padł na podłogę jak długi, a z nosa buchnęła mu krew. Korzycki, wcieliwszy się w rolę dobrego milicjanta, pomógł mu się podnieść, po czym, wciąż z uprzejmym uśmiechem, poinformował, że jeśli jeszcze raz się tu pokaże, zostanie aresztowany i jako nazistowska gnida trafi przed polski sąd. Tak potraktowany pełnomocny przedstawiciel Antify natychmiast opuścił lokal, odgrzając się, że wkrótce wróci i to nie sam. Nyczek żałował, że na odchodnym nie zdążył go poczęstować kopniakiem.

Herr Henckel nie rzucał słów na wiatr, bo po dwóch godzinach istotnie zjawiał się ponownie wraz z sowieckim lejtnantem i dwoma żołdatami. Lejtnant Anatolij Iwanowicz Mikołajenko, bo tak się Korzyckiemu przedstawił, początkowo powtórzył żądanie, aby Polacy opuścili zajmowany lokal. Nie wyglądał jednak na specjalnie przejętego swą misją, poza tym z respektem obejrzał pancerna artylerię. Jan uznał, że trzeba negocjować, i zaprosił go do środka. Usadził oficera w fotelu za szachowym stolikiem i mrugnął do Nyczka, aby przyniósł co trzeba.

Francuski koniak przypadł lejtnantowi Mikołajence do gustu. Wytrąbili prawie dwie butelki, opowiadając sobie o wojennych przygodach. Sowiecki oficer okazał się bardzo

przyjemnym człowiekiem, w cywilu scenografem teatralnym. Korzycki teatr lubił i znał rosyjską klasykę, więc temat do rozmowy się znalazł, zwłaszcza że Jan mógł opowiedzieć o swych wizytach w teatrach wiedeńskich, ze sławnymi Staatsoperą i Burgtheaterem na czele. Im więcej ubywało w butelce koniaku, tym lepiej, mimo bariery językowej, się dogadywali. Kiedy pod wieczór biesiada dobiegła końca, byli już najlepszymi przyjaciółmi.

Wychodzącego z lokalu Mikołajenkę zaczepił wyraźnie poirytowany Henckel, głośno domagając się usunięcia polskich milicjantów. Lejtnant, niewiele myśląc, walnął go na odlew w twarz, a potem, wyzywając od hitlerowskich świń, usiłował wyjąć z kabury rewolwer. Szło mu niesporo, a Niemiec, widząc, co się święci, czmychnął na drugą stronę Piastenstrasse i tam przepadł w pierwszej z brzegu bramie. Stojący w drzwiach posterunku Korzycki oddał lejtnantowi honory, a Nyczek wręczył towarzyszącym mu żołnierzom po butelce sznapsa. Od tej pory nie odwiedził ich żaden Niemiec z Antify. Ernest nawet trochę żałował, bo „pranie tych drani po pysku to, psiakrew, jednak przyjemność”.

Równo tydzień po nocnej akcji komenda miejska wreszcie zaczęła traktować ich placówkę poważnie. Przesłano trzech ludzi do obsady, a także kurtki mundurowe i rogatywki. Korzycki i Nyczek mogli wreszcie przestać wyglądać na cywili chwilowo delegowanych do milicji. A kadrowe wzmocnienie okazało się bardzo przydatne, bo na Kaiserstrasse, na obrzeżach placu, zaczęło powstawać nowe targowisko. Jak dowiedział się Korzycki, handel na Matjasiu stopniowo zamierał, gdyż kręciło się tam zbyt wielu milicjantów, poza tym to uliczne targowisko znajdowało się za blisko urzędów. Sprawę przesądziła próba wprowadzenia przez zarząd miejski opłaty targowej - większość handlarzy nie miała na nią ochoty i zwinęli interes. Zaczęli się przenosić na położone na obrzeżach Śródmieścia lotnisko, z dala od czujnych oczu władzy.

Wzdłuż wyburzonego odcinka Piastenstrasse, za skrzyżowaniem z Furstenstrasse, zaczęły, początkowo z rzadka i nieśmiało, powstawać straganowe budy klecone z desek, blachy i dykty. Urzędowali w nich przybyli z głębi Polski handlarze, oferujący głównie artykuły spożywcze i bimber. Zapłatę przyjmowali w naturze, toteż wkrótce na placu zaroilo się od Niemców wynoszących na sprzedaż uchronione przed rabusiami i szabrownikami ruchomości. Interes szedł świetnie, bo oficjalna aprowizacja właściwie nie istniała z racji kiepskiego dojazdu - zerwanych mostów kolejowych wciąż nie zdołano naprawić. W coraz bardziej wygłodzonym i ogarniętym drożyzną mieście można było za dwa worki mąki zdobyć kompletne wyposażenie mieszkania. Na targowisko trafiał także, szeroką strugą, towar z szabru i pospolitej kradzieży, a to już Korzyckiego interesowało. Zrobił nawet nalot na budy i zgarnął kilku podejrzanie wyglądających osobników, którzy nie potrafili się wytłumaczyć z

pochodzenia posiadanych przedmiotów. Od jednego z nich, młodego chłopaka, targającego w worku dwa radioodbiorniki niemieckiej produkcji, po raz drugi usłyszał nazwisko Szmagi. Przypomniawszy sobie, że wspominał o nim jeden z podróżnych w pociągu.

- Szmaga wam tego nie daruje - syknął szabrownik, patrząc, jak Nyczek kładzie na ladzie oba skonfiskowane radioaparaty.

- Kto? - Jan podniósł głowę znad zeszytu, w którym spisywał raport. - Twój pryncypał?

Chłopak zorientował się, że powiedział za dużo, bo zamilkł i nic nie dało się z niego wydusić. Odesłali go do komendy wraz z eskortą i jednym radioaparatem. Do drugiego udało się podłączyć baterie, więc Jan zdecydował się go zatrzymać i wpisał na stan wyposażenia posterunku.

- Trzeba by o tego Szmagę popytać na placu - rzucił do Nyczka, przypominając sobie, co słyszał o nim w pociągu. - Coś mi się zdaje, że to jakaś grubsza ryba w tym szabrowniczym interesie.

Kapral nie zdążył odpowiedzieć, bo na posterunku zjawił się Kluska. Na wstępie pogratulował im rozwiązanie problemu pełnomocnika Antify.

- Ten Henckel to dawny nazista, członek Ortsgruppe Mitte, dzielnicowej organizacji partyjnej znanej w całym Breslau ze ślepego fanatyzmu i wślawionej prześladowaniami ludności cywilnej podczas oblężenia. Oskarżali kogo popadnie o defetyzm, wielu ludzi przez nich trafiło przed plutony egzekucyjne. A teraz dranie siedzą w Antifie i gorliwie służą nowym panom. Robią to samo co przedtem, tyle że zamiast swastyki wielbią czerwoną gwiazdę.

- Napisz o tym doniesieniu do naszych władz - poradził mu Korzycki. - Temat z pewnością zainteresuje wiceprezydenta Kuligowskiego.

Pan Bronek rozejrzał się po lokalu - zobaczył Meszkę i Kowalskiego, nowych podkomendnych Jana, jak pod oknem czyścili broń.

- Trochę was, jak widzę, przybyło... Pewnie zrobiło się ciasno, co?

Miał rację, w piątkę z ledwością się mieścili. Korzycki wyniósł się ze wspólnej sypialni do kantorku właściciela, ale nie wysypiał się jak należy, stojąca tam kanapa była zbyt krótka i piekielnie twarda. Prawdę mówiąc, marzył o normalnym, domowym łóżku.

- Mam propozycję... Mógłby pan zająć kwatery u Frau Mueller, to przecież kilkadziesiąt kroków stąd. Kobieta ma wolny pokój, sama mieszka z córką w drugim. To porządna gospodyni, utrzymuje dom w czystości. Może coś i ugotować, jeśli będzie u pana takie życzenie.



Korzycki zastanawiał się nad tym przez chwilę. Mieszkanie na posterunku naprawdę mu się przejadło, podobnie jak kuchnia Nyczka, może i pożywna, ale dość monotonna, oparta na kaszy i gulaszu z puszki. Dom, o którym mówił Kluska, rzeczywiście był niedaleko, tuż za skrzyżowaniem. W razie czego dotrze na posterunek w ciągu paru minut.

- Dobra - rzekł i poszedł na zaplecze spakować plecak.

\* \* \*

Frau Mueller już ich oczekiwała. Tym razem zostali przyjęci w dużym pokoju, pełniącym zarazem funkcję stołowego. W oczy rzucała się wielka komoda z ciemnego dębu. Stał na niej, wyeksponowany na wzorzystej serwecie, na tle widocznego w oszklonej szafce fajansowego serwisu, wypucowany i błyszczący turski samowar. Korzycki drgnął, kiedy go zobaczył. Mieli w domu bardzo podobny, ojciec przywiózł go z Rosji jeszcze przed pierwszą wojną.

Pokój był zarazem sypialnią, pod ścianą stało duże, małżeńskie łóżko, do którego nóg przystawiono wąską kozetkę.

Na resztę umeblowania składała się solidna, trzydrzwiowa szafa na ubrania z szufladą na pościel i okrągły stół obiadowy. Na ścianie za komodą, obok prostego krzyża, wisiał święty obrazek przedstawiający wniebowzięcie Chrystusa. Pokój tchnął prostotą i prawdziwie niemiecką ascetyczną funkcjonalnością.

Na stole stały fajansowe filiżanki, pewnie z serwisu z komody, w czajniczku zaparzała się suszona marchewka z lipą. Jan na wstępie wyciągnął z plecaka paczkę indyjskiej herbaty - Nyczek znowu załatwił przydział z unrowskich paczek - i dał ją w prezencie gospodyni. Zabrała ze stołu czajniczek i po chwili przyniosła nowy napój.

Rozmowa od początku przybrała bardzo rzeczowy charakter. Miał zająć pokój po synu gospodyni, feldfeblu Martinie Muellerze, żołnierzu służącym w kompanii transportowej, który poległ wczesnym latem 1944 roku gdzieś na przedpolach Mińska. Polak domyślił się, że to on musiał przywieźć samowar, pewnie zrabowany w jakimś rosyjskim czy ukraińskim domostwie. W mieszkaniu przebywała jeszcze córka Frau Mueller, Renatę, ale, jak rzekła gospodyni, nie sprawi żadnego kłopotu, będzie spała razem z matką w dużym pokoju. Problemem może być tylko wyżywienie.

- Pan rozumie, panie oficerze, my nic nie mamy. Za marki nie można nic kupić, żyjemy ziemniakami zakopcowanymi w piwnicy, ale one na długo nie starczą.

Kobieta mówiła to z wyraźnym zażenowaniem. Korzycki wiedział, że Niemcy głodują. Żywności było coraz mniej, pozostałe z okresu Festung Breslau zapasy kończyły się - magazyny zostały w znacznym stopniu rozszabrowane i zniszczone, wiele obiektów zajęli

Sowieci, parę dni temu Nyczek przyniósł wieści o regularnej bitwie, jaką musieli stoczyć strażnicy zarządu miasta z żołdatami o skład kaszy i mąki. Jedzenia zaczynało brakować i dla Polaków. Patrzył teraz na ściągnięte rysy i podkrążone oczy Frau Mueller, jej pomarszczone, chude ręce i rozumiał, jak musi czuć się upokorzona. Wstydziała się swojej nędzy.

- Będę się stołował na posterunku - oświadczył. - A za pokój należy się opłata. Bo ja nie chcę rekwirować, ale wynająć.

Sięgnął po plecak i wypakował na stół przygotowane przez Ernesta wiktuały: dwie amerykańskie konserwy, paczkę kawy, drugą herbaty, puszkę marmolady, pęto suchej kiełbasy i dwa kilogramy komiśniaka.

- To na początek - zaznaczył. - Co tydzień postaram się coś przynieść.

Frau Mueller patrzyła na wyłożone na stół skarby, najwyraźniej nie potrafiąc uwierzyć, że należą do niej.

- Danke, Herr Offizier - wyszeptła.

Kluska zaprowadził go do pokoju, wąskiego i długiego, z oknem wychodzącym na Piastenstrasse. O tym, że przedtem zajmował go syn Frau Mueller, świadczył typowo kawalerski wystrój. Ścianę nad łóżkiem - na oko wystarczająco obszernym i wygodnym jak na potrzeby Jana, a zasłanym świeżą pościelą - zdobił plakat z jakąś nazistowską gwiazdą filmową, superblondyną w meloniku i skąpym kostiumie, eksponującą długie nogi obciążone cielistymi pończochami. Pewnie Martin musiał stoczyć o ten plakat walkę ze swą pobożną matką. Na nocnym stoliku Polak zobaczył przepasane czarną wstążką zdjęcie młodzieńca w mundurze feldfebla. Zwyczajny dwudziestoparolatek z zawadiacko nasuniętą na czoło furazerką i o nieco zbyt sztucznym uśmiechu. Zastanawiały oczy, zmrużone i pełne nieudawanej powagi. Widocznie sporo już zdążył zobaczyć na froncie. Młody żołnierz był modelarzem - na stojącym przy oknie biurku Jan zauważył nieukończony żaglowiec, wyglądający na hiszpański galeon z XVI wieku. Najbardziej ucieszyła go półka z książkami, choć rozczarowała jej zawartość, Martin gustował głównie w powieściach przygodowych i podróżniczych, ale dostrzegł też tomik zakazanego Heinego, świadczący o tym, że syn gospodyni najpewniej nie był zdeklarowanym nazistą.

- Dobrze jest być dobrym dla Niemców? - zapytał niespodziewanie Kluska, który razem z nim lustrował pokój zabitego żołnierza. - To musi dawać poczucie wyższości, zwłaszcza gdy się wie, co oni zrobili w Polsce...

Nie odpowiedział, schylił się i otworzył dolną szufladę niskiej, stojącej przy drzwiach bielizniarki. Spodziewał się, że będzie pusta, w środku jednak zobaczył wypraną i wzorcowo ułożoną bieliznę - koszule, krótkie kalesony, podkoszulki, chusteczki. Uświadomił sobie, że

od tygodni nie zmieniał ubrania. Musiał śmierdzieć, ale nie czuł tego, bo wszyscy śmierdzieli. Część dzielnic wciąż nie miała wody. Poza tym ludzie odwykli od mycia.

- Powiedziała, żeby korzystał pan z ubrań jej syna - dodał Kluska. - Jemu już się nie przydadzą...

I tym razem go zignorował, zamknął szufladę i jeszcze raz krytycznie obejrzał pokój. Po ciasnym kantorku właściciela „Złotej Kolumny” wydawał się apartamentem. Jedynym mankamentem było okno pozbawione szyb i częściowo przesłonięte szarym kartonem przyczepionym szpilkami do framugi. Będzie musiał poprosić Nyczka, aby coś na to zarządził.

Wyszli na korytarz i Kluska zaczął się żegnać. Korzycki musiał wracać na posterunek, chciał tylko zajrzeć do kuchni, aby napić się wody. I wtedy zobaczył dziewczynę.

Stała przy oknie, trzymając kubek gorącej herbaty w obu dłoniach, jakby próbowała rozgrzać marznące palce. Niezbyt wysoka, szczupła, ubrana w brzydką, kuchenną sukienkę na szelkach. Brudnoszarą, przypominającą strój tercjarki. Najbardziej uderzyła go twarz dziewczyny - przez środek, na skos od prawego ucha do lewego policzka, przewiązana grubym, zakrywającym nos bandażem. Widział tylko jasnoniebieskie oczy. I usta dmuchające w parujący napój.

Zaskoczony, przystanął i dłuższą chwilę przypatrywał się dziewczynie. Przybrudzony bandaż na jej gładkiej twarzy sprawiał koszmarnie, odpychające wrażenie.

- To córka Frau Mueller, Renate - powiedział stojący za jego plecami Kluska. - Ale wszyscy wołają na nią Reni.

Uśmiechnął się do niej, patrząc prosto w jej wystraszone oczy, zerkające z obawą nad kubka. Odstawiła naczynie na brzeg kuchni i bez słowa przemknęła obok nich, znikając w pokoju stołowym. Tam właśnie widział ją po raz pierwszy, lecz nie mógł sobie przypomnieć żadnego bandaża.

Wyszli z mieszkania i kiedy znaleźli się na ulicy, pan Bronek zatrzymał się i powiedział:

- Powinien pan o czymś wiedzieć w związku z Reni... Spotkało ją coś... Tuż po kapitulacji, kiedy weszli Rosjanie... Pan wie, zwycięzcy brali, co chcieli, i robili, co chcieli. Za bezsensowny opór panów Hankego i Niehoffa zapłacili cywile, a zwłaszcza kobiety. Pan rozumie, co mam na myśli. Z tego, co wiem, Reni miała wyjątkowego pecha. Do piwnicy, w której siedziała z matką i sąsiadami, wpadli pijani sowieccy żołnierze. Zgwałcili ją i oszpecili twarz bagnetem, stąd ten bandaż. Znam ją od dawna, była śliczną i niewinną dziewczyną. Ja wiem, że pan nic nie musi, ale proszę mieć to na uwadze.

Korzycki spojrzał na niego ostro. Czy ten PolakoNiemiec naprawdę uważał, że nie ma

różnicy między nim a pijanym sowieckim żołdakiem? Nie chciał mu jednak nic tłumaczyć, wzruszył ramionami i nie żegnając się, poszedł na posterunek. Tam zastał czekającego na niego Heinza Bucholtza. Członek władz Vereinigung Deutscher Antifaschisten, bladej jak ściana, był tak przerażony, że nie potrafił zapalić ofiarowanego mu papierosa. Drżał jak osika i dygocące ręce nie mogły utrzymać zapalniczki. Jan uprzejmie podał mu ogień. Niemiec zaciągnął się spazmatycznie i rozkasłał się. Chyba zbyt długo nie palił. W końcu, uspokoiwszy oddech, zaczął mówić:

- Dziś w nocy zamordowano członka naszego prezydium, Rudolfa Hossego, wraz z całą rodziną, żoną i dwiema córkami. Ja chciałem pana prosić, aby pan tam ze mną poszedł i zobaczył to na własne oczy.

Korzycki chciał go zapytać, po co właściwie miałby to robić, ale się powstrzymał. Niemiec był na granicy hysterii, patrzył na niego błagalnie, prawy policzek drgał mu w nerwowym tiku. Trzymające papierosa ręce wciąż się trzęsły. Mężczyzna powtarzał w kółko, że Jan powinien to zobaczyć. Lecz on ciągle nie pojmował po co, skoro nie mogło być mowy o ujęciu sprawców. Być może chodziło o rodzaj demonstracji - wizyta milicjanta w miejscu zbrodni świadczyłaby, że sprawą interesują się także władze okupacyjne i mordy popełniane przez ludzi komendanta przestały być kwestią wyłącznie wewnątrzniemiecką. Pewnie Bucholtz uważał, że mordercy się wystraszą, a przynajmniej przestaną być tak zuchwali. To Korzycki nawet rozumiał - działacz VDA najwyraźniej bał się, że wkrótce przyjdzie kolej na niego.

Z posterunku udali się w stronę lotniska. Za Fiirstenstrasse na dobre rozłożyło się targowisko. Jan wiedział już z relacji Nyczka, że przekupnie całkiem zniknęli z Matjasu. Kramarzy ostatecznie przepędzili milicjanci domagający się swojej doli od interesu. Ludzie nie chcieli płacić i przenosili się w okolice bardziej oddalone od centrów władzy. Na pustej przestrzeni północnego skraju lotniska wyrastały coraz to nowe budy i stragany, choć część przekupniów zadowalała się położoną na paru ceglach deską lub nawet kawałkiem brezentu, na którym wykładano towar. Handlowano wszystkim, co dało się wyciągnąć z gruzów Breslau. Celowały w tym niemieckie kobiety, opróżniające kredensy z co cenniejszej zastawy, a kufry z pościeli i ubrań. Po co komu porcelanowa waza, kiedy nie ma co do niej włożyć? Nie tylko Frau Mueller skończyły się ziemniaki.

Ominęły grupki zajadle targujących się ludzi i poszli przez lotnisko w kierunku mostu - do morderstwa doszło w rejonie Klosterstrasse, po drugiej stronie rzeki. Musieli przemierzyć wysypany czerwonym tłuczniem pas startowy. Nie padało od wielu dni, każdy krok wzbijał tuman ceglatego pyłu, wierzącego w nosie i zmuszającego do kichania.

Korzycki szedł pierwszy, słuchając urywanego sapania i suchego kaszlu drepącego za nim Niemca. Przeklinał się w duchu, że dał się namówić na ten idiotyczny spacer. Równie dobrze mógł się ograniczyć do przyjęcia powiadomienia o zdarzeniu, a na miejsce wysłać Nyczka z jednym z chłopaków. Przecież i tak nie mieli żadnych szans na złapanie kogokolwiek. Miasto potrzebowało wielkiej akcji pacyfikacyjnej, ruiny należało przeczesać, zajrzeć do każdej podejrzanej dziury, urządzając regularne obławy, jak na dzikiego zwierza. Inaczej napady nigdy nie ustaną.

Kiedy znajdowali się niecałe trzysta metrów od przyczółka mostowego, Jan zrozumiał, że popełnił błąd. Znajdowali się na otwartej przestrzeni, narażeni ze wszystkich stron na ostrzał. Co prawda ostatnio w dzień strzelano coraz rzadziej, ale przyczajony w ruinach snajper miałby ich teraz jak na patelni. Rozejrzał się rozpaczliwie, szukając jakiegokolwiek osłony, za którą dałoby się ukryć. I wtedy zauważył tych trzech.

Szli środkiem ulicy prowadzącej w kierunku Bischofswalde, a dochodzącej do byłego Schetniger Stern. Zburzono na niej jedynie pierwsze, najbliższe placu budynki, położona dalej zabudowa ocalała. Trzech ludzi w niemieckich mundurach, chyba Luftwaffe, kroczyło swobodnie, zupełnie się nie kryjąc.

Dwóch miało karabiny, jeden szmajsera. Korzycki złapał Bucholtza za kołnierz i rzucił go na glebę. Sam wyciągnął parabelkę i padł obok, desperacko szukając osłony za kupką rozkruszonych cegieł. Ludzie w mundurach też ich zauważyli - rozproszyli się natychmiast, odskoczyli pod ściany kamienic i przypadli w bramach. Musiał przyznać, że znali się na rzeczy. Z drugiej strony, nie mógł uwierzyć, że dwa miesiące po kapitulacji twierdzy uzbrojeni niemieccy żołnierze w biały dzień spacerują po mieście. Może to jacyś desperaci lub samobójcy? Tym gorzej dla mnie - pomyślał, repetując parabelkę. Postanowił, że nie będzie strzelał pierwszy. Niech tamci zaczną. Obok, nad rzeką, rozciągały się tereny politechniki. Może strzały przyciągną patrol słynnej Straży Akademickiej czy jak to uzbrojone studenckie bractwo się zwało.

Jeden z czających się w bramie Niemców wyjął lornetkę i pilnie patrzył w stronę leżących na placu. Nie strzelali, co Korzycki wziął za dobry znak. Może dadzą spokój i odstąpią, jeśli on nie zacznie? Tak byłoby z ich strony najrozsądniej. Lepiej, aby obyło się bez strzelaniny. Bał się zwłaszcza o Bucholtza, który, rozplaszczony na ceglanej glebie niczym foka na plaży, sapał spazmatycznie, jakby miał dostać za chwilę zawału. Spojrzał znowu na lornetującego ich Niemca. Tamten opuścił szkła i wstał. Sięgnął za pazuchę, wyciągnął białą chustkę i pomachał nią energicznie. Zaczął też iść ku nim energicznym krokiem, cały czas powiewając chusteczką. Jan obserwował go z palcem na spuście, wietrząc podstęp. Kiedy

tamten się zbliżył, zauważył dwie rzeczy - człowiek w niemieckim mundurze miał na rękawie biało-czerwoną opaskę i wyglądał jak kandydat na studenta Czeszejko. Milicjant parsknął śmiechem i podniósł się, chowając broń do kabury.

- O małośmy się dzisiaj nie postrzelali, panie Czeszejko

- powiedział do nadchodzącego. - Nie mieli dla was innych mundurów?

- Ano nie mieli. - Twarz lwowiaka promieniała prawdziwym zadowoleniem. - Cała Straż Akademicka tak chodzi. Na terenie politechniki stacjonował Wehrmacht i zostały po nim sorty mundurowe. Z bardzo porządnego sukna.

Odwrócił się i gwizdnął przeciągle na swoich kompanów, którzy wyszli z bramy, gdzie się schowali.

- A my patrolujemy teren - wyjaśnił Edward. - Tu są uczelniane obiekty, kliniki, trzeba pilnować przed szabrownikami. A pan, jak widzę, też przystał do stróżów prawa?

- Tak wyszło. - Jan dał znak Bucholtzowi, aby podniósł się z ziemi. Omal nie wybuchnął śmiechem, widząc, że Niemiec przypominał teraz klauna ubranego w czerwony kubraczek. Sam nie wyglądał lepiej, obaj byli utyłani ceglanym miałem.

Czeszejko wraz z kolegami, dwoma sympatycznymi bliźniakami z Sosnowca, odprowadził ich w stronę mostu. Z ożywieniem opowiadał o odbudowie uczelni, przekonany, że najpóźniej w końcu września zacznie się rok akademicki. Jego optymizm nie wydawał się tak całkiem bezzasadny - kiedy dochodzili do mostu, widzieli, jak robotnicy kończyli układanie dachówek na ocalałych budynkach byłej Technische Hochschule Breslau.

- Będzie nas już ze dwie setki, a każdego dnia zjawiają się nowi. Wiara wali z całego kraju - entuzjazmował się Edward.

- To oczywiście nie to samo, co na naszym lwowskim Janie Kazimierzu, ale nie ma co narzekać. Gdzieś się przecież uczyć musimy.

Rozstali się przy moście. Tam kończył się, jak to ujął Czeszejko, „rewir akademicki”. Studencki patrol odbił w lewo i podążył wzdłuż nabrzeża w stronę odbudowujących się obiektów przyszłej politechniki. Przed dużym budynkiem, wyglądającym na uczelniany gmach główny, panował spory rejwach. Grupy ludzi z ręcznymi wózkami przewoziły jakieś materiały, inni wyrzucali na ulicę gruz i śmieci. W niektórych oknach pojawiło się nawet szkło.

- Przegonili naszych profesorów, którzy chcieli objąć dawne stanowiska - odezwał się milczący do tej pory Bucholtz. - Powiedzieli, że nie mają tam czego szukać, bo to będzie od tej pory polska uczelnia. A Niemcy co mają robić, gdzie się uczyć?

Jan nie odpowiedział. Weszli na most Cesarski, chyba najokazalszy w całym Breslau.

Korzycki, w końcu niedoszły inżynier, z podziwem oglądał monumentalną konstrukcję. Między postawionymi na przyczółkach mostowych kamiennymi pylonami, zbudowanymi na kształt łuków triumfalnych, rozpięto dwa stalowe pasy - ciągną, do których doczepiono za pomocą wsporników szeroki prawie na dwadzieścia metrów pomost. Wsporniki przytwierdzono do metalowego szkieletu podtrzymującego jezdnię i chodniki. Wisząca nad wodą część mostu miała co najmniej sto dwadzieścia metrów długości.

Ogromna konstrukcja, o dziwo, wciąż stała, choć było widać, że sowieccy lotnicy mieli na nią wielki apetyt. Okolice przyczółków znacząco kilka ogromnych lejów, a zdobiące pylony wieżyczki praktycznie zmieciono salwami z samolotowych działek. Stalowe pasy, na których wisiał most, były poznaczone dziobami po kulach, a niektóre z prętów łączących ciągną z nawierzchnią zostały zerwane. Samą jezdnię popstrzyły dziury po pociskach z działek, ale Korzycki nie widział śladów bezpośredniego trafienia w pomost bombą lotniczą. Na jezdni co prawda dało się dostrzec kilka większych wyrw, ewidentnie jednak wyglądało to na robotę artylerii, zapewne moździerzy średniego kalibru. Tak uszkodzona konstrukcja nie wyglądała zbyt pewnie, ale dało się nią przejść na drugą stronę.

Na moście ktoś pracował - minęli kilku robotników tnących na kawałki wrak ciężarówki, która widocznie nie zdążyła przejechać i dopadł ją sowiecki lotnik. Gdy minęli drugi pylon, przyozdobiony nad łukiem cesarską koroną, dostrzegli na nabrzeżu dwóch ludzi, cywilów z białoczerwonymi opaskami na rękawach, oglądających przez lornetkę dolną kratownicę podtrzymującą pomost. Dyskutowali między sobą gwałtownie, co chwila zaglądając do wielkiej kartonowej teczki z planami.

- Nasze mosty też już nie są nasze - powiedział Bucholtz zgaszonym głosem.

I na to Korzycki nic nie odpowiedział. W ogóle Niemiec coraz bardziej działał mu na nerwy. Tak jak reszta jego rodaków, z trudem przyjmował do wiadomości, że teraz musiał wypić piwo, które sam nawarzył. Bo, ich zdaniem, tylko Hitler był wszystkiemu winien, oni nie mieli z tym, co się stało, nic wspólnego. Skąd się w takim razie wzięli jego zwolennicy, ci, którzy dali mu władzę? W Wiedniu widział setki takich Bucholtzów, łkających jak bobry ze wzruszenia na widok przejeżdżającego ulicami Fihrera. Wtedy go kochali, bo wygrywał. Dziś go nienawidzą, bo przegrał. Najwyraźniej źle się czują w roli pokonanych - pomyślał, zerkając na zasępioną twarz towarzysza.

Poszli na lewo, zostawiając po prawej monumentalny budynek prawie nienaruszony przez bomby, ustawiony frontem do trójkątnego placu, a postawiony na planie wygiętego w łuk prostokąta. Wyglądał na gmach użyteczności publicznej. Budulec - biały beton, przysadzista sylwetka i toporna, zdobiąca front kolumnada świadczyły, że był dziełem

niedawnym, z pewnością nazistowskim. Potwierdził to milcząco Bucholtz, który na widok gmachu splunął z pogardą.

Most Cesarski jakimś cudem ocalał, ale rozciągająca się za nim dzielnica już nie. Weszli między budynki, których właściwie nie było. Zostały po nich wypalone mury, domy musiały paść ofiarą burzy ogniowej. Janowi mówiono o wyjątkowo ciężkim, wielogodzinnym bombardowaniu w czasie Wielkanocy. Katastrofa tej dzielnicy mogła nastąpić właśnie wtedy - świadczyły o tym wątłe porosty i trawy, które gdzieś tam pojawiły się w otworach okiennych. Z wielu budynków zostały jedynie chwiejne zewnętrzne ściany, przepalone na wylot. Wyglądały wprost nierealnie, jak ażurowe konstrukcje ze zwęglonego alabastru. Kiedy koło nich przechodzili, Korzycki bał się, że runą.

Minęli długi szereg wypalonych kamienic i znowu skręcili w lewo. Polak aż zwolnił kroku, zaskoczony tym, co zobaczył, mimo że w Breslau takie widoki zdarzały się często. Za kwartałem wypalonych do kości kamienic rozciągała się prawie nietknięta dzielnica. Stojące wzdłuż ciągnącej się w kierunku zachodnim ulicy domy zachowały w większości całe dachy i elewacje. Tylko szyb w oknach, tak jak wszędzie, nie było. Ale szkło już nie trzeszczało pod stopami, jezdnię w znacznym stopniu uprzątnięto, śmieci piętrzyły się pod ścianami, uformowane w przyzmy stojące w regularnych odstępach. Ci, którzy kierowali robotą, znali się na niemieckim ordnungu.

- Klosterstrasse - zwięźle powiedział Bucholtz. - To mieszkanie jest pod 83.

Ulica z pozoru wyglądała tak, jakby nic się nie stało, nie było wojny, oblężenia i bombowej masakry. Przed jedną z bram kręcił się dozorca w fartuchu, zgarniał miotłą śmieci na kupę. Przed witryną mieszczącego się w oficynie zakładu szewskiego rozmawiały dwie niemieckie Frauen, krytycznie oglądając parę butów, które jedna z nich widocznie przyniosła do naprawy. Pojawiały się nawet dzieci. Przez jedną z szeroko otwartych bram Jan mógł zajrzeć w głąb podwórka na tyłach kamienicy. Kilku chłopców grało tam w piłkę. Podzieleni na dwie drużyny, strzelali do jednej bramki wyznaczonej wbitymi w ziemię kijkami. Widać nie mieli drugiego bramkarza.

Sapiący coraz ciężiej i najwyraźniej zmęczony wędrówką Bucholtz zatrzymał się przy odrapanych drzwiach z numerem 83. Weszli do środka, do ciemnej i cuchnącej stęchlizną sieni. Niemiec poprowadził w górę, po trzeszczących drewnianych schodach. Na trzecim piętrze zatrzymał się przed pomalowanymi na brązowo drzwiami. Stał przed nimi może szesnastoletni, dość wysoki jak na swój wiek, wyrostek ze śmiesznymi śladami pierwszego zarostu na policzkach. Na widok Bucholtza chłopak otworzył drzwi i odsunął się, wpuszczając ich do środka.



Mieszkanie sprawiało wrażenie raczej skromnego. Tapeta w przedpokoju, odstająca w rogach i poznaczona żółtymi plamami, domagała się wymiany, ze stojącej w kącie komody lakier łuszczył się płatami. Opierał się o nią rower, bardzo odrapany, ale z kompletnymi oponami. Jak na warunki Breslau, prawdziwy skarb.

Przedpokój prowadził do standardowych dwóch pokoi i kuchni. Do napadu doszło, jak wyjaśnił Bucholtz, o piątej rano. Sąsiedzi słyszeli rumor i krzyki, ale nie odważyli się interweniować. Bandytów było kilku i ludzie bali się, że są uzbrojeni.

Domownicy zostali zaskoczeni - jeszcze spali, kiedy tamci weszli. Mężczyznę dopadli w kuchni. Wcześniej musiał uciec tam z sypialni, był w samych kalesonach. Próbował się bronić, w zaciśniętej dłoni trzymał pogrzebacz. Nie dali mu żadnych szans. Sądząc po półkolistych, głębokich ranach widocznych na szyi i piersi, ani chybi walili w niego siekierą. Ostatni cios, w czoło, dostał, kiedy leżał już na podłodze pod kuchennym piecem. Na białych kafelkach koło żeliwnych drzwiczek była widoczna krew i strzępy skóry. Mordercy zarabali go, jakby bili świnie.

Jego żona leżała na wznak w drzwiach sypialni. Rozłożysta, tęga, ciemnowłosa kobieta w długiej koszuli nocnej obręzionej koronką. Pewnie próbowała wyjść z pokoju, aby bronić zarąbywanego w kuchni męża. Nie patyczkowali się, poderżnęli jej gardło, klasycznie, od ucha do ucha. Głęboko, Korzycki widział w ranie pod brodą przeciętą rurę tchawicy. Uduśiła się własną krwią. Było jej pełno, na koszuli i ciele ofiary, mnóstwo pociekło na podłogę, gdzie zastygła w brunatne kałuże. Odciskały się w niej buty zabójców, mocne żołnierskie trepy o podeszwach nabijanych ćwiekami. Niemieckie. O niczym to jednak nie świadczyło, wszyscy chodzili w takich butach, bo innych nie było.

Ciemnobrunatne ślady wyraźnie odciskały się na wytartym chodniku wyścielającym korytarz przedpokoju. Prowadziły też do drugiego pomieszczenia.

- Tam spały ich córki, czternastoletnia Greta i młodsza o dwa lata Frieda. Zgwałcili je, a potem... - Bucholtz, kiedy to mówił, zacisnął ręce tak mocno, aż pobieleły mu knykcie.

Korzycki uchylił drzwi do pokoju, ale nie wchodził do środka. Dziewczynki leżały na wznak w rozbebeszonych łózkach, z koszulami zadartymi pod brodę i rozrzuconymi nogami. Kiedy skończyli, rozpruli im brzuchy, od łona po piersi. Dobrze, że koszule zakrywały twarze martwych dzieci, nie chciał ich oglądać. Zamknął drzwi i otarł czoło, od widoku tej jatki spocił się jak mysz. Sporo w czasie okupacji widział, ale czegoś takiego nigdy. Mordercy jakby popisywali się okrucieństwem. Tak nie postępowali zwykli rabusie. Bucholtz, zapytany o to, co skradziono, stwierdził, że z mieszkania nic nie zginęło. Sam Jan widział zresztą pozostawiony w przedpokoju rower.

- Ten Hossę pracował jako tramwajarz, majątku się nie dorobił. Piętro wyżej jest bogaty kupiec, mieszkanie ma wypchane cenną porcelaną i antykami, na targ wnosi srebrne łyżeczki - zauważył Niemiec. - Jemu nic się nie stało. A Hossę należał kiedyś do SPD, a po obłączeniu i wejściu Rosjan wstąpił do VDA. Jak wspominałem, należał do prezydium naszego stowarzyszenia.

- I to, pana zdaniem, był główny motyw zbrodni? - ni to zapytał, ni stwierdził Korzycki. - Chcieli was zastraszyć?

- A o co innego może chodzić? Przecież nie zdjęli im nawet obrączek! - Bucholtz wyciągnął z kieszeni niebieską chusteczkę i wytarł pot z czoła. Pewnie i jemu od widoku porzniętych ciał i odoru krwi zrobiło się niedobrze.

Korzycki jeszcze raz zajrzał do kuchni i sypialni państwa Hossę. Chciał się przyjrzeć pozostawionym przez morderców śladom butów. Z wielkości, kształtu podeszew i umiejscowienia odcisniętych na zakrwawionej podłodze trepów wyciągnął wniosek, że zabójców było co najmniej trzech. Bucholtz miał rację, interesował ich wyłącznie mord, nawet nie otworzyli szuflad.

- Sąsiedzi powiedzieli, że kiedy skończyli, a trwało to co najmniej kwadrans, wyszli przez podwórko. Tam dalej są takie małe ogródki, a potem ruiny.

- Mówili coś może? W jakim języku?

Niemiec pokręcił przecząco głową. Jan jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu. Nic nie mógł zrobić poza napisaniem raportu do komendy miejskiej. Nie miał nawet możliwości zajęcia się ciałami, do tego potrzebna była kostnica, a on nie wiedział, czy jakaś znajduje się w okolicy. Zupełnie irracjonalnie czuł się winny swej bezradności. Postanowił, że na koniec „czynności śledczych” pójdzie na podwórze i przynajmniej obejrzy ogródki, o których mówił Bucholtz, choć nie spodziewał się czegokolwiek tam znaleźć. Mordercy dawno siedzieli w swej kryjówce, pewnie w jakiejś piwnicy pośród morza ruin na południe od dworca. Równie dobrze mogli się ukryć na księżycu.

Położone na tyłach kamienicy podwórko oddzielał od ogródków wysoki ceglany mur z drewnianą furtką pośrodku. Za nim rozciągały się niewielkie, kilkuarowe działki ogrodnicze, bardzo zapuszczone, choć w paru miejscach widział ślady pracy na grządkach. Tu i ówdzie ludzie pobudowali sobie szopki na narzędzia, niektórzy nawet altany. Korzycki rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Stał jeszcze chwilę, gapiąc się na rzędy dziczejących pomidorów, i już miał zawrócić, kiedy na odległej o kilkadziesiąt metrów działce zauważył ruch. Przy niedużej, obitej papą szopce pokazał się mężczyzna, wysoki, zarośnięty brunet, ubrany w połatany płaszcz wojskowy. Przez chwilę patrzyli na

siebie, zaskoczeni, aż tamten obrócił się na pięcie i zniknął za budą.

- Hak! - krzyknął Korzycki. - Stój! - powtórzył po polsku.

Usłyszał jedynie trzask łamanych gałęzi, mężczyzna przedzierał się przez chaszczę. Skoro uciekał, musiał mieć powód.

Z drugiej strony ogródków też był mur. Niezbyt wysoki, Jan przesadził go bez trudu. Znalazł się na wąskiej uliczce, po drugiej stronie zabudowywały ją długie i niskie magazyny. Tamten biegł szybko, Polak dostrzegł wojskowy szynel znikający za węglem. Jeszcze raz krzyknął, aby nieznajomy się zatrzymał, po czym sam pobiegł w kierunku skrzyżowania. Skręcił w prawo, znajdował się na ulicy biegnącej równoległe do Klosterstrasse. Stały tu piętrowe domki jednorodzinne, odgradzone płotami żywopłotów, zupełnie niezniszczone, widział nawet kwiatki w oknach. Sylwetkę uciekiniera zobaczył dwieście metrów przed sobą, mężczyzna dobiegał do kolejnego skrzyżowania.

Wiedział, że nie ma szans go dogonić, człowiek w szynelu był zbyt szybki w nogach. Zrezygnował z pościgu, zwolnił i powoli doszedł do skrzyżowania. Znowu znajdował się w strefie martwego Breslau, naprzeciwko szczerzącej się wypalonymi oknami kamienicy. Mężczyzna z działek rozplynął się bez śladu.

Korzycki uznał, że starczy tej zabawy, był zmęczony i wściekły na siebie, że dał się wciągnąć w bezsensowną galopadę. Sięgał właśnie po papierosa, ale zamarł z otwartym pudełkiem w dłoni, nie mogąc uwierzyć w to, co widział. Spomiędzy gruzów zalegających przeciwległą stronę ulicy, zza załomu częściowo zburzonej ściany, wyszedł człowiek. Wysoki, o twarzy przysłoniętej dużymi, ciemnymi okularami, w kompletnym mundurze esesmana, wyglansowanych oficerskich butach i z automatem MP na piersi. Esesman postąpił kilka kroków i zatrzymał się na resztkach strzaskanego trotuaru.

Na tym odcinku ulicy funkcjonowało coś w rodzaju targowiska, na chodniku i jezdni, wokół ustawionych przez handlarzy prowizorycznych straganów, kłębił się spory tłumek. Ludzie, do tej pory kłócący się po polsku i niemiecku, zamarli i gapili się wytrzeszczonymi oczami na esesmana, który wymownie poprawił pistolet i spokojnie, ignorując przechodniów i nie śpiesząc się specjalnie, przeszedł przez skrzyżowanie i zanurzył się w gruzowisko po drugiej stronie. Korzycki zauważył na mundurze odczyszczzone i błyszczące odznaki untersturmführera.

Dopiero wtedy zadziałał. Rozejrzał się, złapał za ramię jakąś młodą kobietę, wciąż zszokowaną widokiem esesmana, i upewniwszy się, że to Polka, kazał jej biec na Dworzec Główny, zawiadomić milicję i powiedzieć, że sierżant Malinowski ściga w gruzach uzbrojonego marudera z SS. Dziewczyna skinęła głową, choć wciąż była biała jak ściana.

Niezdolna wykrztusić słowa, kreśliła tylko w powietrzu znak krzyża, jakby chcąc odegnąć złego ducha. Jan nie tracił więcej czasu i wyciągając pistolet, pobiegł tam, dokąd podążył Untersturmführer.

Wpadł do bramy zrujnowanej kamienicy, w której zniknął esesman. Ocalał z niej jedynie front, tylna część budynku została trafiona bombą i obrócona w gruzowisko, więc brama wychodziła wprost na podwórko zasłane hałdami w skruszonych na proszek murów. Niemca nigdzie nie widział, ale z lewej, od strony wybitej przez pocisk artyleryjski szczyrby w osmalonej ogniem ścianie oddzielającej podwórko od sąsiedniego dziedzińca, dobiegł go odgłos potrąconej cegły, staczającej się po ospysku. Ostrożnie ruszył w tamtym kierunku, starając się nie robić hałasu.

Esesman przeciwnie, najwyraźniej nie chciał się ukrywać, bo znowu potrącił jakiś odłamek, który głośno zagrzechotał. Korzycki ostrożnie zerknął przez wyrwę w murze i nie widząc nikogo, przeszedł na drugą stronę. Znalazł się na dziedzińcu zawalonym porzuconym materiałem wojennym. Musiała tam stacjonować podczas oblężenia większa jednostka bojowa, ponieważ wszędzie wały się nadrdzewiałe hełmy, skrzynki z amunicją, części moździerzy, fragmenty umundurowania i osobistego żołnierskiego wyposażenia. Częsty wrocławski widok, wojsko nie śpieszyło się z oczyszczeniem miasta z pozostałości po oddziałach niemieckich. Ważniejsi byli ukrywający się w ruinach ludzie.

Podwórko wydawało się puste, ale nie dał się zwieść. I tu kryjówek nie brakowało, dostrzegł trzy zabezpieczone workami z piaskiem przekopy prowadzące do piwnic, w których najwidoczniej urządzono schrony przeciwlotnicze. W jednym z nich mógł zniknąć esesman. Korzycki przykucnął za częściowo rozwaloną biedermeierowską komodą, pewnie przytarganą z któregoś z opuszczonych mieszkań. Wpatrzył się w czarne otwory piwnicznych okienek. W jednym z nich dostrzegł matowy błysk oksydowanej stali. W ostatniej chwili przypadł do ziemi.

Niemiec strzelał oszczędnie, krótkimi seriami. Z nieszczęsnej komody sypnął się deszcz drzazg, kilka wpadło Janowi za kołnierz i kolnęło go w policzek. Gdy esesman przestał strzelać, Polak wychylił się i posłał w okienko dwie kule. Odpowiedziała mu długa seria. Z pistoletem przeciwko automatowi niewiele mógł zdziałać, ale liczył, że przyblokuje drania aż do czasu nadejścia posiłków. Niemiec też chyba doszedł do podobnego wniosku, bo przestał strzelać i po chwili rozległy się pośpieszne kroki. Korzycki podniósł się i zobaczył w tunelu bramy czarny cień, śmigający na drugą stronę ulicy.

Pobiegł za nim, ale nie odważył się wyjść z bramy. Ulica przypominała skalisty wąwóz, najeżony po bokach ostrymi turniami wypalonych i potrzaskanych murów. Nie

należała do uczęszczanego ciągu komunikacyjnego miasta i wyglądało na to, że nikt tutaj nie był od czasu zakończenia oblężenia, oczywiście poza szabrownikami. Jezdnię zaścieniały kupy gruzu przemieszanego z potłuczonym szkłem, wyrzucone z mieszkań meble i poniszczony drobniejszy sprzęt domowy.

Kilkadziesiąt metrów po prawej trzasnęło nadepnięte szkło. Korzycki przyklęknął i na sekundę wyjrzał zza węgła. Esesman stał na ciśniętym na jezdnię przez podmuch bomby dużym fragmencie balkonu i machał automatem, jakby zachęcając Jana do dalszej zabawy. Niemiec roześmiał się głośno, zeskoczył z oberwanej balustrady i pobiegł w głąb ulicy, zręcznie omijając przeszkody. Dotarł do skrzyżowania i skręcił w lewo.

Korzycki zaczynał rozumieć, o co tamtemu chodziło. Wyraźnie prowadził go w stronę południowych dzielnic, zamienionych w ciągnące się kilometrami gruzowisko. Być może liczył na wsparcie ukrywających się tam kompanów. W każdym razie dalsze podążanie za nim w głąb labiryntu ruin zakrawało na samobójstwo.

Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Oczywiście, najprościej było odpuścić i wrócić na Klosterstrasse, ale tego akurat nie chciał. Esesman wkurzył go, zwłaszcza tym wyglansowanym mundurem. Poza tym drań żył stanowczo za długo.

Wystrzelił dwa razy w powietrze, mając nadzieję, że naprowadzi tym zawiadomionych przez dziewczynę milicjantów na właściwy trop, potem wycofał się, przeszedł przez podwórko do sąsiedniej bramy i dopiero poprzez nią wypadł na ulicę. Przebiegł kilkanaście kroków i schował się za wrakiem taksówki, chyba fiata, przewróconej przez wybuch na dach. Nic się nie działo, więc przeskoczył na drugą stronę ulicy i wpadł do bramy dziwnym trafem nieznacznie tylko naruszonej kamienicy. Pobiegł podwórkiem wzdłuż ulicy w kierunku skrzyżowania, przeskoczył przez dwa niskie murki i przez kolejną bramę wyszedł na ulicę, w którą skręcił esesman.

Untersturmführer czekał na niego przy wybitej witrynie sklepowej, oparty o framugę wyrwanych drzwi, spokojnie paląc papierosa. Na jego widok skinął głową jakby z uznaniem i nim Korzycki zdążył wystrzelić, zniknął w głębi zrujnowanego lokalu. Bawi się ze mną w kotka i myszkę - pomyślał wściekły, zastanawiając się, czy warto kontynuować pościg. W końcu to tylko jeden esesman, dziesiątki jego koleżków pałętało się po ruinach lub przystało do band Werwolfu. Oczyszczanie z nich miasta i tak potrwa jeszcze wiele miesięcy.

Już chciał zrezygnować i zawrócić, kiedy nad sklepem, na nadkruszonym i częściowo odłupanym balkonie, pokazał się esesman. Spojrzał na Korzyckiego i znowu roześmiał się na całe gardło, po czym, jakby od niechcenia, posłał w jego kierunku krótką serię. Celował kiepsko, kule poszły za wysoko odłupały resztki tynku nad bramą. Untersturmführer

roześmiał się raz jeszcze i zniknął w głębi mieszkania. Jan, klnąc pod nosem, przeskoczył na drugą stronę ulicy. Wesolek zaczął doprowadzać go do szewskiej pasji.

Zrujnowany sklep musiał być kiedyś magazynem modystki. Szabrownicy już w nim gościli, w środku zostało tylko trochę połamanych mebli i kilka zdewastowanych damskich manekinów ubranych w resztki porwanych i popalonych sukien. W kamienicę naprzeciwko musiała walnąć bomba fosforowa, bo budynek wypalił się do kości, od ścian odstawały płyty zwęglonego tynku. Odpryski bomby dosięgły i sklepu, widział czarne plamy sadzy, ale mieszkańcy zdążyli interweniować, gdyż pożar się nie rozszerzył - prowadzące na piętro schody wyglądały na nietknięte. Wchodził na nie powoli, wsłuchany w rumor, jaki czynił urzędujący w położonych na górze pokojach esesman, najwyraźniej wcale nie przejęty tym, że jest ścigany.

Mieszkanie, choć zdewastowane, nie sprawiało wrażenia wypatroszonego przez szabrowników. Ci z pewnością nie zostawiliby wyścielającego przedpokój perskiego dywanu. Od korytarza odchodziło pięć drzwi. Drugie po lewej były uchylone i dostrzegł, a raczej usłyszał za nimi jakiś ruch. Esesman nie krępował się, hałaśliwie buszował po pokoju, otwierał szafy, wywlekał szuflady. Korzyckiego dobiegł brzęk szkła i bulgot. A więc o to mu szło, o alkohol.

I wtedy popełnił błąd. Chciał się zakraść pod drzwi i wykorzystując to, że esesman był zajęty szukaniem gorzały, otworzyć je kopniakiem, a potem jednym strzałem zakończyć sprawę. Niestety, nie spojrział pod nogi, na dywan, na którym poniewierały się resztki porcelanowego serwisu. Za późno zdał sobie sprawę, że nadepnął na odwróconą filiżankę. Porcelana pękła z hukiem, a esesman rzucił butelkę i dopadł drzwi.

Na szczęście pokój po prawej nie był zamknięty. Jan wskoczył do niego w ostatniej sekundzie, nim długa seria rozorała futrynę. Tym razem Niemiec przyłożył się jak należy. Korzycki w ostatniej chwili przywarł do ściany i rozpląszczył się na niej. Druga seria poszła w głąb pokoju, częściowo przestrzeliwując okno. Posypały się resztki niewytłuczonych jeszcze szyb. Polak usłyszał szcęk wymienianego magazynka - miał kilka sekund, aby coś zrobić i zejść z linii strzału. Obok, przy ścianie, stała niewielka szafa, mógł ją pchnąć i przynajmniej częściowo zasłonić otwór drzwi. Zwalił ją z hukiem, tuż przed tym, jak usłyszał, że tamten odciągał zamek, przeładowując broń przed kolejną serią. Solidna dębina mebla zatrzymała kule, ale na wszelki wypadek wzmocnił tę zaimprovizowaną barykadę znalezionym pod oknem sekretarzykiem. W kącie znalazł też kilka powiązanych sznurkiem paczek z książkami. Zrobił z nich całkiem zgrabną strzelnicę i kiedy esesman przymierzał się do następnej serii, wygarnął trzy razy z parabelki, dziurawiąc drzwi w jego pokoju i tłukąc

jakieś szklane resztki w kredensie.

Po tej wymianie ognia nastąpiła przerwa. Korzycki czekał, co zrobi esesman, a Untersturmführer też przestał strzelać. Widocznie i on uznał, że sytuacja jest patowa. Każdy z nich, dobrze obwarowany w swoim pokoju, szachował przeciwnika. Nie mieli dobrego pola ostrzału, oba pomieszczenia były usytuowane względem siebie po przekątnej.

- Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma - powiedział do siebie Korzycki, rozglądając się ciekawie po pokoju. Niegdyś musiała w nim mieszkać młoda panienka w wieku pensjonarskim, sądząc po dużej ilości różnych dziewczęcych drobiazgów, perfum, bluzek, kolekcji lalek i porzuconych na kanapie podartych pończoch.

Poderwał głowę, bo tamten zaczął chrobotać, jakby czegoś szukał na podłodze, potem rozległ się charakterystyczny gulgot. Pił prosto z butelki. Kiedy już miał dość, sapnął i beknął.

- Co tam mówisz, Polaczku? - zapytał niskim, chrapliwym głosem.

Korzycki uśmiechnął się krzywo i wymienił w parabelce magazynek.

- Mówię, Szwabie, że czas na ciebie - odparł i zarepetował.

- No proszę, Polaczek gada w ludzkim, niemieckim języku. To może sobie porozmawiamy, co?

Jan wyjrzał ostrożnie przez szczelinę w ułożonej z książek strzelnicy. Niemiec leżał za przymkniętymi do połowy drzwiami, zatarasowanym przewróconym fotelem. Polak widział tylko wylot wystającej zza framugi lufy automatu. Dobra pozycja, skórkowany był niewątpliwie doświadczonym żołnierzem. Inaczej nie pożyłby tak długo.

- Czemu nie, pogadajmy - odpowiedział. - Zawsze to dobrze wiedzieć, kogo się zastrzeli.

Niemiec zaśmiał się rehotliwie i znowu pociągnął z butelki. Korzycki poczuł, że i jemu zaschło w gardle, a nawet zaczął się rozglądać po pokoju, czy aby czegoś nie znajdzie. Niestety, mieszkające tu niegdyś dziewczę nie przechowywało żadnych trunków poza perfumami. Znał co prawda takich, co i nimi by nie pogardzili, ale uważał to za przesadę. Zastanawiał się, czym się raczył Untersturmführer. Może trafił na flaszkę francuskiego koniaku? Przynajmniej na koniec ma używanie.

- A może to ja zabiję ciebie?! - zawołał esesman. - Jeszcze jednego wrednego i brudnego Polaczka, słowiańską, podludzką świnię! Kilku już zabiłem, przydałbyś się do kolekcji.

Odpowiedział kulką wsadzoną w oparcie fotela. Niemiec roześmiał się i znowu pociągnął z butelki.

- Nerwowy Polaczek mi się trafił, nie ma co. Ci, których rozwaląłem w Generalnej Guberni, byli znacznie spokojniejsi.

- Ty też zaraz dostąpisz pokoju wiecznego - odparował Jan. - Albo raczej niepokoju. Już tam na ciebie czekają w piekle, Herr Untersturmführer.

Zanosilo się na dłuższą pogawędkę. Korzycki zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał czekać na posiłki. A jeśli dziewczyna spanikowała i po prostu uciekła, nie powiadamiając milicji? W takim razie po zmroku zjawia się kumple untersturmführera i dołączają jeszcze jednego podludzkiego Polaczka do swej kolekcji słowiańskich trupów. Nic na to nie mógł poradzić, więc wyciągnął papierosy i zapalił.

Niemiec milczał dłuższą chwilę.

- A co ty tam wiesz o piekle... Gdybyś widział to, co widziały moje oczy... W takim Auschwitz na przykład albo BergenBelsen. Widziałem dziesięć tysięcy martwych ludzi ułożonych w wielopiętrową pryzmę, oblanych ropą i palących się żywym ogniem. Tłumy Żydów stłoczonych jak bydło i gnanych pałkami do komory gazowej... Nie, nie tylko oglądałem. Strzelałem w kark kobietom spychanym do dołów z trupami, wdychałem smród palonego mięsa i miałem w ręku popiół z ich kości... Nie, panie Polak, piekłem to ty mnie nie strasz, w piekle to ja już byłem.

Korzycki pomyślał, że tym bardziej powinien go zabić. W imieniu tych, którym nie dano najmniejszej szansy.

- A ty wiesz, co mi się śni po nocy? Nie, nie te góry i doły trupów, wcale nie. Ta mała, z miasteczka koło Krakowa, gdzie likwidowaliśmy getto... Wiesz, jak to jest, dużo bałaganu, ludzie wrzeszczeli, nie chcieli wychodzić, trzeba było postrzelać, aby nauczyć Żydów moresu... Ta mała została oddzielona od rodziny, stała na środku placu. W zielonym płaszczku, całkiem podobna do Gretki, córeczki mojej siostry, wyglądała jak nieżydówka, z takimi jasnymi warkoczykami... I ona tam stała i płakała, wołając za mamą... I wtedy, to ci powiem, że coś we mnie pękło, może dlatego, że tak była do tej Gretki podobna. Podszedłem do niej i dałem jej cukierka, który mi się poniewierał w kieszeni. Dziewczynka włożyła go do ust i uśmiechnęła się do mnie... Rozumiesz, do mnie, człowieka, który zabijał jej naród. I wtedy zachowałem się jak nieesesman, bo zamiast strzelić do tego żydowskiego bachora, pogłaskałem ją po główce, odwróciłem się i odszedłem. Na szczęście Scharführer Hoppe wykazał dość narodowosocjalistycznej czujności, bo, gdy się już odwróciłem, przyłożył małej żydowskiej wszy kolbę i było po sprawie. Nawet nie zdążyła zjeść tego cukierka. I wszystko byłoby dobrze, tylko że mnie co noc śnią się roześmiane oczy tej dziewczynki, gdy wkłada do ust podarowanego przeze mnie cukierka, a Hoppe unosi karabin... Panie Polak, ja już znieść



nie mogę tych oczu!

Korzycki zaciągnął się mocno końcówką papierosa i cisnął peta w kąt pokoju. Wcale się nie dziwił, że tamten nie bał się piekła. Od lat nosił je w sobie. W końcu musiało go pochłonąć.

- No i co pan o tym myślisz, panie Polak? - krzyknął esesman. Butelka widać mu się skończyła, bo rzucił ją o ścianę. Pękła z hukiem, niczym szklany granat.

- Myślę, że za długo to trwa. Ludzie z takimi wspomnieniami od dawna powinni nie żyć.

Untersturmführer roześmiał się szyderczo.

- No proszę, trafił mi się prawdziwy filozof. A co z twoimi wspomnieniami? Może są jeszcze ciekawsze?

- Nie, Herr Untersturmführer, pańskie są naprawdę wyjątkowe. Szkoda tylko, że śmierć będzie tak zwyczajna.

Nie spodziewał się ataku, na szczęście esesman był już mocno pijany i cała seria poszła w sufit. Sypnęło kurzem i skruszonym tynkiem. Jan zakrztusił się i rozkaszał, tak że nie dosłyszał, co tamten mówił.

-...nie miał racji. Przed Żydami trzeba było załatwić filozofów. Wszystkich. A potem klechów, co do jednego. Są gorsi od Żydów.

Zamilkł, jakby trawił jeszcze jakąś myśl.

- Wiesz, co sobie czasem myślę? Że właściwie to mógłbym wam się przydać. Przecież, skoro wygraliście, pewnie wkrótce zaczniecie budować obozy dla Niemców... Zresztą po co, wykorzystajcie nasze, są idealne. Takie Auschwitz na przykład, trzeba tylko odbudować krematoria... Będziecie potrzebowali fachowców od likwidacji, bo co zrobicie z tą niemiecką mierzwą, po co wam ona? To podludzie - skoro nie potrafili umrzeć z honorem za Fiihrera, niech idą do gazu. Chętnie się ich pozbędziecie, razem w parę lat damy radę. Poszło z Żydami, pójdzie i z Niemcami. Tu, w Breslau, nie ma potrzeby budować obozu, zrobimy to jak na Ukrainie, w stylu Einsatzgruppen. Nawet dołów kopać nie musicie, za miastem jest sporo glinianek, tylko spuścić wodę i już. Do tego kilka karabinów maszynowych, ze dwa spsychacze, gruz do zasypywania trupów macie na miejscu. W dwa tygodnie oczyścicie miasto, potem wyrównacie teren i zasiejecie kwiatki. Po roku śladu nie będzie, zrobicie tam skwerki dla dzieci, z ławeczkami i huśtawkami... I co pan o tym myślisz, panie Polak? Idea słuszna, sprawiedliwa? Skoro najpierw my was, to teraz wy nas, logiczne. Nie udało nam się zaprowadzić niemieckiego porządku, to zróbcie swój, polski. Dobrze przecież mówię?

Nie zdążył odpowiedzieć. Z dołu dobiegł szurgot wielu stóp i głosy, padały słowa

polskie i rosyjskie. Dziewczyna jednak nie skrewiła i powiadomiła kogo trzeba. Untersturmführer też to zrozumiał.

- Czas na mnie, panie Polak. Będziemy kończyć.

Drzwi od jego pokoju otworzyły się szeroko i Niemiec stanął w nich w całej okazałości, mierząc z MP w barykadę Korzyckiego. Był kompletnie pijany, chwiał się na nogach i miał wyraźne problemy z wycelowaniem. Nim nacisnął spust, Jan posłał mu jedną kulkę. W czoło, tuż pod przekrzywiony daszek czapki z trupa czaszką. Trafiony wzdrygnął się i upuścił broń. W ostatnim odruchu próbował złapać za framugę, ale już zmartwiałe palce jedynie musnęły drewno. Padł na wznak z potwornym rumorem. Korzycki przeskoczył przez barykadę i podszedł do leżącego mężczyzny. Pod jego głową rozszerzała się plama krwi. Czubkiem buta strącił mu z twarzy ciemne okulary. Untersturmführer miał szeroko otwarte oczy, ich źrenice były przeźroczyste, wręcz rozplływały się w białkach. Wyglądały jak oczy ślepeca.

## VI. Dom towarowy Breslau Wrocław

Na obitą czerwonym suknem mównicę wlaźł świński blondyn koło trzydziestki, o wylupiastych oczach i wydatnych, zaślinionych ustach. Przewodniczący zebrania przedstawił go jako dolnośląskiego wojewódzkiego sekretarza PPRu. Blondyn napił się wody, po czym zaczął przemowę - mówił dokładnie to samo, co występujący przed nim wojewódzki sekretarz PPSu. Po złożeniu hołdu bohaterskiej Armii Czerwonej, dowodzonej przez genialnego wodza Stalina, przeszedł do wysławiania prapolskiego Wrocławia. Szło mu niesporo, bo powoływał się na Piastów śląskich, o których niewiele wiedział, a poza tym byli to przecież feudałowie. Szybko o nich skończył i zaczął roztkliwiać się nad dziejami wynaradawianego ludu tej ziemi, od wieków opierającego się germańskiej nawale. Kiedy przeszedł do historycznego i politycznego znaczenia powrotu ziem nadodrzańskich do macierzy w kontekście demokratycznych przemian, Korzycki przestał go słuchać. Mowy komunistycznych prominentów były równie dęte i nudne jak przedwojenne wystąpienia piewców sanacji czy ONRu. Zmieniła się tylko tematyka, frazeologia wydawała się zaskakująco podobna, tak samo jak i sposób zaklinania rzeczywistości słowami - jakby wierzyli, że stanie im się posłuszna, jeśli wypowiedzą odpowiednio wiele wyrazów.

Zamiast słuchać rytualnych zaklęć sekretarza, wolał przyglądać się gotyckim sklepieniom rycerskiej sali ratusza, prawdziwej perełce gotyku. Do tej pory nie potrafił pojąć, jakim cudem stojący pośrodku kwadratowego rynku budynek ocalał, kiedy bomby obróciły w perzynę sukiennice i wszystkie cztery pierzeje. Czy ten zuchwale szczytujący się całym dachem gmach to znak od niebios, podarunek na nowy początek? Komuniści chyba też tak myśleli, bo w pierwszej kolejności zabrali się do jego porządkowania, ekipy pracowały cały czas, nawet teraz. Widocznie nowi władcy potrzebowali dużych pomieszczeń do organizowania agitacyjnych spędów. Właściwie Jan nie powinien narzekać - co prawda nudził się jak mops, ale w pewnym sensie był bohaterem dnia. Zaraz na początku tego konwentyklu nowy prezydent z pepeerowskiego nadania, inżynier Wachniewski, wręczył mu dyplom uznania za zlikwidowanie groźnego przywódcy Werwolfu, butnie nazywającym się „komendantem Festung Breslau”. Chodziło o zabitego przez niego w ruinach untersturmführera. Korzycki, kiedy się tylko dowiedział, że władze zamierzają go w ten sposób uhonorować, natychmiast poszedł do zarządu miasta porozmawiać z Kuligowskim.

- To prawie na pewno nie ten człowiek - oświadczył. - Według moich informacji najbardziej prawdopodobny kandydat na „komendanta” powinien mieć bliznę na twarzy, a ten esesman jej nie miał. No i słabo przypomina mężczyznę z fotografii, którą dostałem od ludzi

Bucholtza. Napisałem przecież w raporcie, że spotkałem go przypadkiem.

Kuligowski milczał, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie wyglądał zbyt kwitnąco, był wyraźnie zmęczony i chyba czymś zmartwiony. Nyczek przyniósł przed paroma dniami plotki z zarządu miejskiego, że inżynierowi nie najlepiej układa się z nowym prezydentem. Widocznie pepeerowski styl rządów Wachniewskiego był gorszy od pepeesowskich obyczajów Drobnera.

- Tak naprawdę, nie ma większego znaczenia, kogo naprawdę pan zastrzelił - powiedział w końcu, przecierając podkrążone oczy. - Potrzebujemy sukcesów, nawet wymyślonych. A ten pański „przypadek” świetnie się nadaje do propagandowego wykorzystania. Co zaś tyczy się Werwolfu i „komendanta”, ta sprawa niedługo straci na znaczeniu. Za tydzień wejdzie do miasta pułk NKWD. Zacznie się wielkie czesanie ruin i filtrowanie mieszkańców. To akurat oni świetnie potrafią. Myślę, że po tej operacji w mieście znacznie się uspokoi.

Więcej inżynier nie chciał o tej sprawie rozmawiać. Korzycki, obserwując jego zniechęconą minę, uznał, że najlepiej zrobi, siedząc cicho. To zresztą wyraźnie dano mu do zrozumienia. Trzymał teraz dyplom uznania za wzorowe pełnienie służby - wydrukowany na szarym, prawie tekturowym papierze, widać lepszym nie dysponowali. Znacznie bardziej ucieszyła go niebieska koperta z banknotami. Od wdzięcznej władzy ludowej dostał trzy tysiące złotych - w nowych lubelskich pięćsetkach, okupacyjne młynarki właśnie wycofywano z obiegu. Kasa mu się przyda, zwłaszcza że do tej pory nie otrzymał poborów. Podobno wypłata miała nastąpić we wrześniu, wraz z wyrównaniem za zaległe miesiące. Zerknął na dyplom, dochodząc do wniosku, że tego rodzaju papier może w przyszłości okazać się pożyteczny, choć raził go widniejący w nagłówku rzekomo piastowski orzeł - pokraczny, przypominający raczej ukrzyżowanego gołębia, na dodatek łysego. Korony podobno Sowieci zabronili ze względów ideologicznych. Wyglądało na to, że trzeba się będzie przyzwyczaić do tego godła. Na jak długo? Na twarzach otaczających go partyjnych i rządowych oficjeli malowała się taka pewność siebie, jakby mieli panować w Polsce przez następne tysiąclecie.

Mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Naziści też tak myśleli.

Wtedy poczuł na sobie czyjś badawczy wzrok. Znał to charakterystyczne mrowienie na karku - ktoś siedzący w jednym z tylnych rzędów wgapiał się w niego intensywnie. Jan pochylił głowę, jakby dokładniej wczytując się w trzymany w ręku papier, zarazem zerkając z ukosa na zasiadających za nim oficjeli. I zamarł, zobaczywszy w trzecim rzędzie szczupłą twarz z blizną pod okiem. Kaman, spostrzegłszy, że Korzycki go zauważył, uśmiechnął się lekko i dyskretnie skinął głową, jakby w wyrazie uznania. Były akowiec czuł, jak ze strachu

drętwieje mu szczęka. Z trudem przełknął ślinę. Nie poddał się jednak panice, wiedział, że strach może go jedynie zabić. Prześliznął się obojętnym wzrokiem po twarzy ubeka, gorączkowo obliczając szanse. Kaman z pewnością obstawił swoimi ludźmi cały ratusz. Jeśli Korzycki teraz spróbuje wyjść, natychmiast go zdejmą. W sali znajdowało się jakieś sto dwadzieścia osób, po konwentyklu przewidywano bankiet. Jeśli w ogóle mógł uciec, to jedynie wtedy, gdy skończy się obrzędowe gadanie i wszyscy rzucą się do bufetu. Może jakoś w tłumie zdoła się zgubić i prysnąć.

Prawdę mówiąc, sam w to nie wierzył. W Piotrkowie zrobiono mu zdjęcie i jeśli ubecy je teraz mają, a pewnie mieli, raczej nie zdoła im umknąć. Ta konstatacja przyniosła mu nieoczekiwaną ulgę, jak skazańcowi, którego wreszcie przestano łudzić szansą na ocalenie. Pewnie mu się nie uda, ale i tak spróbuje uciec. Dla zasady, żeby skurwielom nie było za łatwo.

Na katedrę wszedł kolejny mówca, jeden z wicewojewodów. Nowe porządki słał dość krótko, za to długo rozwodził się nad trudami odbudowy Dolnego Śląska zniszczonego przez hitlerowskich barbarzyńców. O sowieckich dewastacjach nawet się nie zająknął, wszystko poszło na konto wstrętnego Adolfa.

Sypał jak z rękawa liczbami, mówiąc o tysiącach ton usuniętych gruzów i dziesiątkach uruchomionych fabryk. Musiał być z PPSu, bo nie mógł się nachwalić prężnie rozwijającego się ruchu spółdzielczego. Więcej mówców na szczęście nie przewidywano, po akademii miał być bankiet. Statystyka nie interesowała zgromadzonych na sali ludzi, zaczęli między sobą szeptać, podniósł się gwar. Opowiadający o trudnościach na kolei mężczyzna wyczuł powszechny nastrój, a może też i sam zgłodniał, bo zgrabnie przeszedł do tez końcowych. Obiecywał w nich pokonanie, w sojuszu ze Związkiem Radzieckim, wszelkich trudności odbudowy, tak ojczyzny właściwej, jak tej dopiero co odzyskanej. Obecni wstali z miejsc i nagrodzili go huraganowymi oklaskami, po czym przewodniczący prezydium zaprosił obecnych do sali obok na skromny poczęstunek.

Korzycki musiał tam wejść razem z innymi, bo Kaman wciąż był za jego plecami, blokując drogę ucieczki. Jan nie wiedział, czy ludzie, z którymi siedział ubek, byli oficjalami z Warszawy czy ludźmi z jego obstawy. Dał się porwać tłumowi, który hurmem rzucił się przez wielkie podwójne drzwi do niskiej komnaty zastawionej stołami. Natychmiast zrobiło się przy nich tłoczno, ludzie przesiadli na akademii porę obiadową i naprawdę porządnie zgłodnieli. Wtedy milicjant nieoczekiwanie natknął się na Kuligowskiego. Wiceprezydent stał przy jednym ze stołów i rozmawiał z dwoma młodymi urzędnikami z zarządu miasta. Jeśli ktoś mógł mu pomóc, to tylko on.

Podszedł do inżyniera i poprosił go o chwilę rozmowy.

- Wszystko dla naszego bohatera - odparł Kuligowski. - Gratuluję, to naprawdę znakomity wyczyn. - Mrugnął do niego porozumiewawczo.

Korzycki ujął go pod ramię i z przepraszającym uśmiechem odciągnął na bok.

- Muszę stąd natychmiast wiać - syknął, mając nadzieję, że nikt ich nie podsłuchuje. - Tu jest ubek, który dorwał mnie w Piotrkowie. Rozpoznał mnie!

Inżynier drgnął, ale zachował zimną krew. Przytaknął z obojętną miną, jakby usłyszał coś niezbyt ważnego.

- Pan mi go pokaże - mruknął.

W tej chwili przez drzwi przeszedł Kaman, świetnie się prezentujący w mundurze z dystynkcjami porucznika. Był w towarzystwie kilku cywilów, chyba przedstawicieli jakiegoś ministerstwa. Spojrzał obojętnie na Korzyckiego, jakby nigdy w życiu go nie widział, po czym zaczął z ożywieniem rozmawiać z grubym jegomościem wyglądającym co najmniej na dyrektora departamentu.

Jan wskazał Kuligowskiemu wzrokiem tę parę. Wiceprezydent przyglądał się oficerowi przez dłuższą chwilę.

- Jakiś nowy, nie widziałem go przedtem - powiedział. - PPR rozbudowuje wrocławskie UB i ściąga ludzi, skąd się da.

Ujął Korzyckiego pod ramię i podeszli do jednego z suto zastawionych wódką i zakąskami stołów. Inżynier wziął butelkę i nalał dwa kieliszki.

- Niech pan posłuchaszepnął, wręczając mu jeden. - Moim zdaniem dzisiaj pana nie ruszą. I raczej też nie w najbliższym czasie. Przymknięcie bohatera, który dopiero co rozprawił się z konspiracyjnym komendantem Werwolfu, zrobiłoby bardzo złe wrażenie, byłoby wręcz propagandową katastrofą. Oni naprawdę mają od cholery roboty. Myślę, że nie jest pan dla nich pilną sprawą. I za to proponuję się napić.

Trącili się kieliszkami i wypili. Zagryźli śledziem w śmietanie, doskonałym. Korzycki nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł coś równie dobrego. Obok przystanął kapitan Matuszak. I z nim wychylił kielicha za pomyślność służby. Z tego, co do niego doszło, to Matuszak stał za jego wyróżnieniem. Jeśli Kuligowski miał rację i UB zostawi go na razie w spokoju, właśnie kapitanowi zawdzięczał tymczasowe ocalenie.

Kątem oka zauważył, że koło nich przeszedł Kaman. Ubek prześliznął się po Korzyckim obojętnym wzrokiem, skinął Matuszakowi i oddalił się do stołu, przy którym siedział wojewódzki sekretarz PPRu. Wtedy Jan zdał sobie sprawę, że w ratuszu go raczej nie aresztują ze względu na „propagandę”. Mogłoby to zepsuć nastrój oficjelom, na sali było też

paru dziennikarzy. Jednak jeśli Kuligowski się mylił, dorwą go, kiedy tylko wyjdzie z budynku, a zrobią to cicho i dyskretnie. A jebał was pies - pomyślał i nalał sobie jeszcze jednego. Tym razem zagryzł szynką, świeżą i chrupiącą, wprost rozpływała się w ustach. Ta władza lubiła sobie dogodzić. A w mieście wciąż brakowało żywności, na dobrą sprawę panował głód, zwłaszcza wśród Niemców, dla których miska kaszy była luksusem.

Wypił jeszcze parę kieliszków ze znajomymi milicjantami, których poznał na odprawach w komendzie miejskiej. Starał się nie przebywać w pobliżu Kamana i schodził mu z drogi. Udzielił nawet krótkiego wywiadu przedstawicielowi stołecznej prasy, bardzo zaciekawionemu historią z „komendantem”. Kiedy po dwóch godzinach opuszczał bankiet, który najwyraźniej dopiero się rozkręcał, miał już nieźle w czubie. Doszedł do wniosku, że skoro może to być ostatni raz, nie będzie sobie żałował.

Wyszedł z ratusza i na chwilę zatrzymał się przed pomnikiem Fryderyka Wilhelma. Nie miał zamiaru uciekać, zresztą za dużo wypił. Stał tam z dziesięć minut na chwiejących się nogach, wpatrując się w postać pruskiego monarchy. Mina spizowego króla wydawała mu się to zafrasowana, to znów przestraszona. Zaczął nawet trochę trzeźwieć, lecz agenci UB jakoś się nie zjawiali, widział tylko znudzonych wartowników strzegących wejścia do magistratu.

Po kwadransie zrozumiał, że Kuligowski miał rację. Zostawili go sobie na później.

\* \* \*

Na Piastenstrasse trafił sporo po zmroku. Po drodze, nie mogąc uwierzyć, że Kaman dał mu na razie spokój, często przystawał i krył się w pieczarach wypalonych bram, sprawdzając, czy ktoś za nim idzie. Ale nie zauważył nikogo poza zmykającymi spiesznie do domu przechodniami. Poruszanie się po zmierzchu wciąż nie należało do bezpiecznych, co prawda milicji przybywało i strzelaniny stały się rzadsze, ale nadal można było oberwać kulkę. Na fecie w ratuszu gościło także kilku profesorów z uniwersytetu i Korzycki słyszał, jak jeden z akademików opowiadał, co przydarzyło się przed paru dniami kierownikowi biblioteki, gdy rankiem udawał się do pracy. Znajdował się kilkadziesiąt metrów od budynku, w którym urzędował, kiedy strzelił do niego ukryty w gruzach snajper. Czcigodny doktor filologii ocalał cudem, pocisk otarł się o jego czaszkę, złościąc w niej krwawą szramę. Zostanie mu pamiątka na całe życie. Ulica Rossmarkt, gdzie mieściła się przekazana uniwersytetowi biblioteka miejska, znajdowała się w środku miasta, jedną przecnicę od rRynku. Wyglądało to na sprawkę Werwolfu, Niemcom bardzo nie podobało się przejmowanie ich instytucji przez Polaków.

Na czele uniwersyteckiej delegacji stał rektor Kulczyński, wysoki, przystojny brunet o nieco ptasim wyrazie twarzy, którego komunistyczni działacze obskakiwali całą chmarą, nie

kryjąc swej uwagi. W końcu przed wojną był znaną postacią, działaczem SD, którego zdymisjonowano ze stanowiska na lwowskim Janie Kazimierzu, bo sprzeciwiał się gettu ławkowemu. Teraz, jak zauważył Korzycki, z filozoficznym spokojem odcinał kupony od ówczesnego bohaterstwa, traktując nadskakujących mu PPRowców niczym nadgorliwych, acz niezbyt rozgarniętych studentów. Zapowiadał głośno, że stanie na głowie, a jesienią uruchomi podstawowe wydziały uniwersytetu i politechniki. Dla Jana gadki o polskich uczelniach w Breslau wciąż brzmiały abstrakcyjnie.

Nim udał się na kwaterę do Frau Mueller, zajrzał na chwilę na posterunek. Nocny dyżur pełnił Nyczek z jeszcze jednym, przysłanym niedawno milicjantem. Obsada placówki liczyła już ośmiu ludzi, zaczynało robić się ciasno i Korzycki zastanawiał się, czy nie powinni wkrótce znaleźć odpowiedniejszego lokalu. Z drugiej strony lada moment mógł przestać być to jego kłopot, jeśli Kaman i spółka zdecydują się sobie o nim przypomnieć.

Ernest zaraportował, że właściwie nic się nie działo, jeśli nie liczyć strzelaniny na targowisku.

- Posłałem tam Nowaka z dwoma ludźmi, ale, jak zwykle, przybyli za późno. Podejrzewam, że to znowu sprawka Szmagi, on trzyma ten szaberplac żelazną ręką. Jeśli były jakieś trupy, to je uprzętnęli. No i nikt nic nie słyszał, nie widział i tak dalej. Normalka, znaczy się.

O Szmadze słyszało się coraz częściej, może dlatego, że ten tajemniczy osobnik praktycznie przejął kontrolę nad powstałym na obrzeżach lotniska targowiskiem. Pracujący tam handlarze mówili o nim najdziwniejsze rzeczy - że zjawił się w Breslau jako jeden z pierwszych, kiedy miasto jeszcze płonęło, a prezydent Drobner dopiero wyjeżdżał z Krakowa. Nie zasypiał gruszek w popiele i zorganizował najlepiej działającą szajkę szabrowników, eksploatującą mienie poniemieckie na skalę wręcz przemysłową. Podobno pracowało dla niego pół tysiąca ludzi. Posiadał nawet własną kolumnę transportową złożoną z kilkunastu ciężarówek, którymi wywoził towar do Polski. Był praktycznie nietykalny, bo opłacał się potężnymi łapówkami, dlatego działał bez najmniejszego skrępowania. Powiadano, że zarobił już miliony - i to nie w złotych.

Korzycki nie wiedział, ile w tych opowieściach jest prawdy. Wyglądało jednak na to, że prędzej czy później będzie musiał zająć się człowiekiem. Szarogęszący się niczym udzielny książę facet zaczynał mu działać na nerwy. Choć, na zdrowy rozum, nie powinien go specjalnie obchodzić, Jan miał przecież własne problemy. Jednak, w miarę jak jego pobyt w Breslau się przedłużał, zaczynał czuć się odpowiedzialny za to, co tu się działo, przynajmniej w obrębie tych paru ulic, których kazano mu pilnować. W mieście zjawiało się coraz więcej



niemających się gdzie podziąć Polaków - przyjeżdżali na przykład mieszkańcy Warszawy, których domy zamieniły się w kupy gruzów, ale najliczniejsi wydawali się wygnańcy zza Buga.

Przed dwoma dniami, kiedy znalazł się z patrolem na skrzyżowaniu Sternstrasse i Weinstrasse, widział wstrząsający pochód idący od strony Dworca Odra - wyżłobionym w ruinach wąwozem wlekło się kilkuset wynędzniałych ludzi. Nieogoleni mężczyźni w brudnych marynarkach pędzili krowy o wychudłych, zapadniętych bokach. Za nimi ciągnęły się okutane chustami kobiety, wszystkie wyglądające tak samo staro, otoczone dzieciakami o zabiedzonych twarzyczkach, ubranymi w przetarte, postrzępione ubranka. Na wozach drabiniastych wieźli swój mizerny dobytek, bety powiązane sznurkami, stare dywany, poniszczone meble, na których stały klatki z kurami. Koczownicza gromada, ciągnącą w głąb zburzonego miasta, wyglądała wręcz groteskowo, niczym karawana zabiedzonych Cyganów. Ciekawe, gdzie oni chcą tu karmić krowy i kozy? - pomyślał. W Breslau na skwerach były groby, a nie trawniki.

Przesiedleńcy szli długim, rozciągniętym sznurem, patrząc z przerażeniem na otaczające ich ruiny. Chyba zaczęło do nich docierać, że znaleźli się w złym miejscu. Jeden z mężczyzn, może sołtys, bo wszyscy wyglądali na pochodzących z jednej wioski, odłączył się od pochodu i zatrzymał się przed Korzyckim. Zdjął czapkę maciejówkę i skłonił się głęboko.

- Panie sierżancie, gdzie my są? - zapytał. - Bo nas te kolejarze wysadzili tu na stacji i powiedzieli, że dalej nie jadą. I kazali iść z wagonów. My z Podhajec, z tarnopolskiej ziemi, od końca maja w podróży, cała wieś na repatriację się zapisała, bo jakże tam było zostać, Sowietci nie lepsi od hitlerowców, o banderowcach nie wspomniawszy. No to idziemy, jak kazali, ale gdzie tu się obrócić? Gdzie jaką tu chałupę znaleźć? Idziemy tak od rana i jednej całej nie widziałem.

Spojrzał na niego błagalnie i Korzycki zrozumiał, że ten mnący w rękach czapkę chłopiec oczekiwał od niego, przedstawiciela władzy, konkretnych wskazówek. Poczęstował repatrianta papierosem, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jesteście w Breslau, to jest we Wrocławiu. Zajechaliście za daleko, w mieście tej waszej żywniny nie uchwacie. Idźcie na Hundsfeld - pokazał ręką na północ - a tam znajdziecie PUR, gdzie was przyjmą. Słyszałem, że w okolicach Trebnitz jest dużo wolnych gospodarstw, proście, niech tam was skierują.

Mężczyzna podziękował, w ukłonie prawie zamiatając czapką trotuar. Zatrzymał kolumnę, coś przez chwilę tłumaczył ludziom, wskazując na stojących na skrzyżowaniu milicjantów, i po chwili sznur wygnańców zaczął skręcać w Weinstrasse. Korzycki patrzył na

ich wymięte, zgaszone twarze, pełne troski i niepokoju. Umęczą się, do Hundsfeldu mieli przeszło pięć kilometrów.

Inni osiedleńcy przybywali pojedynczo, mając cały majątek w walizce albo plecaku. Nowa władza obiecywała, że na ziemiach zachodnich znajdą pracę i dobrobyt. Niektórzy jej wierzyli, inni po prostu chcieli się jakoś na nowo urządzić. Dla nich ludzie pokroju Szmagi, zamieniający to, co ocalało z miasta, w zdewastowane rudery, gdzie niedługo nie zostanie jeden cały mebel, byli największymi wrogami. I to właśnie dla nich on, przedstawiciel prawa, powinien coś zrobić z bandą Szmagi. Tym bardziej, że zanosilo się na dłuższą obecność Polaków w Breslau. Do Poczdamu zwołano konferencję pokojową, obrady przywódców zwycięskiej koalicji już się rozpoczęły. Korzycki domyślał się, po co Europie ten polityczny teatr. Stalin zażąda od Zachodu usankcjonowania swoich zdobyczy. Wiedział, że tamci przystaną na wszystko. Był na tyle silny, aby ze swojej połówki Niemiec odkroić coś dla Polaków. Mógł być nawet hojny i wydzielić, na otarcie łez po kresach, całkiem spory kawałek. Z cudzego łatwo się daje.

Jan zamienił jeszcze parę słów z Nyczkiem na temat szaberplacu. Uzgodnili, że jutro powinni się tam wybrać i rozejrzeć się na miejscu. Właśnie się zbierał do wyjścia, bo zrobiło się ciemno, kiedy do drzwi byłej knajpy ktoś gwałtownie załomotał. Kiedy Korzycki je uchylił, zobaczył stojącego obok musztardowej kolumny niskiego mężczyznę w podeszłym wieku, siwiuteńkiego jak gołąb, ale o zdrowej, czerstwej twarzy. I bardzo wzburzonego, może dlatego, że miał na sobie jedynie kalessony.

- Łapcie ich! - wykrzyknął na jego widok mężczyzna. - Są niedaleko, trzy przecznice stąd! - Pokazał ręką w głąb Sternstrasse.

Korzycki spojrział we wskazanym kierunku, ale nikogo nie zauważył. Ktokolwiek obrobił staruszka, dał już dawno nogę w gruzy. Nie było sensu wszczynać pościgu, zwłaszcza po nocy.

- Ich tam nie ma, uciekli. Pan się uspokoi, wejdzie do nas i opowie, co się stało. - Otworzył szerzej drzwi, aby wpuścić ofiarę złodziei.

Usadzili poszkodowanego przy szachowym stoliku, a Nyczek przyniósł mu kubek herbaty i koc do okrycia. Gość upił kilka łyków gorącego płynu i jego nastrój nieco się poprawił.

- Nazywam się Fedorczyk, profesor medycyny, pracuję w grupie naukowej rektora Kulczyńskiego, pewnie panowie słyszeli, że usiłujemy uruchomić dawne uniwersyteckie kliniki przy ulicy Kocha. Mieszkam z innymi pracownikami naukowymi w dzielnicy Carlowitz, ale dzisiaj spóźniłem się na autobus. Mamy naprawdę huk roboty, kliniki są w

gruzach, sprzęt poniszczony, a co ocalało, to rozwlekają szabrownicy, nie można nadażyć z zabezpieczeniem. Do domu jakoś trzeba się dostać, więc pożyczyłem od mojego dozorczy rower i pomyślałem, że jakoś się przemknę. No i za szaberplacem mnie dopadli. Trzech ich było, jeden w furazerce i z pepeszą, pewnie ruski dezert, wyskoczył do przodu i ryczy „Wielasipied dawaj!”. No i żeby tylko o rower im chodziło... Jak go dałem, jeden z pozostałych, taki z dziobami po ospie, mówi mi najczystsza, choć może mało literacką polszczyzną: „A teraz, frajerze, ze szmat wyskakuj, do gołego! Bo jak nie, to do świętego Piotra zastukasz!”. Co było robić, dałem wszystko, portfel, zegarek, a przede wszystkim świetny garnitur, jeszcze od Braci Jabłkowskich, nigdzie już takiego nie dostanę. Buty też wzięli, markowe, od Baty. Potem, jak już stałem w samych kalesonach, zgarnęli moje ubranie do wora i chycnęli w ruiny. I tak to mnie, moi panowie, skumani z Sowietem dobrzy rodacy ograbili.

Milicjanci spojrzeli po sobie, z trudem tłumiąc śmiech.

- Dobrze, że profesor życie i zdrowie zachował. Przedwczoraj znaleźliśmy na Kletkestrasse jednego do golasa obrobionego obywatela, tylko, że mu bandziory na pamiątkę kulkę w głowę wpakowały. Żył jeszcze, kiedy go odwozili do szpitala, ale było z nim kiepsko. Ubranie to rzecz nabyta, znajdzie się inne. - Nyczek, jak zwykle, widział sprawy bardzo praktycznie.

Po minie profesora dało się poznać, że nie bardzo wierzył w możliwość zdobycia równie porządnego garnituru. Korzycki zastanawiał się, co zrobić z nieoczekiwanym gościem. W końcu zaproponował, aby spędził noc na posterunku. Rano wysłał milicjanta do klinik z prośbą, aby koledzy profesora podesłali kogoś z ubraniami. Potem poszedł na kwaterę do mieszkania Frau Mueller. Co prawda na bankiecie nie wypił dużo, może ćwiartkę z okładem, ale trochę go ta wódka rozbierała. Marzył, aby wreszcie wyciągnąć się w łóżku.

Dobrze mu się mieszkało u tej porządnej, czystej Niemki. A raczej spało, bo przychodził tylko na noc. Gospodyni i jej córka starały mu się nie narzucać, ich wzajemne kontakty ograniczały się do spraw czysto praktycznych, związanych z jego zakwaterowaniem. O niczym innym nie rozmawiali - obie strony wyraźnie nie odczuwały takiej potrzeby. Co tydzień starał się przynieść kobietom coś do jedzenia. Dostawał w ramach deputatu różne produkty, ale żywił się głównie tym, co załatwił Nyczek, bardzo rozsądnie gospodarujący zasobami alkoholu ze schowka. Jan wiedział, że kostka komiśniaka czy konserwa są ważne dla jego gospodyń, bo nie pracowały i żyły z wyprzedaży skromnego majątku. Na pierwszy ogień poszedł pewnie ślubny serwis - Jan zauważył, że zniknął ze stołowego pokoju. W tych czasach stanowił zbędny luksus. W Breslau kilogram kaszy był cenniejszy niż komplet

srebrnych sztućców.

Zapadła noc, kiedy wszedł do bramy. Po omacku wdrapał się na drugie piętro - prądu wciąż nie było i nikt nie wiedział, kiedy miał się pojawić w tej dzielnicy. Jego posterunek otrzymał przydział świeczek, więc jedną paczkę zaoferował Frau Mueller, dzięki czemu nie żyli w egipskich ciemnościach. Zapukał do drzwi, gospodyni otworzyła po dłuższej chwili, dopiero kiedy się głośno przedstawił. Ten rytuał powtarzał się za każdym razem, kobieta bała się szabrowników. Stała w przedpokoju, w koszuli nocnej, z płonąca świeczką w ręce. Reni nigdzie nie było widać, pewnie już położyła się spać. Zresztą dziewczyna wyraźnie go unikała, chyba wciąż wstydziła się tego, co ją spotkało. Rozumiał to i nie pchał się z wyrazami współczucia. W ustach Polaka mogłyby zabrzmieć co najmniej dwuznacznie.

Wszedł do swojego pokoju. Miał tam lampę naftową skombinowaną przez Nyczka, ale jej nie zapalał. Naftę też należało oszczędzać. Świecił księżyc i w pomieszczeniu panował półmrok. Otworzył okno, wpuszczając do środka świeże powietrze. Czerwcowe upały przeciągnęły się na lipiec, od wielu dni było bardzo gorąco. Odetchnął głęboko, wpatrując się w ciemność rozświetloną pojedynczymi światełkami. Najwięcej ich widział w rejonie Dworca Odra, tam już dotarła elektryczność. Od czasu do czasu dobiegały go też odgłosy pojedynczych strzałów, jednak większe kanonady zdarzały się coraz rzadziej. Miasto, przez pierwsze tygodnie po oblężeniu przypominające wrzący kocioł, powoli się uspokajało. I nie cuchnęło już tak bardzo trupami i spalenizną.

Zdjął kurtkę mundurową, zapalił papierosa i położył się na łóżku. Był naprawdę zmęczony, ale jakoś nie mógł spać. Myślał o Kamanie i o tym, ile sam ma czasu. Przez cały okres pobytu w Breslau zastanawiał się, który z mijanych na ulicy ludzi jest śledzącym go agentem bezpieczeństwa. Z drugiej strony, prawdopodobnie niepotrzebnie się wysilał, bo UB mogło bez trudu wsadzić swojego człowieka na posterunek, może już go mieli. Nie powinien ufać nikomu poza Nyczkiem. Wiedział, że niedługo ludzie zapomną o „komendancie” - zbyt wiele się działo - i wkrótce przestanie być nowej władzy potrzebny. Wtedy Kaman sobie o nim przypomni.

Zaciągnął się głęboko, wypuszczając pod sufit smugę dymu. Chciało mu się pić, trochę go po bankietowej wódce suszyło, mimo że na posterunku wypił herbatę. Frau Mueller zawsze zostawiała dla niego na piecu dzbanek przegotowanej wody. Podniósł się i poszedł do kuchni. Dopiero kiedy uchylił drzwi, zorientował się, że ktoś jest w środku.

Dziewczyna, oświetlona umieszczoną na brzegu stołu świeczką, stała tyłem do niego, pochylona nad miednicą, którą postawiła na krześle. Zanurzała w niej coś, chyba gąbkę. Musiała się myć, w chybottliwym świetle widział jej mokre plecy i jasne włosy zawiązane w

kok. Była naga, jeśli nie liczyć ręcznika na biodrach. Kiedy otwierane przez niego drzwi skrzypnęły, odruchowo obejrzała się za siebie. Ujrzał piersi, częściowo zakryte dłonią trzymającą różową gąbkę, i wystraszoną, pobladłą twarz. Zdjęła bandaż, widział białe zwoje zwisające z poręczy krzesła. Spodziewał się zobaczyć bliznę, która ją podobno szpeciła. Ale Reni nic takiego nie miała, jej ściągnięta przerażeniem buzia wydawała się nieskazitelna. Wpatrywała się w niego, a jej oczy stawały się coraz większe i bardziej błyszczące. Zrozumiał, że dziewczyna panicznie się go boi i zaraz wybuchnie płaczem. Przez chwilę stał bezradnie, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć, wreszcie chrząknął, wymamrotał przeprosiny i cofnął się, starannie zamykając za sobą drzwi.

Dopiero w pokoju uświadomił sobie, że córka Frau Mueller była bardzo ładna.

Nie urzędowała w kuchni zbyt długo. Po paru minutach usłyszał skrzypnięcie podłogi, dziewczyna przemknęła jak mysz do stołowego, gdzie spała z matką. Wtedy wrócił do kuchni, bo wciąż chciało mu się pić. Na stole znalazł dzbanek i kubek. Kiedy raczył się wodą, zastanawiał się, jakim koszmarem musiało być dla niej to, co Sowietci jej zrobili, skoro bała się do tej pory. Schowała się za opatrunkiem jak za tarczą, chciała, aby ludzie myśleli, że jest oszpecona, odpychająca. Obawiała się powtórki? Pewnie tak, Polacy musieli jej się wydawać nie lepsi od Rosjan.

Wrócił do siebie i położył się na łóżku. Zapalił jeszcze jednego papierosa, ale mu nie smakował, zgasił go więc i mając wciąż przed oczyma jej wystraszoną, pobladłą twarz, zasnął kamiennym snem.

Obudził go nieziemski tumult, który wszczął się przed kamienicą. Słyszał dobiegające z ulicy podniesione męskie głosy. Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka - nawet nie pytał, skąd go Nyczek dla niego zorganizował - i zobaczył, że jest za kwadrans czwarta. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w awanturę przed bramą. Kłóciło się kilku ludzi, polskie wyzwiska mieszały się z niemieckimi. O tej porze po mieście mogli się włóczyć tylko kompletni wariaci albo tacy, którzy nie mieli powodu się bać. Zaczął się ubierać, klnąc cicho pod nosem, bo pokój Martina był raczej ciasny i Jan co chwila natykał się na biurko z modelem galeonu. Kiedy zapinał pas, usłyszał ciche pukanie. W szparze uchylonych drzwi zobaczył przerażoną twarz Frau Mueller.

- Panie oficerze, oni przyszli. Będą opróżniać cały budynek. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi. Sprawdził parabelkę, cały czas wsłuchany w to, co działo się za oknem. Ostrożnie wyjrzał na ulicę i dostrzegł pakę stojącą pod kamienicą ciężarówka. Nikogo przy niej nie zauważył, ale wciąż słyszał głosy - dyskusja najwyraźniej dobiegała końca, rozległo się kilka uderzeń i ktoś ze stęknieniem upadł na ziemię. Potem jacyś ludzie

wbiegli przez bramę, po chwili rozległ się głośny łomot, szli od mieszkania do mieszkania, walili do kolejnych drzwi i po niemiecku kazali lokatorom się wynosić.

- Robią tak od wielu dni, przedwczoraj na Friesenstrasse wypędzili mieszkańców z dwóch budynków, też w nocy. Ludzie rano poszli na skargę do polskich władz i dowiedzieli się, że żadnego takiego rozkazu nie było. Kiedy wrócili do mieszkań, zastali je puste. Tamci wszystko wynieśli, nie zostawili nic, nawet krany ze ścian wyrwali. - Mówiła to spokojnym, pełnym rezygnacji tonem, jakby opisywała klęskę żywiołową, na którą nic nie można poradzić.

Do Korzyckiego dotarło, że na dom napadła szaberbanda, na dodatek pewnie podająca się za przedstawicieli polskich władz. Na korytarzu rozległ się łomot podkutych buciorów. W drzwi mieszkania zabębniły pięści.

- Raus! Afstehen! Gehen! Schnell!

Korzycki wyszedł do przedpokoju i ostentacyjnie zarepetował parabelkę.

- Dom zajęty na kwaterę dla Milicji Obywatelskiej! - krzyknął głośno, zarazem cofając się do swego pokoju. Mogli puścić serię przez drzwi. - Wynosić się, ale to już!

Na korytarzu na chwilę ucichło. Potem rozległy się ściszone głosy, jakby tamci się naradzali.

- E, ty, zalewasz z tą milicją? - usłyszał chrapliwy bas, jakby znajomy. Już kiedyś musiał mieć do czynienia z właścicielem tego głosu. - Wyjdź no, to pogadamy. Rodak z rodakiem zawsze się porozumie. Fantów starczy i dla milicji, się wie.

Szabrownicy na korytarzu zarechotali, a Jan pomyślał, że mają go za wyjątkowego głupka.

- Sto metrów stąd jest posterunek! Macie minutę, żeby się wynieść! - zawołał.

Wiedział, że dłużej nie może zwlekać. Jeśli bandyci mieli granaty, wyłamią drzwi i wrzucą je do mieszkania. Podskoczył do okna, zaklął, bo znowu nadziei się na biurko, wystawił rękę z pistoletem za parapet i dwukrotnie wystrzelił. Jeśli Nyczek nie śpi, powinien zaraz przybiec z chłopakami.

Po jego strzałach na korytarzu zapanowała konsternacja. Szabrownicy wyraźnie nie wiedzieli, co robić. Wtedy na ulicy rozległ się przeciągły gwizd, ani chybi umówiony sygnał alarmowy. Podkute buciory znowu załomotały na schodach, zawarczał silnik uruchamianej ciężarówki. Korzycki ostrożnie wychylił się z okna i zauważył, że od strony skrzyżowania ze Sternstrasse biegnie kilku ludzi. Szabrownicy też ich dostrzegli, bo klnąc na czym świat stoi, rzucili się na pakę. Ciężarówka ruszyła z rykiem otworzonej do oporu przepustnicy i z grzechotem potoczyła się Piastenstrasse w kierunku rzeki. Po parunastu sekundach usłyszał

tupot nóg zbliżających się milicjantów. Schował broń i wyszedł z mieszkania. Czekał przed bramą, aż dobiegną.

- Daj sobie spokój - powiedział do zdyszanego Nyczka, który chciał go ominąć i biec dalej za znikającą w oddali ciężarówką. - Nawet Kusociński by ich nie dogonił.

- Czego chcieli? - zapytał kapral, z trudem łapiąc oddech. W tym momencie dołączyło do nich dwóch milicjantów z nocnego dyżuru, widać nie tak mocnych w nogach lub raczej nie tak wrywnych jak Ernest.

- Jak to co? Opróżnić kamienicę z fantów, nawet ciężarówkę podstawili, jak jakaś firma od przeprowadzek.

- To mi wygląda na robotę ludzi Szmagi, oni tak działają - zauważył Nyczek. - Organizują transport i czyszczą kamienicę do piwnic. A Niemców straszą bronią i przepędzają.

Korzycki spojrzał w kierunku, gdzie zniknęła ciężarówka. Niebo na wschodzie lekko się zaróżowiło, zbliżał się świt. Mimo że powietrze było rześkie, ziewnął przeciągle. Cholera, nie wyspał się przez tych sukinsynów.

- Trzeba będzie pogadać z tym Szmagą - zdecydował. - Za dużo sobie facet pozwala.

Kazał milicjantom wracać na posterunek, a sam udał się do mieszkania Frau Mueller, mając nadzieję, że jeszcze ze dwie godziny się prześpi. Kiedy wszedł do przedpokoju, czekały na niego obydwie, matka i córka, kompletnie ubrane, z węzełkami w rękach. Spojrzały na niego pytająco, a on spokojnie wyjaśnił, że istotnie byli to szabrownicy, ale jego ludzie przepędzili bandę.

- Panie mogą wracać do siebie, oni uciekli - oświadczył. - Postaram się, aby już więcej nie wrócili.

Na surowej twarzy Frau Mueller pojawił się wyraz ulgi, a dziewczyna westchnęła głęboko i spojrzała na niego z wdzięcznością. Dopiero kiedy położył się w łóżku, uświadomił sobie, że Reni nie założyła na twarz opatrunku. A przecież powinna.

\* \* \*

Odwleczenie sprawy z Kamanem okazało się pożyteczne o tyle, że odważył się napisać list do matki. Nie wprost do niej - nie wiedział przecież, gdzie teraz mieszka - posłał go do jej brata, do Mińska, z prośbą o dostarczenie adresatce. Bał się rozpisywać, skreślił tylko parę zdań, informując, że czuje się dobrze i przebywa na ziemiach zachodnich. Nie chciał pisać nic więcej ani obiecywać, że wkrótce do niej przyjedzie - nie wiedział przecież, kiedy UB wznowi polowanie. Nie zamierzał wciągać matki i siostry w swoje kłopoty. Im mniej o nim wiedziały, tym były bezpieczniejsze.

Nie czuł się dobrze ze świadomością, że zostawił je na pastwę losu. W obecnej sytuacji powinien jednak trzymać się jak najdalej od rodziny, gdyż tak naprawdę był niczym trędowaty. UB działało jak Gestapo, stosowało zasadę odpowiedzialności zbiorowej, nawet próba kontaktu mogła narazić jego bliskich na aresztowanie, a może i wywózkę na Sybir. A tego przecież nie chciał. Liczył, że siostra, bardzo zaradna dziewczyna, potrafi się zaopiekować matką. Przez parę miesięcy, może do zimy, muszą dawać sobie radę bez niego. Do tego czasu powinien unormować swoją sytuację, o ile czerwoni ogłoszą amnestię - lub porucznik Kaman wznowi polowanie i UB przemieni go w swych trybach tak jak inne zaplute karły reakcji.

Z ponurych rozmyślań o przyszłości wyrwał go Nowak, który tuż po południu przybiegł z szaberplacu z informacją, że na targowisku pojawił się Szmaga. Korzycki od paru dni wyprawiał na lotnisko patrol złożony z dwóch milicjantów, aby mieli oko na to, co tam się dzieje. Oczywiście nie liczył, że kogokolwiek złapią. Chodziło raczej o sprawianie wrażenia, że władza zachowuje czujność i nie odpuszcza. Gdyby chciał kogoś aresztować, musiałby się tam sam pofatygować - jego ludzie brali przecież od handlarzy w łapę za to, by zbyt wnikliwie nie interesowali się tym, co się dzieje między kramami. Nawet to rozumiał, z czegoś trzeba było żyć, skoro pobory mieli otrzymać dopiero w bliżej niesprecyzowanej przyszłości.

Siedział właśnie przy stoliku szachowym, zamierzając jeszcze przejrzeć skreśloną rano notatkę dotyczącą nocnego incydentu w kamienicy. Zwracał w niej uwagę komendzie miejskiej na konieczność energicznego zwalczania zorganizowanych band szabrowniczych, traktujących Wrocław jak niewyczerpaną kopalnię wszelkiego dobra. Pisał, że jeśli się ich nie powstrzyma, lub choćby nie ograniczy działalności, osadnicy z Polski zastaną w mieszkaniach jedynie gołe, zdewastowane ściany. Rabusie nie tylko kradli, ale i niszczyli. Streścił też krążące plotki na temat organizacji Szmagi. Nie sądził, aby takie epistoły wiele pomogły, nie chciał jednak uchodzić za głupka, który nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Kiedy Nowak powiedział mu o pojawieniu się oberszabrownika, odłożył zeszyt i spojrzał wymownie na Nyczka.

- Też uważam, że trzeba z tym gościem pogadać - przyznał kapral. - Może go postraszymy?

- A jakże, twoim mauserem! Dostanie palpacji na jego widok - odciął się Korzycki i starannie zapiął wszystkie guziki w kurtce mundurowej, przetaił też orzełka na rogatywce. Szmaga powinien wiedzieć, że ma do czynienia ze służbistą.



Targowisko, które przycupnęło na północnym skraju lotniska, stopniowo zaczęło się po nim rozprzestrzeniać niczym kozuch burej pleśni na starym kompocie, nieustępliwie pełną w stronę mostu Cesarskiego. Sklecone z desek, dykty i blachy straganowe budki rozpleniły się wzdłuż Fiirstenstrasse, tworząc istny labirynt uliczek i zaułków. W niektórych kramach zrobione z nieoheblowanych desek lady były przesłonięte drewnianymi kratownicami, tu i ówdzie z resztkami powoju, co wskazywało, że materiał na tę konstrukcję zdobyto, rozbierając ogródkowe altanki. Po zaimprovizowanych „alejach” przewalał się mieszany polskoniemiecki tłum, handlujący czym popadnie. Przeważały niemieckie kobiety, łatwe do poznania po białych opaskach na rękawach, wyprzedające za jedzenie swój wystawiony na skrzynkach i krzesłach dobytek. Nie brakowało też Polaków szukających dobrych okazji. A można tu było znaleźć wszystko: porcelanę, bieliznę, odzież, buty, sztuce, obrazy, dywany, zabawki, gramofony, radia, fisharmonie, maszyny do szycia i pisania, Korzycki zauważył nawet mikroskop i szkło laboratoryjne. W najlepszym przedwojennym domu towarowym nie dałoby się lepiej obkupić. Królował handel wymienny, pieniędzy prawie się nie widziało, chyba że dolary lub złoto, niemiecka marka zanikła, a nowa lubelska złotówka przyjmowała się z trudem, nie uważano jej zresztą za wartościową. Wciąż dobrą walutę stanowił spirytus. Jan wiedział, że Nyczek bywał tu często w poszukiwaniu towarów z unrowskich paczek. Na szaberplac trafiało wszystko, co pojawiała się w Breslau, wygrzebane z gruzów czy wyniesione z mieszkań. Nikogo nic nie dziwiło, nawet widok dwóch osiłków, którzy klnąc koszmarnie, próbowali załadować na uwalaną gnojem furmankę fortepian - bechsteina, jak się wydawało Korzyckiemu, i to w całkiem dobrym stanie. Najbardziej jednak zadziwił go rosły jegomość, który przechadzał się między straganami z dwoma porcelanowymi sedesami pod pachami i zapewniał gromkim głosem, że dysponuje najlepszymi sraczami we Wrocławiu. „Czas na postęp, obywatele, sławojki skończyły się z sanacją!” - wykrzykiwał na całe gardło. Łaziła za nim gromada szkrabów, pokazujących wymownymi gestami, że facet ma kuku na muniu. Najbardziej smętnie wyglądała młoda kobieta trzymająca w rękach suknię ślubną, widocznie nic innego na sprzedaż nie miała. Nie wzbudzała żadnego zainteresowania. W Breslauwrocławiu, mieście bez przyszłości, mało kto chciał się żenić. Jan zastanawiał się czasem, czy tę kupę gruzów można w ogóle nazwać miastem? Prędzej największym dziadowiskiem Europy, nowożytną wieżą Babel, zaludnioną przez wyrzuconych poza nawias historii, przegranych i ponizonych. Lepszego miejsca na ziemi widać dla nich nie było.

Patrząc na zaaferowanych handlem, tłoczących się między straganami ludzi, doszedł do wniosku, że to dzikie targowisko w pewien karykaturalny sposób odtwarzało zburzoną

przez gauleitera Hankego dzielnicę. W każdym razie dzięki handlarzom pustka ogromnego placu stawała się mniej przygnębiająca.

W plataninie bazarowych uliczek Nyczek, w końcu bywalec, poruszał się zręcznie i bez wahania. Wiedział też, gdzie należy szukać Szmagi. Powiedział, że szabrownik ma na placu coś w rodzaju kantoru, w którym zdarza mu się urzędować. Z głównej, ciągnącej się wzdłuż Fiirstenstrasse szerokiej alejki skręcili między stragany, w wąski zaułek, i po kilkunastu krokach zatrzymali się przed wyjątkowo porządnie wykonaną budą. Stał przed nią wyrośnięty drab o niedogolonej szczęce i ciężkim, jakby sennym spojrzeniu, którym obrzucał przechodniów. Młody, może dwudziestoletni. Korzycki pamiętał takich osobników z Pragi, za dnia przesiadujących w bramach tanich czynszówek, a w nocy wychodzących „na robotę”. Typ wyraźnie pilnował drzwi do budy, grubych, dębowych, zaopatrzonych w solidny zamek, zabranych pewnie z bogatego mieszkania.

- A wy gdzie? - zapytał, gdy Nyczek sięgał do klamki. Widok milicyjnych mundurów nie zrobił na nim specjalnego wrażenia. - Jak do kogoś się wchodzi, to się puka i pyta o pozwolenie.

- Władza nie musi - sparował kaprał, nieco jednak speszony bezczelną odzywką.

Byczek prychnął ostentacyjnie i wsadził ręce do kieszeni bardzo modnej kurtki typu battledress. Na jego mięsistej gębie pojawił się lekceważący uśmiezek.

- Musi to na Rusi. Czego chcecie od pana Szmagi?

- Grzeczniej proszę, bo zaraz wylądujesz na posterunku - ostro odezwał się Korzycki, kładąc dłoń na kaburze. - A tam ci wytłumaczymy, co kto musi.

Mężczyzna ziewnął rozdzierająco, dając do zrozumienia, jak bardzo się boi. Trochę jednak spuścił z tonu.

- Pan Szmaga jest teraz zajęty. Przyjdźcie jutro.

Tego już było Nyczkowi za wiele. Zerwał z ramienia mausera, zarepetował i wcisnął bysiorowi lufę pod brodę.

- Otwieraj albo zaraz będzie o jednego wyszczekanego gnoja mniej! - syknął.

Facet zbladł. Wyraźnie wystraszony, sięgnął za siebie i nacisnął klamkę. Weszli do środka, prowadzeni przez cofającego się bysiora, popychanego przez Nyczka lufą karabinu.

Wewnątrz zaskakująco obszernego pomieszczenia przebywało dwóch mężczyzn. Jeden siedział za dużym, nieco odrapanym mahoniowym biurkiem, zawalonym papierami i zeszytami. Drugi, pochylony ku niemu konfidencjonalnie, coś mu klarował, gwałtownie gestykulując. Obaj zamarli na widok tarabaniącej się przez drzwi gromady.

Ten za biurkiem musiał być legendarnym Szmagą. Robił wrażenie - barczysty, choć

chyba niezbyt wysoki, bo za bardzo nie wystawał zza biurka, o śniadej, lśniącej twarzy, nienaturalnie gładkiej, jakby wytoczonej z kostki szarego mydła, kompletnie przy tym łysy, z głęboko osadzonymi, małymi, czarnymi oczami. Miał mocne nerwy, bo na widok mundurowych nie drgnęła mu nawet powieka, przeciwnie, przyglądał im się z uprzejmym, wystudiowanym uśmiechem. Jego towarzysz, tęgawy gość w skórzanej kurtce, przeciwnie, wzdrygnął się, obrzucając milicjantów zestrachanym spojrzeniem.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - spytał Szmaga cichym, lekko chrypiącym głosem.

- Panowie pewnie z posterunku przy Piastenstrasse? Mogę jakoś pomóc naszym dzielnym milicjantom?

Jego wyglądająca niczym wypolerowane popiersie twarz pozostawała wciąż bez wyrazu, nieznacznie tylko zmrużył oczy. Korzycki pomyślał, że to bardzo niebezpieczny człowiek. Tak panować nad emocjami potrafili tylko wyjątkowo cyniczni i twardzi bandyci. Postanowił nie bawić się w żaden Wersal i od razu przejść do rzeczy.

- Nie podoba mi się, co tu wyprawiasz - powiedział, bez ceregieli przechodząc na „ty”. To ustawiało od razu tamtego w pozycji petenta. Szmaga jednak nie dał się zapędzić w kozi róg.

- Co prawda nie przypominam sobie tej łączki, na której żeśmy razem świnie pasali, ale niech ci będzie... kolego. A cóż ja, twoim zdaniem, wyprawiam?

Korzycki spojrzał na niego z mimowolnym uznaniem. Trafił na naprawdę twardego przeciwnika.

- Musisz zbastować. Za dużo tego dobrego. Ty i do ciebie podobni traktujecie to miasto jak porzucony dom towarowy. Za chwilę zostaną tu jedynie puste półki. Jesteście jak piranie, ogryzacie trupa Breslau do kości. A co z naszymi, którzy przyjeżdżają tutaj, mając za cały majątek jedną walizkę albo i nic? Co dla nich zostawicie? Same gruzy? O Niemcach, których grabicie, chyba nie warto wspominać.

Siedzący za biurkiem mężczyzna sięgnął do niebieskiego kartonowego pudełka, leżącego pośród zaścielających blat papierów, i wyciągnął cygaro. zaproponował gestem, aby i Korzycki się poczęstował, ale ten odmówił. Nie lubił cygar, choć te wyglądały na markowe.

- Dom towarowy, powiadasz... - Szmaga długo zapalał cygaro. - Trafne porównanie, nie powiem. Ciekawe, co na to pan Waluś? - Wskazał na swego niedawnego rozmówcę, który grzecznie usunął się na bok i czekał, stojąc pod ścianą, na której wisiał dziewiętnastowieczny landszaft przedstawiający scenę bukoliczną, pewnie kiedyś zdobiący mieszczański salon nobliwego breslauera. Tłustawa, prostacka twarz pana Walusia dziwnie wyglądała na tle wiejskiego pejzażu zaludnionego melancholijnymi pasterzami i eterycznymi pasterkami.

- Trafił nam się, kurwa, jakiś pierdolony literat - odparł głębokim basem. Ten głos wydał się Janowi znajomy. Przyjrzał się jego właścicielowi i dopiero teraz poznał, że to jeden ze spotkanych w pociągu pasażerów, gadatliwy szabrownik, który chwalił się, że pracuje u Szmagi. Chyba też słyszał ten bas ostatniej nocy, na korytarzu. No tak, elementy układanki zaczynały do siebie pasować. BreslauWrocław to jednak małe miasto.

- Celniesz pan to ujął, panie Waluś, choć te grube słowa są niepotrzebne. - Szmaga wydmuchnął idealnie okrągłe kółko i z upodobaniem patrzył, jak rozplywa się w powietrzu. - Tak jest, przemawia jak drugi Żeromski, o ludzi się troska, których nawet na oczy nie widział. A kto się zatroszczy o pana Szmagę?

- zapytał raptownie, celując w Korzyckiego czubkiem cygara.

- Nikt, pan Szmaga musi się sam zatroszczyć. I komu to przeszkadza?

- Szaber jest zabroniony - przerwał mu Korzycki. - Za taką masówkę, jaką uprawiasz, możesz dostać nawet czapę. Jak wiesz, dzisiaj sądy się nie cackają.

Szeroko otwarte oczy Szmagi wyrażały bezbrzeżne zdumienie.

- A kto tu mówi o tym wstrętnym przestępstwie?! - zawołał z udawanym oburzeniem.

- Panie sierżancie, pan mnie z kimś myli! Prowadzę zarejestrowaną firmę transportową, przewóz ludzi i towarów. Moi klienci powierzają mi rozmaite przedmioty do przewiezienia, nie wnिकam w ich pochodzenie, gdyż nie jest to moja sprawa. Sam prawa nie łamię.

Kiedy to mówił, na jego mydlanej facjacie pojawił się szyderczy uśmieszek. Korzycki z chęcią wbiłby mu go między zęby. Opanował się jednak, być może Szmadze chodziło o wywołanie awantury. Za jego plecami widniały drzwi, za ścianą było więc następne pomieszczenie. Dobiegały stamtąd przytłumione męskie głosy, pewnie ludzi z obstawy. Jan nie chciał strzelaniny, nie po to przyszedł.

- Żarty na bok. - Uśmieszek na twarzy Szmagi zgasł, utopiony w płynnym mydle oblicza. - Nic ci do tego, co tu robię. Może i masz rację, że Breslau to dom towarowy. Rację masz też i w tym, że nic nie obchodzi mnie ci, którzy tu przyjadą. Dla mnie nadal rządzi ta sama co za okupacji zasada, to znaczy każdy myśli o sobie. A to miasto... ta kupa gruzów raczej, dla mnie i, zauważ, prawie dla wszystkich, którzy tu przyjeżdżają, poza tymi pieprzonymi pionierami, tyle tylko jest warte, ile da się z niego wycisnąć. To kupiecka okazja, której jutro może już nie być. Wczoraj był tu Breslau, dziś jest Wrocław, jutro może jakiś Stalinogród. Nie rozumiesz, że o niczym nie decydujemy i naprawdę nasze jest tylko to, co my, Polacy, zdołamy stąd wywieźć? A kto pierwszy i szybszy, ten lepszy.

Zawiesił głos, a Korzycki musiał przyznać, że nie sposób nie przyznać mu w jakiejś części racji - powojenne porządki wciąż nie zostały zakończone, Sowietci mogli im się kazać

wynosić choćby jutro. Z drugiej strony myślał o tych, którzy, wyzuci z ojcowizny, jadą na zachód transportami zza Buga, mając nadzieję, że znajdą gdzieś dla siebie miejsce do życia. Dla nich ludzie tacy jak Szmaga byli niczym szarańcza, zostawiająca za sobą wyjedzone i nagie pole.

- A jeśli za parę dni ogłoszą w Poczdamie, że Śląsk Nadodrzański zostanie jednak przyznany Polsce? Czy i wtedy twoje działanie da się potraktować jako patriotyczne?

Szmaga zgasił cygaro w wielkiej popielniczce z zielonego kryształu. W trakcie rozmowy najwyraźniej stracił na niego apetyt, bo wypalił je ledwie do połowy.

- Ujmę ten problem literacko. Wyobraź sobie, że jestem taki sobie fajny miś, Kubuś Puchatek na przykład, a Breslau czy też Wrocław to dla mnie plaster miodu. Wysysam słodycz, a wosk wypluwam. Nic więcej mnie nie obchodzi.

Spojrzał w sufit ze znudzoną miną, dając do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. Korzycki cofnął się, odruchowo poprawiając kaburę. Dalsza rozmowa istotnie nie miała sensu.

- Uprzedzam, trzymaj swoich złodziei z daleka od mojego rewiru - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Chociaż dzisiaj nie dali mi się wyspać, byłem dość uprzejmy. Następnym razem nie będę.

Siedzący za biurkiem mężczyzna sięgnął po leżącą przed nim księgę rachunkową i zaczął przerzucać stronicę, udając, że ją przegląda. Jan odwrócił się na pięcie, żegnany wrogim spojrzeniem Walusia. Wyszli z Nyczkiem na ulicę.

- Ten Szmaga musi mieć strasznie mocne plecy - zaważył milczący do tej pory chłopak. - Na mojego nosa ktoś go musi kryć, i to wysoko postawiony. Gadał jakby był bratem prezydenta.

- I mnie się tak zdaje. - Korzyckiego także zastanawiała pewność siebie, a właściwie bezczelność gustującego w cygarach „przedsiębiorcy” transportowego. Odetchnął głęboko, bo w kantorze było duszno, po czym odskoczył na bok, bo wprost na niego tarabaniła się kobieta w spodniach, okutana w brudny płaszcz wojskowy, ciągnąca za sobą ogrodowy wózek wypełniony tobołami. Miała ziemistą, ściągniętą twarz i szła prosto przed siebie, nie zważając na innych przechodniów, którzy uskakiwali przed nią pod ściany targowych budek. Jednym z nich był wysoki, bardzo szczupły mężczyzna w jasnym letnim płaszczu i eleganckim kapeluszu. Oryginalny stetson! - pomyślał ze zdumieniem Korzycki. I wtedy, nie wierząc własnym oczom, rozpoznał jego właściciela.

- Władek?! - zawołał. - Władek Zimmer?

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał w jego stronę. Przez dłuższą chwilę uważnie

przyglądał się milicjantowi.

- Janek?

Bardzo się zmienił od ostatniego spotkania. Upłynęło trochę lat, Korzycki widział go latem trzydziestego dziewiątego, kiedy wraz z rodzicami pojechał odwiedzić mieszkające w Mińsku wujostwo. Zimmerowie, bogata rodzina żydowskich adwokatów, byli ich sąsiadami. Korzyccy przed wyprowadzką do Warszawy wynajmowali trzypokojowy lokal w posiadanej przez nich kamienicy. W dzieciństwie bardzo się z Władkiem przyjaźnił, bawili się razem przy podwórkowym trzepaku, a i potem utrzymywali ze sobą kontakt, aż do wojny. Słyszał od kogoś, że Zimmerowie nie przeżyli likwidacji getta, kiedy w sierpniu czterdziestego drugiego Niemcy wywieźli mińskich Żydów do Treblinki. Nie sądził, że jeszcze kiedyś zobaczy dawnego kolegę.

- A więc żyjemy - powiedział po prostu Władek. - Co z twoimi?

- Matka i siostra żyją - odparł. - Ojciec zmarł w czterdziestym trzecim.

Zimmer skinął głową.

- U mnie wszyscy - rzucił. Jego wychudzona twarz nic nie wyrażała.

Zapadło krępujące milczenie. Jan chciał go zapytać, jakim sposobem ocalał, ale czuł niestosowność sytuacji. Nie tutaj, nie na tym brudnym targowisku. Zauważył, że Władek rzucał co chwila szybkie spojrzenia na drzwi kantoru Szmagi. Odwrócił wzrok dopiero wtedy, gdy sterczący na straży byczek zauważył jego zainteresowanie i zaczął mu się przyglądać.

- Chodźmy stąd - powiedział Korzycki. - Zapraszam na posterunek, siedzę z chłopakami na Piastenstrasse, mam dobrą herbatę, pogadamy chwilę...

Władek pokręcił przecząco głową.

- Teraz mam pilne sprawy, pracuję w zarządzie miasta. Ale pogadałbym chętnie. Wiesz, koło dworca, tego głównego, otworzyli właśnie knajpę. Mordownia, ale wódkę dają znośną. Wpadnę po ciebie pojutrze, to sobie wypijemy za stare czasy.

Jeszcze raz zerknął na kantor, po czym pożegnał się i ruszył spiesznie główną alejką w stronę mostu Cesarskiego.

- Robi interesy ze Szmagą? - zdziwił się Nyczek. - No tak, co by Żyd innego mógł robić, jak nie interesy?

Korzycki wzruszył ramionami i przez chwilę patrzył, jak Władek, wyglądający trochę dziwnie w swym nieskazitelnym stetsonie, przepycha się przez handlujący, rozjazgotany tłum. Coś mu mówiło, że nie chodzi tu o żadne interesy.

\* \* \*

Dopiero teraz, kiedy bez bandaży siedziała obok niego przy stole, mógł przyjrzeć się

jej twarzy. Początkowo wydawała mu się niezbyt szeroka, wręcz wąska, ale wcale nie - była po prostu wychudzona i o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych. Oczy miała ładne, jasnoniebieskie, ale, podkreślone ciemnymi sińcami, nie wyglądały najlepiej. Nieźle za to prezentował się nosek, mały i wdzięcznie skrojony. Usta, wąskie i zaciśnięte, wyglądały już mniej przyjemnie - choć to akurat kładł na karb tremy. Włosy, bardzo jasne, jak u germańskich heroin z Wagnerowskich opowieści, rozczesała na obie strony. Zgrabnie obramowywały owal twarzy, zakończony z lekka kwadratowym, znamionującym stanowczość i zdecydowanie podbródkiem. Siedziała naprzeciwko w błękitnej letniej sukience, chyba swojej najlepszej, trzymając w rękach kubek z herbatą. Frau Mueller, aby należycie uczcić jego nocny wyczyn, zdobyła jakimś cudem trochę mąki i upiekła kruche ciasteczka.

Mimo późnej pory jeszcze na kogoś czekali, gospodyni co chwila spoglądała na wiszący na ścianie zegar. Prawdę mówiąc, chętnie położyłby się spać, nie chciał po raz kolejny wysłuchiwać podziękowań Frau Mueller za to, że przegonił szabrowników i ocalił ich dobytek.

- Jest pan naprawdę dobrym człowiekiem, Herr Offizier, nie to, co inni...

Uśmiechnął się uprzejmie, choć nie bardzo mu było w smak to „inni”, oznaczające jego rodaków. Z drugiej wszak strony bandyci, którzy napadli na kamienicę, byli najszczerzszymi Polakami, a zapewne i praktykującymi katolikami. Grabieni Niemcy nie mieli ich za co kochać. W BreslauWrocławiu przedwojenne negatywne stereotypy, wzmocnione przez wojnę i okupację, mogły się jedynie utrwalić. Niespecjalnie się tym przejmował, w tej chwili bardziej był zainteresowany pójściem do łóżka. Dopił herbatę i zapewnił kobietę, że nic im nie grozi, bo jego ludzie coraz skuteczniej nadzorują okolicę.

- Nie sądzę, aby bandyci tutaj wrócili - rzekł, podnosząc się z miejsca. W tym momencie usłyszeli ciche pukanie do drzwi.

- To pewnie pan profesor - powiedziała Frau Mueller. - Reni, idź, otwórz.

Po chwili w pokoju zjawiał się drobny staruszek w staroświeckim tużurku. Rzeczywiście, wyglądał na profesora. Stojąca na stole świeczka dawała mało światła, więc dopiero po dłuższej chwili Korzycki zorientował się, że zna tego człowieka. Kiedyś uratował go przed szabrownikiem domagającym się zegarka. Staruszek też go rozpoznał, bo skinął mu głową i usiadł na podsuniętym przez Frau Mueller krześle.

- Nazywam się Georg Baumann, jestem profesorem filologii klasycznej - przedstawił się, dziękując za postawioną przed nim filiżankę. - Obecnie w stanie spoczynku.

Zapadło krępujące milczenie. Jan zastanawiał się, czego ten Niemiec może od niego

chcieć. Też zamierzał podziękować? Prawdę mówiąc, już zapomniał o incydencie z zegarkiem, działo się to przecież przed paroma tygodniami. W BreslauWrocławiu upłynęła od tego czasu cała epoka.

- Pewnie się pan dziwi, co ja tu właściwie robię - zagaił profesor, mieszając w filiżance łyżeczką. Korzycki zauważył, że wsypał do niej cztery łyżeczki cukru; właśnie dostali na posterunku spory deputat i podarował Frau Mueller cały swój przydział - Tak naprawdę wydelegowali mnie do pana współmieszkańcy. Wszyscy jesteśmy bardzo wdzięczni za ochronę. My wiemy, że to bardzo niebezpieczni ludzie. Oni zastrzelili kilka osób, bo nie chciały wyjść z mieszkań.

Korzycki mimowolnie ciężko westchnął. Znowu będzie musiał wygłosić komunały o obowiązku, służbie i praworządności. Ale profesor go wyręczył:

- Proszę nic nie mówić - kontynuował - bo my wiemy, że pan nic nie musiał. Po tym, co Niemcy zrobili pana ojczyźnie, ma pan pełne prawo nie zwracać uwagi na mieszkańców Breslau, a co dopiero ich bronić.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął aksamitny woreczek i położył go przed Korzyckim.

- Pieniądze nic dziś nie znaczą, więc proszę chociaż przyjąć ten drobiazg - wyjaśnił. - To taki nasz dowód wdzięczności.

Korzycki uniósł brew, sięgnął po sakiewkę i zajrzał do środka. Kilka obrączek, złota brosza w kształcie skarabeusza i spory sygnet ze szmaragdem. Precjoza wyglądały na warte mały majątek. Powinien to przyjąć, oczekiwali tego od niego. Pewnie traktowali ten prezent jako procent od ocalonego dzięki niemu majątku, rodzaj znaleźnego. Albo jako zapłatę za ochronę.

Westchnął ciężko i oddał prezent profesorowi.

- Tak podejrzewałem - rzekł staruszek, chowając woreczek z powrotem do kieszeni. - Tłumaczyłem, że jest pan człowiekiem honoru i nie przyjmie zapłaty.

- Ale panu nie uwierzyli, przecież Polacy, prymitywni Słowianie nie mający pojęcia o kulturze, nie wiedzą, co to honor.

Podniósł się, chcąc odejść do swego pokoju, ale powstrzymał go proszący wzrok profesora.

- Starąłem się im to wytłumaczyć, ale są prostymi ludźmi, pełnymi uprzedzeń, Goebbelsowska propaganda też im wmawiała same brednie o Polakach. Poza tym, to nie są czasy honoru, przynajmniej w Breslau.

Korzycki, trochę zawstydzony własną porywczością, z powrotem usiadł. Ten stary Niemiec, tak szczery i bezpośredni, potrafił wzbudzać sympatię. Wyrażał się jak inteligent z



przedwojennej, jeszcze pruskiej szkoły. Przypominał mu dystyngowanych akademików, z którymi miał do czynienia w Wiedniu.

- Ja trochę znam Polaków - powiedział profesor, upijając łyk całkiem już wystygłej herbaty. - Studiowałem z nimi przed tamtą wojną, za cesarstwa. Sporo Polaków przyjeżdżało uczyć się do Breslau, mieliśmy przecież znany uniwersytet. Z kilkoma to się nawet zaprzyjaźniłem...

Staruszek rozgadał się, wspominając młodość i naukę na uniwersytecie. Sypał jak z rękawa akademickimi dykteryjkami - bohaterami kilku historyjek byli polscy studenci, których przedstawił jako ludzi obdarzonych fantazją i poczuciem humoru. Jan rozumiał, że to ukłon w jego stronę. Sam zrewanżował się paroma wiedeńskimi dowcipami. Zauważył, że wywołały uśmiech na twarzy Reni. Dziewczyna zachowywała się jak trusia, odzywając się półsłówkami. I od czasu do czasu zerkła na niego. Kiedy ją na tym przyłapał, zaczerwieniła się jak piwonია.

Po półgodzinie profesor Baumann pożegnał się i wyszedł. Korzycki podziękował gospodyni za herbatę i poszedł do siebie. Ale nie chciało mu się spać. Sięgnął po tomik Heinego, otworzył na przypadkowej stronie. „Cieniów mgliste pocałunki, Cieniów miłość, cieniów życie!/ Czyliż myślisz, że zostanie/ Zawsze równe serca bicie?”<sup>1</sup>. Tak jest, panie poeto, niczym więcej nie jestem. Cień pielgrzyma w mieście, którego nie ma - pomyślał.

Kiedy zamykał książkę, aby odłożyć ją na półkę, usłyszał delikatne skrzypnięcie, ktoś otwierał drzwi do jego pokoju. Wśliznęła się cicho jak myszka i przycupnęła na brzegu łóżka. Kiedy się pochylała, aby go pocałować, poczuł, że jej włosy pachną rumiankiem.

A więc tak postanowiły mi podziękować - pomyślał, widząc w ćmiącym świetle lampy szeroko otwarte, błyszczące oczy Reni. Nie miał nic przeciwko temu. Posunął się na łóżku, robiąc jej miejsce.

1 Heinrich Heine, Cieniów mgliste pocałunki... przekład Maria Konopnicka.

## VII. Rozmowy nocne i dzienne

Upalny lipiec niepostrzeżenie przeszedł w wypełniony spiekotą sierpień. Nie padało od wielu dni, resztki ocalałej po bombach i pożarach zieleni wędły i żółkły w rozpalonym, zastygłym nad ruinami powietrzu. Od gruzów wciąż cuchnęło trupem, letni skwar przyspieszał rozkład przysypanych zwłok. Ale nie tylko zmarli zamieszkiwali zburzone domy. Któregoś ranka obudził Jana słowik, który rozśpiewał się równo ze wschodem słońca. Zatem powracały ptaki. Powinien się z tego cieszyć, ale późno się położył i słowicze trele nie dały mu się wypaść.

Sytuacja w mieście zmieniała się z dnia na dzień, o dziwo - na lepsze. Pamiętał wieczór, gdy Frau Mueller z dumą zademonstrowała mu wodę płynącą z kranu. Do tej pory mieszkańcy tej części Piastenstrasse musieli korzystać z wiekowej studni na podwórzu. I tak mogli się uważać za szczęściarzy, że ją mieli, inni musieli chodzić z wiadrami do ogródków działkowych, gdzie znajdowały się najbliższe ręczne pompy. Za to z jedzeniem sprawa wyglądała coraz dramatyczniej. Przydziały kartkowe były śmieszne, dostawali je zresztą tylko pracujący, poza tym i tak nie realizowano ich z braku towaru. Korzycki wiedział dlaczego - w magazynach kończyły się ponemieckie zapasy, a dowóz z głębi Polski praktycznie nie istniał, ponieważ nie odbudowano jeszcze sieci transportowej. Poza tym same władze centralne nie dysponowały specjalnymi nadwyżkami, w kraju czekano na zakończenie żniw. Najbliższe tygodnie zapowiadały się na bardzo chude.

Fala przestępczości stopniowo opadała, wojsko wraz z bezpieczeństwem i NKWD zaczęło systematycznie przeczesać miasto, wyłapując maruderów i dezertersów, niszczone też odosobnione grupki Werwolfu. W rejonie Bischofswalde natrafiono na ukryty w ruinach bunkier z kilkunastoma esesmanami. Chaotyczna strzelanina przemieniła się w regularne, dwugodzinne oblężenie. Niemcy odgryzali się ostro, najwyraźniej nie chcieli tanio sprzedać skóry. Nie słuchali wezwań do kapitulacji i poddali się dopiero, kiedy zagrożono im użyciem miotaczy ognia. W czasie przesłuchania zeznali, że siedzieli w zamknięciu od czasu upadku twierdzy, nigdzie nie wychodzili i na nikogo nie napadali - nie musieli, bo w bunkrze znajdowały się obfite zapasy jedzenia i własne ujęcie wody. Zaprzeczyli też, aby pozostawali na usługach konspiracyjnego „komendanta”. Korzycki dowiedział się o tym z plotek, jakie docierały z miejskiej centrali milicyjnej. Przesłuchujący esesmanów ubecy nie uwierzyli schwytanym, ale Jan wiedział, że ci prawdopodobnie mówili prawdę. Zaczynał wątpić w istnienie rozgałęzionego niemieckiego podziemia, którym straszono na odprawach w komendzie miejskiej. Za szybko obumierało, przejawiając w ostatnich tygodniach

symboliczną aktywność. Zapewne cały wrocławski Werwolf składał się jedynie z kilku małych, działających oddzielnie komórek.

Dzienne i nocne strzelaniny zdarzały się coraz rzadziej, za to przybywało pospolitych rabunków. Szaber kwitł i chwilami Korzycki odnosił wrażenie, że zajmują się nim już chyba wszyscy. Szmaga i do niego podobni działali dalej bez skrępowania, choć przestali się pojawiać w bezpośrednim sąsiedztwie posterunku. Ale i tu dawała się zauważyć zmiana. Przybywało bowiem polskich osiedleńców, którzy we własnym dobrze pojętym interesie jak lwy bronili zawartości zajętych mieszkań. Złodzieje zmienili wtedy taktykę i obrabiali zamieszkałe przez Polaków lokale, kiedy ich lokatorzy przebywali w pracy. To dodatkowo powiększało szabrowniczą falę, bo okradziony delikwent natychmiast ruszał w miasto, aby - najczęściej na Niemcach - powetować sobie straty. Bywało, że po prostu przenosił się do nowego, w pełni wyposażonego lokum, bez ceregieli usuwając poprzednich właścicieli. Niektórzy spryciarze zachowywali przy tym pozory legalności, posługując się zaświadczeniami wydanymi przez wydział kwaterunkowy zarządu miasta. Kosztowały podobno pół litra spirytusu.

W połowie sierpnia ogłoszono decyzję obradujących w Poczdamie trzech przywódców. Korzycki przez przypadek widział, jak odbywało się takie „ogłaszanie”. Akurat wyszli z Nyczkiem z posterunku, wezwani do kolejnego rabunku, do którego doszło w kamienicy w pobliżu Pestalozzi Schule, kiedy nieoczekiwanie natknęli się gromadę Niemców, może trzysta osób, zebranych na dużym skwerze przy Friesenstrasse. Przeważały kobiety z dziećmi i starszankowie, ale było też trochę mężczyzn w średnim wieku. Ludzie, wyraźnie zaniepokojeni, tłoczyli się wokół ciężarówki obstawionej przez kordon enkawudzistów. Na otwartej skrzyni stało trzech ludzi - sowiecki major, polski cywil z białoczerwoną opaską pracownika zarządu miasta i tłumacz, dobrze im znany Broniek Kluska. Przekładał właśnie słowa Rosjanina, gromko oświadczającego, że cały naród niemiecki jest winien wojny i jako taki musi ponieść konsekwencje. Po nim zabrał głos przedstawiciel zarządu.

- Jesteście Niemcami, a dla Niemców nie ma miejsca na polskiej ziemi. Bo tu od tej pory będzie Polska. Musicie się liczyć z tym, że wkrótce zostaniecie wysiedleni. Wyjedźcie tam, gdzie wasze miejsce, do Niemiec, do ojczyzny. Na wschód od Odry i Nysy nie ma dla was ziemi.

Korzycki patrzył na twarze zebranych na placu Niemców. Sens wypowiedzianych przez urzędnika słów docierał do nich stopniowo, wielu potrząsało głowami, jakby nie dowierzając własnym uszom. Na niektórych twarzach malowało się niedowierzanie, inni płakali, kilku

mężczyzn wzniosło pięści, wołając, że jeszcze pokażą parszywym Polaczkom, jaka to polska ziemia. Podnosił się coraz większy tumult, ludzie przekrzykiwali się, jedni grozili śmiercią wszystkim Polakom, drudzy z płaczem zapewniali, że nie chcą odpowiadać za Hitlera, który jest wszystkiemu winien. Mówili i krzyczeli wszyscy naraz, gorączkowo gestykulując. W powszechnym jazgocie utonęły kolejne słowa urzędnika, który coś jeszcze usiłował powiedzieć. Kluska bezskutecznie machał rękami, starając się uciszyć rozjazgotany tłum.

Sowiecki major, widząc zaniepokojony możliwością wybuchu rozruchów, wystąpił i podniósł rękę na znak, że chce mówić. Ludzie natychmiast się uspokoili. Strach przed Rosjanami był silniejszy od obaw o przyszłość.

- Zgodnie z postanowieniami konferencji trzech, władza radziecka oddaje was pod opiekę polskiego rządu. Dostaniecie chleb i pracę. Musicie być posłuszni i wykonywać rozkazy polskiej władzy - dobitnie powiedział oficer.

W tłumie podniosły się nowe okrzyki. Pytano, kiedy będzie wreszcie ten obiecany chleb, czy niezatrudnieni też go dostaną, czy będzie przysługiwał niezdolnym do pracy. Starszy mężczyzna dopchał się do ciężarówki i zawołał, wskazując na przedstawiciela zarządu miasta:

- Kiedy wreszcie skończą się gwałty i rabunki? Jesteśmy ustawicznie okradani przez Polaków, którzy tysiącami przyjeżdżają do Breslau. Na tym mają polegać polskie porządki, że nie będziemy znali dnia ani godziny?

Poparło go wiele osób, pokrzykując aprobująco. Jeden z mężczyzn, korpulentny czterdziestolatek, wskoczył na stopień szoferki.

- Jesteśmy cały czas oszukiwani! Nie wierzymy już ani władzy polskiej, ani sowieckiej! - oświadczył, patrząc wymownie na rodaków.

Chciał przemawiać dalej, ale na dany przez urzędnika znak ściągnęło go ze stopnia dwóch milicjantów. Zaraz go gdzieś zabrano. Ludzie, kiedy to zobaczyli, wszczęli jeszcze większy tumult, wydzierali się już niemal wszyscy, wznosząc zaciśnięte pięści. Sowiecki major miał tego najwyraźniej dosyć i powiedział coś gniewnie do swoich ludzi. Obstawiający samochód enkawudziści z trzaskiem zarepetowali karabiny i pochylili najeżone bagnetami lufy. Tłum zamarł, jakby rażony piorunem.

- Zebranie skończone, idźcie do domu - powiedział major. Żołnierze postąpili krok do przodu.

Niemcy ścichli i cofnęli się. Zrozumieli, że cierpliwość sowieckiej władzy właśnie się wyczerpała. W milczeniu zaczęli się rozchodzić. Korzycki zwrócił uwagę na niepozorną, ubraną na czarno staruszkę, która nie ruszała się z miejsca. Stała nieruchomo, kurczowo przy

piersi trzymając torebkę, jakby się bała, że ktoś będzie chciał ją wyrwać. Widział pobielełe knykcie na zaciśniętych na pasku dłoniach i twarz przypominającą woskową maskę. Podszedł, chcąc zapytać, czy nie odprowadzić jej do domu. Kiedy się odezwał, podniosła na niego załzawione oczy.

- Ja... ja nigdy nie wyjeżdżałam z Breslau... Niech pan im powie, panie oficerze, że tu jest mój dom. Nie tam, tutaj!

Widział jej pomarszczoną, przerażoną twarz i nie potrafił nic odpowiedzieć. Kiedy jego milczenie się przedłużało, staruszka potrząsnęła głową, odwróciła się i mamrocząc coś pod nosem, podreptała w kierunku Michaelstrasse.

Patrzył, jak wraz z innymi mieszkańcami Breslau znika wśród gruzów. Kiedy się odwrócił, zobaczył stojącego z zaszępią miną Nyczka.

- Ona też jest winna? - zapytał chłopak.

\* \* \*

Wiedział, co zyskuje Frau Mueller, wpychając mu córkę do łóżka. Ta praktyczna niemiecka kobieta najwyraźniej musiała wyzbyć się już wszystkich złudzeń. Gołym okiem dało się dostrzec, skąd wieje wiatr i co czeka Niemców. Na ulicach widziało się coraz więcej biało-czerwonych flag wywieszanych przez nowych lokatorów. Frau Mueller wiedziała, że wkrótce i u niej mogli się zjawić osiedleńcy z nakazem wykwaterowania. Nocny napad szabrowników pewnie rozwiął jej ostatnie wątpliwości. Potrzebowała ochrony dla siebie i dziecka, więc postanowiła zapewnić ją sobie w jedyny sposób, na jaki wpadła. Wiele niemieckich kobiet w BreslauWrocławiu tak postępowało.

Nie wiedział za to, co miała z tego Reni. Chyba nie przyjemność. Kiedy wracał z posterunku i po umyciu się w kuchni kładł się spać, przychodziła do jego pokoju, cicho jak myszka wsuwając się przez uchylone drzwi. Tak samo ulegle i cicho zachowywała się w łóżku. Nie rozmawiali ze sobą. Kiedy tylko skończyli, podnosiła się i wracała do pokoju matki. Nawet mu to odpowiadało, o czym w końcu mieliby gadać? O miłości?

Zaprzyjaźnił się za to z profesorem Baumannem. Spotkał go kiedyś na korytarzu i zagadnął, czy nie miałby czegoś do poczytania. Staruszek bez ceregieli zaprosił go do siebie.

Mieszkanko profesora, a właściwie pokój, do którego go przekwaterowano z luksusowego apartamentu przy Lutherstrasse, prezentowała się bardzo przytulnie. Jan dobrze trafił z prośbą, bo przy przeprowadzce Baumann przede wszystkim zatroszczył się o książki, które zagracały całe niewielkie pomieszczenie, piętrząc się na szafach, pod ścianami, a nawet, ułożone w foremną pryzmę, pod dużym stołem, pod którym z tego powodu nie można było swobodnie wyciągnąć nóg.

Korzycki pożyczył Czarodziejską Górę, zaczął też przychodzić do profesora wieczorami, bo ten typowo nauczycielski rozgardiasz panujący w pokoiku przypominał mu nastrój w gabinecie ojca. Choć głównie chodziło o to, że mógł niezobowiązująco pogawędzić z gospodarzem. Ku swemu zdziwieniu, często spotykał u profesora Reni - dziewczyna była tu niemal zadomowiona - ale nawet wtedy nie rozmawiali ze sobą. Towarzyszyła mężczyznom w milczeniu, przysłuchując się, jak dyskutowali, zwykle przy okazji jakiejś gry. Jan lubił przyciąć z tym mądrym Niemcem w winta czy remika, choć Baumann najbardziej považał gry planszowe, zwłaszcza warcaby.

- To ze względu na reguły - wyjaśnił, rozkładając mocno już sfatygowaną planszę - jasne i proste, bez żadnej wielopoziomowej kombinatoryki. Można by rzec, klasyczne w swej prostocie.

Profesor również lubił jego wizyty, i chyba nie wyłącznie dlatego, że Jan zawsze przynosił paczkę znakomitej unrowskiej herbaty. Tak przynajmniej Korzycki pozwalał sobie myśleć. W każdym razie Baumann był miłośnikiem dobrych herbat. Zawsze przyrządzała je Reni - na maleńkim prymusiku, na którym starzec, zdaje się, także gotował. Chyba nie chciał zbyt często chodzić do kuchni gospodarzy, tych „pocziwych ludzi”, do których go przymusowo przydzielono, gdy likwidowano jego akademicką dzielnicę. Owi ludzie, Bergowie, przed oblężeniem właściciele składu z meblami, prostodusznie oczekiwali, że skoro wojna się skończyła, ich lokator wróci do siebie. Sęk w tym, że tam gdzie jeszcze w marcu stał dom profesora, znajdował się teraz plac wyrównany pod lotnisko. Wybuchły o tę kwestię dość ostre kłótnie, które raptownie się urwały, gdy u profesora zaczął się pojawiać Korzycki. Gospodarze zrozumieli, że staruszek jest pod jego opieką i dali spokój, przynajmniej na razie. Po prostu chcieli poczekać, aż polski milicjant przestanie u niego bywać, a wtedy pozbędą się go na dobre.

Gdy Jan przychodził z wizytą, zwykle siadywali wokół stołu, by w trójkę, z dziadkiem, zagrać w winta, lub rozkładali warcaby. Ale nim zaczynali partię, Reni parzyła herbatę. Gdy podawała parującą filiżankę Baumannowi, Korzycki patrzył z rozbawieniem, jak stary koneser delektuje się wywarem. Najpierw wysuwał do przodu długi, cienki nos i wciągał w nozdrza wonny obłoczek, przymykając z rozkoszy oczy. A po pierwszym łyku pojawiał się na jego twarzy dyskretny, dystygowany wyraz zadowolenia.

- Ostatni rok wojny był pod tym względem naprawdę okropny - zauważył kiedyś przy okazji kolejnej filiżanki. - Ersatz to najgorsze niemieckie słowo, jakie wymyślono. Lury, która wychodziła z zaparzania tej przydzielonej na kartki, powiedzmy, substancji herbatopodobnej, pić się wprost nie dało. Przerzuciłem się na zioła i lipę, ale to nie to samo.

- Tym mi pan nie zaimponuje - odparł Jan, patrząc na planszę i zastanawiając się, którym pionem zaatakować. - W Polsce nauczyliśmy się pić herbatę z suszonej marchewki. Nawet znośnie smakuje, jak się człowiek przyzwyczai. Przeciwnie niż nasz drugi okupacyjny specjał, marmolada z brukwi.

Uśmiechnął się do Reni, która usiadła z kubkiem na stołku pod ścianą, swoim zwyczajem milcząc i nie zamierzając przeszkadzać mężczyznom. Rzekłbyś: skromna, dobrze wychowana niemiecka Madchen - pomyślał Korzycki, widząc, jak ostrożnie popija gorący płyn, wodząc oczyma od jednego do drugiego gracza.

Profesor zazwyczaj, podobnie jak większość Niemców, pomijał milczeniem jego uwagi na temat wojny i okupacji w Polsce. Tym razem jednak odpowiedział na zawołaną zaczepkę.

- Ja tego nie chciałem... Choć wiem, że oni - machnął ręką, wskazując nie tyle pokój, ile bliżej nieokreśloną przestrzeń, może miasto, może całe Niemcy - chcieli. Bardzo chcieli, choć teraz za żadne skarby się do tego nie przyznają. Ale ja mam dobrą pamięć... I pamiętam ten wrzesień sprzed sześciu lat, tak tragiczny dla pańskiego narodu. Do tej pory mam przed oczyma tłumy z wyciągniętymi rękami, zastygłe w tej wymyślonej przez nazistów groteskowej parodii rzymskiego salutu. I kiedy tak stali na chodnikach, hajlując i machając z entuzjazmem do żołnierzy z przejeżdżających przez Breslau jednostek, udających się na front do Polski, ja, w przeciwieństwie do moich współobywateli, wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Ci żołnierze jechali na wschód po śmierć. Dla mnie Hitler i jego klika byli jak uczniowie czarnoksiężnika, w swej ślepotcie i zachłanności wywołujący demony, nad którymi wnet stracą panowanie. I tak się ostatecznie stało, swą szaleńczą polityką obudzili potwory drzemiące w nieodgadnionych głębiach Azji... I potwory wypełzły ze swych jaskiń, przybyły tu i nas pożarły.

Korzycki, wykorzystując zamyślenie profesora, szybkim ruchem zbił od razu dwa piony. Gospodarz uśmiechnął się i zrewanżował jednym zbiciem.

- Dlatego, gdy słucham żalonych jeremiad moich rodaków, skarżących się na niesprawiedliwość losu, nie jestem w stanie zdobyć się na współczucie. Zwłaszcza że wielu z nich nadal nie wie lub nie chce wiedzieć, dlaczego ich to spotkało. Zachowują się jak rozgoryczone dzieci, które skarcono za wymyślone, nieprawdziwe przewinienie.

Upił łyk herbaty i z uwagą zaczął przyglądać się planszy. Jego sytuacja nie wyglądała za dobrze, stracił w ostatnich ruchach zbyt wiele pionów.

- Pytani przez nas Niemcy przysięgają na wszystkie świętości, że nigdy nie popierali narodowego socjalizmu - zauważył Korzycki. - Sami porządni ludzie, przeklinający dziś

Hitlera w żywy kamień. Zastanawiam się, gdzie podzieli się jego zwolennicy, te tłumy, dziesiątkami tysięcy wypełniające stadiony podczas mityngów. To przecież one wyniosły go do władzy... Przed wojną widziałem w Wiedniu ten masowy entuzjizm, byłem tam w czasie anszlusu... Wszyscy, jak jeden mąż, udawali? Jedyne markowali miłość do wodza i jego zbrodniczej, jak dziś mówią, ideologii? A potem, w czasie wojny, ubrani w mundury, strzelając do kobiet i dzieci, też udawali? Tylko że ci ludzie, do których tak na niby strzelali, umarli naprawdę.

Zapadła krępująca cisza, nawet Reni, popijająca małymi łyżkami herbatę, zamarła w bezruchu, patrząc na niego przerażonym wzrokiem. Ale profesor się nie przestraszył, zmarszczył tylko brwi i spojrzał na ścianę, na której wisiał, pewnie przeniesiony ze starego mieszkania, oleodruk przedstawiający Immanuela Kanta. Ubrany w ciemny frak filozof patrzył na nich spod peruczki chłodnym, pełnym namysłu wzrokiem.

- To nie miało nic wspólnego z duchem prawdziwych Niemiec! - powiedział z mocą Baumann. - Hitlerizm był zaprzeczeniem wszystkiego, co w naszej kulturze dobre, piękne i... ludzkie. Był jak ropiejąca narośl, która wyrosła na niemieckim duchu... która zaraziła naród duchową dżumą. Ale ja i wielu innych do mnie podobnych nigdy jej nie ulegliśmy, pamiętając, ku jakim szczytom niegdyś sięgaliśmy... - Spojrzał jeszcze raz na portret filozofa, jakby szukając u niego aprobaty. - Prawdziwe Niemcy są we mnie. Tam, w środku, gdzie dżuma nigdy nie sięgnęła. Tam ocalało to, co najważniejsze.

Znowu zapadło milczenie. Korzycki myślał o tych, którym wielkość przechowanych przez Baumanną w zakamarkach duszy prawdziwych Niemiec na nic się nie przydała, gdy ginęli od kuli czy w komorze gazowej. Bo ci, którzy ich mordowali, wielkość i chwałę Niemiec rozumieli zupełnie inaczej.

Głęboką ciszę przerywały jedynie miarowe tykanie wielkiego ściennego zegara napędzanego wahadłem, pewnie też przeniesionego z mieszkania przy Lutherstrasse, oraz odgłosy nocnego miasta, takie jak zawsze: wystrzały, krzyki, walenie w garnki. Nie musieli się nimi przejmować, dobiegały z oddali, z innej dzielnicy.

- Myślałem, że kiedy Hitler wreszcie przeminie jak zły sen, ludzie tacy jak ja złączą odbudowę... że będziemy potrzebni nowym Niemcom, Niemcom uwolnionym od nazizmu. I ja chciałem tę odnowę zacząć tu, w Breslau, ale przyszliście wy, Polacy, i rządźcie się jak u siebie, a Rosjanie wam na to pozwalają. o Niemcach nikt nie mówi, tak jakby Niemiec nigdy więcej miało nie być!

- Zwołano konferencję pokojową - wtrącił Korzycki - I zwycięskie mocarstwa zdecydowały o waszej przyszłości.



Starzec przecząco pokręcił głową.

- Nasz los rozstrzyga się tu i teraz, każdy osiedleniec z Polski to nasza kolejna porażka... Przyjeżdżacie i mówicie, że to zawsze była wasza ziemia, że my, Niemcy, byliśmy jedynie jej chwilowymi włodarzami. Sześć wieków to dla was chwila? Powołujecie się na przeszłość, na Piastów, pierwszych książąt spoczywających pod płytami nagrobnymi na Ostrowie... Tak, niewątpliwie byli Słowianami, ale traktowaliśmy ich jak część naszej archaicznej historii, głęboko pogrzebanej w ziemi, prawie już niewspominanej, równie odległej jak dla Włochów dzieje Etrusków. Nigdy by nam nie przyszło do głowy, że ta słowiańska prehistoria może w jakikolwiek sposób wpływać na teraźniejszość. Na litość boską, przecież przeszłość nie może zmartwychwstać! A teraz przychodzicie i mienicie się dziedzicami Piastów, spadkobiercami zetłałych na proch kości, żądając naszych domów i ziemi. Powiadacie, że teraz tu będzie Polska. Jakim prawem, pytam? To tak, jakby w Italii objawili się nagle potomkowie Etrusków i oznajmili Włochom, że nie mają prawa do swojej ziemi! Jest pan mądrym człowiekiem, poruczniku, i niech pan szczerze powie, czy nie wydaje się to panu absurdalne.

Jan patrzył w ciemne oczy czcigodnego starca, łagodnie błyszczące w świetle kaganka zrobionego z puszki po konserwach, i zastanawiał się, jak mu to wytłumaczyć. Tak aby klasycznie ukształtowany, racjonalny umysł zaakceptował ten fenomen.

- Ma pan rację, profesorze - zaczął. - Na zdrowy rozum takie mamy prawa do Breslau, jak Etruskowie do Rzymu. To prawda, po Piastach, naszych książętach i pierwszych królach, nie zostało wiele więcej niż garść spróchniałych kości i parę średniowiecznych kamieni, pewnie zdruzgotanych przez bomby. Na polu historycznym nie sposób odmówić panu słuszności. Ale jest jeszcze jedna kategoria, bardzo istotna, którą musimy uwzględnić, a którą, co jasno widzę, odrzucacie niczym ślepcy niewierzący już w światło dnia. To kategoria winy i kary. Bo tam, na wschodzie, w spustoszonych przez wojska Rzeszy krajach, trwa w tej chwili wielkie liczenie... Liczenie trupów. I zapewniam pana, profesorze, że wszystkie rzezie Attyli są niczym wobec tego, co uczynili pańscy rodacy. Ta góra zmarłych, którą wciąż jeszcze liczą i mierzą, przytłoczy Europę i sięgnie niebios. W samym Oświęcimiu zamordowano miliony... Warszawa jest morzem gruzów i zarazem masowym grobem. Żydzi polscy przestali praktycznie istnieć, a przed wojną było ich pięć milionów. Z wielkiej rzezi ocalały jednostki. Mam mówić o tych tysiącach spalonych wsi, setkach wyniszczonych terrorem miast? Przecież nie muszę. Profesorze, pan doskonale wie, że żaden naród w historii nie dopuścił się tak potwornych zbrodni, będą one ciężać niemieckiemu sumieniu przez pokolenia.

- Wiem - powiedział starzec głucho. - Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie Hitler!

Korzycki zachnął się, tym razem porządnie zirytowany. Profesor, tak jak inni Niemcy, odsuwał od siebie winę, przerzucając ją na mitycznego demona, który spętał niemiecką duszę. Każdy z nich czuł się rozgrzeszony, przecież nie uczynił nic złego. Zatem i ich narodu nie można było obarczać odpowiedzialnością za to, co się stało.

- Tak, ma pan rację, to Hitler w prowincjonalnych polskich miasteczkach ładował do bydłowych wagonów Żydów, mężczyzn, kobiety, dzieci, starców i wywoził w lasy na egzekucję albo do obozów śmierci. Także osobiście zapędzał ich do komór gazowych, a zwłoki palił w krematoriach lub zakopywał w wielkich dołach. Hitler naciskał spust karabinu maszynowego, którym rozstrzeliwał Polaków w masowych ulicznych egzekucjach, on mordował chłopów i palił wioski, on kradł nasze dobra, wysadzał pałace i pomniki... W Warszawie w czasie powstania zastrzelił i spalił żywcem setki tysięcy ludzi... Tak, profesorze, ten Hitler musiał mieć tysiące, miliony wcieleń, jak najbardziej realnych i rzetelnych w swym morderczym fachu. Tam, w bunkrze, w Berlinie, zabił się jeden Hitler. Goebbels, powiedzmy, był tym drugim. A co z resztą?

Starzec milczał, tylko gwałtownie potrząsał głową, jakby kolejne słowa Korzyckiego godziły w niego wręcz fizycznie. Przełykał sucho ślinę, ale nie popił herbatą. Może nagle nabrała smaku i zapachu wojennego ersatzu.

- Mamy zatem niezaprzeczalną winę i winnych, co więc z karą? Według was wszystkiemu winien był Hitler, który już sobie wymierzył sprawiedliwość. Innym należy dać spokój. Ale dla polskiej chłopki, matki, która w czasie pacyfikacji straciła swoje dzieci, winnym jest gefreiter Schulze, który przed stodołą zastrzelił małego Jasia i niewiele od niego starszą Marysię. Winny jest sierżant Steidle, bo zadźgał jej męża bagnetem. Winny jest szeregowy Oelschner, bo zgwałcił jej starszą córkę... Dla tej prostej polskiej chłopki oni są winni i im należy wymierzyć karę, a nie jakiemuś mitycznemu Hitlerowi, którego nie widziała na oczy... A także tym, którzy ich posłali, aby zatopili świat we krwi... Każdego z nich urodziła jakaś matka, każdy miał ojca, braci, siostry... którzy mogli powiedzieć: „Nie idź i nie czyń, bo to złe”. Ale oni albo ich zachęcali, albo milczeli, biorąc tym samym współnictwo w zbrodni... Dlatego to, co się teraz stanie z Niemcami, musicie przyjąć jako karę... Karę, która następuje po winie... A ponieważ wasza wina nie ma precedensu w dziejach zbrodni, zatem nie zdziwcie się, jeśli i kara będzie wyjątkowo dotkliwa, też bez precedensu... Bo gdzie wina, tam musi być i kara. Tego wymaga elementarna sprawiedliwość. Inaczej ten świat nigdy nie odzyska ładu.

Profesor spojrział na niego, pewnie pragnąc coś wtrącić, zaprzeczyć, ale Jan powstrzymał go uniesioną dłonią. Musiał chociaż jednemu z nich wreszcie to powiedzieć.

Jasno i dobitnie.

- A wy, moim zdaniem, od tej winy uciekacie, uchylacie się od jej przyjęcia, zwalając ogrom zbrodni na martwego tyrana. Każdy woła: „To Hitler, nie ja!”. Tak jest najwygodniej, czujecie się wtedy subiektywnie niewinni. Dlatego to, co was spotyka, odbieracie jako prześladowania, represje, a nie zasłużoną karę. Mogę to nawet zrozumieć, ale w oczach świata jesteście obiektywnie winni koszmaru wojny i ten świat wymierzy wam - już wymierza - obiektywną i surową karę. Współmierną do winy, która jest tak prawdziwa, jak prawdziwe są stosy trupów w kacetach i łzy matek po dzieciach, które zabiły wasze dzieci. Czytał pan Dostojewskiego? Drogą do odrodzenia zbrodniarza jest uznanie winy, żal za popełnione zło i przyjęcie kary jako sprawiedliwej i zasłużonej. I dopóki tego nie zrobicie, nie uderzycie się w pierś, nie posypiecie głowy popiołem i głośno nie powiecie „mea culpa”, nie będzie dla was miejsca wśród narodów Europy.

W miarę jak mówił, siwa głowa profesora Baumann pochyliła się coraz niżej, jakby przygnieciona niewidocznym brzemieniem. Kiedy starzec prawie dotykał czołem planszy, nagle poderwał głowę i gwałtownym ruchem zgarnął pozostałe pionki i zrzucił na podłogę.

- Koniec rozgrywki - wyszeptał chrapliwie. - Pan wygrał, panie oficerze.

W tym momencie zegar, cierpliwie tykający na ścianie, niespodziewanie zamarł. Odruchowo spojrzeli na kiwające się za szkłem wahadło, które bujało się jeszcze nieznacznie, nim ostatecznie znieruchomiało. Reni wstała, zamierzając puścić je znowu w ruch, ale profesor złapał za rękaw jej bluzki.

- Zostaw, nie trzeba - powiedział. - Niech stoi. Korzycki uniósł do ust filiżankę, ale wystygła herbata już mu nie smakowała.

\* \* \*

Władek Zimmer musiał należeć do niezłych szyszek w zarządzie miasta, bo przyjechał po niego samochodem, odrapanym i poobijanym jeepem. Było już późne popołudnie i poruszanie się po mieście wiązało się wciąż, mimo ostatnich akcji pacyfikacyjnych, z pewnym ryzykiem. Władek jednak do bojaźliwych nie należał, a o gotowości do ewentualnej konfrontacji z bandziorami świadczyła spoczywająca na jego kolanach pepesza. Także jego szofer, wąsaty kapral w wypłowiałym mundurze, wyglądający na starego frontowego wygę, trzymał przy kierownicy szmajsera. Zajechali przed posterunek z fantazją, gazując i rycząc klaksonem. Korzycki, który kończył pisać meldunek, wyjrzał przez okno. Przed trzema dniami zdjęli z parapetów pancerniaki i część cegieł, uznając, że skoro w okolicy znacznie się uspokoiło, czas wracać do normalności. Cokolwiek by to słowo w BreslauWrocławiu znaczyło.

- No, kolego, na co czekasz?! - zawołał na jego widok Władek, wskazując na wolne siedzenie z tyłu samochodu. - Byliśmy przecież umówieni na wódkę! Wskakuj, bo szkoda czasu.

Przekazał dowodzenie Nyczkowi, wyszedł przed posterunek i wsiadł do jeepa. Z kopyta ruszyli Piastenstrasse w stronę targowiska. Samochód bezceremonialnie przepchał się przez rojących się u wylotu ulicy handlarzy, których zbliżający się wieczór jakoś nie przepędził z szaberplacu. Po płycie lotniska popędzili w stronę Kaiserbrucke - podobno miał już nową nazwę: most Grunwaldzki.

Przeprawa była posprzątana i całkowicie przejezdna, szybko więc przemknęli po moście, mijając po prawej wielki gmach z białego betonu. Trwały w nim prace remontowe, w mieście mówiono, że władze wojewódzkie mają się lada moment sprowadzić z Legnicy i właśnie tu się zainstalują. Jechali dalej, w stronę centrum, przez ruiny zrównanej z ziemią dzielnicy. Dopiero przy samym dworcu pojawiły się ciągi stojących i jako tako całych budynków. Kierowca, mimo nierównej nawierzchni, nie zdejmował nogi z gazu, gnali przed siebie na złamanie karku. Wbrew pozorom było to bardzo rozsądne, utrudniało bowiem celowanie przyczajonemu w gruzach potencjalnemu snajperowi. Strzelec z pewnością wolałby wolniejszy obiekt.

Sam dworzec - Korzyckiemu wydał się nieco podobny do krakowskiego - ucierpiał nieznacznie, od frontu dało się dostrzec ledwo kilka dziur. Zatrzymali się po drugiej stronie przydworcowego placu, przed narożnym budynkiem z okrągłą wieżą. Widniał nad nim transparent z napisem „Hotel PPS”. Zimmer rażno wyskoczył z samochodu, odprawił kierowcę, polecając mu przyjechać o północy. Weszli do środka. W obskurnym holu, oświetlonym - co Jan odnotował z pewnym zdumieniem, bo przywracanie elektryczności szło w mieście opornie - chimerycznie mrugającą żarówką i pilnowanym przez strażnika z karabinem, siedział jeszcze recepcjonista, starszy człowiek w okularach. Na widok Władka, widać częstego gościa, uśmiechnął się promiennie. Ten skinął mu przyjaźnie i poszli z Korzyckim korytarzem w kierunku zagraconego podwórka. Właśnie tam, obok zniszczonego pianina, stało źródło cudu elektryczności: pyrkoczący niemiłosiernie generator domowej roboty - a właściwie silnik wymontowany z niemieckiej dekawki, co dało się poznać po charakterystycznych „pierzących” odgłosach. Do silnika przymocowano ośkę z felgą, na którą nawinięto pas transmisyjny, dość nieforemny, najwyraźniej zrobiony z węża strażackiego. Jego drugi koniec ginął w piwnicznym okienku, gdzie musiał stać właściwy generator. Całe ustrojstwo wyglądało na chodzące na słowo honoru, lecz dawało prąd. Marny, ale zawsze.

Za generatorem znajdowały się wąskie drzwi wiodące do oficyny. Kiedy Zimmer je uchylił, ze środka buchnął gwar wielu głosów i tytoniowy odór. Weszli do ciemnego, piwnicznego pomieszczenia, oświetlonego chybotliwym światłem dwóch wiszących u sufitu gołych żarówek, zasnutego papierosowym dymem, gęstym jak londyński smog. Długie i wąskie wnętrza zastawiały stoły najróżniejszego autoramentu, widać pozbierane z okolicznych mieszkań - od solidnych jadalnych po trójnogie, okrągłe kawowe cacuszka z blatami wykładanymi marmurowymi płytkami. Stały tu także biurka, podstawki maszyn do szycia, a nawet coś długiego i obitego blachą cynkową, jakby stół sekcyjny. Obsiadło je gęsto towarzystwo wybitnie mieszane - sowieccy oficerowie w towarzystwie wymalowanych młodych Niemek, urzędnicy zarządu, milicjanci, polscy wojskowi, cywile bez określonego przydziału, mogący być równie dobrze szabrownikami, redaktorami. Goście pili wódkę i gadali jak najęci, nie zważając na muzykę płynącą ze stojącego na kontuarze patefonu, na którym kręciła się zdarta płyta z arią operową. Sam bar, mieszczący się pod przeciwległą do wejścia ścianą, był wysoce kombinowaną konstrukcją, zbitą z dykty, poobijanych blatów i drewnianych skrzynek po amunicji.

Urzędował za nim obrośnięty i niezbyt czysty drab, o którego barmańskiej godności świadczyła jedynie brudna ścierka przewieszona przez ramię. Obok, na ladzie, stał ogromny słój z ogórkami kiszonymi.

Knajpa wydawała się tak wypchana ludźmi, że na pierwszy rzut oka nie było gdzie usiąść, ale Zimmer poradził sobie - zobaczył mały stolik, który obsiedli trzej młodzieńcy w studenckich czapkach. Podszedł do nich i coś powiedział. Chłopcy natychmiast poderwali się i burząc coś pod nosem, zwinęli się, opróżniając stolik. Władek wskazał go Korzyckiemu, a sam podszedł do baru i zaczął konferować z jego niehigienicznym gospodarzem. Po dłuższej chwili wrócił, trzymając w jednej ręce litrową butelkę z wódką, w drugiej talerz z ogórkami.

- Coś im nagadał? - zapytał Korzycki.

- Komu? - Władek postawił flaszkę na stole.

- No, tym studenciakom ze Straży...

- Nic takiego, tylko że znam ich komendanta, magistrą Czecha, który pewnie będzie ciekaw, gdzie się jego podopieczni poniewierają po służbie... lub w jej trakcie.

Wrócił do baru i po chwili zjawił się z dwiema szklankami.

- Kieliszków już nie ma - wyjaśnił.

Usiadł naprzeciwko i rozlał po solidnej porcji.

- Za co wypijemy? - zapytał Jan.

Zimmer ujął szklankę i spojrział przez nią na wypełnioną gwarnym tłumem salę.

- Jak to za co? Za to, że żyjemy.

Nie był specjalnie oryginalny, wszyscy za to pili. Wódka smakowała nieźle, najwyraźniej gorzelniana, nie cuchnący bimberk pędzony w starym parniku. Zagryźli ogórkiem. Rozmowa się nie kleiła, za długo się nie widzieli.

- A co się dzieje z Miriam? - rzucił Korzycki, aby jakoś zagaić, i dopiero gdy to powiedział, pojął niezręczność pytania. Przecież Władek już mówił, że nikt z jego bliskich nie przeżył. Doskonale pamiętał jego siostrę, szczupłą i bardzo zgrabną czarnulkę o wielkich, podłużnych oczach, jakby egipskich, bo kojarzących się z wizerunkiem księżniczki Nefretete. Dziewczyna kończyła żeńskie gimnazjum i wybierała się do Krakowa na studia, chciała zostać malarką. Podkochiwał się w niej jako szczeniak.

Twarz Zimmera stężała. Odetchnął głęboko i nalał sobie wódki. Dużo, pod krawędź szklanki.

- Moja mała śliczna siostrzyczka... Wiesz, sądziliśmy, że jej się uda. Nie miała co prawda zbyt aryjskiego wyglądu, ale u kobiet tak tego nie widać, zawsze mogła się przypudrować. Wiosną czterdziestego drugiego postanowiliśmy, że pojedzie do Warszawy i tam się ukryje, mieliśmy adres starych znajomych taty, chrześcijan, obiecali pomóc i ją przechować. Plan był dobry, ale nawet nie udało jej się wyjechać z Mińska. Na stacji kolejowej, tuż przed wejściem do pociągu, rozpoznała ją dawna koleżanka ze szkoły, Polka, i wskazała granatowym policjantom. Wiem z relacji świadków, że próbowała się wykupić, daliśmy jej sporo pieniędzy na drogę, ale zjawił się patrol żandarmerii i granatowi musieli mu przekazać Miriam. Niemcy zaprowadzili ją na tyły dworca, do jakiejś drewnutni, i zastrzelili. Jej ciało leżało tam przez dwa dni. Rodzice, jak się dowiedzieli, opłacili ludzi, którzy przewieźli ją do getta... Przynajmniej miała przyzwoity pogrzeb.

Sięgnął po szklankę i wychylił ją duszkiem. Gdy sięgał po ogórek, Korzycki zobaczył jego oczy, rozgorączkowane i błyszczące, aż białe z nienawiści.

- A z nią co się stało? - zapytał. - Z kim?

- Z tą koleżanką.

- Z tą... - Władek znów chciał im pohać, ale Jan go powstrzymał, nie chciał zbyt szybko się upić. - Powiedziano mi, że zmarła w czterdziestym czwartym na tyfus. Jej szczęście, mój pech. - Nalał sobie i wypił. - Dobra wódka pomaga, pewnie to wiesz. Jak piję, wspomnienia tak bardzo nie bolą.

Zamilkł i rozejrzał się po sali. Jego wzrok zatrzymał się na wypindrzonej Niemce w zielonej sukience, siedzącej na kolanach sowieckiego majora i zaśmiewającej się na całe gardło z zapewne pieprzonego żołnierskiego dowcipu.

- Ale sukinsynowi, który zrobił to moim rodzicom, nie daruję.

Korzycki spojrział na kolegę, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli.

- Na początku lata w czterdziestym drugim wiedzieliśmy, że szykuje się likwidacja getta. Z okolicznych miasteczek już wywozili. Rodzice wciąż jeszcze mieli dużo pieniędzy.

Dowiedzieli się, że jest polska organizacja, która pomaga ukrywać się bogatym Żydom. Ci ludzie osadzili w getcie swego jakby rezydenta i mojemu ojcu udało się do niego dotrzeć. Uzgodnili, że zapłaci za siebie i matkę dwa tysiące dolarów za wyprowadzenie z getta i ukrycie poza murami.

- A ty z nimi nie chciałeś iść? - zapytał Korzycki.

- Pracowałem wtedy w fabryce Kruppa i wydawało się, że przynajmniej na razie nic mi nie grozi, bo Niemcy zostawiali w spokoju robotników zbrojeniówki. Zamierzałem dołączyć do nich później, kiedy już się urządują... Wszystko szło dobrze. Na początku sierpnia, dwa tygodnie przed likwidacją getta, ludzie z organizacji przemycili moich rodziców za bramę w śmieciarce ze specjalnym schowkiem. Zamieszkali na przedmieściach Mińska, w piwnicy domu jednego z członków organizacji. Ale kiedy w styczniu czterdziestego trzeciego usiłowałem ich odnaleźć pod tym adresem, już ich tam nie było. Nikt nie potrafił mi nic o nich powiedzieć, po prostu rozplynęli się w powietrzu. Nie mogłem za bardzo wypytywać, bo musiałem wiać. Za wielu Polaków mnie tam znało.

- Czekaaj, a jakim sposobem ty ocalałeś? Przecież zatrudnionych u Kruppa Żydów Niemcy wymordowali!

Zimmer westchnął ciężko, sięgnął po butelkę i nalał po pół szklanki.

- Za to warto wypić. Byłem w ostatniej grupie przeznaczony do likwidacji. Prowadzono nas do szkoły przy Siennickiej... Wiedziałem, że to koniec, rozwałki zaczęły się już w czasie świąt. Kiedy kolumna zatrzymała się przed skrzyżowaniem, przejeżdżały przez nie wojskowe ciężarówki i trzeba było poczekać. Stanęliśmy przy jakimś parkanie z szerokich desek. Ja byłem z samego skraju. Pomyślałem, że to może być szansa, zacząłem macać deski, szukając obluźowanej. Miałem fart, jedną dało się odchylić. Uliczka była wąska, ludzie się stłoczyli, pilnujący nas wachman nie widział w tym mrowiu, co robię. Wlazłem do dziury, mój koleś, Broniek Blutman, który przyuważał, co kombinuję, też chciał w nią wleźć, ale wtedy rozległy się komendy i kolumna ruszyła. Dwie godziny potem było po wszystkim, zagnali ich do szkoły i podpalili. Dwustu Żydów spaliło się żywcem. Normalka, jak te ciężkie czasy.

- Nie powinieneś tak mówić! - zachnął się Korzycki. Władek uśmiechnął się krzywo i wskazał na nadal niewypite szklanki.

- Ot, moralista się znalazł, jakby z Żeromskiego wyjęty. Ta szkoła była niedaleko ogródka, w którym siedziałem. Słyszałem, jak oni krzyczeli. Ty mi nie mów, co na tym świecie jest dobre, a co złe.

Jeden z mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku podniósł głos, opowiadając dowcip:

- No i wiecie, mamy Oświęcim i kapo woła na zbiórkę i mówi: „Ruscy do kilofów, Polacy do łopat, a Żydzi na tańce”. „O, jak fajnie - cieszą się Moski - a kto będzie grał?”. „Jak to kto? Hans na automacie!”.

Siedzący z nim mężczyźni, wyglądający na urzędników zarządu, zarzeli zgodnie, klepiąc się z uciechy po plecach. Zimmer prychnął ze wzdrganiem i sięgnął po szklankę.

- Szlag by was, przeklęte Polaczki - mruknął.

- W końcu się dowiedziałeś, co się stało z rodzicami? - zapytał Korzycki. Oświęcimski dowcip wydał mu się wyjątkowo obrzydliwy.

- Jak przetoczył się front, wróciłem do Mińska. Znalazłem człowieka, który należał do tej organizacji. Powiedział mi, co się stało. Jej szef, posługujący się nazwiskiem Kwiatkowski, po miesiącu kazał moim rodzicom przeprowadzić się z piwnicy w nowe miejsce. Ze wszystkimi rzeczami. Wieczorem przysłał swoich ludzi. Ci zabrali rodziców gdzieś w lasy, ten człowiek nie wiedział dokąd, choć wiedział, co tamci zrobili. „Jaki on miał interes w trzymaniu tych Żydów, kiedy od razu mógł im zabrać wszystkie pieniądze?” - cytuję jego retoryczne pytanie. Podobno nie tylko z moimi rodzicami tak postąpił. Pewnie leżą gdzieś w wykrocie pośrodku lasów. Typowa żydowska mogiła.

Korzycki widział, z jakim trudem Władkowi przychodzi to wyznanie. Mówił przez zaciśnięte zęby i kiedy w końcu wypił, połowa wódki wylała mu się na brodę.

- Słuchaj, ja dorwę tego drania! - wyszczał. - Tropię go od paru miesięcy i wiem, że przebywa we Wrocławiu. Już niedługo go dopadnę.

- Powinieneś zostawić to milicji, bo to sprawa kryminalna... Ja sam mogę...

- To sprawa żydowska - przerwał mu Zimmer - nie polska. Nie mieszaj się do tego.

Zamilkli. Słyszeli rżący śmiech mężczyzn siedzących przy sąsiednim stole, którzy serwowali sobie coraz pieprzniejsze anegdoty.

- Nie była waszą wtedy, nie powinna być i teraz.

- To jasne, że winisz za wszystko Polaków, ale czy aby nie przesadzasz?

Zimmer patrzył na rechoczących facetów, na ich czerwone, obrzmiałe od śmiechu i wódki twarze.

- A jesteście lepsi od Niemców? No tak, powiesz, że Treblinka i Auschwitz to nie



wasz pomysł. Ale ja wiem: w głębi duszy cieszycie się, że Hitler załatwił za was żydowski problem. Pogrom z trzydziestego szóstego pamiętasz? Byłem wtedy na miejscu, widziałem palące się domy mińskich Żydów i to, jak dobrzy chrześcijanie cieszyli się na ten widok. No i spełniło się, już nie musicie wysyłać nas na Madagaskar. Hitler zrobił to, na co wy nie mieliście odwagi. Polska po wojnie jest co prawda zniszczona, ale i odżydzona. Zawsze to jakiś zysk. Już nie musicie zmuszać się do tolerowania nas i udawania, żeśmy równi wam współobywatele.

Jan nie odzywał się. Właściwie nawet się nie dziwił, że Władek tak mówi. Sam pamiętał sprzed wojny getto ławkowe na politechnice.

- Wiesz, co było w tym najgorsze? Po Niemcach to ja wiedziałem, czego się spodziewać. Chcieli po prostu wykończyć każdego Żyda, jaki im się nawinął. Z Polakami tej pewności nie miałem, nigdy nie wiedziałem, jak postąpią. Czy ten facet stojący koło mnie i zapalający papierosa to bohater podziemia czy szmalcownik? A może jedno i drugie? Człowiek, który mnie przechowywał, bał się w sklepiku na swojej ulicy kupić więcej chleba. Szedł do sąsiedniej dzielnicy, tam gdzie nikt go nie znał. Choć najgorsze były te spojrzenia, gdy poznawali, że jestem Żydem. Nawet nie nienawistne, raczej zdziwione i zgorzzone, że jeszcze żyję. Bo powinienem być już trupem. Żywy byłem tylko kłopotem.

Sięgnął po papierosa i zapalił. Jedna z Niemek towarzyszących sowieckim oficerom, ładna blondynka, podeszła do lady i zaczęła konferować z barmanem. Po chwili odwróciła się, trzymając w ręce butelkę wódki. Zerknęła na nich zalotnie i uśmiechnęła się promiennie. Korzyckiemu wydała się podobna do Reni, choć, jak na jego gust, była zbyt wyzywająco umalowana. Władek skrzywił się i rzucił dziewczynie wrogie spojrzenie.

- Sucz esesmańska, patrz, jaka dumna z bycia sowiecką kurwą! - warknął. - Gdybyśmy to my, Żydzi, tutaj rządzieli, zamknęlibyśmy ich w getcie, żeby sobie zobaczyli, jak to jest. A potem po kulce i do dołu.

Dopiero teraz dotarło do Jana, że jego przyjaciel z lat dzieciennych naprawdę bardzo się zmienił. Władek nienawdził i Niemców, i Polaków, a pewnie też Rosjan - za to, że nie wykończyli obu występnych narodów. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek Polacy będą dla niego kimś innym niż szmalcownikami i kandydatami na szmalcowników. Po tym, co przeżył, miał prawo tak myśleć, choć była to nieprawda.

Korzycki też sięgnął po papierosa i zapalił. Ta rozmowa zaczynała go męczyć, osuszyli już prawie całą flaszkę i czuł, że powoli się upija. Zimmer zamilkł, ćmił peta i mętym wzrokiem wpatrywał się w słoje widoczne na drewnianym blacie. W patefonie złamała się igła i muzyka - włoska aria, którą grano na okrągło, bo pewnie innej płyty nie

było - ucichła. Wtedy obaj dawni przyjaciele mimowolnie zaczęli wyraźniej słyszeć to, o czym mówiono przy sąsiednim stoliku.

- Mówię wam, takiego cyrku to ja jeszcze nie widziałem - perorował zażywny jegomość o czerwonej, tłustej twarzy. - Wyobraźcie sobie, że wczoraj na Dominikańskim spotkałem Drobnera, pewnie przyjechał z Krakowa po resztę mebli. Wiecie, że tego starego socjała już całkiem pogięło? Stał na skrzyżowaniu, stroszył te swoje sarmackie wąsiska, machał parasolem i perorował do grupki zebranych dookoła gapiów. Aż przystanąłem, bo byłem ciekaw, co ma do powiedzenia. No i trafiłem na niezłe kazanie: „Kochani, nic to, że gruz, ja Wrocław mój widzę ogromny - nawijał, wskazując parasolem na ruiny. - Tu wyrosną szklane domy, wysokie pod niebo, pełne zadowolonych, szczęśliwych ludzi, żyjących w dostatku, równości i wolności, ja to już widzę i wiem, że to będzie najwspanialsze miasto w Polsce. I to wy jeszcze tego doczekacie”.

I tak dalej, wieszczył jak jaki Wernyhora, a dookoła tylko popalone mury i pewnie duchy Niemców, których tam zabito. W promieniu kilometra ani jednego całego okna, gruzy po horyzont, umarłakami zajeżdża, w powietrzu biało od pierza po niemieckich betach, aż niedobrze się robi od samego patrzenia, a temu durniowi marzą się szklane domy. Ludzie w kułak się śmiali, a jeden facet nawet kręćka na czole pokazywał.

A taki młody, pewnie jakiś student, to mu powiedział: „Trupem tu czuć i utopią, panie prezydencie”. Ale wytłumaczysz co staremu dogmatykowi?

- Dobrze, że go zdjęli - rzucił łysiejący, chuderlawy blondyn i zaczesał ręką rzadniejącą grzywkę - bo dziwaczył ponad miarę. Plany to on miał zawsze górne, że ho, ho. Ubzdurał sobie, że Wrocław będzie wzorcowym socjalistycznym miastem, i uznał, że aby sprawiedliwości społecznej uczynić zadość, nie wprowadzi się pieniędzy. Tu idzie szaber wszech czasów, ludzie w ciągu dnia dorabiają się majątku, o jakim nawet przed wojną nie śnili, a ten za naszą harówkę w zarządzie chciał dawać kupony na żarcie i ubranie. Bo, jego zdaniem, pieniądź psuje człowieka, a w nowych czasach najważniejsze będą wartości duchowe.

- A co, nieprawda? - rzucił trzeci z siedzących przy stole mężczyzn. - Ciągłe nam przecież pensji nie wypłacili! Co prawda Wachniewski obiecał, że pieniądze będą, ale coś mi się widzi, że prędzej się doczekamy tego wieszczonego przez Drobnera nowego Wrocławia niż kasy.

Zaśmiali się i podnieśli szkło. Wypili, a blondyn, odstawiając kieliszek, pstryknął w litrową flaszkę z wódką.

- A może stary wariat ma rację? I będą we Wrocławiu szklane domy? Oczywiście, za

czas jakiś.

- A będą, będą, za jakie trzysta lat, chyba że wcześniej Drobner wywieszczy inaczej albo znowu prezydentem zostanie. A póki co, postarajmy się o pełną miniaturkę takiego domu. - Tłścioch pokazał na prawie opróżnioną butelkę. - Byle tylko takich szklanych konstrukcji nam nie zabrakło, to se na te Drobnerowskie możemy w spokoju poczekać.

Znowu zaśmiali się rehotliwie, a Władek, który zdawał się przysypiać, poruszył się na krześle i otworzył oczy.

- On ma rację, ten cwany Polaczek. Nigdy innych w tym kraju nie będzie - powiedział, nie kryjąc satysfakcji. - I dobrze wam tak. Nie będzie rajy na żydowskich kościach.

Korzycki nie mógł dłużej tego słuchać. Poczł, że jest mu duszno. W oficynie przebywało z pięćdziesiąt osób, wentylacja prawie nie działała, a wszyscy palili jak smoki i zaczynało brakować powietrza. Wstał, przeprosił Władka i zaczął przepychać się do wyjścia. Kiedy przechodził koło sowieckich oficerów, znowu zauważył spojrzenie podobnej do Reni dziewczyny. Wyszedł na podwórko, gdzie pyrko tał motor. Zapadła już głęboka noc i zobaczył wysoko nad sobą gwiazdy na czystym, bezchmurnym niebie. Przypomniał sobie o portrecie wiszącym w pokoju profesora. O jakim tu prawie moralnym teraz mamy mówić? - pomyślał. - Jak mu wytłumaczyć, że się myli?

Władek stanął za jego plecami. Też przez dłuższą chwilę patrzył w gwiazdy.

- Zaraz przyjedzie mój samochód. Podrzuci cię na posterunek.

\* \* \*

Drogę powrotną, mimo spowijających miasto egipskich ciemności, przebyli w ekspresowym tempie z obawy przed nocnymi snajperami. Kiedy Jan zapytał kierowcę, czy nie jadą jednak aby za szybko, ten odparł, że u nich, w bezpieczeństwie, zawsze tak zasuważ, a obywatel porucznik nawet tak woli. Wiadomość, że Zimmer pracuje nie w zarządzie miasta, tylko jest funkcjonariuszem UB, nawet Korzyckiego nie zdziwiła. Właściwie mógł się tego domyślić, ludzie zarządu nie rozbijali się jeepami.

Kierowca wysadził go przed posterunkiem i natychmiast pognął z powrotem. Został na ulicy sam - przez chwilę zastanawiał się, czy nie odwiedzić chłopaków, ale doszedł do wniosku, że lepiej zrobi, jeśli pójdzie do siebie. Mimo że obalili z Władkiem prawie litra, nie czuł się ani trzeźwy, ani pijany. Cholernie wkurwiający stan zawieszenia między jednym a drugim. Może ja taki właśnie jestem? - przyszło mu do głowy. - Taki bez właściwości, ani tu, ani tam. Czyli gdzie?

Nieco chwiejnym krokiem, trzymając się ściany, wdrapał się na piętro. Frau Mueller jak zwykle czekała na niego, choć mówił jej niejednokrotnie, że to niepotrzebne, przecież ma

klucz i sobie otworzy. Kobieta wyglądała na zaniepokojoną. Kiedy stanął w drzwiach, przyłożyła palec do ust.

- Ten człowiek przyszedł po południu - powiedziała szeptem. - Mówiłam, że pan oficer bardzo późno wróci, ale oświadczył, że zaczeka. To pana rodak, bałam się go wyprosić, siedzi w kuchni.

Korzycki się zaniepokoił. Kto to mógł być? Z nikim się przecież nie umawiał. Ktoś z bezpieki, od Kamana? Zdecydowali się go aresztować? Wtedy nie przysłaliby jednego człowieka. Może chcieli porozmawiać, ale o czym? Pewnie o jego nieciekawych widokach na przyszłość.

Ostrożnie, z ręką na kolbie parabelki, uchylił drzwi do kuchni. Znowu wyłączono prąd, pomieszczenie słabo oświetlał tylko migotliwy płomyk świecy, więc Jan nie od razu dostrzegł twarz siedzącego pod oknem mężczyzny. Przybysz miał na głowie czapkę z daszkiem, którą zsunął nisko na czoło.

- Długo każe pan na siebie czekać, poruczniku Korab.

Dopiero teraz go rozpoznał. Konrad bardzo się zmienił od czasu, kiedy się ostatnio widzieli. Chudy, blady, nieogolony, w kurtce przerobionej z wojskowego szynela wyglądał bardzo breslauwrocławsko - na człowieka nie wiadomo skąd przychodzącego i nie wiadomo dokąd zmierzającego.

- Cieszę się, że cię nie złapali - powiedział, zapinając kaburę. - Co z chłopakami?

Mężczyzna sięgnął do głowy i zdjął czapkę. Nie wyglądał najlepiej, miał zmiętą, zmęczoną twarz i podkrążone oczy.

- Różnie. Wielu złapali. Z Kielc odeszło kilka pociągów na Sybir. Mnie się udało. Paru naszym też.

Rozejrzał się po schludnej kuchni Frau Mueller i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ale ty, jak widzę, nieźle się urządziłeś.

- Jak mnie znalazłeś? - Korzycki odsunął krzesło i usiadł naprzeciw niego.

- Nie jesteś zbyt gościnnie, nawet herbaty nie dasz. Nieładnie. A ja coś mam.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął ćwiartkę wódki. Jan miał już jednak dość na dzisiaj i nawet się nie ruszył, aby przynieść szklanki. Przyglądał się swemu byłemu dowódcy, zastanawiając się, czego od niego chce. Z pewnością nie składał mu kurtuazyjnej wizyty.

Konrad wyczuł jego rezerwę, uśmiechnął się pod nosem i odkorkował flaszkę.

- Z gwinta też się pociągało - powiedział, przepijając do niego.

- Jak mnie znalazłeś? - spytał.

- Mamy jeszcze trochę kontaktów... od doktora do inżyniera - odparł Konrad i

pociągnął jeszcze łyk. Wyciągnął dłoń z butelką w kierunku Korzyckiego, ale ten odmówił. Niespodziewane odwiedziny coraz mniej mu się podobały.

- Czego ode mnie chcesz? - postanowił od razu przejść do rzeczy.

Konrad odchylił się na krześle. Spoglądał na Jana z lekko drwiącym uśmiechem.

- Poruczniku Korab, wasz urlop się skończył. Wracacie do szeregów.

Właściwie mógł się tego domyślić. Po cóż innego dawny przełożony miałby go szukać? Od pewnego czasu z komendy miejskiej przeciekały informacje, że polskie podziemie próbuje zbudować we Wrocławiu struktury, dlatego w mieście pojawiło się tylu ubeków. W końcu dawni koledzy musieli się zgłosić i do niego. Jakby bez tego nie miał aż nadto kłopotów. Szczęście doprawdy mi dopisuje jak nigdy - z jednej strony Kaman, z drugiej Konrad - pomyślał z ironią.

- AK już nie istnieje, a ty rozpuściłeś oddział, pamiętasz?

- przypomniał byłemu przełożonemu. - Proponowałbym się tego trzymać.

Sardoniczny uśmiezek na twarzy Konrada przygasł. Dawny dowódca patrzył ostro, tak jak na odprawach w lesie.

- Są nowe organizacje i nowe rozkazy. Także dla ciebie. W tym mieście jest paru czerwonych do rozwalenia.

Tego od niego chcieli... No jasne, przecież służył w milicji, więc mógł się w tym zbożnym dziele przydać. Miał dojsć do nowej władzy i był dla podziemia cenny, zwłaszcza dla wywiadu. Sęk w tym, że nie chciał już do tego wracać. Po prostu nie wierzył, aby zabicie paru komunistów cokolwiek zmieniło.

- Załatwicie pięciu, to przyślą na ich miejsce piętnastu

- powiedział. - Nie zauważyliście, że sytuacja jest inna niż za okupacji niemieckiej? Oni wciągnęli do współpracy część społeczeństwa. UB ma za sobą NKWD. Sowietów właśnie rozpieprzyli Tysiącletnią Rzeszę, a wy sobie myślicie, że dacie im radę przy pomocy paru tysięcy chłopaków z pistoletami? Konrad, zrozum, myśmy tę wojnę przegrali! Teraz widzę, że już wtedy, na początku, we wrześniu.

Jego gość milczał, patrząc w butelkę z resztką wódki. W chybottliwym świetle świeczki rzucała na stół długa, rozedrgana cień.

- Też o tym myślałem - powiedział po chwili głuchym, zmęczonym głosem. - I też mam dosyć, bo ileż, do kurwy nędzy, można. Sześć lat w polu, zacząłem jako podchorąży pod Mławą. Należałby się w końcu za to jakiś urlop. Ale gdzie miałbym go spędzić? Bo Polski, naszej Polski, już nie ma! Czytasz gazety? Służące czerwonym pismaki plują na wszystko, co dla nas święte. Nie liczy się to, co zrobiliśmy za okupacji. Nie mamy zasług, tylko winy!

Wyrzucili nas na śmietnik jako sanacyjne odpadki wyplute przez historię. Jak mamy tu teraz żyć?! Człowieku, rozumiesz, co oni nam zrobili? Oni wypędzili nas z naszego kraju!

Konrad nie musiał mu tego tłumaczyć. Jan wiedział to od dawna, jeszcze przed trafieniem na przesłuchanie do Kamana.

- I co w związku z tym? Mam dać się zastrzelić, abys poczuł się lepiej? - zapytał. - Bo przecież nic nie zmienimy. Ta partia została przez nas przegrana, zanim jeszcze zasiedliśmy do gry. Do tamtej Polski nie ma już powrotu!

Chwycił butelkę i osuszył ją duszkiem. Bimber był kiepski, palił w gardle.

- To za spotkanie - wychrypiał. - Teraz możemy się pożegnać.

Przybysz jednak długo nie ruszał się z miejsca. W końcu wstał i poprawił na głowie czapkę. Przy drzwiach kuchennych zatrzymał się jeszcze na moment.

- Na pewno nie zmienisz zdania?

Nie odpowiedział, czekając, aż Frau Mueller zamknie za Konradem drzwi.

\* \* \*

Następnego dnia przyszedł na posterunek dopiero około południa. Musiał odespać wypitą poprzedniego wieczoruwódkę. Przywitał go Nyczek, składając zwięzły raport z nocnych wydarzeń. Typowy, bo poza dwoma napadami na spóźnialskich przechodniów, których wrocławskich obyczajem rozebrano do bielizny, nic specjalnego się nie działo. Lecz kaprał prawdziwe rewelacje zostawił na koniec.

- Był tu Kluska. Przyniósł ten papierek.

Wskazał na leżącą na ladzie kartkę. Korzyckiego trochę jeszcze bolała głowa po wczorajszym i dopiero po dłuższej chwili poznał, że to kolejna wydrukowana po niemiecku ulotka. Nie głosiła żadnych rewelacji: „Niemcy! W całości odrzucamy zbrodnicze postanowienia z Poczdamu! Nie przyjmujemy do wiadomości jakichkolwiek podjętych tam decyzji, jako całkowicie nielegalnych. Wzywam was, abyście nie podporządkowywali się poleceniom władz sowieckich i polskich. Nie opuszczajcie domów! Nie dajcie się wyrzucić z naszej niemieckiej ziemi! Musimy, wbrew wszystkiemu, trwać w Breslau i na Śląsku. Już niedługo los się odmieni. Wykażcie się odwagą. Tchorze i defetyści będą karani śmiercią, zgodnie z prawem wojennym. Komendant Festung Beslau”. Kiedy przetłumaczył tekst Ernestowi, ten pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Coś za dużo się tych „komendantów” namnożyło. Byle szmondak z Werwolfu może się tak podpisać.

Jana zastanowiło coś innego. Ulotkę wydrukowano na bardzo porządnym, jakby gazetowym, papierze, także sam druk był bardzo wyraźny, wykonany dobrą farbą. Tego nie

dało się osiągnąć na chałupniczej maszynie.

- Nie mamy gdzieś miejscowej gazety? - zapytał.

- A mamy - odparł kapral. - Wczoraj przysłali z komendy paczkę „Pioniera”.

Rozłożył na ladzie zadrukowaną płachtę. Obok Korzycki położył ulotkę. Przez parę minut porównywali czcionki, szukając podobnych.

- Wydaje mi się, że to te. - Nyczek wskazał na jeden z nad tytułów. - Pan spojrz. Ta sama wielkość i kształt liter.

Korzycki przyłożył ulotkę pod buńczuczny nadtytuł, głoszący, że: „W codziennej walce i pracy wykuwamy przyszłość Wrocławia”. Bez wątpienia był to - z wykluczeniem typowo niemieckich znaków w rodzaju „umlautów”, których, rzecz jasna, nie stosowano w polskiej gazecie - ten sam typ czcionki. Zwrócił uwagę na literę „t”, która w ulotce w wyrazie „Kommandant” miała lekko przekrzywioną górną poziomą kreskę. Podobną cechę zauważył w jednym miejscu w „Pionierze” - w słowie „transport” w nagłówku artykułu o nowych połączeniach kolejowych z Poznaniem i Krakowem. Uważnie przyjrzał się też papierowi gazety i ulotki, porównując fakturę i gramaturę. W obu przypadkach wydały mu się identyczne.

- Nie chce mi się w to wierzyć - powiedział Nyczek, cmykając w zadumie zębami. - Tłukliby to sobie w naszej drukarni? I nikt tego nie zauważył?

- Najciemniej jest pod latarnią, panie kapral - mruknął Korzycki. Patrzył to na ulotkę, to na gazetę i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Do głowy przychodził mu tylko jeden pomysł.

- Pobawisz się trochę w detektywa. Jutro rano przekażesz swoje obowiązki Nowakowi i pójdziesz w cywilnych ciuchach do tej drukarni, pokręcisz się tam trochę i poniuchasz. Może uda ci się zatrudnić tam na parę dni. Trzeba się dowiedzieć, kto ma dostęp do prasy drukarskiej.

Chłopak spojrział na niego zaskoczony.

- Prawdziwe śledztwo? Jak u Conana Doyle'a?

- No widzisz, wreszcie się doczekałeś. - Jan poklepał go po ramieniu. - Bądź jak Holmes, czujny i baczący na szczegóły.

W tym momencie na schodach pod kolumną rozległy się odgłosy głośnej sprzeczki. Drzwi odskoczyły, mocno pchnięte, i do środka wkroczył przeszło pięćdziesięcioletni mężczyzna w porządnym garniturze, starannie wygolony blondyn o ascetycznej, surowej twarzy, prostym, ostrym nosie i nieco wystraszonego spojrzeniu. Za nim szedł Nowak, trzymając go na muszce. Był z nimi jeszcze jeden z nowych, Reczek, ściskający pod pachą

długą skrzyneczkę z brązowego bakelitu. Pudełko wyglądało dziwnie, z przodu było zaopatrzone w okrągły soczewkowy ekran i kilka pokręteł.

- Dorwaliśmy tego szabrownika na Gellhornstrasse, grzebał w ruinach - zameldował Nowak. - To chyba jakieś radio.

Mężczyzna energicznie potrząsnął głową.

- Kolejny raz mówię: to nie radio, a oscyloskop Siemens, model z 1937 roku - powiedział, prostując się z godnością. - I nie żaden szabrownik, a Kazimierz Daszewski, profesor, specjalista od maszyn elektrycznych. Panowie milicjanci nie dali mi wytłumaczyć...

Korzycki uśmiechnął się, wyszedł zza lady, zaprowadził gościa do szachowego stolika i usadził na honorowym miejscu. Doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Przed wojną czytał jeden z jego podręczników, bardzo rzetelne opracowanie o pomiarach prądów zmiennych.

- Bardzo przepraszamy za pomyłkę. Pan wie, panie profesorze, tyłu tu grasantów... Grabią miasto jak tatarska horda.

Kiwnął na Nyczka, aby postarał się o herbatę. Profesor, choć wyraźnie uspokojony jego uprzejmym zachowaniem, zaczął się jednak tłumaczyć:

- Pewnie pan słyszał, że mamy uruchomić jesienią Politechnikę, ale ze sprzętem krucho. Mnóstwo aparatury potłuczono i rozwłóczono, każdy aparat jest na wagę złota. Idę ja sobie tą Gellhornstrasse, patrzę, a tu w gruzach spod deski wyziera znajome oczko. Jak nic oscyloskop. Ktoś myślał, jak pan milicjant, że radio, porwał, a potem wyrzucił, bo się pewnie bliżej przyjrzał i zobaczył, że to coś innego. Takich okazji się nie zostawia, no to ja hyc w ruiny i za deskę. Miałem szczęście, aparat wyglądał na nieuszkodzony, więc go zabrałem. Kiedy wracałem na ulicę, zjawili się panowie milicjanci. Zanim coś im rzekłem, to oni zaraz: „Aresztujemy obywatela za szaber”. A ja tylko zdobywałem dla uczelni ponemieckie instrumenty naukowe, zgodnie z poleceniem Jego Magnificencji rektora Kulczyńskiego. Jaki to, za przeproszeniem, szaber?

Korzycki raz jeszcze przeprosił za nieporozumienie, a przyniesiona przez kaprała herbata wyraźnie poprawiła profesorowi humor. Rozmawiali przez chwilę o perspektywach powstających we Wrocławiu uczelni. Daszewski, usłyszawszy od Jana o przerwanych przez wojnę studiach, bardzo się ożywił.

- To dla pana świetna okazja, trzeba kontynuować! - zawołał. - Myślę, że pierwszy semestr uruchomimy już na jesieni, czekamy tylko na dekret rządu, oficjalnie ustanawiający uczelnie.

Odparł, że się zastanowi. Kiedy akademik zaczął zbierać się do wyjścia, Korzycki



zaoferował, że będzie go eskortować w drodze przez lotnisko.

- Wezmą ten aparat za radio i napadną - wyjaśnił. - Poniemiecki odbiornik to łakomy kąsek.

Kiedy po odprowadzeniu profesora wracał do pierwszych zabudowań politechniki, znowu przechodził przez szaberplac. Na skraju lotniska, gdzie zaczynały się pierwsze budy i stragany, zauważył znajomą kręłą sylwetkę. Heinz Bucholtz stał przed tablicą na wysokim słupku. Z zadartą głową próbował odczytać widniejący na niej napis. Kiedy Korzycki podszedł bliżej, zobaczył, że na kawałku dykty ktoś namalował kulfoniastymi literami: PLAC GRUNWALDZKI. Co miało wspólnego śródmiejskie lotnisko powstałe na miejscu dawnej dzielnicy uniwersyteckiej Breslau z dawną polską wiktoria nad Krzyżakami, tego pewnie nie wiedział nawet pomysłodawca tej nazwy. Jan przypomniał sobie, że przed paroma dniami most Cesarski przemianowano na Grunwaldzki. Pewnie stąd ten plac - pomyślał - poszli za ciosem. Wyglądało na to, że to dopiero początek zmian - wyczytał w „Pionierze”, że najwyższy czas zacząć, jak się wyraził autor artykułu, „odniemczać” Wrocław. Dziennikarz postulował, aby zacząć od głównych ulic i placów, nadając im odpowiednio patriotyczne nazwy.

Niemiec z trudem próbował sylabizować polskie słowa. Po dłuższej chwili dał sobie spokój, kręcąc z rezygnacją głową. Poprawił trzymany pod pachą pakunek, owalny, płaski przedmiot, owinięty w kawałek ciemnego materiału. Korzycki przywitał go uprzejmie.

- Jak się pan miewa, panie Bucholtz?

Mężczyzna spojrział na niego zaskoczony, po czym wskazał na tablicę.

- Panie oficerze, co to znaczy?

Jan wytłumaczył mu, skąd wzięła się nowa nazwa placu.

- Pierwsza bitwa po Tannenbergiem, tak, pamiętam ze szkoły, rycerze krzyżowi przegrali tam bitwę z Polakami... Rozumiem, dawnym zwycięstwem chcecie potwierdzić nowe. No cóż, właściwie mogliśmy się tego spodziewać.

Nie chciało mu się opowiadać Bucholtzowi, co robili Niemcy w Polsce i jak sami „niemczyli” ulice zdobytych miast, pewnie sam to widział, jeżdżąc na delegacje do Generalnej Guberni. Zamiast tego zapytał działacza VDA, co porabia na targowisku. Mężczyzna wskazał na pakunek pod pachą.

- Chcę to sprzedać. - Odwinął materiał i pokazał srebrną paterę na niskiej nóżce z wygrawerowanym wewnątrz, na owalnym denku, miejskim krajobrazem. Korzycki dopiero po dłuższej chwili poznał, że to panorama Breslau - po charakterystycznym stożku ratusza i katedralnych wieżach. Dawny snycerz popisał się perfekcyjnym rytym, linie na grawerunku

były precyzyjne i cienkie jak pajęczyna.

- Tutaj się na tym nie poznają, dadzą cenę jak za srebrny złom. Na pana miejscu bym z tym zaczekał - zauważył.

Bucholtz spojrział na rysunek i z powrotem zakrył paterę suknem.

- Kupił ją mój pradziad Dieter w 1849 i od tej pory zawsze wykładajmy na niej owoce... Ale teraz nie ma ani owoców, ani nadziei dla Niemców. Panie oficerze, ja wiem, co się szykuje. Wygnanie nas z Breslau już zostało postanowione, niedługo zaczną się wywózki. Ja nie chcę na to czekać, wyjadę z rodziną wcześniej, mam wujka w Stuttgarcie, on nas przygarnie, przynajmniej na jakiś czas. Dlatego potrzebuję pieniędzy.

Jeszcze raz obrzucił wzrokiem tablicę, a potem spojrział na szaberplac, wypełniony handlującymi ludźmi. Z daleka nie było widać, kto jest Polakiem, a kto Niemcem.

- Wie pan, panie oficerze, co jest najbardziej przerażające? To, jak patrzą na nas Polacy. Z taką pełną nienawiści pretensją, że jeszcze tu jesteśmy. Że jeszcze żyjemy. Czasem też patrzycie w taki ślepy, obojętny sposób, jakbyście nikogo nie widzieli, bo dla was już jesteśmy... nieobecni.

Zamilkł i kurczowo ścisnął trzymaną pod pachą paterę. Na jego twarzy pojawił się bolesny grymas.

- No dobrze, załadujecie nas do wagonów i pozbędziecie się jak niechcianych rupieci. A co potem? Co zrobicie z naszym miastem? Zmienicie nazwy ulic? To łatwe, wystarczą nowe tabliczki. A pomniki? Wszystkie obalicie, przetopicie na kościelne dzwony albo odlejecie z nich własnych królów i bohaterów? A cmentarze? Zostawicie je tak jak są? A może przerobicie je na parki i będziecie spacerować po grobach naszych przodków? Zetrzecie wszelki ślad po nas, jakby tu nigdy nie było ani jednego Niemca? Tak będzie wyglądał ten wasz Wrocław? - Polską nazwę wymówił z wysiłkiem, walcząc z niepokornym językiem.

Jan słuchał go w milczeniu. Co miał powiedzieć temu Niemcowi? Że aby Wrocław mógł zaistnieć, trzeba dobić Breslau, zniszczyć do szczętu, do ostatniego niemieckiego śladu? Że innego wyjścia nie ma, bo inaczej ci, którzy tu przyjadą - a teraz, tak jak Bucholtz, wymieniają swe mienie na targowiskach Lwowa i Wilna, czekając na podstawienie wagonów mających ich zawieźć do nowej, obcej i nieznannej Polski - nie będą umieli w nim żyć. A przecież po tym, co przeszli i jeszcze przejdą, należy im się życie, jakiegokolwiek, choćby na gruzach. I że ci ludzie, przynajmniej teraz i jeszcze przez długie lata, nie zniosą jakiegokolwiek niemczyzny, bo wojna i jej potworności są w nich jak wielka, ropiejąca rana, która będzie się zablizniać przez pokolenia. I dopiero ich dzieci, albo prędyż dzieci ich dzieci, będą mogły bez odrazy pomyśleć o tym, że niegdyś żył tu Heinz Bucholtz i być może wcale nie był złym

człowiekiem.

Jednak nie powiedział ani słowa, bo przecież ten rozgoryczony Niemiec nawet nie będzie chciał nic o tym wiedzieć ani niczego zrozumieć. Zbyt był przejęty śmiercią własnego miasta, aby słuchać o polskich, umierających gdzieś na wschodzie.

Milczeli zatem obaj, spoglądając na mijających ich ludzi, obładowanych wygrzebanymi spod gruzów skarbami.

- Czas już na mnie - odezwał się Bucholtz. - Pociąg mam za trzy dni. Pewnie się już nie zobaczymy. Aha, dziękuję za „komendanta”. Kiedy pan zastrzelił tego esesmana, przestali mordować naszych ludzi. Ulotki dalej drukują, ale...

Nie dokończył, pewnie chciał powiedzieć, że to już nie jego sprawa. Uchylił kapelusza, odwrócił się i wszedł między stragany. Korzycki patrzył za nim przez dłuższą chwilę, aż przygarbiona sylwetka zniknęła w tłumie.

#### VIII. Ende Carlowitz

Pójście z Reni do nowo otwartego kina na Weinstrasse nie było dobrym pomysłem. Wszystko przez Nyczka, który, posłany do komendy miejskiej po zaopatrzenie, wrócił bez spyży, za to z dwumiejscowym zaproszeniem na pierwszy seans do kina „Polonia”, gdzie miał iść stary film z Bodo i Smosarską Czy Lucyna to dziewczyna? Korzycki widział go przed wojną i nawet mu się podobał. W sumie chętnie zobaczyłby go ponownie. Ostatni raz miał okazję siedzieć w kinie w czterdziestym trzecim, kiedy w przebraniu podporucznika Wehrmachtu czekał w warszawskim „Palladium” z teczką pełną pieniędzy na pewnego niemieckiego przedsiębiorcę, który najlepsze interesy robił na pośrednictwie w kontaktach z warszawskim Gestapo. Musieli wyciągnąć ważnego człowieka z kierownictwa Kedywu, zgarniętego parę dni wcześniej podczas łapanki. Świetnie pamiętał grany wtedy film, Powrót do Ojczyzny, Goebbelsowską propagandową o Niemcach gnębionych przez Polaków gdzieś na kresach, oczywiście w trzydziestym dziewiątym. Dosiedział nawet do końca, do scen bukolicznych, kiedy szczęśliwi Niemcy pakują się przed wyjazdem do Rzeszy, wysiedleni w ramach układu Hitlera ze Stalinem. Z dzisiejszego punktu widzenia można właściwie rzec, iż obraz okazał się profetyczny, także w pokazywaniu Polaków jako chamów i zbirów o skłonnościach sadystycznych, pod byle pretekstem wyzywających się na biednych, bezbronnych niemieckich ofiarach. No i tak sobie nas wykrakaliście - myślał, oglądając niebieski kartonik z odręcznie wypisanym biletem-zaproszeniem, okraszonym okrągłą pieczęcią jakiegoś zarządu kinematografii.

Początkowo planował, aby pójść na seans z Ernestem, ale chłopak wykręcił się, tłumacząc, że spotkał kuzyna z Jędrzejowa i umówił się z nim na mieście. Zamierzali obalić

flaszkę w jednej z nowo otwartych knajp, które od początku lata, gdy sytuacja nieco się ustabilizowała, zaczęły wyrastać w gruzach jak grzyby po deszczu. Korzycki nie chciał marnować biletu i z braku lepszych pomysłów postanowił, choć bez większego przekonania, zaprosić Reni. Kujego zdziwieniu dziewczyna się zgodziła. Wyznała przy tym, że bardzo lubiła chodzić do kina, ale w styczniu, tuż przed wielką ewakuacją, wszystkie pozamykano. Wolał nie pytać, jak bardzo jej się podobał Powrót do Ojczyzny.

Szli późnym popołudniem Michaelistrasse, w znacznej części już uprzątniętą. Opowiadał Reni fabułę Lucyny, aby nieznająca przecież polskiego dziewczyna jako tako orientowała się w akcji. Słuchała z zaciekawieniem, zadając zupełnie dorzeczne pytania. Sam pomysł damskomęskiej przebieranki bardzo jej się spodobał. Potem, widząc jego zainteresowanie mijanymi po drodze, częściowo ocalałymi kamienicami, informowała go, gdzie znajdował się znany w okolicy sklep, a gdzie kawiarnia.

- A tutaj - wskazała na wypaloną jamę po sklepowej witrynie - miał swoją cukiernię Herr Greiser, dobry znajomy mojej mamy. Miałam u niego zniżkę na ptysie, inni musieli płacić po trzydzieści fenigów, ja tylko piętnaście. Moim zdaniem Herr Greiser robił najwspanialszą bitą śmietaną na świecie. Wyjechał w grudniu, jeszcze przed ewakuacją... Ale przedtem przysłał mi całe pudło ciastek!

- To bardzo uprzejme z jego strony - odparł Korzycki. Gdyby cukiernik przezornie nie dał nogi przed oblężeniem, pewnie by zginął. Mieszkania nad sklepem spłonęły, w dom trafiła prawdopodobnie bomba zapalająca.

- A tutaj chodziło się na randki. - Wskazała na następne miejsce. - Była tu taka fajna kawiarnia, specjalnie dla młodych, z muzyką - podkreśliła.

Lokal ocalał, ale został do cna zdewastowany, musieli ominąć wywleczony na chodnik trójnogi stolik ze stłuczonym marmurowym blatem. Pod stopami chrzęściło szkło z rozbitej witryny. W środku widzieli zwalone na stos połamane krzesła i stoły. Pewnie Sowieci balowali tu po zwycięstwie.

- Ty też spotykałaś się tutaj z chłopakami? - zapytał.

Nie odpowiedziała, zaczerwieniła się tylko. Wyglądała bardzo ładnie, włożyła tę samą sukienkę co wtedy, gdy urządziły z matką wieczorek wdzięczności.

- A tu - pokazała palcem na plac ogrodzony tymczasowym płotkiem i pokryty kilkoma rzędami grobów, częsty widok w Breslau Wrocławiu - stała karuzela. Każdy, kto chciał, mógł się na niej pokręcić.

Chciał nieco złośliwie zapytać, czy także ludzie z literą „P” na ubraniu, ale dał sobie spokój. W końcu kiedy Hitler dochodził do władzy, mogła mieć najwyżej sześć lat. Zamiast

tego uśmiechnął się i zapytał o postument z popiersiem, stojący pośrodku zamienionego na cmentarz skwerku. Wyjaśniła, że przedstawiał jakiegoś śląskiego poetę z dawnych wieków.

I tak sobie szli zrujnowaną ulicą, spacerując niczym para narzeczonych i zwiedzając zapamiętane przez Reni niegdysiejsze Breslau. W gruzach widziało się też coraz więcej Wrocławia, głównie w postaci białoczerwonych flag wiszących na balkonach ocalałych mieszkań, teraz zajętych przez nowych lokatorów.

Na seans spóźnili się i weszli na salę w zupełnych ciemnościach. Projekcja już się rozpoczęła, na widowni było pełno ludzi, przeważnie mężczyzn w mundurach. Z trudem, depcząc im po nogach, dotarli do trzeciego rzędu, gdzie mieli miejsca. Dopiero gdy usiedli, Korzycki zorientował się, że nie puszczały filmu o przebijającej się za faceta Lucynie.

Leżące na bruku zmasakrowane trupy, łapiące się za głowy, rozpaczające kobiety, emfaticzny głos lektora potępiający niemieckie zbrodnie. Potem kamera przeniosła się do Majdanka. Tablica z trupią czaszką i ostrzeżeniem, kilometry krzyżujących się kolczastych drutów, stojące wzdłuż obozowych alejek ludzkie cienie, okryte łachmanami, o zapadłych twarzach i zgaszonych oczach, stosy dymiących popiołów z dającymi się rozpoznać resztkami kości, dokumenty więźniów, magazyny wypełnione butami, hałdy okularów... Przed polskosowiecką komisją śledczą zeznają ujęci członkowie załogi obozu; SSObersturmführer Thernes obrazowo opowiada, jak w czterdziestym trzecim wydzielono z transportu pięćset osób niezdolnych do pracy, w tym wiele kobiet i dzieci, i jeszcze tego samego dnia je zagazowano, a potem spalono. Jego kumpel SSRottenführer Voegel relacjonował, jak widział rozstrzelanie stu pięćdziesięciu dzieci... Polscy świadkowie opowiadali o masowych egzekucjach i dobijaniu kijami rannych, którym udało się wypełznąć spod stosów zabitych.

Ich Reni na szczęście już nie rozumiała. Zerknął w bok i zobaczył obrys jej twarzy, widoczny w rzucanym przez ekran blasku. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w pojawiające się na nim obrazy. Kiedy kamera pokazała długie rowy, z których ekshumujący masowe groby robotnicy wyciągali nagie zwłoki pomordowanych, gwałtownie zacisnęła powieki. Trwała tak przez chwilę, potem zerwała się i nie bacząc na protesty widzów, zaczęła przeciskać się do wyjścia. Korzycki podniósł się i wywołując nową falę przekleństw niezadowolonych ludzi, ruszył za nią.

Nie zastał jej w holu, więc wyszedł na ulicę. Tam też nie mógł znaleźć dziewczyny, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że jest po drugiej stronie - stała w ciemnej jamie bramy częściowo zburzonej kamienicy. Kiedy podszedł bliżej, cofnęła się, jeszcze bardziej pograżając w mroku. Postępował za nią, coraz dalej w ciemność, bo od strony podwórka bramę zawałyły nieprzepuszczające światła graty i gruz. W pewnej chwili zorientował się, że

nic nie widzi. Domyślał się dlaczego - miał to od paru dni, wzrok pogarszał mu się po zmroku. Wiedział, że to kurza ślepotą, bo od tygodni jedli wyłącznie kaszę z tuszonką, a owoców i warzyw brakowało nawet na szaberplacu. Musi koniecznie poprosić Nyczka, aby wykombinował parę cebul, podobno pomagały, jeśli zjadło się je na surowo.

Poczuł, że dziewczyna stoi tuż przed nim. Wyciągnął rękę, ale umknęła przed jego dotykiem.

- Dlaczego nam tego nie robicie? - usłyszał jej głos. Zatrzymała się niedaleko, najwyżej dwa metry od niego.

- Czego?

- Tego samego co tamci... Bo przecież wszyscy Niemcy są winni, tak nam się mówi. Jeśli tak jest, powinniście nas pozabijać. Dlaczego jeszcze żyjemy? Przecież jest tu tyle kobiet i dzieci. Nasi mogli strzelać, to i wy możecie.

Postąpił krok do przodu, wytrzeszczając oczy i usiłując cokolwiek dojrzeć w ciemnościach. Nic jednak nie widział, jakby spadł na samo dno stumetrowej studni. Zatrzymał się i stał nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć. Ale ona tam była, gdzieś przed nim, słyszał jej spazmatyczny oddech. Zgrzytnął kamyk, który potrafiła, cofając się.

- Myślisz, że nie wiedziałam o tym i dlatego zabrałeś mnie na ten film? Ale mylisz się, wiedziałam. Od Martina. On był w Rosji i po roku na froncie przyjechał na urlop. Przywiózł mi taką wzorzystą chustę kupioną na białoruskim targu. Przy matce mówił tylko o tym, z jak fajnymi kolegami przyszło mu służyć. Ale potem, w nocy, kiedy przyniosłam mu do pokoju herbatę, prosił, abym została. I wtedy zaczął opowiadać o tym, co widział na wschodzie. O wielkich dołach, nad którymi stawali w długich szeregach Żydzi, a esesmani ze specjalnych grup egzekucyjnych, nazywał je Einsatzgruppen, strzelali do nich. Martin i jego koledzy musieli pilnować, aby nikt nie uciekł. Opowiadał mi, że tak działo się w wielu miejscach na wschodzie. Że do tych dołów wpychano kobiety i dzieci, bez różnicy, setkami i tysiącami. I że ci ludzie strasznie krzyczeli, kiedy esesmani zaczęli strzelać. Ja nie chciałam tego słuchać, ale on wciąż mówił o coraz to nowych okropnościach, coraz więcej i szybciej i nie mógł przestać! Jakby musiał się z kimś podzielić tym, co od wielu miesięcy nie dawało mu spać.

Umilkła. On też milczał. Cokolwiek by teraz powiedział, brzmiałoby jak gazetowy komunał o winie, karze i przebaczeniu.

- Martin powiedział mi na koniec, że Niemcy będą musieli za to wszystko zapłacić, chyba że Boga nie ma. On był bardzo wierzący, chciał nawet uczyć się na księdza, ale go

powołali do wojska. I tak sobie myślę, że miał rację. Najpierw on zapłacił, bo go w Rosji zabili, a potem zapłaciło Breslau, kobietami i dziećmi pogrzebanymi w ruinach. Ale może to za mało, może jeszcze trzeba. Masz przecież pistolet, nie wahaj się... To nawet nie będzie zemsta, tylko wyrównanie rachunków. Za tych, co leżą w tych dołach.

Usłyszał ruch, stanęła tuż przed nim, czuł na twarzy jej oddech. Uniósł rękę i dotknął obrzmiałych, rozgorączkowanych warg dziewczyny.

- Głupstwa gadasz - powiedział. - Dostyc tych rachunków, poza tym... ty już zapłaciłaś. Płakała, ciepłe łzy spływały mu po palcach.

- Ktoś musi wreszcie powiedzieć „dosyc”, bo inaczej to zabijanie nigdy się nie skończy, rozumiesz mnie, Renatę Mueller?

Skinęła głową. Przestała płakać, chlipała tylko śmiesznie, po dziecięcemu pociągając nosem.

- Chcę zawrzeć z tobą pokój, tu i teraz, raz na zawsze. Chwycił ją za rękę i mocno uściskał.

- I wyprowadź mnie stąd, bo nic nie widzę. Chyba straciłem wzrok.

Przytuliła się do niego i powoli, krok za krokiem, zaczęli iść w stronę światła.

Kiedy znaleźli się na ulicy, nadal niczego nie widział, pewnie dlatego, że zapadał zmierzch. Reni musiała prowadzić go za rękę, oślepego i potykającego się o zaścielający ulicę gruz, aż do samego progu mieszkania. Tam posadziła go w kuchni i zniknęła na dłuższy czas. Wiedziała, co mu jest, bo kiedy wróciła, wcisnęła do ręki Jana jakieś owoce - poznał po dotyku, że to jabłka, małe i niezbyt dojrzałe, w smaku dość kwaśne. Ale to dobrze, bo zawierały tak potrzebne mu witaminy. Zjadł wszystkie, zastanawiając się, skąd dziewczyna je wzięła. Pewnie z jakiegoś ogródka działkowego, Niemcy znali takie miejsca.

Także tej nocy przysła do niego, ale tym razem było zupełnie inaczej. Wiedział dlaczego. Bo chciała. Potrafił odróżnić prawdziwe pocałunki od wymuszonych pieszczot dziwki. Tym razem Reni naprawdę pragnęła z nim być, dawała mu siebie jak wybranemu kochankowi, szczerze i z pasją. A on to brał, choć wiedział, że nie powinien zadawać się z dziewczyną, zwłaszcza po tym, co się między nimi wydarzyło. Nawet nie chodziło o jej pochodzenie, gdyż to, że była Niemką, w jakiś przewrotny sposób wiązało ich ze sobą. Właściwie stanowili dobraną parę - młoda breslauerka czekająca na wysiedlenie i on, zapluty karzeł reakcji z AK, czekający na zapuszkowanie przez UB. Dwoje wyrzutków, których dni zostały policzone. Nie mieli żadnej przyszłości, dlatego nie stać ich było na miłość. W tych czasach wydawała się zbędnym albo wręcz niebezpiecznym luksusem.

Następnego dnia zastał na posterunku rozkaz udania się do komendy miejskiej na

odprawę. Zwykle w kontaktach z przełożonymi wyręczał się Nyczkiem, jednak tym razem na kartce, którą rano przyniósł goniec, widniało jego nazwisko. Wyglądało na to, że się nie wykręci. Wziął rower i popedałował na Sądową, jak teraz nazywała się Neue Graupenstrasse.

Na miejscu okazało się, że odprawa odbywa się nie w komendzie, a w znanej mu stołówce zarządu mMiasta. Siedziało tam przeszło sto osób, nie tylko milicjantów, także wojskowych i cywilnych pracowników magistratu. Przewodniczył jeden z wiceprezydentów, ktoś nowy, zupełnie Korzyckiemu nieznany, a obok zasiadał kapitan Matuszak. Ten pierwszy, upewniwszy się, że prowadzące do sali drzwi są dobrze zamknięte, uprzedził obecnych, że obrady są objęte klauzulą poufności.

- Niemcy nie powinni się o tym zbyt wcześnie dowiedzieć - oświadczył wiceprezydent - ponieważ pojutrze zaczynamy. Tak towarzysze, będziecie uczestniczyli w historycznym wydarzeniu. Do pierwszego regularnego i kompleksowego wysiedlenia wytypowaliśmy dzielnicę Carlowitz, to znaczy Karłowice.

Zgromadzeni, początkowo wyraźnie zaskoczeni usłyszaną informacją, po chwili zareagowali huraganowymi brawami.

A więc to już - pomyślał Korzycki, czując zarazem ulgę, że nie chodzi o Piastenstrasse. Na początku władze miasta zaplanowały wyczyścić z tubylców dzielnicę, którą same zajęły dla swych pracowników. No cóż, urzędnicy zatroszczyli się w pierwszej kolejności o siebie. Nic nowego pod tym względem w BreslauWrocławiu.

Wiceprezydent ogólnie przedstawił sytuację na Karłowicach. Wysiedlenie miało objąć około trzech tysięcy osób, przede wszystkich niezatrudnionych w miejskich przedsiębiorstwach, a więc dotyczyło głównie kobiet, starców i dzieci. Akcja powinna zacząć się rano i zająć najwyżej dwanaście godzin. Po rejestracji przez komisję wysiedleńczą Niemcy mieli być w kilku grupach odprowadzeni na Dworzec Odra i stamtąd wieczorem odjechać do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Władze spodziewały się powszechnego oporu i sabotowania planowanych eksmisji, dlatego do zabezpieczenia akcji skierowano kompanię wojska i wszystkich milicjantów, których dało się oddelegować bez szkody dla innych przedsięwzięć. Po nakreśleniu ogólnych założeń operacji przystąpiono do rozdziału szczegółowych zadań. Wyczytane osoby podchodziły do urzędujących obok stołu przydziałnego sekretarzy zarządu, którzy wręczali każdemu wezwanemu kartkę z wypisaną na maszynie instrukcją. W końcu przyszła kolej i na niego. Z rozkazu wynikało, że powinien w dzień akcji stawić się wczesnym rankiem wraz z dwoma ludźmi Karłowicach do dyspozycji naczelnika dzielnicy, magistra Joelsa.

Na zakończenie narady wiceprezydent życzył wszystkim, aby nadchodzące



wysiedlenie stało się „szczęśliwym początkiem całkowitego odniemczenia piastowskiego Wrocławia”. Zebrani skwitowali to oświadczenie trzykrotnym wojskowym „hura” i zaczęli się rozchodzić. Do Korzyckiego podszedł kapitan Matuszak i zaprosił go na obiad do milicyjnej stołówki, ale Jan nie miał na to ochoty. Pewnie posiłek skończyłby się pijatyką, a obiecał Nyczkowi, że wieczorem przejmie od niego nocną służbę na posterunku. Wymówił się uprzejmie pilnymi sprawami na mieście i opuścił gmach zarządu.

Na ulicy, paręnaście kroków od głównego wejścia, zobaczył znajomą postać. Inżynier Kuligowski, w jasnym prochowcu i nieco sfatygowanym kapeluszu, stał na chodniku, trzymając w ręku poobijaną tekturową walizkę. Patrzył na pseudośredniowieczny budynek i ściągał wargi, najwyraźniej pogrążony w głębokiej zadumie. Nie wyglądał najlepiej, cienie pod jego oczami pogłębiły się, a twarz sposepniała. Korzycki podszedł do niego i pozdrowił serdecznie.

- Ach, to pan - inżynier wyraźnie ucieszył się na jego widok. - Pewnie się pan dziwi, co ja tutaj robię po tym, jak w mało przyjemnych okolicznościach rozstałem się z towarzyszem Wachniewskim. No cóż, właściwie mogłem się tego spodziewać, po prostu Murzyn zrobił swoje... Przestałem być im potrzebny. Pan prezydent nie pożąda bowiem kompetentnych współpracowników, tylko potakiwaczy. Kto by pomyślał, że jeszcze będę tęsknił za Drobnerem... Dość o tym, było, minęło, wpadłem jeszcze po ostatnie osobiste drobiazgi - wskazał na walizkę - spakowałem się i wreszcie mam ten cyrk z głowy. A u pana co słyhać? Jak widzę, wciąż pan służy.

- Ano służę - odparł Korzycki.

- Tamci się nie czepiają? - zapytał Kuligowski, zniżając głos.

- Jakoś nie.

- Przejdźmy się. - Inżynier wskazał w stronę skrzyżowania ze Schweidnitzer Strasse.

Kiedy odeszli kilka kroków od budynku zarządu, podjął rozmowę.

- Zastanawiam się, czy nie powinien pan się ujawnić, ogłosili przecież na początku sierpnia amnestię, właśnie ją przedłużono.

Mógłby pan odejść z milicji i podjąć studia. Uczelnie ruszą lada tydzień, to już postanowione. Nie myślał pan, aby zostać we Wrocławiu? Bo ja zostaję. Ludzi potrzebują nie tylko w magistracie.

Idąc wzdłuż fosy, doszli do mostu. Na wprost mieli okazały schodkowy podest z konnym pomnikiem kajzera Wilhelma I w stroju huzara, wyglądający jak małe, choć bardzo pompatyczne mauzoleum. Bomby oszczędziły postument, mimo że znajdujący się po sąsiedzku dom towarowy zdrowo oberwał i straszył wypalonymi witrynami. Przy pomniku

pracowali jacyś ludzie - na cokole, pod końskim brzuchem, siedziało dwóch skulonych robotników i pilnikami podcinało nogi wierzchowca, tuż poniżej pęcin. Dwóch innych uwijało się na dole, próbując wydłubać łomami z szerokiego podnóża cokołu, obramowanego dwoma postaciami jakby greckich bogiń, odlaną w brązie tablicę przedstawiającą rycerzy składających hołd cycatej heroinie w koronie, jak nic samej wcielonej Germanii. Nie szło im najlepiej, bo musieli kuć twardey beton, który się nie poddawał. Także ci na górze przeklinali w żywy kamień spizowe pęciny, które w mozole piłowali.

- Niedługo będą go obalać - wyjaśnił inżynier, widząc zdumioną minę Jana. - Planowana jest patriotyczna feta, zwalenie tego Prusaka będzie miało wymiar symboliczny. To zarazem sygnał dla Niemców, że nie zamierzamy stąd odejść.

Przystanął i dłuższą chwilę bacznie przyglądał się pomnikowi.

- Przetopiłbym go i odlał z niego pomnik Chrobrego, naszego pierwszego króla, który we Wrocławiu ustanowił w tysięcznym roku biskupstwo. Musimy czym prędzej opieczętować to obce miasto naszymi znakami.

- I na tym właśnie ma polegać „odniemczanie”? Na niszczeniu ich pomników i stawianiu własnych? - spytał Korzycki.

Kuligowski spojrzał na niego ostro i z pełną przygany miną pokręcił głową.

- Czytam w tym pytaniu jakąś wątpliwość. Kochany panie, to nie czas i miejsce na skrupuły i moralizowanie. Albo uczynimy miasto polskim, albo nie będziemy w stanie w nim żyć. Poza tym, czy oni, obalając nasze pomniki, mieli jakiegokolwiek skrupuły? Wet za wet, odpłacamy im dokładnie tym samym.

Jan wiedział, że tamten ma rację. Ocalałym z oblężenia mieszkańcom Breslau darowano życie, ale musieli oddać miasto. Sam przecież mówił profesorowi, że to rodzaj kary, którą Niemcy muszą ponieść. Ukazemy także pomniki - pomyślał. - Potem pewnie muzea, cmentarze, nie mówiąc o napisach i szyldach, wykujemy z murów każdą niemiecką literę, zamalujemy każdy ślad. Aż przyjdzie dzień, gdy nawet najbystrzejsze oko nie znajdzie w tym mieście śladu Breslau. Przemiana dokona się, to pewne, tylko czy to wystarczy, aby stał się Wrocław? I czy z tej wytartej z niemczyzny, potrzaskanej skorupy narodzi się, jak chciał były prezydent Drobner, coś czystego i pięknego, szklane domy jutra? Jakoś nie potrafił w to uwierzyć, kiedy patrzył na ostantacyjne wymazywanie niemieckiego miasta. Na dnie historycznej słuszności krył się błotnisty niesmak. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że są niczym złodzieje i zarazem pacykarze, którzy na podwędzonym płótnie, po wydrapaniu oryginału, usiłują nabazgrolić swój bohomaz, aby potem przedstawić go publiczności jako arcydzieło.

Ludzie przy podeście wciąż walili łomami w beton i wreszcie brązowa płyta z płaskorzeźbą poddała się i runęła z hukiem na chodnik, robotnicy ledwo zdążyli odskoczyć. Kiedy kurz opadł, zobaczyli, że pękła na kilka części. Łatwiej będzie ją wywieźć.

Skręcili z inżynierem w stronę rynku. Szli dokładnie tą samą trasą, którą kiedyś Korzycki pokonywał z Czeszejką. Zauważył, że sporo się zmieniło od tamtych czerwcowych dni. Miasto wciąż wyglądało koszmarnie, ale samo posprzątanie ulic z gruzu przyniosło wymierne efekty - oczyszczone jezdnie cieszyły oko, no i można było przynajmniej normalnie po nich chodzić, a nie kicać z jednej kupy strzaskanych cegieł na drugą.

Przed operą stała ciężarówka, ludzie w kombinezonach roboczych zdejmowali z niej długie paki i wnosili do środka przez szeroko otwarte drzwi. Z wnętrza budynku dobiegała muzyka, grano na fortepianie, usłyszeli dobrze znajome dźwięki. Po chwili ktoś głębokim basem zaczął śpiewać arię Jontka. To musiał być profesjonalista, bo głos brzmiał czysto, bez cienia fałszu. Słysząc go tak wyraźnie, że robotnicy przestali wypakowywać z samochodu kolejne skrzynki i przystanęli, zasłuchani w płynącą przez drzwi melodię. Także Korzycki wraz z inżynierem skorzystali z darmowego koncertu i zatrzymali się, wsłuchani w pienia żalącego się na los nieszczęsnej Halki górala. I wszyscy trwaliby w tym zasłuchaniu nie wiadomo jak długo, gdyby nie gruby i wąsaty brygadzysta, który wypadł raptownie z opery i zobaczywszy, że jego ludzie nic nie robią, zaczął ich obrzucać wyzwiskami, grożąc obcięciem dniówki. Także basowy solista przerwał i usłyszeli odgłosy kłótni, kwestie polskie mieszały się z niemieckimi. Nie wiadomo, o co poszło, bo pianista nie fałszował.

- Muzycy są jeszcze tutejsi - wyjaśnił inżynier. - Premierę zapowiadają za dwa tygodnie.

No tak, teatry też muszą być nasze - pomyślał Korzycki. Kiedy dochodzili do rynku, Kuligowski niespodziewanie zaproponował, żeby Jan udał się z nim na uniwersytet.

- Muszę zobaczyć się z żoną, pracuje w biurze pełnomocnika, rektora Kulczyńskiego. To parę kroków stąd, niech pan pójdzie ze mną i rozejrzy się trochę.

Zgodził się. Może rzeczywiście powinien się ujawnić i pójść na studia? Przed wojną zdołał zrobić dwa lata politechniki w kraju i rok w Wiedniu, istniała szansa, że mu je zaliczą. Co prawda, indeks przepadł w Warszawie, ale w razie czego potrafiłby na sprawdzającym egzaminie dowieść poziomu swej wiedzy. Chociaż przez te wojenne lata trochę już zapomniał.

Rynek też go pozytywnie zaskoczył. Zaścielające bruk gruzowisko zniknęło, na ścianach ratusza pojawiły się rusztowania. Kręcili się po nich robotnicy, zalepiający cementem dziury po kulach i szczyrby po odłamkach. Najbardziej zadziwił go stragan, a

właściwie budka zbita z dykty pomalowanej na jadowicie zielony kolor, postawiona pod zrujnowaną narożną kamienicą i pyszniąca się wielkim szyldem z napisem KSIĘGARNIA NAUKOWA.

- Widzi pan to? - Pokazał palcem Kuligowski. - Księgarze z Krakowa zaklepują miejsce, bo wiedzą, że lada moment będą bardzo potrzebni.

Weszli w Schmiedebriicke, całkowicie zrujnowaną przez bomby, podobnie jak całe Stare Miasto. Jedyny ocalały budynek, czteropiętrowa kamienica, mieścił się w pobliżu głównego gmachu Uniwersytetu. Już ją remontowano, miała bowiem nowe drzwi i oszkłone okna, prawdziwe luksusy jak na miejscowe warunki.

- Niech pan wejdzie ze mną - powiedział inżynier. - Rozejrzy się pan, a ja pogadam z żoną.

Weszli do środka i opowiedzieli się portierowi, który na widok Kuligowskiego rozpromienił się jak słonecznik. Poinformował, że pani inżynierowa pracuje dziś w archiwum na drugim piętrze. Wdrapali się tam, mijając po drodze sporo młodych ludzi objuczonych stertami papieru i biegających w tę i w ową stronę. Inżynier zniknął w głąb korytarza, Korzycki postanowił na niego poczekać. Przysiadł na skrajku kulawego krzesła i czas jakiś zabawił się czytaniem kart wizytowych przypiętych do drzwi pobliskich pokojów. W gmachu roiło się od rozmaitych referentów, asystentów, kierowników i dyrektorów. Urzędnicy kręcili się między pokojami z zaferowanymi minami, klóćąc się o jakieś taczki i worki cementu. No tak, przecież odbudowują Uniwersytet - uświadomił sobie. Widział już przedtem gmach główny, w którego prawe skrzydło rąbnęła ciężka bomba, dziwnym trafem oszczędzając fontannę ze śmieszoną figurą golca ze szpadą. Przyszło mu do głowy, aby któregoś z biegających po korytarzu ludzi zaczepić i wypytać o studia, ale wszyscy wydawali się zbyt zajęci. Mijali go bez słowa, zupełnie nieciekawi, po co właściwie sterczy pod ich drzwiami.

Nim zdobył się na odwagę, by jednak kogoś nagabnąć, w gmachu rozległ się donośny gong. Urzędnicy i urzędniczki wyszli z biur i w pośpiechu udali się na dół. Korzycki poczuł dochodzący z parteru zapach przypalonej kaszy. Stołówka musiała być niedaleko. Ciekawe, czy ciągle musieli wsuwać ten nadpsuty bekon? On nie musiał, przynajmniej póki nie skończy się odziedziczony po restauratorze alkohol. Ostatnio Nyczek wymienił na szaberplacu butelkę koniaku na dwa pęta prawdziwej krakowskiej kiełbasy. Smakowała Janowi lepiej niż podawane w Wiedniu sznycle, którymi swego czasu zażerał się bez umiaru.

Kuligowski nie zjawiał się, widać wciąż zajęty konferowaniem z żoną, a Korzycki zaczął odczuwać coraz większy głód. Mógł oczywiście pójść sobie, ale chciał się przedtem pożegnać z inżynierem. Wstał i przespacerował się parę kroków wzdłuż korytarza. Nie

zauważył, do którego pokoju tamten wszedł. Minął kilkoro zamkniętych na głucho drzwi i zatrzymał się przy kolejnych, lekko uchylonych. Ktoś tutaj pracował, Jan słyszał szelest papieru i skrzypienie pióra. Nacisnął klamkę i zajrzał do środka. Zobaczył obszerny gabinet zastawiony solidnymi szafami na książki, niegdyś oszklonymi, bo w paru miejscach tkwiły jeszcze w ramach okrychy wytłuczonych szybek. Na półkach spoczywały grube tomy w skórzanych oprawach. Naprzeciwko drzwi, pod oknem, stało biurko z blatem zawalonym po bokach nieforemnymi piramidkami z książek. Siedział za nim mężczyzna w ciemnym garniturze, brunet o zmęczonej, nieco ptasiej twarzy, i marszcząc czoło, pisał wiecznym piórem, co chwila strzepując je na bibułę, bo widocznie atrament był kiepski i zasychał.

Korzycki poznał Stanisława Kulczyńskiego, pełnomocnika rządu do spraw naukowych, spotkał go już przecież na jublu zarządu. Pamiętał tę surową, szczupłą twarz z wydatnym nosem jeszcze z fotografii zamieszczanych w przedwojennych gazetach. Był jedynym rektorem w Polsce, który przeciwstawił się segregacji rasowej na swojej uczelni. Endeckie tytuły obrzuciły go za to błotem, natomiast centrowe i lewicowe wynosiły pod niebiosa. Z powodu swego protestu stracił rektorski stołek, co zdaje się skutecznie zniechęciło inne magnificencje do pójścia w jego ślady, dzięki czemu narodowcy rządząli się w uczelnianych salach, jak chcieli, i rozstawiali żydowskich kolegów po kątach.

Pracujący za biurkiem mężczyzna podniósł wzrok i lekko przekrzywiwszy głowę, przez dłuższą chwilę uważnie mu się przyglądał.

- Pan do mnie? Chyba przedtem nie miałem przyjemności... Chociaż... No tak, poznaję... Nasz wrocławski bohater, pogromca tego esesmana, wodza Werwolfu. Byłem na akademii, czytałem potem artykuł w „Pionierze”, naprawdę błyskotliwa akcja. Gdzie pan tak nauczył się strzelać? Pewnie w AK... Niech pan wejdzie, skoro już pan tu jest... Co mogę dla pana zrobić?

Korzycki zamierzał początkowo przeprosić i wyjaśnić, że wszedł tu omyłkowo, szukając inżyniera Kuligowskiego. Ale potem przyszło mu do głowy, że to świetna okazja, aby porozmawiać z kimś z pokolenia jego ojca. Z kimś z dawnej

Polski, kto przed wojną zwany był przyzwoitym człowiekiem i dziś zdecydował się na współpracę z komunistami.

- Czytałem o panu w gazetach - powiedział. - Wiele o panu pisali, jak pana zdjęli z funkcji rektora za sprzeciw wobec getta ławkowego. Mój ojciec podawał mi pana jako wzór demokracji i humanisty. Wydawał mi się pan wtedy postacią heroiczną, wręcz Księciem Niezłomnym. Tak sobie zrujnować piękną akademicką karierę dla paru Żydów?! Nie każdego było na to stać, inni przecież stulili uszy po sobie, przestraszeni wrzaskiem oenerowskich

krzykaczy. A potem widział pan, co Sowieci wyprawiali we Lwowie, przecież był Katyń... Przy czerwonych nasi falangiści od Piaseckiego to jakieś grzeczne harcerzyki. I zastanawiam się, jak po tym wszystkim może pan z nimi...

Siedzący za biurkiem mężczyzna dłuższą chwilę przyglądał mu się uważnie, potem podniósł rękę i wskazując na drzwi, gestem nakazał mu je domknąć i przekręcić tkwiący w zamku klucz.

- Właśnie dlatego - odparł, kiedy Korzycki już to zrobił - że tyle wtedy we Lwowie widziałem. Parę razy o mało nie wpadłem, bo, podobnie jak pan, pracowałem dla Londynu. Od tego czasu sporo zrozumiałem. Na przykład to, że otwarty opór przeciwko Sowiecom nie ma w obecnej sytuacji najmniejszego sensu. Kim my jesteśmy, aby im się przeciwstawiać? Zmiazdżony przez wojnę kraj o zdziesiątkowanej ludności i zrujnowanej gospodarce, ograbiony z połowy terytorium. Wydaje mi się pan inteligentnym człowiekiem, zdolnym do racjonalnej oceny naszego położenia. I z pewnością wie pan też, że jakikolwiek masowy opór może tylko tę wycieńczoną, ledwo dychającą Polskę dobić. Jedyna szansa na ocalenie to współpraca. Bo Sowieci teraz, przeciwnie niż w trzydziestym dziewiątym, chcą współpracować.

- Prędzej chodzi im o rodzaj służby, półniewolniczego poddaństwa. Nie byliśmy i nie będziemy dla nich partnerami.

- Jan postanowił grać w otwarte karty.

Rektor drgnął, wyraźnie poruszony jego słowami, i przyjrzał mu się z namysłem. Po chwili wskazał na krzesło stojące naprzeciwko biurka. Kiedy gość usiadł, profesor zaproponował mu papierosa.

- I tak, i nie - powiedział i także dla siebie wyciągnął z paczki jednego. Dłuższą chwilę ugniatał go w palcach. - Moim zdaniem obecnie następuje odtworzenie czegoś w rodzaju Królestwa Kongresowego. O suwerenności możemy na długo zapomnieć. Ale dopóki będziemy mieli państwo o nazwie Polska, dopóki w urzędach i szkołach będziemy mówili po polsku, dopóty, moim zdaniem, gra jest warta świeczki. Prawdziwą tragedią byłaby siedemnasta republika. Ja już czegoś w tym rodzaju posmakowałem we Lwowie po trzydziestym dziewiątym i wierz mi, młody człowieku - jego głos raptownie stwardniał - buty będę Stalinowi lizał, byleby tylko do tego nie dopuścić. Bo w tej chwili rozgrywa się walka o przetrwanie, o biologiczny i kulturowy byt narodu. Dlatego, dopóki mi sił i życia starczy, będę budował w tym niemieckim, zdobyczym mieście polski uniwersytet. Bo przeszłość już przegraliśmy, ale do wygrania jest przyszłość. Im szybciej zapomnimy o tym, co było, tym dla nas lepiej.

Odchylił się na oparcie fotela i głęboko się zaciągnął. Długo wydmuchiwał cienką strużkę dymu, patrząc, jak rozwiewa się nad stojącymi na biurku stertami książek.

- Musimy przede wszystkim odbudować kraj, dać ludziom chleb i pracę. Wykształcić młodzież, odtworzyć inteligencję, tak strasznie przetrzebioną. Zlikwidować podziały klasowe, które jeszcze przed wojną tłumyły nasz rozwój.

- Ale czy warto rozwijać sowiecką półkolonię?

Kulczyński pokręcił przecząco głową. Jego wydatny nos sprawiał, że z profilu naprawdę przypominał trochę sępa lub kondora.

- No właśnie, zbyt wielu tak myśli. Widzicie tylko to, co dziś lub jutro, najdalej pojutrze. Ja patrzę na następne dziesięciolecia. I wiem, że imperia mają to do siebie, że nie są wieczne. Sam widziałem, jak waliły się wielowiekowe monarchie u schyłku poprzedniej wojny. Sypały się jak domki z kart, zwalone dziejową burzą. Imperium sowieckie czeka ten sam los. Opiera się na Stalinie, a ile on jeszcze może żyć? Dziesięć lat? Może piętnaście, nie więcej, przecież nie jest nieśmiertelny! Musimy przeczekać najgorszy okres, rozwijać i utrwalać to, co zdołamy ocalić i zbudować. I czekać, ćwicząc się w cnocie cierpliwości, na drugi rok osiemnasty. On kiedyś nadejdzie, jestem tego pewien. Zabory trwały sto dwadzieścia lat, tym razem będziemy czekali krócej. I wróg, choć potężny, jest tym razem jeden. Czerwone imperium zbyt wiele połknęło i to się w końcu na nim zemści.

- I to ma pan do powiedzenia chłopakom w lasach? Że mają z pokorą nachylić głowy pod sowieckie jarzmo?

Rektor sapnął zirytowany i z rozmachem zgasił niedopałek w wielkiej kryształowej popielniczce, wypełnionej po brzegi petami.

- A co Polsce przyjdzie z ich trupów? Bo tym się skończy ta nowa konspiracja, stosem zastrzelonych bohaterów. Ich poświęcenie idzie na marne, żadnej wojny Zachodu z Sowietami nie będzie, Amerykanie i Brytyjczycy mają dość wojaczki. Nie będą ratować Polski, a kto myśli inaczej, jest skończonym głupcem. Zachód już się pogodził w podziałem Europy, strefy wpływów zostały ustalone w Jałcie i Poczdamie. Ci ludzie w lasach zginą niepotrzebnie. Ich śmierć w niczym Polsce nie pomoże. Jeśli chcą wesprzeć ojczyznę, niech skorzystają z amnestii i wyjdą z lasu. Są potrzebni w fabrykach i na uczelniach. Najlepiej się przysłużą Polsce, pracując i zakładając rodziny. Ktoś musi urodzić i wychować nowe pokolenie.

- Mamy służyć takiej Polsce? Czerwonej, zniewolonej? I to mówi demokrata? - Korzycki uważnie patrzył na rektora, który w zaciętrzewieniu każde zdanie swej przemowy puentował głośnym stuknięciem palcem w blat biurka. Pewnie robił tak samo, gdy wygłaszał

referat.

- A znasz, młody człowieku, jakąś inną? - spytał, marszcząc w gniewie czoło, jakby miał do czynienia z wyjątkowo mało pojętym uczniem. - Może jest jakaś na Madagaskarze? Nie słyszałem o niej. Tu trzeba zejść z romantycznych piedestałów i powiedzieć sobie bolesną prawdę, że innej Polski w przewidywalnej przyszłości nie będzie. I w takiej musimy żyć. To jest jak horacjańska *dira necessitas*, okrutna konieczność, której nie da się uniknąć, nie ma żadnej alternatywy z wyjątkiem totalnej katastrofy. Jedyne, co może zrobić rozumny patriota, to pogodzić się z wyrokami historii i działać dla dobra kraju w takich warunkach, jakie są. Czasem to trudniejsze niż latanie z karabinem po lasach. Moim i do mnie podobny zadaniem jest ocalenie tyle polskości, ile się da. Także tutaj, na tym zbombardowanym uniwersytecie. Każdy człowiek z jego dyplomem będzie jak pocisk wystrzelony w przyszłość.

Przerwał i sięgnął po kolejnego papierosa. Po chmurnej minie Kulczyńskiego Jan widział, że ta rozmowa go rozdrażniła. Siebie czy mnie chcesz przekonać? - spytał w myślach, ale głośno tego nie powtórzył.

- Nie boi się pan, że mógłbym opowiedzieć na UB, o czym mówiliśmy? Nie sądzę, aby komuniści byli zachwyceni pana, powiedzmy, raczej wyrachowaną postawą.

Rektor uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Idź i mów im, co chcesz. Oni doskonale wiedzą, dlaczego z nimi współpracuję. Dossier NKWD na mój temat jest wystarczająco kompletne. W tym momencie moje motywy ich nie obchodzą, a pewnie też uważają, że są utopijne. Ich zdaniem, komunizm jest ostatnią fazą rozwoju ludzkości, więc żaden ruch wsteczny nie jest możliwy. A przede wszystkim bardzo mnie potrzebują. Ktoś musi założyć w tym mieście szkoły wyższe, ściągać do pracy naukowców, uruchomić instytuty. Notabene, jutro jadę do Warszawy po oficjalną nominację na rektora połączonych uczelni, uniwersytetu i politechniki. Niech się pan ujawni i złoży papiery na studia, potrzebujemy takich jak pan. Co panu przyjdzie z gnicia w ubeckich kazamatach? A co Polsce z tego przyjdzie?

Tym razem to Korzycki się uśmiechnął. Nic nie odpowiedział, tylko wstał, zasalutował, odwrócił się i przekręcając klucz w zamku, otworzył drzwi. Na korytarzu nie zauważył Kuligowskiego, więc pokręcił się jeszcze chwilę, w końcu, doszedłszy do wniosku, że nie warto dłużej czekać, wyszedł na ulicę.

\* \* \*

Następnego dnia został na noc na posterunku, a bladym świtem, kiedy rozjaśniło się na tyle, że dało się widzieć drogę, wraz z Nyczkiem i szeregowym Mączką wyruszył w kierunku Carlowitz. Nie mieli daleko, w sumie może dwa i pół kilometra, najpierw dobrze



znaną Michaelsstrasse do rumowiska przy Weissenburger Platz, potem koło browaru do mostu Hindenburga. Szli ostrożnie, po obu stronach ulicy, jeśli pozwalały na to uprzątnięte chodniki, ubezpieczając się nawzajem i obserwując okna mijanych kamienic. Wgapiali się w jamy po wypalonych mieszkaniach i ziewali przy tym jak mopsy mimo zimnego, ostrego powietrza. Nie pospali za bardzo, w nocy słyszeli strzały dobiegające od północy, jakby z rejonu Pestalozzi Schule. Może byli to walczący o łupy szabrownicy, a może niedobitki Werwolfu. Niemrawa pukanina trwała prawie do czwartej rano. Nie mogli mieć pewności, czy jakiś strzelec nie przyczaił się w ruinach, czekając na przechodniów, którym zbytnio śpieszyło się do pracy. Nocni snajperzy wciąż grasowali, choć wydawało się mało prawdopodobne, aby zaatakowali uzbrojonych milicjantów.

Nikt jednak do nich nie strzelał. Pojaśniało na tyle, że na ulicy pojawili się pierwsi ludzie, niemieccy pracownicy idący do swoich zakładów. Przemykali szybko pod ścianami, rzucając na boki trwożliwe spojrzenia. Na widok ich uzbrojonej grupy przyśpieszali kroku, najwyraźniej nie wiedząc, czy mają do czynienia z milicjantami czy bandytami. Korzycki ich rozumiał, bo często nie było między nimi większej różnicy.

Miasto powoli się zaludniało. Na skrzyżowaniu Michaels z Weinstrasse dostrzegli nawet brygadę roboczą zajętą demontażem tramwaju zgruchotanego uderzeniem bomby. Ośmiu Niemców pod komendą krzykliwego polskiego majstra rozmontowywało pojazd na czynniki pierwsze, odkładając odzyskane, całe lub mało uszkodzone części na stosy starannie posegregowanych elementów. Milicjanci zatrzymali się obok na papierosa.

- Pan spojrzy, jak zasuważą, aż miło popatrzeć - powiedział Ernest, zaciągając się głęboko. Dwóch Niemców wyniosło z wraku nienaruszoną ławeczkę i pieczołowicie oczyszczało ją z brudu. - Jak ich wywieziemy, to kto będzie tak zapieprzał?

Jan nie skomentował, przydeptał peta i odetchnął rześkim, porannym powietrzem, lekko wilgotnym z racji bliskości rzeki. Coś było z tym powietrzem nie tak - dopiero po chwili zrozumiał, że prawie nie czuło się już spalenizny.

- Pośpieszmy się - rzucił. - Już za kwadrans siódma.

Ruszyli w stronę mostu. Korzycki dawno nie był w tej okolicy. Sporo się zmieniło od czasu, gdy z Czeszejką wlekli się z Hundsfeldu po spędzonej w pociągu nocy. Jezdnie zostały z grubsza posprzątane, zaścielający je przedtem gruz piętrzył się na chodnikach i pod ścianami domów - jeśli takowe stały. Co większe leje i dziury zasypano i wyrównano ceglanym tłuczniem, tak że od biedy dało się przejechać samochodem. Na wielkim rumowisku na skrzyżowaniu Michaelsstrasse i Kornstrasse pracowała duża grupa niemieckich kobiet odzyskujących z gruzów cegły. Mimo porannego chłodu rozebrane do koszul,

pokrzykiwały wesoło, podając sobie wygrzebane z rumowiska cegły - inne robotnice obtłukiwały je z tynku i ładowały na ciężarówkę. Kobiet pilnowało dwóch ponurych typów z zarządu miasta, wyraźnie znudzonych przydzielonym im zadaniem. Ziewali, żuli zapalki i popluwali pod nogi, wgapiając się w biusty co dorodniejszych dziewczuch.

Jan przyspieszył kroku. Do Odry w okolicy browaru dotarli tuż po siódmej. Kiedy przekroczyli most, zobaczyli w głębi Kornstrasse skłębiony tłum liczący na oko sto osób. Na skrzyżowaniu z Wichelhaus Allee milicjanci, żołnierze i urzędnicy zarządu najwyraźniej próbowali uformować kolumnę marszową z pierwszych wysiedleńców. Nie było to łatwe zadanie, panował straszny harmider, deportowani Niemcy - przeważnie kobiety w różnym wieku, targające dobytek upchany na wózkach i otoczone wianuszkami płaczących dzieci - krzyczały do Polaków, pokazywały jakieś papiery, pewnie zaświadczenia, że ich mężowie, zatrudnieni w państwowych instytucjach, nie podlegają wysiedleniu. Inne, przeważnie starsze i samotne, siedziały bez ruchu na bagażach, patrząc w otępieniu w ziemię. Niektórzy mężczyźni, wykorzystując nieuwagę strażników, wymykali się cichaczem, wsiąkając w bramy pobliskich domów.

Jeden z milicjantów skierował Korzyckiego do niskiego baraku stojącego za skrzyżowaniem, obok prawie nienaruszonego dwupiętrowego domu. Urządzono w nim tymczasowe biuro komisji przesiedleńczej. Kiedyś musiało być tam jakieś przedsiębiorstwo czy magazyn, bo przed barakiem rozciągał się niewielki, ogrodzony plac. Zgromadzono na nim kilkadziesiąt osób, które siedziały na tobołach i walizkach, widocznie czekając na rejestrację. Co chwila doprowadzano nowe, eskortowane przez żołnierzy grupy przesiedleńców.

Trzech Niemców, mężczyzn w sile wieku, szturmowało biuro, kłócąc się z niskim sierżantem milicji, który wzbraniał im wejścia. Pewnie jego nieduży wzrost dodawał im odwagi. W pewnej chwili funkcjonariusz wrzasnął: „Wek!” i złapał za kaburę. Wystraszeni Niemcy, odskoczyli i wmieszali się w tłum.

- No, wreszcie jesteście! - wykrzyknął na ich widok sierżant. - Skaranie boskie z tymi Szwabami! Nie dajemy im rady. Okazuje się, że wszyscy są tutaj potrzebni!

Z baraku wyrzwał szczupły brunet z krótko przystrzyżonym wąsikiem, Korzycki widział go kiedyś na jednej z poświęconych bezpieczeństwu narad w zarządzie, zapewne był to naczelnik dzielnicy, magister Joels. Mężczyzna wyciągnął pomietą paczkę egipskich i włożył do ust papierosa. Potem poklepał się po kieszeniach marynarki i rozejrzał się bezradnie. Jan podszedł do niego, przedstawił się i podał ogień - zerknął przy tym przez otwarte drzwi do środka i zobaczył, jak stary Niemiec, ubrany w połatany damski płaszcz,

stojąc przed długim stołem, za którym siedziało kilku urzędników stukających w maszyny do pisania, kręci głową i mówi: „Nein, nein” - w kółko, jak katarynka, nie zważając na młodego człowieka, który usiłował wcisnąć mu do ręki jakiś papier.

Naczelnik zauważył, że Korzycki patrzy na tę scenę.

- Skurczybyki nie chcą brać „tryptyków”... no, decyzji o wyjeździe do Rzeszy. Myślą, że jak nie wezmą, to ich nie wysiedlimy - wyjaśnił.

Młody urzędnik stracił cierpliwość, ryknął coś o niemieckich świniach i wpychając staruszkowi papier do kieszeni, ujął go za ramię i energicznie popchnął w kierunku drzwi. Niemiec przeleciał koło naczelnika, omal nie przewracając się na progu, i poganiany przez sierżanta dołączył do grupy, którą szykowano do wymarszu na dworzec.

- Komisja numer trzy potrzebuje pomocy, mają jakieś problemy w swoim rejonie. Niech pan tam idzie, to na początku Kornstrasse, domy od numeru jeden do sześć. - Naczelnik Joels rzucił niedopałek i zniknął w głębi baraku.

Przy urzędniczych stołach stała kobieta z małym dzieckiem, chłopczykiem okutanym w przykrótki płaszczyk, tłumacząca coś z płaczem jednemu z urzędników. Mężczyzna ze znudzonym wyrazem twarzy kręcił przecząco głową i ruchem ręki nakazywał jej opuścić biuro. Korzycki cofnął się i wrócił do swoich ludzi, którzy stali przy prowadzącej na placyk bramie, rozmawiając z pilnującym Niemców milicjantem. Kiwnął na Nyczka i przekazał mu polecenie naczelnika.

Ruszyli ulicą, mijając się z grupkami eskortowanych przez żołnierzy wysiedleńców. Staruszkowie i matki z dziećmi, ciągnący na wózkach toboły, nie tyle szli, ile biegli truchcikiem, poganiani okrzykami wojskowych. Niemcy mieli szare, ściągnięte twarze i co chwila oglądali się na pozostawione za sobą domy, jakby pragnąc choćby na sekundę opóźnić ostateczne rozstanie. Potykali się na nierównej, zrytej pociskami jezdni, wózki przewracały się, ludzie gorączkowo, wśród przekleństw żołnierzy, zbierali rozsypane na ziemi zawiniątka. Wielu, zwłaszcza starszych, ukradkiem ocierało łzy. Niektórzy potrząsali głowami, jakby do końca nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje.

Korzycki pamiętał tę ulicę z czasu, gdy przybył z Czeszejką do Breslau. Od tamtych dni zmieniło się niewiele, choć droga została z grubsza uprzątnięta, dziury zasypane i teraz od biedy dało się nią przejechać. Nadal w większości okien nie widziało się szyb, część z nich zabito po prostu dyktą i deskami. Tyle że nie było już tak cicho i pusto. Na ulicy wprost roiło się od mieszkańców, co chwila spomiędzy budynków wyłaniały się grupki wysiedleńców z tłumokami i nieodłącznymi wózkami. Poganiani przez milicjantów, dołączali do ludzkiego strumienia ciągnącego w stronę punktu rejestracyjnego.

Ludzie Jana doszli do końca ulicy i przy ostatnim domu zauważyli mężczyznę w szarym płaszczu, stojącego przed wejściem do pierwszej klatki. Na widok milicjantów zaczął machać gorączkowo rękami. Korzycki poznał Leśniewskiego, referenta z zarządu miejskiego. Urzędnik najwyraźniej starał się zwrócić ich uwagę.

- Dobrze, że już jesteście - powiedział, gdy podeszli. - Mamy kłopot z jednym takim dziadkiem... Włazł do szafy i nie chce wyjść.

Ruszyli razem z nim do domu i zaczęli się wdrapywać na górę wąską klatką schodową. W budynku panowała całkowita cisza, najwidoczniej został już opróżniony. Stłumione odgłosy dobiegały jedynie z lokalu, do którego poprowadził ich Leśniewski, dwupokojowego mieszkania na trzecim piętrze, dość skromnie urządzonego. Ściany i meble wyglądały na nietknięte, widocznie szabrownicy jeszcze nie zdążyli go odwiedzić.

W pokoju sypialnym, obok wielkiego małżeńskiego łóża, stała potężna, trzydrzwiowa, sięgająca pod sufit biedermeierowska szafa. Kręcił się przed nią blondyn koło trzydziestki, pewnie drugi, obok Leśniewskiego, członek komisji. Co chwila walił pięścią w środkowe drzwi szafy. Na ich widok przerwał i krzyknął po niemiecku:

- Panie Hanke, pan się nie wygłupia! Niech pan wyjdzie! Zamilkł i zaczął nasłuchiwać. Z wnętrza mebla dobiegło stłumione szuranie i coś jakby: „Nein”. Blondyn skrzywił się i podniósł pięść, chcąc znowu walnąć w drzwi, ale Leśniewski dał znak, aby tego nie robił.

- No i sam pan widzi, co my tu mamy. - Referent najwyraźniej nie był zachwycony sytuacją. - I co ja powinienem z takim zrobić? Panie Hanke, pan natychmiast wyjdzie, bo będzie źle! - wrzasnął w stronę szafy. Odpowiedziało mu jedno trwożliwe szurnięcie. - Może panowie władza coś poradzą na tego skurczybyka. - Leśniewski z ciężkim westchnieniem usiadł pod oknem przy okrągłym stole przykrytym wzorzystą serwetą. Wyciągnął papierosy. Dołączył do niego blondyn, który usadowił się na drugim krześle i też zapalił. Patrzyli zachęcająco na Korzyckiego, który z rozumiał, że nie wykręci się od interwencji. Skinął na Nyczka i gestem nakazał mu, aby zarepetował mausera. Chłopak zrobił to aż nadto ostentacyjnie. Dołączył do niego Mączka, z trzaskiem przeładowując swojego szmajsera.

- Tu milicja, masz minutę, aby wyjść, potem będziemy strzelać! - dobitnie oświadczył Korzycki drzwiom szafy.

Przez chwilę nie działo się nic, potem w środku coś zaszurało gwałtownie i rozległo się przeciągłe skrzypnięcie. W drzwiach pojawiła się szpara szerokości dwóch palców, a w niej zestrachane oko. Przez kilka sekund patrzyło na uzbrojonych mężczyzn, którzy z minami niewróżącymi niczego dobrego mierzyli do mebla. Potem, po długiej zwłoce, drzwi uchyliły

się szerzej i ukazał się w nich niski i chudziutki staruszek ubrany w grubą kurtkę, turystyczne pumpy i wełniane skarpety. Jego czerstwa twarz była okolona rzadką, siwą bródką. Całą postać mocno przybrudził kurz, a kurtkę popstrzyły kłaczki pierza. Mężczyzna patrzył z obawą na broń w rękach milicjantów.

Korzycki cofnął się nieco, kiwnięciem palca zapraszając Niemca do pokoju. Staruszek postąpił krok, wyszedł z szafy i stanął.

- Śmiało, panie Hanke, nie ma się czego bać - powiedział Leśniewski. - Ja widzę, że pan już gotowy do drogi. - Wskazał na wypchany plecak zwisający z ramion staruszka. - Jedzie pan do ojczyzny, trzeba się cieszyć. Za parę dni będzie pan wśród swoich. - Referent uśmiechnął się sympatycznie.

Hanke nie wyglądał na przekonanego. Cały czas patrzył podejrzliwie to na milicjantów, to na urzędników i najwyraźniej miał ochotę z powrotem wrócić do szafy. Jan błyskawicznie stanął za jego plecami i z hukiem zamknął drewniane drzwi. Starzec wzdrygnął się i zamknął oczy, mocno zaciskając powieki.

Nie opierał się dłużej, ale też nie odezwał się do nich ani słowem, nie otworzył też oczu, kiedy wyprowadzili go za rękę, niczym ślepcą, na ulicę. Stanął na chodniku i wyglądało na to, że żadna siła nie ruszy go z miejsca. Ale Leśniewski okazał się sprytniejszy - zza budynku wyłoniła się właśnie grupka wysiedleńców pchających mały ręczny wózek wyładowany betami. Referent zatrzymał ich, podszedł z Hankem do furgonu, położył jego dłoń na drewnianej burcie i kazał jechać. Starzec, szarpnięty ruszającym wózkiem, chcąc nie chcąc, powlókł się wraz z innymi.

Tak wyglądał cały dzień. Korzycki z Nyczkiem i Mączką towarzyszyli komisji wysiedleńczej, systematycznie opróżniającej z Niemców kolejne budynki. Przeznaczeni do wywózki ludzie dostawali piętnaście minut na spakowanie się i opuszczenie mieszkania, ale prawie wszyscy od paru dni orientowali się, że coś się szykuje, i zdążyli się wcześniej przygotować. Walizki zwykle stały już wystawione w przedpokoju. Mieszkania komisyjnie zabezpieczano dla Zabuzan, którzy czekali w PURze na Hundsfeldzie na zakończenie akcji. Wieczorem do pustych lokali miały się wprowadzać pierwsze rodziny repatriantów ze wschodu.

Najgorsze było właśnie to wchodzenie do mieszkań. Lokatorzy już wiedzieli, co od rana dzieje się w dzielnicy. Mimo to, gdy otwierano komisji drzwi, na twarzach mieszkańców malowało się niedowierzanie, jakby wbrew wszelkim hiobowym wieściom sądzili, że ta sprawa ich nie dotyczy. Do Korzyckiego dotarło, że do końca życia nie zapomni bladych i przerażonych kobiet, które z błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczyma zapewniały, że nie

podlegają wysiedleniu, ponieważ ich mąż jest niezbędny - unentbehrlich! - dla miejskich przedsiębiorstw, bo bez niego praca w zakładzie stanie. I wybuchających płaczem, gdy Leśniewski znudzonym tonem powtarzał, że jeśli nakaz jest omyłkowy, wieczorem wrócą do domu. Doskonale zdawały sobie sprawę, że to nieprawda. Niektóre rodziny nie wpuszczały komisji. Kiedy nie pomagały perswazje, milicjanci wyważali kopniakami drzwi i wyrzucali opornych, grożąc im bronią. Byli też i tacy, którzy przyjmowali swój los z pełną rezygnacją godnością - czekali na komisję kompletnie ubrani, siedząc w kuchni obok starannie zapakowanych walizek i koszy z prowiantem. Czasem pili jeszcze herbatę, ale bez protestu wstawali od stołu, zostawiając niedopite kubki z parującym napojem, nawet nie czekając, aż zostanie im odczytana decyzja o wysiedleniu. Nie odzywali się ani słowem, chwyтали za bagaże i wychodzili na podwórko. Niektórzy tylko rzucali za siebie ukradkowe spojrzenia, jakby chcąc zapamiętać tę ostatnią chwilę, kiedy dom jeszcze był ich. Dobrze wiedzieli, że po przekroczeniu progu tracą do niego wszelkie prawa. Korzycki zastanawiał się, co właściwie było dla niego gorsze - ich histeryczny opór czy milczące, oskarżycielskie posłuszeństwo.

Przed jedną z bram siedziała na dużej walizce młoda kobieta w płaszczu i zielonej chuście na włosach. Obok niej przycupnęły na tobołkach dwie dziewczynki, jedna może sześć, druga najwyżej czteroletnia, urocze blondyneczki o kręconych włoskach. Z dala wyglądały jak cherubinki z barokowych malowideł. Przed kobietą stał polski żołnierz i coś jej tłumaczył podniesionym głosem, nakazując gestem dołączyć do innych wysiedlonych, zbierających się przy wylocie ulicy. Niemka miała bladą twarz i ściągnięte usta, kręciła uparcie głową, najwyraźniej odmawiając wykonania polecenia. Jan podszedł bliżej, chcąc się dowiedzieć, o co chodzi.

- Herr Offizier, ja nigdzie stąd nie mogę jechać - mówiła Niemka. - Muszę czekać na Hansa. On zaginął na wschodzie, na pewno jest w sowieckiej niewoli. Jak go wypuszczą, to gdzie mnie znajdzie? Proszę zrozumieć, ja naprawdę nie mogę nigdzie jechać!

Żołnierz nic z tej przemowy najpewniej nie rozumiał, bo ciągle tupał nogą i na każdą kwestię kobiety reagował okrzykiem: „Raus!”. W końcu, znecierpliwiony, odskoczył do tyłu, ściągnął z ramienia pepeszę, zarepetował i wymierzył w Niemkę. Przestraszone dzieci wybuchnęły płaczem, podbiegły do matki i objęły ją ramionami. Żołnierz, wyraźnie zakłopotany, cofnął się jeszcze o krok i opuścił broń. Wtedy zobaczył Korzyckiego.

- Skaranie boskie z tymi babami! - wykrzyknął. - Sam obywatel sierżant widzi, zawzięła się i już. Twarda jakaś sztuka, nawet spluwy się nie boi.

- Zajmę się tym, szeregowy - powiedział do niego. - Idźcie pomóc innym.

Wojak odetchnął z wyraźną ulgą i pośpiesznie dołączył do kolegów eskortujących

większą grupę wysiedleńców. Pewnie bał się, że milicjant się rozmyśli.

Kobieta zerknęła bojaźliwie za oddalającym się żołnierzem, potem z nadzieją spojrzała na Korzyckiego. Patrzył na małe twarzyczki dzieci i ich wielkie, pełne obawy oczy i czuł w ustach gorzki, odpychający posmak. Tak paskudnej roboty jeszcze nie wykonywał. Potem pewnie nazwał to sprawiedliwością dziejową, ale on wiedział jedno - to, co teraz działo się z tą kobietą i jej córkami w żaden sposób sprawiedliwe nie było.

- Niech pani mnie posłucha - zwrócił się do niej po niemiecku. - Te decyzje są nieodwołalne. Ja mogę udać, że nie widzę, jak pani wraca do swego mieszkania, ale jeszcze dziś wieczorem przyjdą Polacy z przydziałem i panią wyrzucą. A Hans, proszę mi wierzyć, tak szybko stamtąd nie wróci. Poczekacie na niego w Niemczech.

Kiedy to mówił, twarz kobiety bladła, aż stała się biała jak płótno. Dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, jakby wciąż nie mogła do końca przetrawić jego słów. Wreszcie podniosła się ciężko i nie odzywając się nawet sylabą, z zaciśniętymi ustami chwyciła za walizkę. Powlokła się z nią w stronę wylotu ulicy, nie zwracając uwagi na dzieci. Dziewczynki przez chwilę patrzyły zdezorientowane na oddalającą się matkę, potem porwały swoje tobołki i pobiegły za nią jak pisklęta za kwoką.

Przełknął gorzką ślinę i dołączył do swoich ludzi. Kiedy wraz z ekipą Leśniewskiego opróżnili przydzielony im kwartał, wrócili do punktu zbornego przy baraku. Placyk przed siedzibą komisji stopniowo się wyludniał, milicjanci wyganiaли kolejne grupki Niemców na ulicę. Nie było to łatwe zadanie, gdyż wielu z nich ciągle szturmowało drzwi zaimprovizowanego biura, machając jakimiś papierami i głośno domagając się wysłuchania. Ale komisja nie chciała nikogo wysłuchiwać, dobiegała szesnasta i należało czym prędzej wyprawić resztę wysiedlonych na Dworzec Odra, pociąg miał planowo odjechać o dwudziestej drugiej. Już wiadano, że tego terminu nie da się dotrzymać. Dlatego, na rozkaz naczelnika dzielnicy, przed wejściem do baraku stanęło dwóch milicjantów z pepeszami. Dopiero na ich widok fala napierających, wrzeszczących Niemców cofnęła się i dała wygonić na ulicę.

Na przedmostowym odcinku Kornstrasse formowano kolumnę wysiedleńców liczącą może tysiąc osób - przeważnie kobiet, starców i dzieci. Nieliczni dorośli mężczyźni wyszli do pracy przed rozpoczęciem akcji, sądząc, że ich rodziny nie zostaną wywiezione. Na ulicy utworzył się kilkusetmetrowy wąż skazanych na deportację Niemców, ciągnących i pchających napakowane dobytkiem wózki, o ile ktoś taki miał. Inni, mniej szczęśliwi, dyszeli i sapali, targając w rękach ciężkie pakunki. Niektórzy, widać najslabsi, rzucali walizki już po kilkudziesięciu krokach. Wkrótce przebyta przez nich drogę znaczyły porzucone bagaże,

zostawiano też te wózki, które zgubiły koła na nierównej, wciąż zasłanej gruzem, tu i ówdzie podziurawionej jezdni.

A potem pojawili się oni.

Sowieccy żołnierze i jacyś bliżej nieokreśleni cywile, z którymi żołdaci byli w doskonałej komitywie, wyszli spośród zwartego szeregu domów po lewej stronie Kornstrasse. Niektórzy już byli objuczeni dobrem zrabowanym z opuszczonych mieszkań. Szabrownicy natychmiast rzucili się na pozostawione na ulicy rzeczy - okazali się przy tym bardzo przewidujący i przytargali ze sobą kilka dużych, ogrodowych wózków i ręcznych, towarowych platform, na które ładowali zdobycz. Sowieci, uzbrojeni w automaty i karabiny, wzgardzili dobrem porzuconym, pewnie uznając je za niezbyt cenne. Przyskakiwali do maszerujących ludzi i wrywali Niemcom upatrzone sztuki bagażu, nie zważając na protesty i lamentsy. Gdy ktoś nie chciał oddać pakunku, walili kolbą po rękach, nie bacząc, czy to starzec, kobieta czy dziecko. Ryczeli na całe gardło: „Puskaj, sobaka!”. Co odważniejsi nurkowali w tłum, rozgarniając ludzi karabinem, a po chwili wynurzali się, trzymając w ramionach łup, który z triumfalnym uśmiechem pokazywali kompanom. Polowali zwłaszcza na walizkowe gramofony. Grabieni podnosili krzyk, kobiety histeryzowały, dzieci beczały i pochód zaczął przypominać kłębiący się, jazgocący tłum gnanych do piekła potępieńców.

Korzycki ze swoimi ludźmi zamykał kolumnę, zgarniając spóźnialskich i nie pozwalając rozmaitym cwaniakom zawrócić. Widział, jak kilku milicjantów usiłowało powstrzymać grabież - odstępili, gdy Sowieci przyłożyli im lufy pepesz do piersi. Wielu rosyjskich żołnierzy było mocno pijanych, ledwo trzymali się na nogach. Pędzili ze swoją zdobyczą do szabrowników towarzyszących pochodowi, którzy od ręki wymieniali ją na bimber.

- Panie sierżancie, może podskoczymy naszym na pomoc? - zaproponował Nyczek, patrzący z nieskrywanym obrzydzeniem na grabiących Rosjan. - Taż ludzkie pojęcie przechodzi, co to żołdactwo wyprawia!

Jan myślał o tym, ale tamtych było za dużo.

- Tylko pogorszymy sprawę - odparł. - Są w sztok pijani, wybuchnie strzelanina. Nie trzeba nam tu jatki.

Kapral patrzył z napięciem na rozgrywające się przed nimi pandemonium, jakby usiłował sobie o czymś przypomnieć.

- Ja już coś takiego widziałem, we Włoszczowej, jak Żydów wywozili. Też ich tak pędzili, jak było...

- Bez przesady, na nich nie czeka za miastem dół z niegaszonym wapnem. Nie



jesteśmy Einsatzgruppen, Nyczek. - Korzyckiemu to porównanie wydało się jednak niestosowne. - Będą żyli, choć nie tutaj.

Właściwie powinien czuć się jak zwycięzca na polu ostatniej bitwy. Przecież przeganiali pokonanego wroga z jego ziemi i od tego momentu stawała się ona ich ziemią, tak przynajmniej zapewniały komunistyczne gazety. Prawem zwycięzcy zagarniali jego domy, dobytek, wszystko, czego ci starcy i kobiety nie zdołali wcisnąć do tłumoków. Niepotrzebnie hamletyzuje, powinien myśleć jak inni. Czyż nie braliśmy teraz słusznego odwetu za kolumny uchodźców, zapychających drogi we wrześniu trzydziestego dziewiątego, gnających przed siebie w opętańczym strachu, sieczonych ogniem z samolotów? Za tamten wrzesień jest ten październik. Tego przecież chciał, gdy w czterdziestym trzecim jak szczur przemykał się ulicami Warszawy, ścigany jękami syren, bo znowu budy wyjechały na miasto i zgarniano ludzi na Pawiak. Wiejąc do otwartej, zbawczej bramy, mściwie życzył Niemcom, ich żonom i matkom jak najgorszego losu, żeby też je tak zgarniano i wywożono. No i doczekał swego. Teraz powinien się cieszyć, patrząc na ten potępińczy pochód ludzi, których wyzuto ze wszystkiego, nawet z tego, czego on nigdy przez czarne okupacyjne lata nie utracił - nadziei, że koszmar kiedyś się skończy. Dla nich dopiero się zaczynał.

Wiedział, że powinien nienawidzić tych kobiet, dzieci i starców. Miał do tego pełne prawo po tym, co zrobili ich mężowie, synowie i ojcowie. Wiedział o tym, a mimo to nie potrafił. Tak jakby tego właśnie dnia wyczerpał limit i nie starczyło już nienawiści na te stare, poszarzałe, zmęczone i przerażone twarze. Może dlatego, że w oczach nieszczęśników nie widział buty niegdysiejszych panów świata, lecz jak najbardziej ludzki lęk o przyszłość. Byli bezbronni, pozbawieni domu, rodzinnej ziemi i wyjeżdżali w nieznane. Czuł, że nie może i nie chce się z tego cieszyć.

W pewnej chwili z tłumu wyskoczyły dwie osoby i pobięły w ich stronę wzdłuż maszerującej kolumny. Młoda Niemka w jasnym, letnim płaszczu i goniący za nią sowiecki lejtnant z pistoletem w dłoni. Dziewczyna miała krew na twarzy, widocznie oberwała od Rosjanina. Biegła ku grupie Korzyckiego, krzycząc coś niezrozumiale, sowiecki oficer sunął za nią niezgrabnymi krokami, kolebiąc się na boki, najwyraźniej pijany. Bełkotał coś po rosyjsku i wymachiwał bronią.

Niemka podbiegła do Korzyckiego i szlochając, pokazywała na swą rękę. Przyjrzał się uważniej małej, delikatnej dłoni i zobaczył grubą ślubną obrączkę. Popęłniła błąd, zostawiając ją na palcu, Sowiet wypatrzył złoto i chciał zabrać. Spojrzał na łkającą dziewczynę - blondynkę o ładnej, pociągłej twarzy, przekreślonej na policzku strużką krwi z przeciętego łuku brwiowego. Sowiet musiał jej przyładować kolbą pistoletu. Nawet trochę

podobna do Reni - pomyślał.

Ciężko dyszący lejtnant zatrzymał się. Odsunął daszek czapki i rękawem otarł pot z czoła. Miał nalaną, czerwoną, obrzmiałą od picia twarz i rozbiegane, szalone oczy. W ręku trzymał odbezpieczoną tetetkę. Dziewczyna obejrzała się i zobaczywszy go, wrzasnęła przeraźliwie. Opadła na kolana i objęła Korzyckiego za nogi. Wtuliła mu twarz w kolana, dygotała ze strachu, mamrocząc coś niewyraźnie. Płakała, czuł gorące łzy przenikające przez materiał spodni.

- Nu, i szto tepier budiet, panie Paliak? - zapytał lejtnant i czknął donośnie. Z kieszeni bryczesów wystawała mu szyjka butelki. - Ty budiesz strielat' w mienia? Iż za niemieckaj bladzi?

Korzycki patrzył w pijane oczy Sowietki i uśmiechnął się zimno, jednocześnie poprawiając kaburę u pasa. Nyczek ostentacyjnie zarepetował mausera, a Mączka odciągnął zamek szmajsera. Ta demonstracja siły zrobiła jednak pewne wrażenie.

- Traich na odnawo, wot, polskije gieroji! - syknął lejtnant, ale najwyraźniej bojowy zapal zaczął go opuszczać, patrzył też trochę przytomniej. - Nu, padażdi, pogawarim, kak budiesz adin.

Splunął pod nogi, obrócił się na pięcie i odszedł. Po kilku krokach przystanął, wyciągnął z przepastnej kieszeni flaszkę i pociągnął potężny łyk. Potem wstrząsnął się jak pies, który wylazł z wody i lekko się zataczając, pomaszerował w stronę oddalającej się kolumny. Z pewnością przed dworcem zdąży jeszcze wypatrzeć niejednego ładny pierścionek.

Korzycki kazał Niemce wstać. Dziewczyna wciąż płakała, krew na jej twarzy zmieszała się ze łzami i ulicznym kurzem. Podaj jej brezentowy pakiet z indywidualnym opatrunkiem, pokazując na zranione czoło. Dotknęła go i ze zdumieniem patrzyła na zabarwione na czerwono palce.

- Zdejmij tę obrączkę, bo znowu będziesz miała kłopoty - powiedział. - Mój człowiek odprowadzi cię do twoich.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Pomógł jej jeszcze rozerwać pakiet. Przyłożyła opatrunek do czoła i mamrocząc: „Danke”, poszła wraz z Nyczkiem w stronę oddalającego się ogona kolumny, której środek mijał właśnie widoczny po drugiej stronie rzeki browar. Czołówka pewnie dobijała do Michaelstrasse i skręcała w lewo, w prowadzącą do dworca Weisenburgerstrasse.

Gdy i oni dotarli tam po kwadransie, Korzycki uznał, że wypełnił rozkaz i postanowił wrócić ze swoimi ludźmi na posterunek. Musieli się pośpieszyć, zbliżał się wieczór i w ruinach, gdzieś na wschodzie, dało się słyszeć pierwsze strzały. W BreslauWrocławiu kończył

się kolejny dzień.

## **IX. Ciemność w dolinie**

Po męczącej codzienności pośród monottonnych ruin przechadzka po Glatz - na budynku stacji kolejowej wisiała już nazwa Kłodzko - okazała się prawdziwą rozkoszą dla oczu. Mimo wczesnej pory i porannego chłodu z przyjemnością spacerowali z Reni po wąskich, pnących się w górę uliczkach. W miasteczku nie było widać żadnych śladów po wojnie - Glatz aż do ogólnej kapitulacji Rzeszy pozostawał w rękach Niemców, więc Rosjanie nie zdążyli się do niego dostać przed przybyciem polskich władz. Domy stały całe, dachom nie brakowało nawet jednej dachówki, w oknach i na balkonach widzieli pelargonie, z kuchni przez otwarte lufciki roznosił się zapach kawy zbożowej, po gzymsach leniwie spacerowały koty. Patrzyli na te sielskie obrazki z pewnym niedowierzaniem, jakby w ciągu miesięcy życia na gruzach zapomnieli, że gdzieś tam, poza Breslau, wciąż istnieją takie miejsca.

Brukowana uliczka doprowadziła ich do rynku. Korzycki na widok ratusza aż przystał, zaskoczony tym, że na zabitej dechami prowincji można zobaczyć coś takiego. Wielki, trzypiętrowy budynek zajmował środek placu. Zbudowano go w stylu barokowym, a późniejsze przeróbki były niewielkie. Szerokie okna, łuki i narożne wieżyczki nadawały mu niezwyklej, wręcz renesansowej lekkości. Kojarzył się Janowi raczej z Wiedniem, z gmachami przy Grabenplatz, a nie z ciężką, przysadzistą pruską architekturą. No tak, przecież tu przez wieki siedzieli Habsburgowie - przypomniał sobie. Reni, która stała obok niego i też w milczeniu patrzyła na ratusz, niespodziewanie zakasłała. Nad ranem, kiedy wlekli się do Glatz w nieogrzewanym wagonie z wybitymi szybami, zrobiło się naprawdę bardzo zimno. Mogła się przeziębicić, nie wyglądała ostatnio najlepiej, kiepska dieta bardzo ją osłabiła.

Za plecami usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Odwrócił się i zobaczył na ulicy mężczyznę w płóciennym fartuchu, który odsłaniał sklepową witrynę, odmykając drewniane okiennice. Piekarnia - dopiero teraz poczuli charakterystyczny, skręcający kiszki zapach świeżo wypieczonego chleba. Wczoraj bardzo się śpieszyli i nie zdążyli zjeść kolacji. Korzycki pomacał się po kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy i podszedł do mężczyzny, który przywitał go po niemiecku. Weszli razem do sklepu i kupił kilka białych bułek. Dał jedną dziewczynie i z rozczeniem patrzył, jak wgryza się w bułkę jak myszka w gomółkę sera.

Pieczywo trzeszczało w zębach i smakowało nadzwyczajnie, było słodkie i pachnące, co sam dobitnie czuł na języku po tygodniach jedzenia milicyjnego przydziałowego komiśniaka.

Na rynku wciąż nikt się nie pokazywał, mimo że dobiegała ósma, więc Jan ponownie wszedł do sklepu. Zapytał układającego na półkach bochenki piekarza, jak dostać się do Petersdorfu. Niemiec podrapał się z frasunkiem po nieogolonej szczęce.

- To jest po drodze do Bad Landeck, ale teraz nikt tam nie jeździ, chyba że polskie wojsko lub milicja. Ale ci Niemców nie podwożą. To będzie stąd ze trzydzieści kilometrów, pieszo cały dzień.

Wyszli razem przed sklep i wskazał Korzyckiemu, jak dojść do rogatek, za którymi znajdowała się szosa prowadząca do Bad Landeck. Jan podziękował piekarzowi, a potem, po chwilowym namyśle, wrócił do sklepu i dokupił jeszcze dwukilogramowy bochenek chleba, który wcisnął do plecaka. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu uda im się dostać coś do jedzenia.

Przeszli przez plac rynkowy i znowu zanurzyli się w prowadzącą w dół wybrukowaną uliczkę, ciasno zabudowaną czteropiętrowymi kamienicami. Na rogatkę dotarli kwadrans po dziewiątej. Postali tam dłuższą chwilę i przekonali się, że piekarz, niestety, miał rację, nic nie jechało. Czekali przy drodze przez godzinę, a potem Korzycki uznał, że szkoda marnować dnia i pójść pieszo. Reni mało się to podobało, ta niespodziewana nocna podróż bardzo ją wyczerpała, ale bez sprzeciwu ruszyła za nim. Przeszli może pół kilometra, kiedy od strony miasta pokazała się ciężarówka.

Początkowo nie chciał jej zatrzymywać, bo wyglądała na wojskową, a on wolał unikać kontaktu z przedstawicielami władzy ludowej, ale kiedy spojrzał na bladą twarz Reni, uznał, że musi zaryzykować. Dziewczyna wyglądała na bardzo znużoną. Stanął na skraju drogi i podniósł rękę.

Samochód zatrzymał się i z szoferki wysunęła się roześmiana twarz w rogatywce, z papierosem przyklejonym w kącie ust. Żołnierz miał na pagonach dystynkcje sierżanta.

- A czego dobra dusza chce? - zagadnął wesoło, puszczając perskie oko do dziewczyny. Reni zarumieniła się i spuściła wzrok.

Korzycki pomyślał, że nie powinien mu się przedstawiać jako Niemiec. Lepiej było nie psuć dobrego nastroju wojaka.

- Chcemy się dostać z siostrą do Petersdorfu - wyjaśnił. - Myślałem, że dojdziemy, ale mi osłabła. Dwa lata u bauera była, nie miała lekko.

Sierżant jeszcze raz zerknął na Reni, która przykucnęła, opierając się o pień przydrożnej czereśni.

- No pewnie, kto tam się u Niemca kiedy pożywił! - zawołał. - Wskakujcie, jedziemy do Łądku, to was podrzucimy.

Na ławkach paki siedziało trzech młodych żołnierzy. Jeden z nich, wąsaty kapral, pomógł im się wspiąć. Korzycki przedtem zdążył szepnąć Reni, żeby się pod żadnym pozorem nie odzywała. Ledwo się usadowili, samochód ostro ruszył. Droga to wznosiła się, to opadała, jechali ku widocznemu na horyzoncie pasmu górskiemu. Siedzący naprzeciwko żołnierze patrzyli na nich podejrzliwym wzrokiem, więc Jan, chcąc przełamać lody, poczęstował ich papierosami. Miał jeszcze zapas kupionych na szaberplacu węgierskich.

- A wy to właściwie po co do tego Petersdorfu? - zapytał kapral, biorąc papierosa.

- Do stryja jadę, wziął tam gospodarkę, tak mi napisał w liście - odparł Korzycki. - Potrzebuje pomocy, to i siostrę przywiozłem. Może się rozejrzę za własną chałupą? Podobno sporo jeszcze jest tu ziemi do wzięcia.

- A panience to jak się na tych naszych ziemiach odzyskanych podoba? - Reni najwyraźniej wpadła w oko kapralowi.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, ale nic nie powiedziała, spojrzała tylko na „brata”.

- Z nią to, panowie, nie pogadacie. U tego bauera miała taką przykrą przygodę... Jak przyszli Ruscy, to ją za Niemkę wzięli i... No, sami rozumiecie. Do obcego faceta teraz słowa nie powie. I tak jest już lepiej, bo po powrocie z Reichu przez miesiąc z chałupy nie chciała wychodzić.

Poklepał ją uspokajająco po ramieniu, a ona ufnie się do niego przytuliła. Żołnierz spojrzał na nią ze współczuciem, pokręcił z rezygnacją głową i splunął pod nogi.

- Wiem, w czym rzecz. Jak szliśmy na Drezno, to się naoglądałem niejednego w tamecznych wioskach... No, nie powiem, Ruscy dali im do wiwatu, za wszystkie czasy. Gwałcili, co popadło, dla pijanego mołojca bez różnicy było stara czy młoda. Naszym dziewczynom, co tam na roboty je wywieźli, też nie odpuszczali. Wot, swołocz tatarska. Teraz też nie lepiej się zachowują, trzy dni temu pijane Sowiety napadły na majątek pod Łądkiem, siedziały tam dwie rodziny niemieckie i jedna polska, wszystkich załatwili, a budynki puścili z dymem. Bo podobno bimber przed nimi ukrywali. Coś mi się widzi, że długo tu będzie trzeba czekać na spokój.

Rozmowa zeszła na kwestie bezpieczeństwa. Kapral ostrzegł, że trzeba uważać nie tylko na Rosjan. W lasach siedziało sporo niedobitków z korpusu Schórnera, którzy, zamiast iść do sowieckiej niewoli, woleli góry. Czasem schodzili w doliny, gdy im się jedzenie kończyło. Miejscowi Niemcy bardzo ich wspomagali.

- Jak będziecie w tym Petersdorfie, miejcie oczy dookoła głowy, bo różne rzeczy się dzieją. A Niemcom za grosz nie ufać, kłamią jak najęci - pouczał. - W dzień w pas się kłaniają, a w nocy zza węgła w plecy strzelą. Mają broń pochowaną, po Wehrmachcie.

Korzycki przytakiwał, zaciągał się węgierskim papierosem i patrzył na okolicę - naprawdę urokliwą, sielską nawet. Jechali drogą wysadzaną drzewami owocowymi, mijali rozciągnięte wzdłuż drogi wioski zabudowane schludnymi piętrowymi, murowanymi domami. Mieszkali w nich ludzie, kręcili się po podwórku, było widać rozwieszzone pranie. W pędzie nie dało się rozróżnić, czy to Polacy czy Niemcy. Na widocznych w oddali łąkach pasło się bydło. Dobry znak, świadczący o tym, że okolica nie została ograbiona.

Po półgodzinie ciężarówka, gdy tylko pokonała strome wzgórze, zatrzymała się. Po lewej stronie zobaczyli łagodną dolinę, której środkiem płynęła nieduża rzeczka. Wzdłuż obu jej brzegów ciągnęła się nieregularna szachownica pól z dostatnimi, złożonymi z paru budynków obejściami - same solidne, murowane domy kryte dachówką, Jan nigdzie nie zauważył ani jednej strzechy. Nad kominami unosił się dym. Z szoferki wychylił się wesóły sierżant.

- Kto chciał do Petersdorfu, ten właśnie dojechał. Tak i wysiadajcie.

Po chwili zostali na drodze sami. Pomiędzy domami zauważył ludzi, podobnie jak na zasnutych dymem polach. Palono pozrzućane na kupy chwasty. Korzycki wypatrzył ścieżkę prowadzącą z drogi w głąb doliny.

- Chodź - powiedział, biorąc Reni za rękę. - Ciekawe, co twoi krewni powiedzą na nasz widok...

\* \* \*

Wrocławskobreslauerskie dolce vita skończyło się dwa tygodnie po wysiedleńczej akcji na Karłowicach. Przez Nyczka, który najwyraźniej rozsmakował się w detektywistycznej robocie i uparł się, że do końca wyjaśni sprawę ulotek „komendanta”. Ta kwestia, choć straciła na znaczeniu, ciągle nie dawała chłopakowi spokoju. Brał wolne ze służby i znikał z posterunku na długie godziny. Kręcił się przy drukarni na Weidenstrasse, gdzie produkowano „Pioniera”, parę razy dorywczo załapał się do pracy jako tragarz i ładował na ciężarówki paczki z nakładem. Raz przez pół dnia nosił bele z papierem do magazynu. Zdołał się trochę rozejrzeć, choć jego pierwsze raporty nie zawierały żadnych rewelacji.

- Tam przy prasach sami Niemcy pracują, dwóch polskich majstrów ich nadzoruje - mówił, pijąc w kuchni herbatę. Ze względów bezpieczeństwa umówili się, że będą rozmawiać o tej sprawie tylko w mieszkaniu Frau Mueller. Na posterunku zawsze mogły się trafić

postronne uszy. - A maszyny mają różne.

Duża, rotacyjna, tak ją nazywają, służy do tłuczenia gazety, przez trzy piętra się ciągnie, taki moloch. Ale też zauważyłem sporo mniejszych, plakaty i obwieszczenia na nich robią.

- A kto przy nich pracuje? - spytał Korzycki.

- Też Niemcy, i to, tak mi się zdaje, najczęściej sami, bo nasi majstrowie głównie tej rotacyjnej pilnują. Co i nie dziwne, bo ona jest najważniejsza.

Przez kilka kolejnych dni nic się nie działo i Jan nawet zaczął myśleć, że Nyczek, niczego nie wykrywszy, dał sobie spokój. Niestety, nie dał.

Korzycki siedział wtedy z Reni w kuchni, a Frau Mueller szykowała późną kolację. Bardzo postną, bo złożoną z kromek chleba usmażonych na oleju. Nic lepszego nie był w stanie przynieść, bo zaopatrzenie stawało się coraz gorsze, nawet milicyjne przydziały składały się głównie z komiśniaka. Na szaberplac też nie mogli już liczyć, przed tygodniem wymienili na konserwy ostatnią butlę spirytusu. Tajny schowek restauratora pokazał wreszcie dno i przyszłość nie rysowała się zbyt różowo. W mieście panował głód, gorszy nawet niż ten, który pamiętał z czasów okupacji.

Dziewczyna już rozłożyła na stole talerze, a jej matka zdejmowała właśnie z fajerki patelnię, kiedy do drzwi mieszkania ktoś zapukał, niezbyt głośno, ale stanowczo. Kobiety spojrzwały zaskoczone na Jana, najwyraźniej same nikogo nie oczekiwały. Wstał, udał się do swego pokoju po broń i poszedł otworzyć.

Stojący na korytarzu Nyczek miał niewyraźną minę i przestępował z nogi na nogę jak uczeń, którego złapano na psocie.

- Przepraszam, że przeszkadzam tak po nocy, ale myślę, że powinien pan o tym wiedzieć. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka kawałków papieru. - Znalazłem to w drukarni, dzisiejsza robota, farba jeszcze świeża.

Korzycki wziął papiery i gestem zaprosił chłopaka do środka. Weszli do kuchni. Kobiety zdziwiły się na widok kaprała, nigdy nie zjawiał się tak późno, ale, pewnie ze względu na jego poważną minę, bez słowa zostawiły ich samych i poszły do stołowego. Wiedziały, że mężczyźni znowu mają do załatwienia swoje sprawy. Jan położył na stole zadrukowane po niemiecku kawałki papieru i przez chwilę dopasowywał je do siebie. Tekst na ulotce nie zaskoczył go, głosił z grubsza to samo co poprzednie apele: „Rodacy! Nie dajcie się wygonić z praniemieckiego Breslau! Nie stawiajcie się do wywózki, bojkotujcie zarządzenia polskich władz okupacyjnych. Nie rzucajcie naszej niemieckiej ziemi! Godzina powstania nadejdzie wkrótce. Wytrwajcie!”. Podpisał ją „Komendant Festung Breslau”.

Milczał przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Kto jeszcze chciał grać tą kartą i produkował idiotyczne wezwania? Czy ktoś naprawdę sądził, że Niemcy, desperacko walczący o kawałek chleba na obiad, hurmem ruszą do obrony Breslau? Co za szaleniec mógł od nich żądać czegoś podobnego? Może po prostu jakiś obłąkany nazista nie przyjmował do wiadomości, że ci ludzie zostali złamani przez oblężenie i to, co działo się po nim. Zbyt bali się Rosjan, aby stawić jakikolwiek opór. Zatem albo tekst został napisany przez ewidentnego wariata, albo chodziło tu o coś zupełnie innego. Ponownie przeczytał ulotkę.

- Mów - zwrócił się do Nyczka. - Skąd to masz? Chłopak wzruszył ramionami. Podszedł do pieca i nalał sobie wody z dzbanka stojącego na skraju kuchennej płyty.

- Dzisiaj miałem fart, bo do drukarni przywieźli duży transport papieru i byłem potrzebny w magazynie do samego wieczora. Kiedy skończyłem targać te bele, zajrzałem do hali z wielką maszyną. Nie pracowała, bo druk gazety mieli zacząć za godzinę. Nie zobaczyłem żadnych ludzi poza jednym, starym miejscowym zecerem, niejakim Mendę, który stał przy takiej małej prasie ustawionej w kącie hali. Maszyna pracowała, on coś na niej drukował, ale dziwnie się zachowywał, bo zamiast pilnować, co mu spod prasy schodzi, co chwila się rozglądał. Tak jakby się bał, że go ktoś przy tym złapie. No to pomyślałem, że poczekam, aż skończy, i sprawdzę, co on tam kombinuje. Nie wchodziłem do hali, bo bałem się, że ten Mendę się spłoszy. Wyszedł po jakichś dziesięciu minutach z paczką pod pachą. Podszedłem do maszyny, żeby zobaczyć, co drukował, ale spryciarz zdjął matryce ze składem i je rozmontował. Poszukałem trochę dookoła i znalazłem to, na podłodze się walało. - Wskazał na leżące na stole kawałki ulotki. - Jak zobaczyłem na jednym karteluszkach tego „komendanta Festung Breslau”, od razu wiedziałem, że trafiłem na właściwego ptaszka.

Korzycki znowu spojrzął na ulotkę. Czyżby „komendantem” mianował się stary niemiecki drukarz, któremu najwyraźniej odbiło? I on zabijał tych wszystkich ludzi? Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć.

- I co zrobiłeś? - spytał.

- Jak to co? Zacząłem go śledzić, bo byłem ciekaw, komu on te ulotki nosi. Strażnikowi na portierni powiedziałem, że Mendę zgubił przy maszynie klucze od domu i trzeba mu je oddać, a ja go dogonię. Dowiedziałem się, że stary poszedł w stronę Nowego Targu. Pobiegłem tam, ale Niemiec gdzieś zniknął, wsiąkł w ruiny i tyle go szukaj. Już chciałem dać sobie spokój, kiedy zauważyłem na placu, nie zgadnie pan, tego grubasa od Szmagi, Walusia. Mignął mi przy kościele, a potem skręcił i przepadł. Tam są budynki, gdzie mieszka trochę Niemców. Coś mnie tknęło i pomyślałem sobie, że warto by wiedzieć, co on



tu porabia, i postanowiłem na niego zaczekać. I dobrze zrobiłem, bo pojawił się po jakimś kwadransie i wie pan, co miał pod pachą?

- Wiem - powiedział Korzycki. - Paczkę z ulotkami.

- Dokładnie. - Ernest nalał sobie drugi kubek wody. - Poznałem, to był ten sam pakunek, z którym wyszedł Mendę, owinięty w stare gazety i na krzyż sznurkiem przewiązany. Po kiego licha Szmadze takie ulotki?

To była naprawdę ciekawa wiadomość, bo coś wreszcie zaczynało się wyjaśniać. Im dłużej Jan rozmyślał nad sprawą „komendanta”, tym bardziej nabierał przekonania, że Werwolf nie miał z nią nic wspólnego - jakkolwiek wojskowy choć trochę orientujący się w sytuacji doskonale zdawał sobie sprawę, że żadne niemieckie powstanie nie jest możliwe. Ulotki drukował ktoś inny. Ktoś, komu zależało, aby wierzono w bajkę o „komendancie”. Aż dziwne, że wcześniej nie przyszedł mu do głowy Szmaga. A przecież wydawało się to takie oczywiste - gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. O ukryte w gruzach skarby Breslau.

- Od początku szło im o działania pozorowane, odciągające uwagę. Naprawdę nieźle to wykombinował: niech władza ma zajęcie, niech безпеaka szuka mitycznego „komendanta” wzywającego miejscowych do oporu, podczas kiedy my spokojnie czyścimy miasto z fantów. Przypuszczam, że te mordy na Niemcach, rzekomych zdrajcach, to także robota Szmagi, a nie Werwolfu. Ale za śmiali są z tym wszystkim, ktoś z UB musi ich kryć. I to ktoś wysoko postawiony.

Nyczek nerwowo zagryzł wargi i strzepnął palcami, jakby niechcący dotknął gorącego garnka.

- Aj, niedobrze będzie, jeśli UB macza w tym palce. Bo to nie wszystko. Kiedy szedłem za Walusiem przez Sternstrasse, pomyślałem sobie, że dobrze byłoby wiedzieć, gdzie zanieś ulotki. Tak jak przypuszczałem, polazł na szaberplac, do kantoru Szmagi. Powinienem zawrócić, ale coś mnie podkusiło i przyczałem się za jedną z budek. Ludzi już na placu nie było, wynieśli się przed zmierzchem, bo wiadomo, co się dzieje w nocy. Ale ci od Szmagi wcale się nie bali, w jego budzie paliło się światło. Na straży stał ten sam młody byczek, któregośmy wtedy spotkali. Zakradłem się od tyłu i zajrzałem przez okienko. W gabinecie siedzieli we trzech, Waluś, Szmaga i człowiek w mundurze, porucznik, na mój nos bezpieczniak jak nic. Wyglądali na bardzo zblatowanych, pili i gadali dość głośno, niestety, chyba o nas, bo co CHWILA Szmaga mówił, że trzeba wreszcie skończyć z „tymi dupkami z Piastenstrasse”. Porucznik mu przytakiwał i powtarzał w kółko, że już niedługo i że za „parę dni będę mógł go zdjąć”. Czy on aby nie myślał o panu?

Korzycki poczuł nagłą suchość w ustach i przełknął głośno ślinę.

- Jak się zwracali do tego porucznika? Padło jakieś nazwisko? Sięgnął po kubek z wystygniętą już herbatą i wychylił go duszkiem. Nyczek chrząknął z zakłopotaniem.

- A nie mówiłem już? Dziwne jakieś, jakby Kajman czy Kaman, dobrze nie słyszałem...

Zapadło ciężkie milczenie. Jan pomyślał, że dobrze zrobił, trzymając w pokoju spakowany na drogę plecak. Mimo wszystkich rad Kuligowskiego nie liczył na zbyt długą niepamięć towarzysza porucznika Kamana. W końcu bezpieczeństwa musiała się nim zająć. Lecz nie mógł jeszcze uciekać, bo jeśli miał w końcu coś zrobić ze sprawą Szmagi, to teraz. Był tylko jeden człowiek, który mógł mu pomóc.

- Wiesz, gdzie jest powiatowe UB? - zapytał Nyczka, a gdy ten skinął głową, kontynuował: - Pójdiesz teraz na posterunek, weźmiesz dwóch chłopaków i zanieziesz na UB meldunek. Masz go wręczyć porucznikowi Władysławowi Zimmerowi, nikomu innemu!

Po kwaśnej minie Ernesta było widać, że zadanie wcale mu się nie uśmiecha. Wędrówka przez nocny Wrocław, nawet w towarzystwie uzbrojonych milicjantów, wciąż zakrawała na czysty hazard. Korzycki nie miał jednak innego wyjścia. Musiał powiadomić Władka.

- Weźcie z posterunku dwa pancerfausty i jeśli tylko ktoś coś zacznie, nie pieprzcie się, tylko przywalcie - pouczył go. - Kiedy oddasz kartkę Zimmerowi, wracaj na plac. Obserwujcie z daleka kantor Szmagi, a jak się zacznie, nie mieszajcie się, zostawcie sprawę bezpiece. Potem przyjdiesz tutaj i zameldujesz mi co i jak.

Poszedł do swego pokoju i na kartce wyrwanej ze starego brulionu Martina skreślił parę zdań do Władka. Nie wdawał się w szczegóły, napisał tylko, że Szmaga współpracuje z Werwolfem i dowód na to, w postaci niemieckich ulotek, znajduje się w jego kantorze na szaberplacu. Kiedy wrócił do kuchni, wciąż był w niej tylko Nyczek, Reni wraz z matką nie wyszły jeszcze ze swojego pokoju.. Nie chciał im jednak niczego mówić, póki sprawy ostatecznie się nie wyjaśnią.

Było pół do dziewiątej. Na wschodzie, z rejonu Bischofswalde, coraz częściej nazywanego przez Polaków Biskupinem, dobiegły pojedyncze strzały karabinowe. Ale to go nie interesowało, pewnie studenci ze Straży Akademickiej chcieli wystraszyć szabrowników dobierających się do majątku klinik uniwersyteckich. Bardziej przejmował go zachód, dokąd udał się Nyczek z patrolem, a tam panowała cisza. Patrzył na zegarek i obliczał w myślach, ile czasu zajmie im odnalezienie Zimmera. Dotarcie do Vorwerkstrasse, gdzie mieściła się bezpieka, powinno trwać nie więcej niż dwie godziny. Chyba że po drodze wdadzą się w

jakąś awanturę, wymianę ognia z zaczajonym w gruzach snajperem na przykład. Miał jednak nadzieję, że uzbrojonych ludzi nikt nie będzie zaczepiał, bandyci zwykle polowali na łatwiejszą zdobycz. Tak czy siak, nawet gdyby coś im się przydarzyło, najpóźniej o północy Władek powinien zacząć działać.

Jan siedział na łóżku i palił papierosa za papierosem, nasłuchując, czy od strony rynku nie dobiegną odgłosy strzelaniny. Ale nic się nie działo, nawet pukania przy klinikach ucichła. Zastanawiał się, co powinien dalej zrobić. Załatwienie sprawy Szmagi nie rozwiązywało jego problemów z Kamanem. Z tego, co usłyszał Nyczek, jasno wynikało, taryfa ulgowa od UB najwyraźniej dobiegała końca. Nawet jeśli ujęty przez Władka oberszabrownik podczas przesłuchania wsypie swego mundurowego koleżkę, Korzycki i tak nie będzie bezpieczny. W końcu jego akta wylądują na czyimś biurku, a on trafi na Kletschkaustrasse, do ponemieckiego więzienia, gdzie trzymano pojmanych na Dolnym Śląsku akowców. Gdyby miał choć odrobinę rozumu, dawno zniknąłby z Wrocławia.

Usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi i do pokoju wsunęła się Reni w koszuli nocnej i starym swetrze zarzuconym na ramiona. W przyćmionym świetle lampy naftowej nie widział dobrze jej twarzy, ale po tym, jak usiadła na łóżku i zamarła w bezruchu poznał, że jest zamartwiona. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego. Przez dłuższą chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu, jakby bojąc się odezwać.

- Słuchaj, Reni - powiedział w końcu, aby tylko przerwać ciszę - będę musiał wyjechać. Nie mogę zostać w Breslau.

Nic nie odrzekła. Pochylił się, sięgnął do biurka, gdzie stała lampa i podkręcił knot. Pojaśniało na tyle, że widział jej bladą, surową twarz i zaciśnięte usta. Bardzo w tej chwili przypominała swą matkę.

- Wrócisz? - zapytała po prostu.

- Nie wiem... Raczej nie.

Nie mógł jej powiedzieć nic więcej. Im mniej wiedziała, tym było dla niej bezpieczniej.

- A co z nami?

Dobry moment sobie wybrała, aby o to pytać. A co z nimi mogło być? Takich mieszanych par, polsko - czy sowieckoniemieckich konkubinatów w tych niespokojnych miesiącach zawiązało się dużo, chodziło o prosty kontrakt - mężczyzna dostawał łóżko, kobieta bezpieczeństwo. Reni, niegłupia przecież, doskonale o tym wiedziała. Nagły koniec został wpisany w ich układ i nikt nie powinien mieć pretensji. Niemniej gdy patrzył na jej zamartwioną twarz, czuł się podle. Przywiązywał się do kobiet, z którymi sypiał.

Kiedy wciąż nie odpowiadał, westchnęła cicho, wstała i swoim zwyczajem bezszelestnie wysunęła się z pokoju. Nie polepszyło mu to nastroju. Wolałby awanturę, wyrzuty i krzyki. A tak, w obliczu milczącej zgody dziewczyny, czuł się, jakby siedział nie na łóżku jej brata, ale na ławie oskarżonych.

Minęła północ, papierosy skończyły się i nie miał co palić. Zgasił lampę i otworzył okno, w niewielkim pokoiku Martina nie dało się oddychać, tak go zasmrodził. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, wsłuchując się w odgłosy miasta. Od dłuższego czasu nikt nie strzelał, nie słyszał też wyczynianego przez Niemców rabanu, którym witali szabrowników. Nie przypominał sobie tak spokojnej nocy w Breslau. I w tym momencie, od strony Gneisenauplatz, usłyszał odległy jeszcze szmer silników. W Sternstrasse wjechało kilka samochodów. Odgłos potęgował, auta wyraźnie zmierzały do skrzyżowania z Piastenstrasse. Wychylił się z okna, próbując coś dojrzeć, ale zobaczył tylko kilka ciemnych kształtów, chyba jeepów, i obrys budy ciężarówki. Wozy skręcały w stronę targowiska. Jechały z wyłączonymi reflektorami. Korzycki odetchnął z ulgą - bezpieka wreszcie się zjawiała.

Potem przez pięć minut nie działo się nic, aż wreszcie padły pierwsze strzały. Serie ze szmajserów przeplatały się z tęnym terkotem pepesz okraszonym chaotyczną palbą z karabinów.

Trwało to krótko, kilkadziesiąt sekund zaledwie, potem zapadła cisza. Korzycki sięgnął po pas z kaburą. Wyjął parabelkę i sprawdził, czy w magazynku są naboje. Wtedy usłyszał na ulicy szybkie kroki. Noc była bezchmurna, a księżyc w pełni, więc w bladej poświacie zobaczył idącego jezdnią człowieka. Po mauserze na ramieniu i śmiesznie przekrzywionej rogatywce poznał, że to Nyczek. Jan zapiął pas i wyszedł z mieszkania. Spotkał podkomendnego, gdy ten wchodził do bramy.

- O, dobrze, że pan jest - chłopak wyglądał na bardzo przejętego. - Bo, kurka, sprawy się komplikują. Wszystko przez bezpieczniaków, którzy koniecznie chcieli podjechać na sam plac, tacy są wygodni. No i tamci usłyszeli samochody i kapnęli się, że to po nich. I jak ubowcy wysiedli z wozów i podeszli do kantoru, nawet się specjalnie nie kryjąc, tamci sypnęli im grochem w te ich durne gały.

- Dało się słyszeć - powiedział Korzycki. - Krótko proszę: dorwali ich czy nie?

Kapral roześmiał się z przekąsem.

- Tylko tego najmłodszego i pewnie najgłupszego, tego, co to wtedy, jak byliśmy u Szmagi, stróżował przed budą. Szmaga z Walusiem zwiali, ukryli się w jednej kamienicy na Fiirsten, wleźli do piwnicy. Tam ich bezpieka osaczyła, ale ciężko będzie koleśi wykurzyć. Dobrze się ostrzeliwują.

W tej chwili dobiegła ich długa seria ze szmajsera, której odpowiedziały karabinowe strzały.

- No właśnie ci z bezpieczki próbują się do nich dostać.

- Idziemy tam - zdecydował Korzycki.

Doszli do skrzyżowania i skręcili w Sternstrasse. Zalana księżycową poświatą ulica przypominała skalisty kanion gdzieś na Dzikim Zachodzie. Poszczerbione przez bomby ściany kamienic na tle rozgwieżdżonego nieba wyglądały jak poszarpane, skaliste turnie. Panowała całkowita cisza. Odgłos kroków, powtarzany przez echo, brzmiał szczególnie upiornie. Korzycki, patrzący na wypalone jamy okien i podziurawione ściany, fosforyzujące srebrzyście w zimnym blasku, pomyślał, że te martwe domy są jak nagie szkielety obrane z mięsa i do białości oczyszczone przez mrówki.

Nyczek, któremu udzielił się niesamowity nastrój miejsca, rozglądał się podejrzliwie, wpatrując w ciemne dziury rozwalonych bram, aż w końcu nie wytrzymał:

- Boże jedyny, tu jest jak na cmentarzu! - szepnął, żegnając się jednocześnie.

Po przejściu dwustu metrów skręcili w lewo, w Hedwigstrasse, nieco mniej niż Stern zrujnowaną - w głębi ulicy, na rogu, gdzie przecinała się z Fiirstenstrasse, zobaczyli ciężarówkę i dwa jeepy. Bezpieczniacy już się nie kryli, samochody były oświetlone, kręcili się przy nich pokrzykujący do siebie uzbrojeni ludzie. Oblężenie osaczonych w piwnicy szabrowników wciąż trwało, od czasu do czasu strzelano z karabinów, ale szmajser milczał. Korzycki domyślał się, że bandyci oszczędzają amunicję. Pojazdy UB stały przy narożnej kamienicy, częściowo zburzonej, ale z ocalałym parterem. Milicjanci minęli hałasujących ubeków i weszli przez bramę do korytarza prowadzącego przez cały dom na podwórze. Tam po paru krokach zatrzymał ich jakiś sierżant, świecąc latarką w oczy.

- A wy gdzie, życie wam niemiłe? - zapytał ostro. - A w ogóle, co tu robicie?

Korzycki spokojnym głosem wyjaśnił mu, że jest komendantem posterunku na Piastenstrasse i przyszedł sprawdzić, kto działa w jego rewirze. Ubek chciał coś odpowiedzieć, kiedy nagle z boku, zza drzwi prowadzących najpewniej do mieszkania stróża, dobiegł gwałtowny rumor, jakby łamanego krzesła, potem krzyk i strzał. Odkoczyli pod przeciwległą ścianę, odruchowo odbezpieczając broń. Drzwi uchylły się i zobaczyli

302 w nich Zimmera w mundurze z dystynkcjami porucznika. Chował pistolet do kabury. W głębi oświetlonego kagankiem pomieszczenia kapral, który woził Władka jeepem, pochylał się nad leżącym na podłodze ciałem mężczyzny.

- To musi być ten młody od Szmagi, nie zdążył dać dyla z szefem - szepnął Nyczek Korzyckiemu do ucha.

Zimmer, zobaczywszy dawnego przyjaciela, skinął mu zdawkowo głową. Świetnie udawał, że się nie znają.

- Aresztant stawiał opór, rzucił się na mnie i kaprala Górkę. Musiałem go zastrzelić - powiedział do sierżanta. - Zabierzcie ciało.

Odwrócił się i nie zwracając na nikogo uwagi, poszedł w kierunku podwórza. To stamtąd dobiegały strzały. Korzycki postąpił chwilę pod ścianą, po czym, z depczącym mu po piętach Ernestem, podążył za Zimmerem. Sierżant już im nie przeszkadzał, oddalił się do samochodów, pewnie po ludzi do przeniesienia zwłok.

U wylotu prowadzącego od bramy korytarza stało trzech bezpieczeniaków i dwóch ludzi Jana, Nowak i Stepczyński, których Nyczek zabrał ze sobą z posterunku. Co chwila któryś wyglądał za węgiew, strzelał w głąb podwórza i szybko się cofał. Jeden z ubeków zameldował się służbiście Zimmerowi.

- Obywatelu poruczniku, tamta kamienica, położona po drugiej stronie podwórza, jest zrujnowana, trafiła w nią bomba, ale oficyna ocalała. Wleźli do niej i walą z okienek prosto w przejście, nie da się wyjść. A nawet jakby się dało, to nie ma tam żadnej osłony - raportował. - Nie da rady obejść, wszędzie gruzy. Po nocy nic nie zdziałamy, trzeba czekać do rana.

Po minie Zimmera było widać, że mu się to nie uśmiecha. Odsunął milicjanta, który właśnie składał się do strzału, stanął przy ścianie i przez dłuższą chwilę obserwował podwórko. W pewnym momencie cofnął się gwałtownie i przyłgął płasko do muru. Nad głowami stojących w korytarzu ludzi gwizdnęła krótka seria ze szmajsera, odłupując tynk z sufitu. Tamci naprawdę dobrze się wstrzelali.

- Trzeba poczekać do rana - powtórzył ubek. Porucznik jeszcze raz na sekundę wyjrzał na podwórko i pokręcił przecząco głową.

- Zrobimy inaczej. Pójdiesz do sierżanta Zubrzyka i powiesz, aby przyszedł z dwoma ludźmi. Mają mieć pepesze i dwa kanistry benzyny. Szybko.

Kiedy bezpieczeniak pobiegł do stojących na ulicy samochodów, Zimmer zwrócił się do pozostałych:

- Mam robotę dla faceta z jajami. Oni strzelają z trzeciego okienka od schodów prowadzących do piwnicy, które są po lewej. Przy tych schodach leży kawał ryny, ma ze dwa metry. Potrzebuję chojraka, który by się tam podkradł z kanistrami, wziął tę rurę, podszedł z boku do okienka i wlał im przez rurę do środka benzynę... Ile się da. A potem w mig odskoczył, bo będą fajerwerki.

Do korytarza, a raczej tunelu biegnącego pod kamienicą docierał jedynie odbłask zalewającego podwórze światła księżycy i Korzycki nie widział min ubeków i milicjantów,

ale dałby sobie rękę uciąć, że były nietęgę. Mamrotali coś pod nosami i nie zapowiadało się, aby któryś się zgłosił. Już sam otwierał usta, kiedy usłyszał głos Nyczka:

- Bułka z masłem, obywatelu poruczniku. Mam pewien pomysł.

Zaczął coś szeptać do jednego z milicjantów, Nowaka, który skinął głową, przykucnął i podniósł coś spod ściany. Jan dopiero teraz zauważył, że leżą tam dwa pancerfausty. Te, które kazał im wziąć z posterunku.

- Jak będę wypadał z bramy, Nowak przywali z pancerfausta w parter nad okienkiem, powinno ich to trochę przygłuszyć.

Nieźle - pomyślał Korzycki. Tylko dlaczego od razu nie walnąć w okienko? Byłoby po sprawie, a gdyby nawet nie, można by poprawić z drugiej sztuki. Powiedział to głośno. Ale Zimmerowi to proste rozwiązanie nie przypadło go gustu.

- Potrzebuję tych drani żywych - oświadczył. - Mają sporo ciekawych rzeczy do powiedzenia.

Jan chciał zapytać, czy tyle samo co ich koleś zastrzelony w stróżówce, ale ugryzł się w język, zwłaszcza że zjawił się sierżant z dwoma ludźmi i benzyną. Później sprawy potoczyły się szybko. Ernest złapał za kanistry i skulony przycisnął się pod ścianą u wylotu korytarza. Nowak zarzucił na ramię pancerzownicę i dość długo celował, może dlatego, że księżyc świecił słabiej, pewnie przysłonięty chmurą. W końcu nacisnął spust, pancerfaust odpalił ze stęknieniem i głowica walnęła w piętrzące się nad oficyną ruiny. Huknęło i rozległ się piekielny rumor walących się murów. Dwaj ubecy zaczęli walić z pepesz w stronę piwnicy, ale było to niepotrzebne, podwórko zasnuł tuman ceglanobetonowego kurzu, wzniecony przez osuwający się z góry gruz.

Nyczek szurnął na podwórze zaraz po strzale Nowaka i zniknął w chmurze pyłu. Tamci w oficynie szybko się otrząsnęli i domyśliwszy się, że coś się szykuje, zaczęli strzelać na oślep - serie ze szmajsera grzechotały po ceglach, odezwał się też pistolet. Korzycki i inni zaczajeni w bramie początkowo nie widzieli ani nie słyszeli, co robi Ernest. Gdy szabrownicy, którym widocznie kończyła się amunicja, przestali pruć przed siebie na oślep, milicjantów dobiegło metaliczne szczęknięcie kanistrów, potem jakieś szuranie, jakby chłopak targał coś ciężkiego.

Kiedy po paru minutach kurzawa opadła, zobaczyli pod ścianą oficyny, tuż przy okienku, w którym coś się ruszało, przycajonego chłopaka. Trzymał w rękach rynnę i podsuwał ją pod okienko. Ustawił ją skosem, unosząc wyżej ten trzymany przez siebie koniec i podpierając go kanistrem, drugi koniec oparł o parapet. Usłyszeli szczęk otwieranego korka i gulgot lanej do rury benzyny.

Szmaga i Waluś poczuli zapach paliwa i próbowali coś zrobić. W otworze pojawiła się ręka z pistoletem, ktoś usiłował tak ją wykręcić, aby strzelić wzdłuż ściany, w stronę Nyczka. Zimmer syknął na swoich ludzi, aby dali osłonę. Zaterkotały pepesze, kule zaczęły obłupywać cegły nad okienkiem i ręka zniknęła. W tym czasie Ernest skończył opróżniać drugi kanister. Odrzucił go potem daleko od siebie i, wciąż przyciśnięty do ściany, odbiegł w stronę schodów.

Korzycki przysiągłby, że Zimmer uśmiechnął się, kiedy zwrócił się do sierżanta, aby dał mu rakiетnicę. Celował długo, jakby rozkoszując się tą chwilą. Wreszcie wystrzelił. Miał dobre oko, biała błyskawica trafiła prosto w okienko.

Przez parę sekund nie działo się nic. Rakieta zniknęła w środku i zgasła, a ciemności na podwórku wydawały się jeszcze głębsze. Ale potem w okienku pojawił się czerwony blask. Początkowo niezbyt intensywny, ale z każdą chwilą potężniejszy, pojawiający się w kolejnych otworach. W ciągu minuty płomienie rozlały się po całej piwnicy.

- Powinni zaraz wyjść - zauważył Nowak, wciąż trzymający w ręce niepotrzebną już rurę pancernownicy. - Tam pewnie jest od cholery kłopotów. Jak to się zajmie...

Czerwony blask wzrastał się, długimi pasmami wydobywającymi się z okienek oświetlał podwórze, na zewnątrz pojawiły się liżące mury języki ognia. Ubegy i milicjanci wyszli z bramy, wtedy dołączył do nich Nyczek z pustymi kanistrami. Nie musieli się już kryć, Szmaga i Waluś mieli inne problemy niż strzelanie, lada chwila mogli się spalić lub udusić, przez schody prowadzące do piwnicy walił gęsty, smolisty dym. Pewnie zajęły się jakieś materiały łatwopalne.

- Jeśli te skurwysyny teraz nie wyjdą, to... - Do Nowaka nadal nie docierało, że tamci tego nie zrobią.

Gdy pożar rozgorzał na dobre i z okienek trysnęły strugi ognia, rzucając na podwórko i okoliczne ruiny czerwony, chybotliwy blask, usłyszeli dwa stłumione strzały. Korzycki, choć tego oczekiwał, odczuł nagłą ulgę. Cokolwiek tamci dwaj zrobili, zapłacili za to w tej ostatniej strasznej chwili, gdy ujrzeli, jak pali się ich skóra, pękając i odsłaniając skwierczące mięso odchodzące od kości.

Szalejący w piwnicy pożar huczał ogłuszająco. Jan nie chciał dłużej na to patrzeć i obrócił się w stronę bramy, zamierzając odejść. Za nim stał Władek, wciąż z pustą rakiетnicą w dłoni. Miał bladą, ściągniętą twarz. Chciwie, z bolesną wręcz intensywnością patrzył w ogień.

\* \* \*

Nie czekali, aż oficyna się dopali. Zostawili na straży Nowaka ze Stepczyńskim,



którzy mieli ich zawiadomić, gdyby pożar się rozprzestrzenił. Ale nie zanosiło się na to, materiały łatwopalne znajdowały się jedynie w piwnicy. Gruzy nad nią nie chciały się zająć. Zimmer i jego ludzie zwinęli się zaraz po tym, jak stało się jasne, że Szmaga i Waluś nie żyją. Ubecy obiecali, że przyślą straż pożarną, ale gdy Nyczek i Korzycki odchodzili w stronę Sternstrasse, żaden strażak jeszcze się nie pojawił.

Dochodziła szósta rano, kiedy znowu znaleźli się na skrzyżowaniu z Piastenstrasse. Jan pomyślał, że zaprosi chłopaka na herbatę, bo ten wyglądał na skonanego. Poza tym wolał na razie nie iść na posterunek. Ostatnio przysłano mu dwóch ludzi, co do których był prawie pewien, że są konfidentami UB. Nyczek widział, jak po służbie konferowali z cywilami na kilometr śmierdzącymi tajniactwem.

Kiedy z Ernestem zjawili się w mieszkaniu, Frau Mueller już nie spała. Pod płytą kuchni palił się ogień, a czajnik syczał. Kiedy kobieta ich zobaczyła, bez słowa wzięła dwa kubki z zaparzoną herbatą - ten drugi pewnie dla Reni - i wyszła do stołowego. Cechowała ją iście niemiecka kindersztuba, której Korzycki nie mógł się nadziwić. Przecież nigdy jej z tej kuchni nie wypędzał, a rozmowy po polsku nie rozumiała.

Nyczek ostrożnie upił łyk herbaty i spojrzął w okno, przejaśniło się już na dobre. Nieoczekiwanie usłyszeli dobiegające od ulicy słowicze trele. Ptaki wróciły na dobre.

- Muszę coś panu powiedzieć, bo to może być ważne. - Chłopak dmuchał na zbyt gorący płyn. - Jak na UB wypytywałem o Zimmera, pojawił się ten porucznik od Szmagi, no, Kaman czy jak mu tam. A ja musiałem dyżurnemu powiedzieć, że chodzi o tego oberszabrownika, bo w ogóle nie chciał ze mną gadać...

Korzycki odstawił kubek na stół i zaczął nerwowo bębnić palcami o blat. Właściwie mógł się tego spodziewać. Cała powiatowa bezpieka pewnie huczała od opowieści o nocnej akcji na szaberplacu. Tak czy siak, Kaman by się dowiedział, że Szmagę wystawili chłopaki z posterunku przy Piastenstrasse. Na pewno ubek nie zostawiłby go w spokoju, Jan za dużo wiedział. Powinien zniknąć z Wrocławia jak najszybciej. Choć mogło być już za późno na ucieczkę.

- Dobra, na posterunek nie wracam, muszę... - Nie dokończył, bo usłyszeli dobiegający z ulicy odgłos nadjeżdżającego samochodu. Pojazd zatrzymał się przed domem, kierowca nie wyłączył silnika. Na dole trzasnęły drzwi i na schodach rozległy się szybkie kroki.

- Tacy są prędcy? - Nyczek rozejrzał się gorączkowo po kuchni, jakby szukając drogi ucieczki. Wstał, usiłując wyrzeć przez okno częściowo zaklejone gazetą. - Cholera, głupi jestem, powinienem o tym Kamanie wcześniej panu powiedzieć...

Korzycki, który zdążył już odbezpieczyć parabelkę, schował broń do kabury. Korytarzem szedł tylko jeden człowiek, na pewno nie parosobowy patrol. Kroki ucichły przy drzwiach mieszkania Frau Mueller i usłyszeli pukanie, niezbyt głośne. Gospodyni wyjrzała ze stołowego pokoju, miała pobladłą twarz. Wiedziała, że coś się dzieje. Jan poprosił, aby otworzyła.

Na korytarzu stał Władek Zimmer. Po cywilnemu, w ciemnym płaszczu i kapeluszu z opuszczonym rondem wyglądał jak detektyw z amerykańskiego kryminału. Bez ceregieli władował się do mieszkania. Wydawał się spięty, choć zachowywał spokój.

- Musisz wiać - powiedział do Korzyckiego, nawet się nie przywitawszy. - Kaman ma na ciebie nakaz aresztowania. Jego zdaniem jesteś ukrywającym się akowcem. Chyba nie łże, co?

- Nie - odparł Jan. - A ty skąd wiesz o tym nakazie? Zimmer zerknął na zegarek, zdjął kapelusz, odsunął krzesło i usiadł.

- No, myślę, że mamy trochę czasu, zanim tu przyjadą, Kaman musi poczekać na samochód, ostatni wolny ja zabrałem.

Zapadła chwila ponurego milczenia. Korzycki patrzył podejrzliwie na przybysza, niezbyt pewien, jakie Władek ma intencje.

- Zatem jesteś z UB... - stwierdził, właściwie niepotrzebnie. Dawny kolega z Mińska uśmiechnął się, wyjął papierosy i zapalił. Poprawił się na krześle, jakby coś go uwierało. Pewnie w kieszeni miał pistolet.

- Organizacyjnie w tej chwili tak. A tak ogólnie to nie. Towarzysz Zimmer trzyma tylko z Władysławem Zimmerem, nikim innym. O czym czerwoni nie wiedzą.

Korzycki usiadł naprzeciwko. Władek uprzejmie poczęstował go papierosem, camelem. Przyjął, bo wolał je od węgierskich, które ostatnio palił.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytał, odpalając od podanej przez niego zapalniczki.

Zimmer strzepnął popiół na podłogę i wzruszył ramionami, jakby zirytowany, że musi się tłumaczyć z takich oczywistości.

- Bo ty i twoja rodzina zawsze byliście wobec nas w porządku. Prawdziwie oświeceni Polacy, może nie filosemici, ale też i nie tacy, którzy wycierają rękę po podaniu jej Żydowi. Szanowałem twojego ojca, miał naprawdę otwarty umysł, humanista, taki renesansowy. Wiem, że gdybym się do was zwrócił o pomoc, nie odmówilibyście. Dlatego nie widzę powodu, aby syn tego zacnego człowieka skończył z kulą w głowie na Kletschkaustrasse. Oni za jakąś godzinę tu będą, lepiej się spakuj.

Jan chciał sentencjonalnie odpowiedzieć, że tacy jak on zawsze są spakowani, kiedy w

drzwiach kuchni niespodziewanie stanęła Reni z twarzą bladą i poważną. Przez dłuższą chwilę patrzyła na zebranych mężczyzn: opartego o ścianę obok pieca Nyczka i siedzących naprzeciwko siebie Zimmera i Korzyckiego. Pewnie, wiedzona kobiecą intuicją, domyśliła się wszystkiego, bo zapytała:

- To już? Musisz wyjechać? Kiedy?

- Zaraz - odparł. - Za pół godziny.

- Poczekaj - rzuciła i wróciła do stołowego. Rozmawiała z matką, trwało to może pięć minut. Potem pokazały się obie, Reni w ciemnozielonym płaszczu z grubej wełny i w solidnych podróżnych butach, z małym plecaczkiem w rękę, wyglądającym tak, jakby został uszyty ze starej poszewki. Frau Mueller podeszła do stołu i położyła na nim złożony kartonik. Poznali niemiecki ausweis.

- To dokumenty Martina, powinien oddać przed pójściem do wojska, ale zgłosił, że zgubił. Myślał, że mu się przydadzą, gdyby musiał... - Nie dokończyła. - Proszę je zabrać.

Zimmer wziął dokument i krytycznie przyjrzał się fotografii Martina Muellera.

- Niezły pomysł - powiedział. - Tylko zdjęcie bym wymienił, bo niespecjalnie jesteście do siebie podobni.

- A ty gdzie się wybierasz? - Korzycki wskazał na plecak trzymany przez Reni. Dziewczyna zarzuciła go na ramię i spojrzała mu twardo w oczy. Zrozumiał, że nie żartuje.

- Z tobą - odparła spokojnym głosem. - Jeśli musisz się ukrywać, to wiem, gdzie możemy pojechać.

Zerknął na Frau Mueller. Stara Niemka stała nieruchomo w drzwiach, ze złożonymi na podołku rękoma, w tej odwiecznej kobiecej pozie oznaczającej pogodzenie się z losem. Jej twarz, jak zwykle, nic nie wyrażała, nieruchoma i surowa jak u indiańskiego wodza.

- I pani uważa, że to dobry pomysł? - zapytał.

- Mamy na wsi krewniaków, oni pana przechowają. Reni pana tam odwiezie, a potem...

- A potem nie powinna tu wracać - wtrącił po niemiecku Zimmer. - Za godzinę będzie tu rewizja polskiego „Gestapo”. Będą ciekawi, gdzie zniknęła pani córka. Byłoby dobrze, gdyby i pani się wyniosła.

Twarz Frau Mueller stała się jeszcze bardziej surowa.

- Nie opuszczę mojego domu. I nie bójcie się, nic im nie powiem.

Jan pokręcił przecząco głową i próbował jej to wyperswadować, proponował, aby pojechała z nim i Reni, ale okazała się nieustępliwa. Oświadczyła, że mogą ją na miejscu rozstrzelać, a ze swego domu nie ruszy się na krok. Jedyne, czego chce, to aby Reni była

bezpieczna. Tłumaczył jej, że z UB nie ma żartów, ale słyszał tylko niezmiennie Nein. Dał w końcu spokój, wiedząc, że nie przekona starej, upartej jak koziół kobiety. Spojrzał na Nyczka, który wiercił się niespokojnie pod ścianą, wyraźnie zaniepokojony ich toczoną po niemiecku rozmową.

- Pyskam stąd na wieś - powiedział do niego. - Ty też powinienes zniknąć, bo dobiorą się do ciebie. Słuchaj - zwrócił się do Zimmera - wiadomo ci coś o powiązaniach Kamana ze Szmagą?

Władek skinął powoli głową, ale nie kwapił się do mówienia. Wyciągnął drugiego papierosa i bardzo długo go zapalał.

- Wiem tyle, że Kaman zapewniał mu krycie - rzekł wreszcie. - Taki parasol od UB, nie za darmo oczywiście.

- Skoro wiesz o tym, także nie jesteś bezpieczny - zauważył Korzycki. - Kaman nie będzie się patyczkował, bo tu o jego własną głowę chodzi. Za kumanie się z szabrownikami może dostać czapę!

Zimmer uśmiechnął się nieznacznie i zaciągnął się głęboko, po czym z namaszczeniem wypuścił całkiem zgrabne kółeczko. Nie wyglądał na przerażonego konfrontacją z towarzyszem porucznikiem.

- Poradzę sobie, poza tym mam tu jeszcze sprawę do załatwienia. Taki drobny interes do ubicia z panem Szmagą. Muszę wyrównać z nim pewne rachunki...

Jan nie bardzo wiedział, o czym Władek mówi, bo przecież ten człowiek już nie żył, ale nie mógł go wypytywać. W tym momencie usłyszeli na ulicy odgłos klaksonu. Ktoś nacisnął go kilka razy, wyraźnie zniecierpliwiony.

- To Górka, mój kierowca, pewny człowiek. - Zimmer zaciągnął się jeszcze raz papierosem i wrzucił go do zlewu. - Przypomina, że czas na nas, Kaman może tu być lada chwila. Odjadę za róg i schowam samochód w bramie. Poczekam na was przez kwadrans. Górka może was wywieźć z miasta na którąś z podmiejskich stacji, lepiej, żebyście nie pokazywali się na wrocławskim dworcu.

Korzycki wiedział, że Władek ma rację. Wstał i udał się do swego pokoju po kurtkę i plecak. Kiedy stamtąd wyszedł gotów do drogi, Zimmera nie było już w mieszkaniu, słyszał jego oddalające się kroki na korytarzu. Szybko pożegnał się z Nyczkiem.

- Masz coś na oku po tej milicji? - zapytał.

- Owszem. - Chłopak wcale nie wydawał się przejęty perspektywą rozstania się ze służbą. - Kuzyn wziął młyn pod Bolesławcem, pisał, że bardzo by mu się przydała pomoc. Pojadę do niego, a potem się zobaczy.

Uścisnęli sobie ręce i Ernest wyszedł. Kiedy Jan zamknął za nim drzwi i obejrzał się w stronę kuchni, zobaczył, jak Reni obejmuje matkę. Stara Niemka tym razem nie ukrywała łez. Drżącą ręką głaskała córkę po głowie.

- Jeśli mnie stąd wywiozą, będę u wujka Rudiego w Dusseldorfie - powiedziała. - Tam mnie szukaj.

Odepchnęła córkę od siebie i skinąwszy zdawkowo Korzyckiemu, zniknęła w stołowym. Musieli już iść, bezpieka mogła wpaść w każdej chwili, także Władek nie mógł na nich czekać w nieskończoność. Kiedy znaleźli się na korytarzu, dziewczyna machnęła do niego, niby że jeszcze moment, i pobiegła schodami na wyższe piętro.

- Muszę się pożegnać z profesorem! - zawołała. - To zajmie sekundkę!

Ruszył za nią, przeklinając pod nosem jej sentymentalne odruchy. Na wzajemność pod tym względem ze strony ubeków nie mogli, niestety, liczyć. Wpadł do mieszkania Bergów, mijając stojącą w progu zaskoczoną gospodynię, tęgą kobietę w szlafroku i papilotach. W przedpokoju, naprzeciwko szeroko uchylonych drzwi prowadzących do zajmowanej przez Baumana kwatery, zobaczył Reni. Stała nieruchomo, zastygła w pół kroku, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widziała w głębi pokoju. Podeszedł do dziewczyny i spojrzał jej przez ramię.

Na pozór wyglądało to tak, jakby profesor zasnął w fotelu, przy ulubionej lekturze, co mu się często zdarzało. Ale coś było nie tak z jego twarzą. W słabym świetle padającym przez zakurzona szybę okna Jan nie widział jej wyraźnie, wydawało mu się, że wykrzywił ją nienaturalny, upiorny uśmiech. Dopiero kiedy, mijając skamieniałą Reni, podeszedł parę kroków, aby się lepiej przyjrzeć, dostrzegł zniekształconą przedśmiertną konwulsją twarz, pianę na rozchylonych ustach i sterczące spomiędzy zębów szklane drzazgi. Poczł charakterystyczny, mdlący zapach migdałów.

Ktoś się poruszył za jego plecami. Odwrócił głowę i zobaczył starszego, krępego mężczyznę, Herr Berga, właściciela mieszkania. Spotkał go już kiedyś, kiedy zaszedł do profesora na partyjkę warcabów.

- Dostał wczoraj nakaz wysiedlenia - powiedział Berg, rzucając okiem na ciało. Widok trupa nie zrobił na nim specjalnego wrażenia. - Zamknął się potem w pokoju i prosił, aby mu nie przeszkadzać. Natychmiast to zgłoszę.

Korzycki jeszcze raz spojrzał na twarz profesora. Półotwarte, szkliste oczy patrzyły przed siebie, w przestrzeń. Spozrzegł, że zmarły jedną rękę położył na oprawnym w skórę tomie, poznał Krytykę władzy sądenia Kanta.

Odwrócił się i delikatnie dotknął ramienia Reni wstrząsanej bezgłośnym szlochem.

- Nic tu po nas, on już wybrał - powiedział. - Tak jak chciał, pozostanie w Breslau.

\* \* \*

Sołtys Sroka, niski, wąsaty chłopiec o czerwonej twarzy pijaka nie prezentował się zbyt okazale w wytartym mundurze z dystynkcjami kaprała. Pewnie dlatego, aby dodać sobie znaczenia i powagi, tak groźnie spoglądał na nich spod krzaczastych brwi. Przeciwnie drugi przedstawiciel naczalstwa, Wodecki, sekretarz gminy, trzydziestoletni elegancik w dobrze skrojonym garniturze i z wybrylantynowaną fryzurą, który siedział ze znudzoną miną za stołem i niespiesznie wertował księgę meldunkową. Wyglądał jak alfons puszczający dziwki na Targówku. Znał niemiecki i tłumaczył rozmowę.

W izbie służącej za gabinet sołtysa, prócz wiekowego biurka, za którym urzędował Sroka, i stołu sekretarza, znajdowała się jeszcze wielka, przeszklona szafa na dokumenty, wypełniona porządnie oprawionymi woluminami z niemieckimi napisami na grzbietach. Wystroju dopełniał stojący w kącie karabinek kawaleryjski, odcyszczony i błyszczący smarem. Pewnie sołtysa, bo tylko frontowy wojak umiał tak dbać o broń.

Sroka podejrzliwie oglądał ich dokumenty - Korzycki wczoraj wraz z Karlem przerobił ausweis Martina, podmieniając zdjęcie i przenosząc pieczętkę za pomocą przekrojonego surowego ziemniaka. Doświadczone oko bez trudu rozpoznałoby fałszerstwo, ale sołtys zdawał się niczego nie zauważać. Pewnie liczył, że za swoją pobłażliwość wydusi od Hagenów sporą łapówkę. Sądząc po jego czerwonym nosie, potrzeby miał duże. Pewnie także wyszukana elegancja pana sekretarza sporo kosztowała.

- A właściwie to czego wy szukacie w Petersdorfie, to znaczy, chciałem rzec, w Piotrowicach? - zapytał Sroka, unosząc głowę znad badanych przez siebie papierów.

Korzycki cierpliwie poczekał, aż Wodecki przetłumaczy pytanie.

- Panie komendancie, w Breslau panuje głód - wyjaśnił. - Nawet jak się ma kartki, to chleba dostać nie można.

Pomyślałem, że u krewniaków na wsi łatwiej się wyżywimy.

- W sumie niegłupio chłopak kombinuje - dorzucił od siebie Wodecki. - Mam kuzyna we Wrocławiu, pisał, że bryndza straszna, głód jak za okupacji, posłałem mu słoik smalcu.

Sroka raz jeszcze spojrzął na trzymane w ręku ausweisy. Zmarszczył czoło i podrapał się po nosie.

- Może to esesman jaki? - zerknął podejrzliwie na Jana. - Przyjechał tu, aby doskoczyć do kumpli w górach?

Siedzący pod oknem elegancik uważnie zlustrował domniemanego Martina Muellera, a potem długo i bezczelnie przyglądał się Reni. Raptem, ruchem niespodziewanym i szybkim niczym u grzechotnika, poderwał się zza stołu, chwycił stojący w kącie izby karabinek i

repetując broń, skierował lufę w stronę Korzyckiego.

- No już, zdejmuj koszulę i podnoś łapy, wysoko. I żadnych głupich ruchów, bo pożałujesz, ty i ta twoja dziwka - wyskandował.

Korzycki poznał po jego zmrużonych, zimnych oczach, że facet nie żartuje. Bardzo powoli zaczął zdejmować kurtkę, potem sweter i koszulę. Kiedy stał półnagi, z wysoko podniesionymi rękami, podszedł Sroka i starannie go obejrzał, zwłaszcza pod pachami.

- Czysty - zawyrokował i gestem kazał mu opuścić ręce. - Chociaż pod łopatką coś widzę, blizna jakby po odłamku. W Wehrmachcie pewnie był?

Wodecki położył karabinek na stole i zapytał o to po niemiecku. Jan potwierdził, że w czterdziestym czwartym oberwał na Białorusi pod Mińskiem. W rzeczywistości było to w Lasach Parczewskich, we wrześniu, podczas oblawy. Nie zdążył uskoczyć przed granatem ciśniętym przez niemieckiego żandarma. Leżał potem przez dwa miesiące w leśnej klinice. Miał szczęście, rana nie paprała się i zagoiła całkiem dobrze.

- Po szpitalu nie odesłano mnie na front, zostałem w Breslau, w formacjach pomocniczych - oświadczył.

Wodecki wydał sceptycznie wargi, ale się nie odezwał. Sołtys wrócił do biurka, wziął leżące tam ausweisy i podał sekretarzowi, aby wpisał dane przybyszy do książki meldunkowej.

- Skoro już do nas przyjechałeś, to sobie siedź u Hagenów. Niedługo sobie zresztą posiedzisz - powiedział.

Dostali z powrotem dokumenty i mogli odejść.

Poprzedniego dnia Hagenowie przyjęli ich z zaskoczeniem (zrozumiałym, bo niby jak mogli się spodziewać przyjazdu krewniaków z Breslau), ale przyjaźnie. Najbardziej chyba ucieszył się Karl, zażywny, krępy trzydziestoparolatek z lekka powłóczyący lewą nogą, w którą sowiecki partyzant wpakował kulę. Młody Hagen właściwie nie żywił o to do Rosjanina pretensji, dzięki ranie wrócił do domu, do niestarej jeszcze, ładnej żony. Jak powiedział Korzyckiemu, kumple z kompanii nie mieli tyle szczęścia, gdzieś nad Prutem rozjechały ich ruskie czołgi. Także jego matka, Frau Marta, poczciwa, siwiuteńka staruszka o wielkich, podkrążonych oczach i wyglądzie dobrodusznej, podpierającej się laską sowy, wydawała się ucieszona widokiem Reni, w końcu swej siostrzenicy. Podobno nie mogła spać od czasu, gdy dowiedziała się, że jej starszy syn, Heinrich, trafił pod Stalingradem do niewoli. Do tej pory, mimo napisania dziesiątek listów do Czerwonego Krzyża, nie otrzymali o nim żadnych wiadomości.

Obydwoje zdziwili się na widok Korzyckiego, bo znali Martina. Reni wyjaśniła, kim

jest mężczyzna i dlatego musi się podawać za jej brata. Opowiedziała też, co się działo w Breslau, jak jej z matką dzielnie bronił i jak je żywił. Hagenowie kręcili w zadziwieniu głowami, ale w gruncie rzeczy nie wydawali się specjalnie zaskoczeni. Czasy wojny i powojnia przyniosły wiele podobnie zdumiewających historii. Dolnośląskie drogi roiły się od rozmaitych łazików szukających dla siebie nowego miejsca, Polaków i Niemców.

Jedynie żona Karla, Lisel, tęga blondyna wyglądająca trochę jak porcelanowa lala, nawet nie udawała ucieszonej ich nagłym przyjazdem. Byli dla niej jedynie dodatkowymi gębami do wykarmienia. Gdy dowiedziała się, że nigdy nie widziany przez nią kuzyn Martin w rzeczywistości jest ukrywającym się Polakiem, na jej ładnej twarzy pojawił się grymas niechęci.

- To mamy jeszcze żywić tego Polaczka?! - wysyczała. - Po tym, co przeszliśmy przez nich i bolszewików? Lepiej go wydać, niech z nim zrobią, co chcą.

W kuchni, w której siedzieli, rozległ się głośny stuk. To Frau Marta uderzyła w podłogę laską, mocno, z zadziwiającą jak na tak starą kobietę siłą.

- Jeśli na niego doniesiesz, to nie masz tu czego szukać! - powiedziała cichym, ale jednocześnie twardym głosem. - Ten człowiek ocalił od głodu moją siostrę i jej córkę, bronił ich przed zbirami. One są krewnymi Hagenów, a to znaczy, że jesteśmy jego dłużnikami. Jeśli ty, Lisel, uważasz inaczej, opuść mój dom i nigdy nie przekraczaj jego progu.

Korzycki widział, jak na twarzy młodej kobiety napinają się mięśnie szczęki, a jej warga podkurcza się niczym u rozwścieczonego psa. Wyglądała teraz bardzo brzydko. Ale to trwało tylko moment, bo niemal natychmiast uspokoiła się, a po chwili zdobyła się nawet na coś w rodzaju niezdarnego uśmiechu. W tym domu, jak mu potem wyjaśnił Karl, rządziła matka - od dwudziestu lat, czyli od śmierci jej męża, a jego ojca. Nie nawykła do tolerowania jakiegokolwiek nieposłuszeństwa.

- Spróbuj zrozumieć, Lisel należała do Niemieckich Dziewcząt i nieźle jej tam namieszali w głowie - wyjaśniał Karl, kiedy wieczorem, po kolacji, wyszli we dwóch przed dom na papierosa. - Obawiam się, że ona do tej pory wierzy, że Hitler miał rację i chciał dobrze. Matka przeciwnie, zawsze była osobą bardzo wierzącą i naziści nigdy się jej nie podobali. A jak Heinrich zaginął pod Stalingradem, to o Fiihrerze nawet nie chciała słyszeć.

Na tym dyskusje o ich przyjeździe się zakończyły. Dostali z Reni całkiem spory pokój na poddaszu, w którym przed pójściem do wojska mieszkał Heinrich. Co prawda Frau Marta krzywo na nich spojrzała, kiedy razem wprowadzili się do jednego pomieszczenia, wyraźnie był jej nie w smak niesakramentalny związek, w którym pozostawali, ale powstrzymała się od komentarza. Jej zaginiony syn na szczęście lubił wygodę i zafundował sobie szeroki



dwuosobowy tapczan, na którym bez problemów oboje się zmieścili.

W gospodarstwie przebywał ktoś jeszcze - Polak nazwiskiem Martyniuk, mrukliwy, niski czterdziestolatek w mundurze, mieszkający nie w domu zajmowanym przez Hagenów, parterowym budynku z obszernym poddaszem, lecz w czymś w rodzaju dobudowanej do stajni oficyny, pokoju z kuchnią. W lepszych czasach zajmowali ją parobcy pomagający podczas żniw. Martyniuk, jak Karl wyjaśnił Korzyckiemu, spodziewał się dostać przydział na ich gospodarstwo. Tak powiedział im Losse, sąsiad z naprzeciwka. Stary Niemiec nienawidził Słowian, ale znał trochę czeski i polski.

- Losse gadał z Martyniukiem - powiedział Karl. - To chłop z Wołynia, walczył w polskiej armii i podobno doszedł do Berlina. Powiedział Lossemu, że nie ma po co wracać do swego Heimatu, bo Polskę za Bugiem zagarnęli Sowieci. Czeką na żonę i dzieci, które mają lada tydzień stamtąd przyjechać.

- Dlaczego nie zamieszkał w domu, tylko w tej przybudówce? - zdziwił się Korzycki.

- Bo nie chce mieć z nami nic wspólnego. Dom zajmie, jak zjawi się rodzina, na razie oficyna mu wystarcza.

Stosunki z Martyniukiem, mimo jego niechęci do Hagenów i w ogóle Niemców, układały się dość poprawnie. Chłopska praktyczność i dbałość o własny interes okazały się silniejsze od uprzedzeń. Jan uśmiechał się pod nosem, widząc jak, Martyniuk pilnie obserwuje Karla obsługującego elektryczny motor, do którego za pomocą pasa transmisyjnego podłączał rozmaite gospodarskie urządzenia, śrutownik czy młockarnię. Wołyński chłop nie znał tej ziemi i panującej na niej gospodarki, dlatego pilnie uczył się od niemieckiego właściciela. Korzystał też ze zgromadzonych zapasów - kartofli, mąki, kur i jajek, ale gotował sobie osobno. Do domu Hagenów zachodził, kiedy musiał, zwykle po to, aby wezwać Karla do zrobienia czegoś, z czym sam sobie nie radził. Szczególnie dbał o dwa konie, które jakimś cudem uniknęły rekwizycji. To gospodarstwo było prawdziwym skarbem i Martyniuk nie miał zamiaru dać go sobie wydrzeć. Często zachodził z flaszką do Sroki, aby się upewnić, czy na pewno, po wywózce Hagenów, dostanie ich ziemię.

We wsi trwały przygotowania do zimy. Korzycki i Reni nie uchylali się od pracy, wraz z innymi spędzając całe dnie na polu, wykopując ziemniaki, zbierając kapustę i buraki. Nawet Lisel, niemo sarkająca na jego widok, trochę złagodniała, widząc, że się nie oszczędza, targając worki, młóćąc słomę i dając paszę zwierzętom. Zauważył też, że jego nienaganna niemczyzna i znajomość kultury niegdysiejszego narodu panów zrobiła na niej pewne wrażenie. Nijak się pewnie miała do obrazu brudnego i głupiego Słowianina, kreślonego na propagandowych pogadankach w Bund Deutscher Mädel.

Pomagał też przy krowach i świniach, stanowiących szczególny przedmiot troski Martyniuka. Wiedział dlaczego, chłop już patrzył na tę żywinę jak na swoją. Korzycki przyłapał go kiedyś, jak, mocno podpity po wizycie u Sroki, czule głaskał krowę po grzbiecie, zapewniając, że już niedługo będzie wyzwolona od tych przeklętych Germańców. Najwyraźniej według niego bydło nie miało narodowości, a jeśli już, to polską. Podwórkowego psa, nazywanego przez Hagenów Froschem, czyli Żabą, przechrzcił na Matiaszka. I tak się jakoś sprytnie kręcił, że w gospodarstwie z każdym dniem coraz mniej miał do powiedzenia Karl, a coraz więcej on. Tak je krok po kroku zawłaszczwał, czekając na to, co nieuniknione.

Na wywózkę czekali zresztą wszyscy, Polacy i Niemcy. Ci pierwsi, bo, tak jak Martyniukowi spieszno im było do własnych gospodarstw, uwolnionych już od niemieckich właścicieli. Chcieli jak najszybciej poczuć się „na swoim”. Choć nie wszyscy - całkiem spora grupa polskich mieszkańców Petersdorfu wcale nie kwapiła się do harówki na roli i z nieskrywaną ochotą przyjmowała pozycję rezydentów, pozwalając się utrzymywać niemieckim gospodarzom. Nie pracowali, ich głównym zajęciem było przesiadywanie przed miejscowym sklepem prowadzonym już przez Polaka, niejakiego Kasperczaka, dyskusowanie o polityce i picie wódki. Czujący się równie komfortowo jak plantatorzy w koloniach, musieli myśleć o zbliżającym się wysiedleniu miejscowych z niechęcią, wszak wraz z wywózką Niemców pozbyliby się tyrających na nich białych murzynów. Wielu z nich traktowało ten układ jako swoistą sprawiedliwość dziejową, bo przedtem, wywiezieni do Rzeszy na roboty, sami harowali u bauerów.

Niemcy, jak szybko zauważył Korzycki, podzielili się na dwie nierówne grupy. Większość nie wierzyła, że dojdzie do jakichkolwiek wysiedleń. Ich nieformalnym reprezentantem był sąsiad Hagenów, Losse, starzec o patriarchalnej brodzie i ostrym, przenikliwym wzroku, który zapewniał z przekonaniem, że uchwały poczdamskie wkrótce zostaną odwołane, bo „świat nigdy na taką niesprawiedliwość nie pozwoli”. Miał całkiem sporą grupkę wierzących w to zwolenników. Inni, znacznie lepiej poinformowani lub pozbawieni złudzeń, przyjmowali przyszły los z pokorą i fatalizmem godnym ludzi Wschodu. Nie wygadywali na Polaków i Rosjan, za to pisali do krewnych w Reichu, aby spodziewali się ich rychłego przyjazdu. Choć i oni nie wierzyli, że odejdą stąd na zawsze. Za rok, góra dwa spodziewali się wrócić.

Do absolutnej mniejszości należał młynarz Pavelka, który, jak szeptano, przypominał sobie o słowiańskich korzeniach i zamierzał wystąpić o polskie obywatelstwo. W każdym razie ostentacyjnie przestawał ze Sroką i Wodeckim, często goszcząc ich w swoim domu. Nie

załował im sznapsa, usiłując się wkupić w łaski nowej władzy.

Zbliżał się listopad, robiło się coraz zimniej, a wioska zastygła w oczekiwaniu.

Kiedyś, a był to schyłek października, po śniadaniu stanął w oknie kuchni, z kubkiem lipowej herbaty w ręku. Przed paroma dniami zwieźli ostatnie ziemniaki i od tego czasu nie pracowali w polu, więc z pewnym zdziwieniem zauważył na podwórku Karla kuśtykającego wokół wozu, do którego zaprzęgał konia, tego mniejszego, siwka. Ładował na wóz stare worki. Najwyraźniej gdzieś się wybierał. Kręcący się przy składziku na drewno Martyniuk spozierał na niego co chwila, jakby niezbyt pewien, co Karl właściwie robi, ale nie oponował. Po chwili zresztą poszedł do swojej przybudówki, skąd po minucie wylazł. Z kieszeni jego kurtki sterczała szyjka butelki. Pewnie znowu wybierał się do sołtysa pogłębiać z nim przyjaźń. Ciągle nie dostał oficjalnego przydziału na gospodarstwo Hagenów i bał się, że władza może dać je komuś innemu. Musiał zatem odpowiednio często smarować trybiki tej władzy, by nie utracić jej przychylności. Aby zapewnić sobie odpowiednie oleum, zniknął na całe dni w pobliskim lesie. Kiedy wracał, jechało od niego zacierem.

Korzycki uśmiechnął się do siebie na myśl o chłopskiej, desperackiej zapobiegliwości. Podeszła do niego Reni, też z kubkiem herbaty. Przez chwilę razem spoglądali na Karla moszczącego sobie koziół grubą derką.

- Gdzieś się wybiera? - zapytał. - Po co mu te worki? Podniosła kubek do ust i upiła łyk.

- Jedzie na górę, po szyszki - odparła. - Wiesz, są idealne na podpałkę. Lisel mówiła, że zawsze tak robi przed zimą.

Optymista - pomyślał Korzycki. Nigdzie przecież nie było powiedziane, że uda im się spędzić tutaj zimą. Martyniuk, jak wracał napity od sołtysa, wykrzykiwał na całe gardło, że już niedługo tego dobrego, bo w Łądku czekają na nich wagony. Wypierdalać do Vfaterlandu, ale to już! - ryczał pod ich oknami, wymachując pięścią. Siedzieli wtedy cicho, udając, że śpią. Tak było najrozsądniej. Kiedyś Lisel mu się odszczeknęła i źle się to skończyło, bo rozeźlony chłop poleciał po siekierę i potem o mało nie rozwalił drzwi do kuchni. Określenie „Polnische Schweine!” znał każdy Polak, o czym aktywistka BDM powinna wiedzieć.

- Pomogę mu - zdecydował. - Dwóch zbierze więcej. Chwycił kurtkę i wyszedł na podwórko. Karl właśnie pakował się na wóz. Kiedy Jan powiedział, że chce mu pomóc, bez słowa zrobił mu miejsce obok siebie na koźle.

Jechali główną drogą wzdłuż rzeczki, w stronę wybiegającego ku górom krańca wioski. Mijali ich kręcący się po niej Polacy, po zakończeniu prac polowych spędzający czas głównie na wzajemnych wizytach i rewizytach - zachowywali się tak, jakby przebywali na

wczasach w kurorcie. Korzycki pomyślał, że jak pracujący za nich Niemcy wyjadą, kanada się skończy i wczasowicze sami będą musieli się wziąć do dojenia krów i roztrząsania gnoju. Wtedy pewnie - może poza Martyniukiem, poleskim chłopem z dziada pradziada, który na nic nie czekając, sam brał się do robót polowych - zatęsknią za swymi nieopłacanymi parobkami.

Przejechali obok grupy stojącej przed gospodą, zamkniętą od czasu, gdy właściciel, jakiś lokalny gauleiter, zwiął przed Sowietami do Sudetenlandu i słuch o nim zaginął. W zgromadzeniu wodził rej sołtys Sroka, który ze szklanką w ręku perorował coś do otaczających go mężczyzn. Martyniuk w usługowej pozie stał obok, gotów p olać, gdyby władzy zaschło w ustach. Gdy ich z Karlem mijali, sołtys zamilkł, a ludzie w milczeniu odprowadzali ich wzrokiem, póki nie przejechali. Patrzone przy tym nawet nie wrogo, tylko z pewnym zniecierpliwieniem, jak na niezbyt natrętnych, ale jednak intruzów.

Za gospodarstwem wdowy Roesler skręcili w wąską drogę prowadzącą polami w stronę głębokiego parowu. Wyżłobiony był między dwoma wzgórzami porośniętymi przeważnie buczyną. Drzewa iglaste rosły wyżej. Jechali tą drogą może kwadrans, a ona wciąż wznosiła się i stawała coraz bardziej stroma. Konik chrapał ze zmęczenia, ale uparcie parł przed siebie. W pewnym momencie dotarli do niewielkiej polany i Karl ściągnął lejce. Stanęli.

- Dalej wozem się nie da - oświadczył, schodząc z kozła. - Trzeba pieszo. - Wskazał na ścieżynę znikającą między bukowym młodniakiem. - To będzie jakieś trzysta metrów stąd.

Zarzucił na ramię pęk worów, Korzycki zrobił to samo. Weszli między drzewa, było dość wąsko, Niemiec kroczył pierwszy.

- O tej porze roku ojciec zawsze wyprawiał się po szyszki - powiedział. - Bo wiesz, one mają dużo żywicy. A jak są dobrze wysuszone, nie ma w zimie lepszej podpałki. Podłóżysz garść i od razu się zajmują, od jednej zapalki, nawet papieru nie trzeba. Bardzo się przydają, jak rano chcesz mieć szybko ciepło.

Jana zdumiała ta przemowa, ponieważ młody Hagen nie należał do ludzi gadatliwych, najczęściej odzywał się półgębkiem. Rzadko w jego obecności wygłaszał tak długie monologi.

Nic nie odpowiedział, ponieważ ścieżka pięła się stromo, chwilami przypominała żleb. Wchodzili coraz wyżej na zbocze. Trochę się zasapał, jako człowiek nizin nie nawykł do takich spacerów. Karl przeciwnie, mimo kalectwa dawał sobie znakomicie radę, posuwał się tak szybko, że Korzycki wkrótce widział przed sobą jedynie szarą plamę jego oddalających się pleców. Ścieżka raptownie skręciła i Niemiec całkiem zniknął mu z oczu.

Za zakrętem znajdowała się obszerna polanka, rodzaj półki wyciętej w zboczu

porośniętym karłowatymi świerkami. Karl nie zasypiał gruszek w popiele, włożył z worem między drzewka i od razu zabrał się do roboty, niemiłosiernie chrzęszcząc zgarnianymi szyszkami. Jan ze swoimi worami poszedł w drugą stronę, pod kępę dużo starszych niż reszta, rozłożystych drzew. Szyszek było mnóstwo, sporych rozmiarów i suchych. W parę minut uzbierał worek, który odniósł na polankę i położył obok dwóch napełnionych już przez Hagenę.

Pracowali tak prawie trzy godziny, zbierając kilkanaście worów. Niemiec robił to szybko i sprawnie, wiedział, gdzie jest najwięcej szyszek, i tam się udawał. Korzyckiemu szło znacznie gorzej, w jego części sosnowego lasu szyszek znajdowało się jakby mniej lub też on nie potrafił ich znaleźć, w każdym razie nie powtórzył początkowego sukcesu i w sumie napełnił pięć worków.

Potem Karl dał mu znak, aby poszedł z nim na polanę. Tam usiedli na wypchanych workach i zapalili. Niestety, mieli tylko samoskręty z miejscowej machorki, porządne papierosy zniknęły z Petersdorfu w czterdziestym czwartym, o czym Niemiec nie omieszkiał go poinformować. Siedzieli i ćmili tę samosiejkę, patrząc na rozpościerającą się u ich stóp dolinę. Z tej odległości prawie jak na dłoni widzieli wioskę z uwijającymi się na polach ludzkimi mrówkami. Dalej, za płaskim wzgórzem, widniały czerwone dachy bliźniaczego Kunzendorfu. Dostrzegali też inne miejscowości, a nawet odległe zabudowania Glatzu. Dopiero teraz Korzycki zdał sobie sprawę, że to naprawdę urokliwy widok, czyniący na obserwatorze potężne wrażenie. Piękny kawałek ziemi - pomyślał, patrząc na rozpościerającą się u stóp sfaldowaną równinę. Powietrze było przejrzyste jak kryształowe szkło i wydawało mu się, iż jeśli spojrzy na północ i wyczerpi mocno wzrok, dostrzeże na horyzoncie mglisty zarys Breslau... A może już Wrocławia?

Karl chyba wyczuł jego nostalgiczny nastrój, bo zaciągnąwszy się głęboko, niespodziewanie zaczął mówić:

- Według rodzinnych podań pierwszy Hagen przybył do Petersdorfu w XVI wieku. Mieszkamy już w trzecim domu postawionym przez moją rodzinę. Ten wybudował mój dziadek Gunter w 1898 roku. Spoczywa, razem z innymi Hagenami, na cmentarzu za wsią. Ja, podobnie jak oni, nic innego poza tą doliną nie znam. Tu jest wszystko, co kiedykolwiek miałem. I teraz słyszę, że muszę odejść, bo ta ziemia nie jest już moja. Że moi przodkowie kiedyś ją wam, Polakom, ukradli. Że tak naprawdę nigdy do nas nie należała. Powinienem odejść i zapomnieć. Tylko jak mam to zrobić? Jak mam zapomnieć o pokoleniach Hagenów, którzy tej ziemi dali całe swoje życie?

Nigdy do tej pory nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedykolwiek będę musiał ją

opuścić, to przecież mój Heimat. Ja wiem, co powiesz, że przegraliśmy wojnę i musimy zapłacić. Mamy za co, widziałem na Ukrainie, co robiło SS. Ja, Karl Hagen, i moja rodzina musimy zapłacić za całe Niemcy wszystkim, co mamy. Tak osądzili ci, którzy nas zwyciężyli. Dobrze, skoro tak musi być. Powiedz mi tylko, jak mam z siebie wyrzucić całe moje życie, moich ojców i dziadów? I jak po tym mam żyć dalej? Masz na to jakiś sposób?

Korzycki milczał. Tłący się niedopałek sparzył go w palce, rzucił go więc pod nogi i przydusił obcasem, nawyk wyniesiony jeszcze z partyzantki. Las to dom i nie należy go podpalać. Karl swój wygasły niedopałek rozkruszył w palcach. Westchnął ciężko, wstał i spojrzął na wory z szyszkami, na których siedzieli.

- Trzeba je powiązać po cztery i zarzucić na plecy - stwierdził. - Obrócimy ze trzy razy i zniemiemy wszystkie.

Chwycił za pierwszy, ale Jan powstrzymał go, łapiąc za rękaw.

- Karl, słuchaj, ja... - Nie wiedział, co właściwie miałby mu powiedzieć. Poza tym, że go rozumie.

Niemiec potrząsnął głową i na jego okrągłej twarzy pokazał się smutny uśmiech.

- Lepiej się pośpieszmy. W górach noc zapada szybko.

\* \* \*

Ostatniego dnia października, po śniadaniu, Korzycki wziął się do naprawy obluzowanej furtki, która od paru dni szwankowała i lada chwila mogła wypaść z zawiasów. Kiedy przybijał gwoździami odpadający kątownik, zerknął przypadkiem na biegnącą przez wieś drogę i zamarł ze zdumienia. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył znajomą postać. Na drodze stał Nyczek ubrany w długi wojskowy płaszcz i z plecakiem na ramieniu. Rozmawiał z wysokim polskim osiedleńcem. Mężczyzna, mieszkający po sąsiedzku z Lossem, wskazywał mu dom Hagenów.

Ernest spojrzął we wskazanym kierunku i zobaczywszy przy furtce Korzyckiego, pomachał mu wesoło. Chłopak pożegnał się z Polakiem i podszedł sprężystym krokiem do furtki. Już miał podać rękę dawnemu dowódcy, kiedy powstrzymał go wyraz jego twarzy. Jan grzecznie się uklonił, uchylając czapki.

- Pamiętaj, że tutaj jestem Niemcem - mruknął półgłosem. - I nie znasz mnie.

Chłopak nie spodziewał się takiej odpowiedzi, bo, wyraźnie stropiony, rozejrzał się bezradnie, nie bardzo wiedząc, co teraz robić.

- Pokręć się po wiosce, ale tak, żeby nie rzucać się w oczy. Potem przyjdź tu po zmierzchu. Nie od ulicy. Od pól jest brama prowadząca na podwórko - poinstruował go Korzycki.

Wyciągnął rękę i, jakby coś tłumacząc i pokazując przybyszowi, wskazał w stronę nieczynnej gospody. Nyczek skinął głową i karnie pomaszerował w jej kierunku. Jan, jak gdyby nigdy nic, ignorując ciekawskie spojrzenie wciąż stojącego na ulicy Polaka, wrócił do reperacji furtki.

Jego dawny podkomendny zjawił się, bardzo zziębnięty i zmęczony, w porze kolacji. Natychmiast dostał od Reni talerz gorącej kartoflanki. Jadł ją, zagryzając chlebem, i tłumaczył, skąd się wziął w Petersdorfie. Zostali w kuchni sami, bo Hagenowie nie chcieli przeszkadzać im w rozmowie.

- No bo ja, tak jak pan porucznik mówił, dwa dni po waszej ucieczce odszedłem z milicji. Nawet nie bardzo mnie zatrzymywali. Pojechałem pod Bolesławiec do kuzyna. Pracowałem w jego młynie i jakoś tak przed tygodniem pojechaliśmy z mąką do Wrocławia, na szaberplac, sprzedać towar i trochę się przed zimą obkupić. No i tam spotkałem, pan sobie wyobrazi... Frau Mueller!

Reni nie rozumiała, co mówił Nyczek, jednak na dźwięk nazwiska matki drgnęła i spojrzała na nich pytająco. Od tego momentu Korzycki tłumaczył jej opowieść chłopaka.

- Nie wyglądała najlepiej, bardzo chuda i wymizerowana. Mój kuzyn, Stefek, w Niemczech na robotach był i szwargotać potrafi, to sobie z nią trochę z jego pomocą pogadałem. Powiedziała mi, że ubowcy wpadli do mieszkania jakoś tak pół godziny po waszym wyjściu. Przesłuchiwał ją młody oficer, koniecznie chciał wiedzieć, dokąd pan uciekł. Ale ona nic mu nie powiedziała, chociaż walił pięścią w stół i nawet pistolet jej do głowy przykładał. Założyli w mieszkaniu kocioł, ale już rano zwinęli się na UB. Trzymali kobietę w śledczym prawie tydzień, a potem, niech pan sobie wyobrazi... Puścili ją do domu.

Przerwał i wzrokiem poprosił Reni o dolewkę. Widać cały dzień łąził po okolicy o suchym pysku i porządnie zgłodniał.

- Biedna kobieta sama nie rozumiała, dlaczego ją zwolnili, bo, jak mi rzekła, już żegnała się z życiem. Wróciła do siebie, a właściwie próbowała, bo w jej mieszkaniu osiedliła się polska rodzina. Ci ludzie nie chcieli wpuścić jej za próg, z trudem ich ubłagała, aby pozwolili zabrać trochę rzeczy do ubrania. Siedzi teraz kątem u sąsiadów. Spotkałem ją na targu, bo pomagała się wyprzedawać tym sąsiadom, całej kamienicy dali te, no, tryptyki, znaczy się nakazy wysiedleńcze. Jak mnie zobaczyła, to bardzo się ucieszyła. Od niej się dowiedziałem, gdzie jesteście. O, dała mi parę słów do córki. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomiętą kartkę. - Nic nie było pod ręką do pisania poza kwitem z młyna i ołówkiem - usprawiedliwił się.

Reni szybko przebiegła oczami list od matki.

- Mają wyznaczony wyjazd na czwartego listopada - powiedziała. - Pisze, żebym na nic nie czekała i sama zapisała się na transport. Podała też adres wujka w Dusseldorfie.

Starannie złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni fartucha. Jej blada twarz nic nie wyrażała.

- A tobie chciało się wlec tutaj taki kawał? - Jan zapytał Nyczka. - List mogłeś przysłać pocztą.

Chłopak odsunął pusty talerz, beknął cicho i, wyraźnie zadowolony, wyciągnął papierosy, sowieckie kzebki. Korzycki chętnie skorzystał - samosiejka Karla obrzydła mu już do cna, a w sklepie Kasperczaka nie chciał się pokazywać. Od kilku dni nie palił, dlatego pierwszy haust gorzkawego tytoniowego dymu smakował mu nadzwyczajnie. Ernest strzepnął popiół do talerza i z uśmiechem powiedział:

- Jakby tu rzec, panie poruczniku... To nie koniec nowin. Bo jak się pożegnałem z Muellerową, zaraz nawinął się Nowak z posterunku. Dowiedziałem się od niego wielu ciekawych rzeczy. Sporo się we Wrocławiu działo po naszym wyjeździe. Przed wszystkim UB postanowiło wyłapać wszystkich ludzi Szmagi, a było ich coś ze czterdziestu, największa banda, w końcu trzęśli całym miastem. I jak ich wzięli w obroty, to dowiedzieli się, że „król” wrocławskiego szabru miał w okolicy Hobrecht Ufer zakonspirowane mieszkanie, w którym chował najcenniejsze lupy. Pilnował mu tego taki jeden, najbardziej zaufany. Bezpieczniacy wpadli tam i wie pan, co zastali?

Pokręcił przecząco głową, bo niby skąd mógł wiedzieć, a były podkomendny skwapliwie podjął opowieść:

- No więc oni wpadają do środka, a tam trup, jeszcze całkiem świeży. Tego cerbera ktoś zastrzelił, a potem starannie przeszukał mieszkanie. W jednym pokoju klepki były odwalone, Szmaga schowek sobie w podłodze zrobił, duża walizka by weszła. Tyle że schowek był pusty, nic nie znaleźli. Ktoś tego złodzieja obrobił.

A więc o to mu szło, kiedy mówił o interesach z nieboszczykiem - pomyślał Korzycki. Władek wiedział o mieszkaniu i skrytce - powiedział mu ten młody byczek, może chcąc wyznaniem ocalić życie, a on i tak go zastrzelił. Pewnie po tamtej wizycie u Jana poszedł prosto do tajnego lokalu Szmagi.

- Rozmawiałem potem o tym Szmadze z jednym znajomym handlarzem, bo byłem ciekaw, co ludzie na placu mówią. A gadali o tym facecie bardzo dziwne rzeczy. Podobno w czasie okupacji handlował hurtowo z Gestapo Żydami i nawet jakąś organizację założył, co to niby ich ukrywać miała, a tak naprawdę to wydawała Niemcom, a co bogatszych sama mordowała i grabiła. Ktoś go podobno, Żyd jakiś, którego nieskutecznie prehandlował, a



tamten przeżył, na szaberplacu rozpoznał. Ten Żyd aferę zrobił, na milicję i do UB latał, ale nic nie wskórał, bo pewnie Szmaga, zblatowany przecież z kim trzeba, niczego się nie bał. Potem tego człowieka w kanale odrzańskim znaleźli, z rozwaloną czaszką. Dziwna historia... Coś mi się widzi, że ten pana znajomy, Zimmer, coś do tego Szmagi miał...

Korzycki słuchał go, wpatrzony w żarzący się koniuszek swego papierosa. Wszystko zaczęło się wyjaśniać, poszczególne elementy wskakiwały na swoje miejsce w układance. No tak, spalił ich, tak jak Niemcy Żydów w Mińsku. Dlatego pracował w UB, po prostu chciał skutecznie wyrównać swoje okupacyjne rachunki. I dopiął swego. Janowi zrobiło się niedobrze, gdy przypomniał sobie o tamtych dwóch podpalonych w oficynie. Dopadły ich ogniste Erynie. Ta, która karała zabójców, nazywała się chyba Tyzyfone. W ten sposób Zimmer kończył swoją żydowską wojnę.

- Mąka poszła nieźle, zarobiliśmy sporo, ale zrobiło się późno i postanowiliśmy z kuzynem zostać na noc we Wrocławiu. Poszliśmy na wódkę do takiej knajpy na Świdnickiej i znowu traf, siedział tam znajomek z komendy. Ten, jak się za nasze napił, miał jeszcze ciekawsze nowiny. W UB bardzo byli na Zimmera wściekli za to spalenie Szmagi, bo chcieli go wziąć żywcem. Pewnie im o ten jego majątek chodziło, bo zyski z szabru lokował w złocie i dolarach. Zresztą Zimmer zaraz potem zniknął. Po prostu przepadł bez śladu. Podobno dał drapakę na Zachód, pewnie do Ameryki, bo tam teraz wielu Żydów wyjeżdża. Mówią, że to dobre miejsce na nowy początek, daleko od Niemców i Polaków.

Korzycki rozgniół w palcach zgaszony niedopałek, sięgnął do paczki i wydłubał jeszcze jednego kzebeka. Po paru dniach postu czuł nienasycony głód tytoniu. Nie chciał mówić Nyczkowi, jak wiele wyjaśniła jego opowieść. Zimmer tylko po to został w Polsce, a kiedy załatwił sprawę Szmagi, nie miał co tu dalej robić. Była dla niego zbiorowym grobem jego rodziny i narodu, niczym więcej.

Reni, gdy usłyszała o Ameryce, wyraźnie się ożywiła. Podniosła głowę i spojrzała z zainteresowaniem na Ernesta.

- A najlepsze zachowałem dla pana na koniec - ciągnął chłopak. - Podpytałem też tego znajomka o porucznika Kamana. I powiedział mi, że gość dostał awans i w trybie nagłym przeniesiono go do Poznania. Tak mi się widzi, że jakoś zaraz potem zwolniono Frau Mueller. I jeszcze jedno: ci złapani ludzie Szmagi twierdzili, że krył ich wysoki oficer UB, znajomy ich szefa z czasów okupacyjnych. Podobno razem wtedy interesy robili. Na mojego nosa, jeśli to prawda i koledzy Zimmera, których w bezpieczeństwie przecież nie brakuje, się o tym dowiedzą, to ten Kaman długo miejsca w UB nie zagrzeje. Nie zdziwiłbym się, gdyby go wkrótce jakieś nieszczęście spotkało.

Teraz Korzycki wiedział, czemu zawdzięcza jego odwiedziny. Dawny podkomendny chciał mu po prostu o tym powiedzieć. Pewnie nie mógł spać po nocach, tak bardzo pragnął się podzielić rozwiązaniem zagadki.

- Właściwie to mógłby pan wrócić do domu - powiedział Nyczek. Upił łyk z postawionego przed nim przez Reni kubka i skrzywił się, bo widocznie lipowa herbata mu nie posmakowała. Niemniej uśmiechnął się z wdzięcznością do dziewczyny i pociągnął kolejny łyk.

Jan nie chciał mu teraz tłumaczyć, że nie ma do czego wracać. Dom na Żoliborzu nie istniał, matka i siostra żyły gdzieś w Polsce. To dziwne, ale przez ostatnie miesiące prawie o nich nie myślał, jakoś tak niepostrzeżenie, w miarę pobytu w Breslau i potem w Petersdorfie, z każdym dniem stawały mu się coraz bardziej dalekie i obce. Paradoksalnie, bardziej bliscy wydawali mu się Hagenowie, z którymi żył i których, tak mu się przynajmniej wydawało, zaczynał rozumieć. Wcale nie był pewien, czy może wrócić choćby do tych żoliborskich ruin. Komuniści przecież rządzą w najlepsze i zawsze znajdą się jakiś Kaman, który chciałby na niego zapolować.

Później, gdy poszli z Reni do swego pokoju - dziewczyna pościeliła Nyczkowi w kuchni na starym materacu - długo nie mógł zasnąć. Ona także się wierciła, tak jakby tym razem nie potrafiła wygodnie się ułożyć przy jego boku. W pewnej chwili podniosła się i opierając na łokciu, spojrzała na niego z góry.

- A może powinniśmy zrobić jak ten twój przyjaciel? Zostawić to wszystko za sobą i po prostu wyjechać! Oni tu wszyscy patrzą na wywózkę jak na tragedię, jak na koniec życia, ale czy my tak powinniśmy myśleć? Przecież wyjazd stąd, z tej przeklętej ziemi, gdzie jeszcze długo będą się zabijać, to tak naprawdę szansa. Wujek z Dusseldorfu ma syna, on kilka lat przed wojną wyjechał do Kanady. Matka mi mówiła, że zrobił tak, bo mu się hitlerowskie porządki nie podobały. Pojedźmy do niego, do nowego kraju. Pomoże nam, słyszałam, że dobry człowiek. Zostawmy za sobą ten straszny kraj, tę chorą, nienormalną Europę. W Ameryce nie jest ważne, kto kim jest, Polakiem, Niemcem czy Żydem, zaczniemy na nowo, co ja mówię, przecież dopiero tam możemy naprawdę żyć! Bo tu, na tej szalonej ziemi, życia dla nas nie ma.

Położył jej palec na ustach, bo nie chciał tego dalej słuchać. Może dlatego, że miała rację. Cóż go czekało w zrujnowanym kraju zagarniętym przez sowieckie imperium? Rektor nie kłamał, nowy zabór potrwa wiele lat, bolszewizm wyrósł na wielką potęgę, większą niż carat, który runął podczas poprzedniej wojny. A rosyjscy komuniści z tej drugiej, przecież straszniejszej, wyszli zwycięsko. Bieg dziejów został już wytyczony, historia skazała

Polaków na nowe zniewolenie i tylko siedzący po lasach jego dawni koledzy nie chcieli przyjąć tego do wiadomości. Wiedział, że w ciągu najbliższych miesięcy UB sobie z nimi poradzi. I z nim, gdyby zdecydował się ujawnić. Za dużo zdołał się dowiedzieć, aby Kaman kiedykolwiek o nim zapomniał. A jeśli nie on, inni jego kumple sobie o nim przypomną. Nie mogli zostawić go w spokoju, był bowiem nosicielem grzechu pierworodnego, pamięci o tamtej Polsce, której ostatnie ślady pracowicie teraz zasypywano. Ta pamięć czyniła z niego trędowatego - dlatego musieli go unicestwić, aby nikogo więcej nie zarażał.

Rozumiał też, dlaczego Reni chce wyjechać. Nic jej nie trzymało w Breslau - wszyscy, których kochała, albo nie żyli, albo czekali na wywózkę. Z każdym nowym wysiadającym na dworcu Polakiem miasto stawało się coraz bardziej Wrocławiem. No i była jeszcze ta sprawa, to, co zrobili jej po oblężeniu Sowietów. Od tego też chciała uciec, za wszelką cenę. Nikt nie miał prawa jej tego zabronić.

Spojrzał na widoczny w bijącej od okna księżycowej poświacie ostry profil Reni. Dziewczyna leżała na wznak, nie spała. Zamyślona, ze ściągniętymi ustami wpatrywała się w sufit, pewnie marząc o zamorskich krajach, gdzie, jak w biblijnym raju, można od początku zbudować swój świat. Szczęśliwi ci, którzy potrafią jeszcze uwierzyć w baśnie - pomyślał.

Reni mruknęła coś pod nosem i przewróciła się na bok. Patrzyła na niego z niemym pytaniem. Ale on nie chciał jeszcze odpowiadać.

- Idź już spać - powiedział.

Jednego zdarzenia z opowieści Nyczka jej nie przetłumaczył. Kiedy chłopak przechodził rano przez sąsiednią wieś, widział Niemców ładujących się na podwozy, setki kłębiących się na drodze ludzi z podręcznym bagażem. Wywożono całą miejscowość. Korzycki pojął, że nie pozostało im zbyt wiele czasu.

- Wiesz, naprawdę chciałabym zobaczyć Amerykę - szepnęła dziewczyna, zamykając z westchnieniem oczy.

\* \* \*

To, na co wszyscy czekali od wielu tygodni, nadeszło czternastego listopada. Kiedy późnym wieczorem Hagenowie spakowali ostatnie walizki, Korzycki przeszedł się z Reni do lasu, za wieś, na wysoką połoninę u stóp wielkiego wzniesienia, części sudeckiego pogórza. Nieraz tam spacerowali, ze skraju sosnowego lasu było bowiem doskonale widać i wieś, i całą wschodnią część kotliny.

Pakowania nie było zresztą za wiele, przygotowania rozpoczęli już przed tygodniem. Korzycki podsłuchał dwóch Polaków rozmawiających na drodze i dowiedział się tego, czego się domyślał - że regularne wywózki po tej stronie Nysy zaczęły się jeszcze w październiku, a

komisje wysiedleńcze pracowały non stop. Co dwa, trzy dni przychodziła pora na kolejną wieś. Jeśli nawet tutejsi Niemcy żywili jakieś resztki złudzeń, stracili je przed dwoma tygodniami, gdy wysiedlono sąsiedni Konzendorf - rano polscy osadnicy podstawili podwozy i w ciągu godziny ostatni niemieccy mieszkańcy osady, prawie pół tysiąca ludzi, odjechali wozami w kierunku Bad Landeck, do punktu etapowego. Ta nagła i sprawnie przeprowadzona wywózka - to ją widział Nyczek - zrobiła na mieszkańcach Petersdorfu piorunujące wrażenie. Zamilkł nawet stary Losse, twierdzący do tej pory z niezachwianą pewnością, że ten cały „polnische Wirtschaft” potrwa najwyżej do wiosny, a potem przyjdą Amerykanie i Anglicy, przegonią słowiańskie bydło i zaprowadzą prawdziwe, europejskie stosunki. I tak jak inni zaczął pakować kufry i szykować weki na drogę. Z powrotem zaprzyjaźnił się też z Pavelką, który przyjął polskie obywatelstwo i miał zostać w Petersdorfie jako Pawełka. Podobnie jak inni Niemcy, odwiedził go kilka razy. Do młynarza ciągnęły istne procesje, ludzie wręcz zderzali się w drzwiach. Korzycki początkowo nie rozumiał, co się dzieje.

- Z depozytami chodzą - wyjaśniła Reni. - Wolą u niego co cenniejsze rzeczy zostawić. Boimy się kradzieży. Wiemy, co się wyprawia w transportach.

Nic na to nie odrzekł, choć zastanawiająca była wiara tych ludzi. Wiara w to, że wrócą, i to niedługo, za parę miesięcy, najwyżej za rok. Skądinąd Zabuzanie, mimo że Niemców nienawidzili, wierzyli dokładnie w to samo. Inaczej nie wykrzykiwaliby po pijaku, że „jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa”. I nie przechowywaliby w zajmowanych przez siebie izbach nierozpakowanych walizek.

Na razie jednak obie strony uznawały wywózkę Niemców za coś, przynajmniej na najbliższy okres, nieodwracalnego.

Polacy szykowali podwozy, sprawdzali obejścia, pilnując, aby dotychczasowi gospodarze nie zabrali niczego ponad przysługujące limity, a Niemcy dopychali walizki i latali z precjozami do Pavelki. Mimo że nie było żadnego oficjalnego komunikatu, ludzie jakimś cudem wiedzieli, że teraz przyjdzie kolej na ich wioskę.

Hagenowie też wiedzieli. Teoretycznie od dawna, bo postanowienia z Poczdamu były znane od sierpnia. Ale, tak jak inni, jak stary Losse, nie chcieli uwierzyć, że możliwa jest taka niesprawiedliwość. Że można tak, na oczach świata, wyzuć niewinnych ludzi z wszelkiej własności i wygnąć z ziemi, w której od setek lat leżą kości ich przodków. Nawet gdy Jan im tłumaczył, że takich rzeczy naziści dopuszczali się od pierwszych dni wojny na Pomorzu czy w Poznańskim, zamienionym przez Niemców w prowincję Rzeszy, Warthegau. Nawet gdy opowiadał o okropnościach dziejących się na Zamojszczyźnie, wciąż kręcili przecząco

głowami - z wyjątkiem Karla, który w czasie służby na Ukrainie zobaczył i usłyszał niejedno. I jak wynikało z ich rozmowy podczas zbierania szyszek, rozumiał, dlaczego teraz dzieje się to, czego byli świadkami. Mimo to nawet on uważał, że wszystkim winien był Hitler i jego banda, a oni byli spokojnymi obywatelami, nic nie zrobili, nie mieli nawet robotników przymusowych. Niech wysiedlą Himmlera i Góeringa, nie ich.

Gdy Korzycki widział ich zacięte, zachmurzone miny, odechciewało mu się wszelkich tłumaczeń. Zwłaszcza gdy łapał rzucane spod przymkniętych powiek złowrogie spojrzenie Lisel. Żona Karla sznurowała wtedy usta i nic nie mówiła, ale niemal był pewien, co myślała - ich nieszczęście wynika stąd, że tam, na Wschodzie, zrobili za mało. Za mało mordy, ognia, gazu. Wszystkiego za mało, bo nie wybili słowiańskiej dziczy, która rozlała się po niemieckiej ziemi i wyrzuca ich teraz z domu.

Tylko Frau Marta, blada, od tygodni niedosypiająca, łażąca nocami po domu, który wybudował jej teść, wydawała się poruszona tym, co opowiadał o wojnie w Polsce. Nic nie mówiła, poruszała tylko niemo pomarszczonymi ustami, przesuując miarowo paciorki różańca, gestem, który Korzycki pamiętał u swojej babki. Może dlatego ta stara kobieta o podkrążonych, okrągłych, sowych oczach wzbudzała jego współczucie. I gdy tak na nią patrzył, nie mógł się opędzić od myśli, że dzieje się tutaj wielka niesprawiedliwość. Rozumiał to jej nocne dreptanie po domu, który od wczesnej młodości był jej całym światem, tak jakby próbowała go tym chodzeniem po stokroć, po tysiącokroć zapamiętać, aby starczyło na jak najdłużej - tam, w Vaterlandzie, niemieckim kraju za Odrą. W ojczyźnie, która nie była jej ojczyzną.

Członkowie komisji przyszli po południu, kiedy Hagenowie wstawali od spóźnionego obiadu. Niemcy słyszeli, jak Polacy rozmawiają na podwórzu z Martyniukiem, który reperował koło od wozu. Korzycki drgnął, gdy dobiegły go słowa sołtysa Sroki: „Lepiej skończ do jutra, bo wóz będzie potrzebny”. Poleszuk burknął coś w odpowiedzi, na co tamci zareagowali wybuchem śmiechu. Śmiali się jeszcze, kiedy wchodzili do izby.

Było ich trzech, prócz sołtysa milicjant Stefanek i sekretarz gminy Wodecki. Kiedy wchodzący zobaczyli zastygłe z przerażenia twarze siedzących w kuchni ludzi, spoważniali. Z surowymi minami stanęli rzędem pod oknem. W końcu byli wysłannikami władzy. Czas jakiś obie strony patrzyły na siebie w milczeniu, po czym Wodecki, wyraźnie nieswój i jakby zakłopotany, przestąpił z nogi na nogę i chrząknął.

- To jest, znaczy się... Morgen nach Vaterland! Alle.

Słowa te padły w martwą ciszę jak salwa karabinowa. Karl zamknął oczy i zbladł jak ściana, Lisel zacisnęła usta w cienką kreskę, ale jej oczy lśniące białą niczym płynny metal

złością mówiły wszystko. Frau Marta poruszyła parę razy ustami, jakby nie mogąc przeżuć zbyt twardego kęsa, po czym splotła ręce na podolku. Korzycki widział jej drżące dłonie. Jedynie Reni wydawała się nieporuszona, spokojnie dopijała kompot z suszonych wiśni. Spojrzała w okno, jakby w izbie w ogóle nie było intruzów.

- Podwoda będzie o jedenastej - dodał Sroka. - I pamiętajcie o limitach. Jak będziecie mieli za dużo gratów, i tak wam zabrać nie pozwolą.

Wodecki powtórzył to samo po niemiecku, a potem, ponieważ siedzący w kuchni ludzie nie odezwali się ani słowem, przybysze jak na komendę obrócili się i nie żegnając, wyszli na podwórze. Było widać, że mieli to dobrze przećwiczone.

Domownicy słyszeli jeszcze, jak zagadują do dłubiącego przy kole Martyniuka, potem stuknęła furka i głosy ucichły. Polak wziął się do młotka i zaczął walić w żelazną obręcz, a odgłos ten toczył się po obejściu niczym huk spiżowego dzwonu. Kiedy i to umilkło, cisza stała się wprost ogłuszająca. Korzycki widział, jak ręce Frau Marty dygocą coraz bardziej, aż kobieta musiała schować je pod fartuchem. Najbardziej zaskoczył go Karl. Wyprostowany jak struna, z wciąż zamkniętymi oczami, płakał bezgłośnie, a dwa strumyczki łez spływały na kołnierz jego bawełnianej koszuli. Lisel patrzyła na szlochającego męża z nieskrywaną niechęcią.

- Nie ma co płakać. Wiedzieliśmy przecież, co będzie. Kiedyś im się za to odpłacimy.

Wtedy odezwała się stara. Patrzyła przy tym na Korzyckiego, jakby szukając u niego aprobaty.

- Nie mów tak. To z takiego gadania wszystkie nasze nieszczęścia.

Lisel usiłowała coś odpowiedzieć, ale powstrzymała ją Reni, podrywając się raptownie z krzesła, prostując się i ostentacyjnie pozdrawiając byłą aktywistkę BDM ręką wyciągniętą w hitlerowskim salucie.

- Jawohl, mein Führer!

- Przestańcie! - Karl otworzył oczy, wyjął kraciastą chusteczkę i zaczął ocierać mokrą od łez twarz. - Trzeba się pakować. Lisel, zamiast się wymądrzać, szykuj jedzenie na drogę. Nagotuj jajek i mięsa, przed nami kilka dni...

Zignorował pogardliwe spojrzenie żony i pokuśtykał na podwórze. Postrzelona noga w ostatnich dniach jakby mocniej mu dokuczała. Usiłował coś wyjaśnić łamaną polszczyzną Martyniukowi, ale potem machnął ręką i powłókł się do obory, po raz ostatni zadać bydłu paszy.

Część rzeczy spakowali wcześniej, z resztą poszło szybko, wolno było wziąć po dwie walizki na osobę. Dawno już postanowili, co zabiorą. Korzycki zauważył, że Karl poszedł po

coś na strych, siedział tam dość długo, a potem oddalił się w kierunku domu Pavelki. Kiedy wszystko zostało z isticie niemiecką pedanterią przygotowane - walizy wstawione do sieni, kosze z jedzeniem zapakowane, Reni wpadła na pomysł ostatniego spaceru do lasu. Jan wiedział dlaczego. Nie chciała patrzeć, jak Hagenowie będą się żegnać z ojczyzną. Ona swój Heimat pożegnała w Breslau.

Wyszli na podwórko, zauważając mimochodem, że Martyniuk skończył naprawianie koła i zakładał je do wozu. Jutro mieli nim pojechać na punkt etapowy do Bad Landeck, po polsku Łądką Zdroju. Kiedy mijali przyszłego włodarza ziemi Hagenów, ten obrzucił ich obojętnym spojrzeniem i zajął się oporządzeniem wozu. Wyjazd gospodarzy musiał być mu na rękę, bo przed paroma dniami dostał list od żony - niedługo, wraz z dziećmi, powinna do niego dołączyć.

Na drodze skręcili w prawo, w kierunku gospody. Na ustawionej przed wejściem do oberży drabinie stał okrakiem Kasperczak i łomem odbijał od ściany niemiecki szyld. Obok, oparty o ścianę, widniał już nowy, wymalowany niezgrabnymi, czarnymi kulfonami na szerokiej, surowej desce: „Gospoda Piotrowicka”. Reni spojrzała na Jana pytająco, ale on bez słowa pociągnął ją w stronę mostku przerzuconego nad rzeczką. Za nią znajdowała się ścieżka biegnąca przez położone u podnóża wzgórza łąki prosto do lasu.

- To teraz będą Piotrowice - wyjaśnił, gdy wystarczająco oddalili się od zabudowań.

Nie pytała o nic więcej. Ścieżka pięła się coraz wyżej, a dziś szło im się wyjątkowo ciężko. Kiedy dotarli do pierwszych drzew, już zmierzchało. Usiedli tam, gdzie zwykle, na pniu obalonego przez wiatr dębczaka. Patrzyli, jak słońce zachodzi nad doliną, zalewając ją potokami przyćmionego przez niskie chmury światła. Widzieli nie tylko Petersdorf, ale i Kunzendorf, a także inne wioski i miasteczka ciągnące się doliną w stronę Glatzu. Jedne już w całości wysiedlone, inne częściowo lub jeszcze nietknięte, czekające na swoją kolej.

W ostatnich promykach słońca dostrzegli na skraju wsi trzy postacie, które wyszły z ostatniego, najbardziej wysuniętego w stronę Kunzendorfu domu i skierowały się w kierunku rzęście oświetlonej gospody. Polacy świętowali wysiedlenie.

Od jutra zostaną tu sami.

Reni patrzyła przed siebie z wyteżoną uwagą, jakby usiłując zatrzymać wzrokiem pograżający się w ciemności pejzaż - te schludne domki kryte czerwoną dachówką, regularną szachownicę pól, drogi i lasy... Wszystko takie porządne i czyste, niemieckie... Choć już nie niemieckie, bo zalane przez obcych, którzy od tej pory będą się mienić mieszkańcami tej ziemi. Choć nigdy tu nie siali ani nie orali. Za to zbiorą plon.

Chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział jak. Każde słowo, choćby najczulsze, byłoby

jakoś nie na miejscu. Zresztą Reni z nich wszystkich odczuwała najmniejszy żal, bo przecież sama chciała wyjechać z tej przeklętej ziemi, szukać odrodzenia w nowym świecie. Lecz porzucanie domu zawsze boli, zwłaszcza gdy to, co w myślach wydawało się takie łatwe, wręcz oczywiste, raptem stawało się okrutną koniecznością.

Milczeli więc, pozwalając zapadać nocy. I tak było najlepiej. Reni przytuliła się do niego i trwali zapatrzeni w prześwitujące przez zachmurzone niebo gwiazdy nad sobą oraz nieliczne światła w dole. Mijały minuty, godziny, a oni mogliby siedzieć bez końca, wieczność całą, wyciszeni i wtuleni we własne ciepłe ciała.

W pewnej chwili - musiało być jeszcze przed północą, nie miał zegarka - zauważył, że światła w wielu zajętych jeszcze przez Niemców domach pogasły, za to obok budynków, w ogrodach i na obrzeżach pól zaczęły się pojawiać nikłe, chybotliwe światełka świeczek albo łuczyw. Pojawiały się i znikwały, kreśliły zygzaki i zataczały kręgi, jakby błądząc lub czegoś szukając w szybkim, gorączkowym ruchu. Było ich mrowie i, na ile Korzycki mógł to ocenić, pojawiły się prawie przy każdym domu. Niekiedy światełka skupiały się po trzy, cztery i tak dłuższy czas tkwiły razem, niczym na sekretnej naradzie, po czym znowu się rozpraszały. Jan patrzył na to zdumiony i rozumiał coraz mniej.

- Kopia - cicho powiedziała Reni. - Zakopują to, czego nie wezmą ze sobą ani nie odnieśli do Pavelki. Myślą, że kiedyś wrócą i to odnajdą.

Światełka zaczęły stopniowo gasnąć, było ich coraz mniej, aż w końcu niemal cała wieś pogrążyła się w ciemności. Tylko w gospodzie Polacy nadal hucznie świętowali odejście Niemców.

- Jak myślisz, wrócą?

Nie odpowiedział. Robiło się coraz zimniej, nocny chłód zaczął ich kąsać mimo ciepłych okryć. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodźmy już.

Ostatnie zagubione światełko zamigotało i zgasło. Schodzili ku dolinie wypełnionej ciemnością.



## X. Vaterland

Wysiedlanych mieszkańców Petersdorfu zegnali mieszkańcy Piotrowic. Ci drudzy nie okazywali przy tym prawie żadnych uczuć - po prostu stali grupkami wzdłuż drogi, obserwując, jak Niemcy ładują się na podwozy. Nie śmiali się, nie krzyczeli, nie skakali z radości i nie rzucali obelg, może dlatego, że w większości byli zbyt skacowani po nocy przebalowanej w gospodzie. W milczeniu patrzyli, jak ludzie, z którymi do tej pory dzielili domy, wychodzą z nich z walizkami, obwiązanymi sznurkiem tobołami, plecakami i kuferkami, po czym wrzucają ten bagaż na wozy. Na twarzach niektórych mieszkańców Piotrowic malowało się wręcz zafrasowanie, jakby dopiero teraz zaczynało do nich docierać, że od dzisiaj naprawdę zostają tutaj sami.

Sroka chyba się bał, że wywożeni Niemcy będą sprawiać kłopoty, bo sprowadził z Kłodzka milicyjne posiłki, prawie trzydziestu funkcjonariuszy. Nie miał ku temu żadnych podstaw, bo Kunzendorf i inne okoliczne wioski dały się wysiedlić bez oporu, jeśli nie liczyć kilku wybuchów babskiej hysterii, niewymagających specjalnej interwencji, bo zwykle radziła sobie z nimi rodzina, czasem z pomocą sąsiadów. W Petersdorfie milicjanci także nie mieli wiele do roboty, snuli się więc między wozami, zagadując Niemców o zegarki i biżuterię, za które chcieli dawać papierosy i wódkę. Inni sami ją popijali, gdy tylko dowodzący plutonem sierżant choć na chwilę się odwrócił.

Niemcy również nie odzywali się do pozostających Polaków, nie padł też nawet jeden wrogi okrzyk. Nikt nie zabarykadował się w domu, wszyscy karnie stawili się przy wyznaczonych im podwodach. Korzycki nawet się temu nie dziwił, bo przecież zrobili to, co zawsze - podporządkowali się zarządzeniom władzy. Mężczyźni starannie układali pakunki na wozach, kobiety owijały dzieci w szaliki, bo już w nocy zerwał się ostry, północny wiatr. Sroka śpieszył się i sprawnie odprowadził w drogę do Łądka kolejne furmanki, wysiedleńcy wsiadali na nie bez sprzeciwu, wozacy nie musieli ich nawet poganiać. Niektórzy chyba chcieli mieć to jak najszybciej za sobą i po załadunku gapili się obojętnie przed siebie. Inni, kiedy tylko usadowili się między bagażami, nie mogli oderwać oczu od opuszczanych domów. Patrzyli w ich kierunku nawet wtedy, gdy wóz zjeżdżał z biegnącej przez wieś drogi i ustawiał się na szosie do Łądka, dołączając do formującej się tam kolumny, a domostwo skryło się za innymi budynkami.

Korzycki najbardziej bał się o starą Hagenową. Ostatniej nocy wcale nie spała. Kompletnie ubrana, siedziała w kuchni i odmawiała różaniec, co chwila spoglądając w okno. Karl namawiał ją, aby choć na chwilę się położyła, ale powiedziała mu ostro, aby dał jej

spokój. Kiedy Jan zajął miejsce nad ranem do kuchni, aby napić się wody, początkowo jej nie zauważył. Świeczka, przy której siedziała, zgasła i Frau Marta zupełnie zlała się swym ciemnym, żałobnym strojem z zieloną ścianą. O mało nie upuścił dzbanka z wodą, usłyszawszy jej suchy, zmęczony głos:

- Powinam tu umrzeć - mówiła, nie tyle nawet do niego, ile do siebie. - Za długo żyję, ale co zrobić, Bóg dał mi dużo życia. Za dużo. Czasem myślę, że to taki dar - za Gottlieba, który umarł, gdy Karl miał zaledwie roczek. Dla moich synów musiałam być ojcem i matką. Dobrze się sprawiłam, synom niczego nie brakowało. Wychowałam ich po katolicku, na dobrych ludzi. Zawsze im powtarzałam, żeby nie krzywdzili innych, bo tak już jest ten świat urządony, że krzywda prędzej czy później do nich wróci. A potem nastał Hitler i wszyscy zaczęli mówić o wojnie. Nie chciałam jej, bałam się o synów, że wezmą ich do wojska. Ale wojna przyszła, a chłopcy musieli iść na front. A ja, rozumiesz, nic nie mogłam zrobić! Tylko się modlić, aby nie zdarzyło się to najgorsze. Kiedy odjeżdżali, kazałam im przysiąc, że nie będą zabijać niewinnych... Nic więcej nie mogłam zrobić - powtórzyła cichnącym głosem.

Siedziała przy oknie, a nadchodzący brzask stopniowo wyłaniał z ciemności jej przygarbioną, skurczoną postać. Wydawała się nierealna jak widmo.

- Hagenowie nigdy nikogo nie skrzywdzili, nie ubliżyli żadnemu człowiekowi, żadnemu, Polakowi czy Żydowi. Wierzę, że każdy naród powinien mieć swoje miejsce na ziemi i tego uczyłam swoich synów. Nigdy nikomu źle nie życzyliśmy. I dlatego, choćbyś nie wiem co opowiadał o tych zbrodniach, o tych wszystkich złych rzeczach, których Niemcy się dopuścili, nie dam się przekonać, że my, Hagenowie, zasłużyliśmy na ten los. Nie wiem, kto zasłużył, ale nie my.

Pojaśniało na tyle, że mógł zobaczyć jej twarz. Płakała bezgłośnie, jej pomarszczone policzki lśniły od łez. Była naprawdę twardą kobietą i być może robiła to po raz pierwszy w życiu.

- Wydajesz mi się człowiekiem prawym i godnym, więc powiedz mi, czy ty sam uważasz, że to sprawiedliwe?

Ujął dzbanek za ucho, nalał wody do kubka i pił długo, małymi łydkami. Nie musiał nic mówić tej starej Niemce, lecz czuł, że powinien. Jej jednej, jedynej z nich wszystkich.

- Dla Niemiec to sprawiedliwe, ale dla was nie.

Opuściła głowę, a on odstawił kubek na kuchenną płytę i poszedł na górę, by zbudzić Reni. Trzeba było zacząć się szykować do opuszczenia domu.

Ich wóz wyjeżdżał z Petersdorfu jako jeden z ostatnich. Wszyscy zachowali się jak

należy. Martyniuk nie poganiał, cierpliwie czekając, aż poukładają na deskach swoje graty. Frau Marta wydawała się całkowicie opanowana, jakby całonocna modlitwa przyniosła jej ulgę. Sama, bez pomocy, wspięła się na furmankę i usiadła na dużej walizce, którą Karl nakrył podwójnie złożonym kocem. Obok przycupnęła Lisel z wielkim koszem pełnym prowiantu. Jej mąż usadowił się na koźle, obok woźnicy. Korzycki z Reni usiedli w tyle skrzyni, gdzie Martyniuk, aby ułatwić wsiadanie, zdjął zastawkę. Było tam, na deskach, akurat miejsce dla dwóch osób.

Kiedy wyjeżdżali z podwórka, zatrzymał ich Sroka, który wraz z Wodeckim ewidencjonował wyjeżdżających. Szybko porachowali obecnych na wozie, po czym sekretarz uczynił odpowiednią adnotację w kajecie. Mogli jechać dalej.

W miarę jak ze wsi ubywało Niemców, znikali też z drogi obserwujący ich Polacy, jakby to milczące i smętne widowisko zaczynało ich nudzić. Kiedy wóz z Hagenami dotarł na szosę do Łądka, wszyscy gapie gdzieś przepadli, we wsi nie było nikogo widać, nawet po podwórkach nikt się nie kręcił. Piotrowice wyglądałyby jak wymarłe, gdyby nie unoszący się z kominów dym. Martyniuk zaciął konie, furmanka potoczyła się szybciej. Musiał nadgonić, bo odstawali od reszty kolumny.

Hagenowie, nawet Frau Marta, nie patrzyli w stronę domu.

\* \* \*

Przy rozstaniu z Martyniukiem Karl zdobył się na gest. Gdy Hagenowie zabrali już z wozu ostatnie rzeczy, podszedł do Polaka, który miał „odziedziczyć” jego ziemię, i wyciągnął do niego rękę. W milczeniu wymienili uścisk dłoni i wtedy, tego nikt się nie spodziewał, Karl wręczył mu klucze od domu. Poleski chłop patrzył przez chwilę na połączone kółkiem dwa kawałki metalu (większy od drzwi wejściowych, mniejszy od drewni), jakby niezupełnie dowierzając własnym oczom, po czym po prostu wsunął je do kieszeni płaszcza. Nic nie powiedział, skinął Karlowi głową i poszedł do furmanki. Wiedzieli, że śpieszył się do Kłodzka, gdzie miał przybyć transport repatriantów zza Buga. Liczył, że będzie wśród nich żona z dziećmi. Wsiadł na koziół i zacinając lejcami, ruszył, wykręcając w kierunku drogi. Mimo że Hagenowie, stojący bez ruchu na ulicy, długo odprowadzali go wzrokiem, nie obejrzał się ani razu.

Wozy z Niemcami zatrzymywały się przed wysokim ogrodzeniem zbitym z nieheblowanych desek. Nie była to część stacji, bo budynek dworca widniał znacznie dalej. Powiedziano im, że najpierw trafią do miejsca, gdzie będą czekać na podstawienie pociągu. Ludzie posłusznie wysiadali, brali bagaże i szli do bramy pilnowanej przez czterech żołnierzy. Stał tam stolik, przy którym siedziało trzech mężczyzn w cywilu, urzędników z

gminy, którzy sprawdzali dokumenty wysiedlonych, odhaczając nazwiska w spisach. Trwało do dość długo. Korzycki ustawił się z Hagenami w rosnącej kolejce. Gdy urzędnicy przejrzeni ich papiery i odfajkowali listę, mogli przekroczyć bramę.

Znaleźli się na dużym, prostokątnym placu, otoczonym ze wszystkich stron wysokim na prawie trzy metry płotem - "punkcie zbornym", jak mówili urzędujący przed bramą cywile. Miejsce to mogło pomieścić kilkaset osób. Nie było tam nic poza gołą ziemią, żadnych ławek czy stołów, jedynym cywilizacyjnym udogodnieniem okazał się postawiony w rogu placu wychodek, do którego zaraz ustawiła się długa kolejka. Na ziemi, wdeptane w błotnisty grunt, poniewierały się resztki po tych, którzy przebywali tu wcześniej: kawałki papieru, skorupy po talerzach i kubkach, zbite szkło, pogubione rękawiczki, strzępy garderoby, resztki jedzenia. Tu i ówdzie leżały porzucone, otwarte i wypatroszone z zawartości walizki i kuferki, najwyraźniej porzuconych przez właścicieli. Plac przypominał pobojuwisko, a nie dworcową poczekalnię, której się spodziewali.

Po przekroczeniu bramy Hagenowie zatrzymali się, zaskoczeni obskurnością tego miejsca, wyglądającego jak zagroda dla bydła, ale, ponieważ napierali na nich inni odfajkowani przez komisję ludzie, musieli pójść dalej. Korzycki, rozejrzawszy się szybko, zaprowadził ich pod przeciwległy płot, na skrawek w miarę niezaśmieconej ziemi. Uznał, że tam będzie najwygodniej. Mogli usiąść na walizkach, opierając się o plecami o deski ogrodzenia. Dobrze też stąd widzieli, co działo się na placu.

- To ma być dworcowa poczekalnia! - Karl ze złością cisnął na ziemię plecak. - Co ja gadam, czego się mieliśmy spodziewać po Polakach? Żeby nawet paru ławek nie chciało się im sklecić...

Jan przykucnął obok Reni, z obojętną miną siedzącej na walizce. Przy niej usadowiły się Lisel i Frau Marta. Stara kobieta - nieruchoma, o zastygłej, skamieniałej jak u Niobe twarzy, przypominała posąg. Przeciwnie młodsza, wkurzona i nabuzowana, z zaciśniętymi pięściami mamrotała pod nosem przekleństwa, z których „polskie świnię” brzmiały najłagodniej. Korzycki nie słuchał tych przepojonych bezsilną złością mantr, wyciągnął z kieszeni pudełko z tytoniem i zaczął skręcać papierosa. Patrzył na wrota, przez które wpływał potok mieszkańców Petersdorfu. Niektórych rozpoznawał, jak Wenera Sinna, mleczarza, który codziennie rano odbierał od nich udojone mleko. Był wdowcem wychowującym dwójkę małych dzieci, żona zmarła wczesną zimą na dyzenterię. Szedł teraz z dwoma potężnymi sakwożażami w każdej ręce. Przed nim dreptał ośmioletni syn, a młodsza córka, wyraźnie zalękniona, trzymała się ojcowej kapoty. Jan od razu zauważył też Lossego - starzec, odziany w suty barani kożuch, otoczony gromadką wyznawców, liczącą kilkanaście, przeważnie

starszych osób, zajął strategiczną pozycję w jednym z kątów placu. Tam, usadowiony na siedziszczu z solidnych, skórzanych waliz, przemawiał namaszczonym głosem - przekonywał, że wypędzeni zostali jak starożytni Izraelici i, podobnie jak tamci, po wiekach tułaczki po cudzej ziemi wrócą do rodzinnego Kanaanu. Po minach słuchających go ludzi było widać, że nie wszystkim to porównanie przypadło do gustu. Obok umościła się liczna rodzina Meincke, wszystkie trzy pokolenia, w sumie dwanaście osób. Nie słuchali prorocत्व Lossego, ulokowali się możliwie jak najwygodniej na swoich bambetlach i sięgając do koszy z zapasami, zaczęli się pożywiać. Dobiegała właśnie trzecia po południu.

Przez wrota przeszli ostatni przesiedleńcy, na placu znajdowało się prawie czterysta osób, podekscytowanych, kręcących się w kółko i gadających ze sobą. Po chwili pojawił się urzędnik, jeden z tych siedzących przed bramą, i oznajmił po niemiecku, że wychodzenie poza obszar „punktu zbornego” jest najsurowiej zabronione. Rozległy się głosy pytające, jak długo przyjdzie im czekać. Odparł, że niedługo, bo najpóźniej wieczorem jest spodziewane przybycie pociągu, którym odjadą do ojczyzny, pod opiekę władz okupacyjnych.

- Do tego czasu siedźcie tutaj, zachowując spokój - oświadczył i wyszedł, nie czekając na dalsze pytania. Żołnierze zamknęli za nim bramę.

Nikt nie myślał o niepokojach czy buncie. Ludzie, zachęceni przykładem Meincków, wyciągali wałówkę i zaczęli się posilać. Karl zapalił i, oparty o płot, obserwował plac, po czym zwrócił się do żony, która w ogłupiałym zacięciu wciąż mamrotała mantrę inwektyw pod adresem Polaków:

- Przestań już przeklinać i daj coś do zarcia.

Lisel umilkła, spojrzała na męża i sięgnęła po koszyk, z którego wyciągnęła chleb, smalec, kiełbasę i jajka. Miała też mięso w wekach, ale nie ruszała słoików, widocznie postanowiła zostawić je na później. Jedli, kucając obok kosza, kładąc sobie kawałki kiełbasy i jajka na podawane przez nią posmarowane smalcem kromki. Korzyckiemu i Karlowi apetyt dopisywał, Reni zjadła parę kęsów, za to Frau Marta nie tknęła niczego. Siedziała nieruchomo, z wetkniętym w dłoń kawałkiem chleba i jajkiem. Wzrok miała utkwiony gdzieś wysoko. Nie chciała nawet mleka, którym popili posiłek. W końcu Lisel wyjęła z jej dłoni jedzenie i włożyła z powrotem do kobiałki.

- Martwię się o nią - powiedział Karl po cichu Korzyckiemu. - Nie wiem, jak to dalej z nią będzie. Bardzo przeżywa wyjazd.

- Starych drzew się nie przesadza - odparł Polak. - Ich korzeni nie wykopiesz, co najwyżej możesz je przeciąć.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na plac. Ludzie, początkowo oszołomieni i zagubieni,

stopniowo dochodzili do siebie. Dało się to poznać po podniesionych głosach, gdy kłócili się o lepsze miejsca do siedzenia czy o uszkodzony lub zgubiony bagaż. Wróciły dawne sąsiedzkie animozje i usłyszeli, jak obozujący obok wrót Schwarzwie, miejscowi bogacze mający we wsi najwięcej ziemi, wymyślają Niersbachowi, kowalowi, z którym od wieków byli skłóceni. Awantura z każdą chwilą się rozkręcała, mimo że chodziło o drobiazg - zbitą przez nieuwagę butelkę sznapsa należącą do kowala. Obaj adwersarze, gruby jak beka Schwarz i postawny, żyłasty Niersbach, stanęli naprzeciw siebie, czerwoni jak indory, wyzywając się od najgorszych i wygrażając sobie pięściami.

- Nigdy nie przestanę, nawet w tej ostatniej tutaj godzinie - Karl nie krył niesmaku. - Ich rodziny od stu lat kłócą się o kawałek ziemi, parę zagonów niewartych splunięcia. Nigdy nie mają dość, są głupi jak... - Nie dokończył, choć Korzycki wiedział, do kogo chce ich porównać. - Przepraszam - powiedział po chwili. - Nie tak łatwo sobie poradzić z czymś, co tyle lat wtlaczano nam do głów.

- Zgoda, może i Polacy są głupi - Jan uśmiechnął się mimowolnie - ale zauważ, przyjacielu, że to oni siedzą teraz w waszych domach i wyjadają wasze spiżarnie, a wy czekacie tutaj, w tej zagrodzie na bydło, aż wywiozą was w nieznane. Dla mnie to marny dowód na geniusz narodu niemieckiego.

Młody Hagen nie odpowiedział, pewnie dlatego, że awantura przy wrotach osiągnęła apogeum i Niersbach dorwał się do klap surduta Schwarza. Byłby je wyrwał, bo siły mu nie brakowało, gdyby nie interwencja Wolfganga Stuebera, ostatniego sołtysa Petersdorfu, który podszedł do kłócących się mężczyzn i huknął na nich ostro. Autorytet władzy, nawet przeszłej, podziałał i adwersarze, obrzuciwszy się na pożegnanie paroma obelgami, wrócili do rodzin. Tłumek, który się wokół nich zebrał, licząc na widowisko, zaczął się rozchodzić, nie kryjąc zawodu.

Zbliżała się siedemnasta, słońce zachodziło, na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy i zaczynało się robić chłodno. Korzycki zdał sobie sprawę, że jeśli w nocy przyjdzie im siedzieć pod gołym niebem, porządnie zmarzną. Tegoroczny listopad był bardzo zimny i nad ranem trzymały porządne przymrozki. Niektórzy już poczuli lodowate ukłucia, wstawali z bagaży, tupali i jak wozacy zabijali rękami, byle się choć trochę ogrzać, z ust unosiły im się zamarzające obłoczki pary. W najgorszej sytuacji znalazły się dzieci - mimo że dobrze ubrane i obute, to kąsane przez zimne powietrze, zaczynały płakać.

Mamy zdejmowały im buciki i rozcierały zziębnięte nóżki. Jan pomyślał, że urzędnicy powinni zapewnić kobietom i dzieciom ciepłe schronienie pod dachem albo przynajmniej ustawić na placu kozy czy choćby dać drewna na kilka ognisk. Z niepokojem spojrzął na

Reni. Dziewczyna, oparta głową o płot, zdawała się drzemać. Podeszedł do niej i delikatnie potrząsnął ją za ramię.

- Nie śpij, za zimo na spanie - powiedział. Dotknął jej policzków, były lodowate. - Chodź, przejdziemy się trochę.

Wstała z ociąganiem. Palce miała zupełnie zgrabiałe, lodowate jak sople. Chuchał w nie, usiłując choć trochę je rozgrzać. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wziął ją za rękę i ruszyli na spacer, między grupki ludzi desperacko próbujących się rozgrzać. Dzieci tuliły się do matek, szukając u nich ciepła. Najlepiej radzili sobie ci, którym przyszło do głowy zabrać koce i kołdry. Siedzieli teraz opatuleni nimi po uszy. Inni otwierali walizki i wkładali na siebie coraz to nowe sztuki garderoby, niektórzy ćwiczyli przysiady, a wielu dało sobie spokój z gimnastyką czy docieplaniem i wyciągało schowane na czarną godzinę flaszki sznapsa. Wszyscy zgodnie klęli na „polnische Wirtschaft”, przez którą ani nie ma pociągu, ani przyzwoitej kwatery.

Gdy zatoczywszy półkole, Jan i Reni znaleźli się przed zamkniętymi wrotami, zastali tam Lossego w towarzystwie Stuebera. Stary Niemiec walił pięścią w deski zamkniętej na głucho bramy i gromkim głosem domagał się w łamanej polszczyźnie widzenia z „pan komendant”. Mimo że był uparty i nie przestawał łomotać we wrota, przez dłuższy czas nikt mu nie odpowiadał.

- A po kiego licha ci, Szwabie, komendant? - usłyszeli w końcu głos zza ogrodzenia, pewnie należący do jednego z wartowników. - Zimno? Pewnie, że zimno, przecie to listopad. Siedźcie cicho, zaraz przyjedzie pociąg. A żadnego komendanta nie będę wzywał, bo nie było takiego rozkazu.

Kiedy Losse nadal walił we wrota, domagając się widzenia z dowódcą, usłyszał, że jak nie przestanie, to zarobi kulkę. Korzycki podeszedł do starca i gestem nakazał mu, aby odsunął się od bramy.

- To nic nie da - powiedział. - Oni nie żartują, mogą zacząć strzelać.

W tym momencie usłyszeli dobiegający z oddali przeciągły gwizd. Do Łądka zbliżał się pociąg. Losse opuścił ręce, wsadził je do kieszeni kożucha i podreptał do swych wyznawców, zbitych jak owce w ciasną gromadę, aby się wzajemnie ogrzewać.

- Oby to był wreszcie transport, ludzie długo tego ziąbu nie wytrzymają - mruknął Stueber i skinąwszy Korzyckiemu, oddalił się w stronę kąta zajmowanego przez swoją rodzinę.

Po kwadransie pociąg dotarł na stację, słyszeli ciężkie sapanie gotowej do drogi lokomotywy. Wrót jednak nikt nie otwierał. Jan nie rozumiał, na co jeszcze czekają.

Ściemniło się całkowicie, na dodatek niebo zasnuły chmury i z trudem rozróżniał sylwetki siedzących obok ludzi. Zimno stawało się wprost nieznośne. Właśnie po raz kolejny rozcierał Reni zgrabiałe ręce, kiedy usłyszał dobiegające zza płotu dziwne odgłosy, jakieś stuki i kroki. Po chwili stuknęło ponownie, jakby u góry. Poderwał głowę i zobaczył na szczycie płotu niewyraźny zarys postaci. Ktoś tam stał, widocznie na przystawionej do ogrodzenia drabinie. Do Korzyckiego dotarło, że żarty się skończyły. To dlatego wartownicy zwlekali z otwarciem bramy.

- Połóżcie się płasko na ziemi - syknął do Hagenów, ściągając równocześnie siedzącą na walizce Reni. - Na ziemię! I głowy schować za toboły!

- Co się dzieje? - szepnął Karl, wyraźnie podenerwowany. Też zauważył człowieka na płocie.

- Będą rabować - syknął Polak. Leżał plackiem, zasłaniając się od strony placu walizką i przyciskając do swego boku dziewczynę. - Na ziemię, szybko!

Karl zrozumiał, że to nie czas na dalsze pytania i padł na brzuch, obok położyła się Lisel, szcękająca ze strachu zębami. Tylko Frau Marta nie dała ruszyć się z miejsca, wciąż siedziała jak posąg, słyszeli jedynie monotony szept odmawianego różańca. W tym momencie chmury przesunęły się, pojaśniało, a sterczący na płocie człowiek skoczył na plac. Błysnęło metalicznie, w ręku miał automat. Na ogrodzeniu pojawił się następny, potem jeszcze jeden i kolejny. W sumie Korzycki doliczył się ośmiu ludzi, niektórzy byli uzbrojeni.

Rabusie działali szybko, z wprawą i bez zbytecznego hałasu. Przyświecali sobie latarkami i gdy jedni zastraszali Niemców bronią, drudzy patroszyli ich walizki. Nie byli wybredni, prócz pieniędzy i biżuterii brali co lepszą garderobę, buty, nawet garnki. Pakowali zdobycz do worów, które po napełnieniu przerzucali przez płot, przywiązawszy do spuszczonej liny. Ktoś je po drugiej stronie wciągał i odbierał, Jan słyszał stęknienia i przekleństwa, a także rzenie konia, pewnie od razu ładowali zdobycz na furmankę. Szajka była naprawdę świetnie zorganizowana.

Początkowo Niemcy, zaskoczeni i sterroryzowani bronią, dawali się grabić bez oporu. Potem, w miarę jak bandyci obrabiali kolejne rodziny, zaczął się podnosić harmider, zwłaszcza że napastnicy zachowywali się brutalnie, nie certoląc się z ofiarami. Wyrwali kobietom torebki z rąk, pruli nożami worki i plecaki, a rzeczy, które uznawali za niepotrzebne, rzucali pod nogi i deptali po nich. Grabieni wysiedleńcy zaczęli protestować, tu i ówdzie rozległy się rozpaczliwe kobiece „Hilfe!”, niektórzy nie chcieli dobrowolnie oddać swoich bagaży i dochodziło do szamotaniny. Szarpiącym się z coraz bardziej opornymi Niemcami bandytom puszczały nerwy, bo klęli coraz głośniej, wyzywając okradanych ludzi



od „wszawych hitlerowców” i „szwabskich mend”.

Podnoszący się na placu hałas, coraz donośniejszy, zdawał się nie czynić najmniejszego wrażenia na pilnujących wrót żołnierzach. Musieli być zblatowani z bandytami, pewnie po wszystkim dostawali sowitą dolę. Nie reagowali na wrzaski aż do momentu, gdy padł strzał.

Korzycki dobrze nie widział tej sytuacji, ledwo w powszechnej kotłowaniu rozróżniał poszczególne postacie, ale wydawało mu się, że strzelano w kącie zajmowanym przez Stueberów. Stamtąd w każdym razie dobiegł tupot - dwóch rzezimieszków, jeden z workiem, drugi z pistoletem w ręce, pobiegło przez plac i dopadło drabiny wstawionej do środka przez pozostających za ogrodzeniem współników. Błyskawicznie wspięli się na szczyt płotu i zeskoczyli na drugą stronę. Dopiero wtedy za wrotami rozległy się zaniepokojone głosy wartowników. Uchylali je na tyle długo, że reszta bandytów także zdążyła uciec po drabinie.

W końcu jedno skrzydło wrót odemknęło się z przeciągłym skrzypnięciem i pokazał się tęgi, starszawy sierżant z dwoma szeregowcami.

- A wam co się dzieje? - zapytał podoficer, świecąc w głąb placu latarką. - Co to za hałasy?

Ludzie ucichli, nikt mu nie odpowiedział. Wiedzieli, że nie ma to najmniejszego sensu.

- No to skoro tak, to się zabierajcie - oświadczył sierżant. - Do pociągu, najpierw ci najbliżej. - Wskazał na grupkę koczującą parę metrów od bramy.

Jeden z szeregowych powtórzył to łamanym niemieckim. Wysiedleńcy natychmiast rzucili się do wyciągania z błota i pakowania do waliz resztek ocalonego dobytku. Hagenowie nie musieli tego robić, dzięki Korzeckiemu uniknęli rabunku - ich, rozplaszczonych pod płotem, bandyci nie zauważyli w ciemnościach i ogólnym harmiderze. Musieli się tylko otrzepać z ziemi. Karl spojrzął z niepokojem w stronę, skąd dobiegł strzał.

- Podejdę tam na chwilę - powiedział. - Chyba ktoś oberwał. Wrócił po paru minutach, kręcąc z rezygnacją głową.

- Sołtys Stueber dostał postrzał w brzuch, niedobrze to wygląda. Namawiają go, aby zgłosił to Polakom, ale nie chce. Mówi, że nie zostawi rodziny. Bandyta ścigał jego żonę obrączkę i sołtys zaczął się z nim szarpać... Mocno krwawi, szkoda go, bo był przyzwoitym człowiekiem.

Zarzucił plecak na ramię, jedną ręką złapał za walizkę, drugą ujął pod łokieć matkę, która, bezwolna jak marionetka, dała się poprowadzić w stronę wrót. Żołnierze otworzyli je

szeroko, wypuszczając pierwszych Niemców na zewnątrz.

\* \* \*

Na liście przewozowej Hagenowie znaleźli się razem z rodziną Corneli Pieper, wdowy po żołnierzu, jadącej z czwórką dzieci, oraz przeszło dwudziestoma innymi mieszkańcami Petersdorfu, których Korzycki zbyt dobrze nie kojarzył. Przydzielono im wagon towarowy, bydłocy, zupełnie niedostosowany do przewożenia ludzi, z gołą podłogą, pozbawiony bodaj jednej ławki. Wchodzili do niego po dwóch deskach, rzuconych przez żołnierzy na próg przesuwanych drzwi. W środku zastali bałagan po tych, których wywieziono wcześniej: pomięte papiery, zbite butelki i naczynia, strzępki koców i szmat. Jedynym wyposażeniem okazało się zamontowane w kącie wiadro, przybite do desek podłogi i z wyciętym dnem. Toaleta. Śmierdziało z niej strasznie, bo najwyraźniej nikt jej nie splukał.

Żadnych innych ułatwiających podróz urządzeń, piecyka czy choćby zrobionej z metalowej beczki kozy, nie było. Niemcom zdawało się to jednak nie przeszkadzać, wydawali się wręcz ucieszeni, że wreszcie zdołali się wydostać z „punktu zbornego”.

Załadunek transportu trwał przeszło dwie godziny. Panował bałagan, kilku urzędników z komisji wysiedleńczej czytało równocześnie listy przewozowe i ludzie mieli problem ze zorientowaniem się, do którego wagonu zostali przydzieleni. Krótki i wąski peron stacyjki w Łądku nie był dostosowany do tak dużej liczby pasażerów, pociąg musiał się przesuwać trzy razy, nim wszyscy zdołali wsiąść.

Wysiedleńcy próbowali radzić sobie ze spartańskimi warunkami podróży. Podobnie jak na placu, konstruowali siedziska z bagaży lub poprzestawali na złożonym w kostkę kocu, na którym siadali po turecku. Jedna osoba nie uczestniczyła w tej krzątaniu - wysoka, ładna dziewczyna ubrana w popielaty płaszcz i wełniany beret. Miała ze sobą tylko niedużą walizkę, której uchwyt trzymała kurczowo w zaciśniętych dłoniach. Stała pod ścianą, naprzeciwko drzwi, przez które gramolili się poganiani przez Polaków ostatni pasażerowie. Korzycki znał ją z widzenia, mieszkała u wdowy Roesler, swojej dalekiej krewnej, a przedtem w Breslau, w którym przeżyła oblężenie. Nie szukała sobie miejsca, patrzyła tylko z natężeniem w otwarte drzwi i poruszała ustami, usłyszał coś jakby wielokrotnie powtarzane: „Nein”.

Kiedy ostatni przydzieleni do ich wagonu przesiedleńcy znaleźli się w środku, żołnierze z rozmachem zasunęli drzwi. Zamknęły się z hukiem, a wtedy dziewczyna spod ściany drgnęła jak rażona prądem, cisnęła walizkę na podłogę i rzuciła się do wyjścia. Z całej siły walnęła pięściami w deski.

- Wypuście mnie! - krzyknęła. - Ja nie chcę! Wypuszczajcie! Ja nigdzie nie pojedę!

Niech mnie stąd wypuszczą!

Uderzyła w drzwi raz i drugi, na zewnątrz podniosły się głosy, ktoś kłął głośno, inni się śmiali. Do dziewczyny podszedł starszawy mężczyzna w znoszonej, pocerowanej jesionce. Położył jej rękę na ramieniu i coś zaczął mówić, cicho, wprost do ucha. Początkowo nie chciała go słuchać, kręcąc przecząco głową, ale powoli się uspokajała. Potem pozwoliła ująć się za rękę i odprowadzić pod ścianę. Tam usiadła na podłodze. Mężczyzna podał jej upuszczoną walizkę. Wzięła ją, trzymając oburącz przed sobą jak tarczę.

Na stacji stali jeszcze prawie godzinę, wreszcie lokomotywa gwizdnęła przeciągle, wagonem szarpnęło ostro i skład ruszył, zostawiając za sobą stacyjne światła Łądku Zdroju.

W miarę jak pociąg się rozpędzał, temperatura w wagonie spadała. Od szczelin w drewnianych ścianach ciągnął lodowaty podmuch, tak samo jak od umieszczonego pod dachem okratowanego okienka. Ludzie, nieco rozgrzani ruchem na peronie, znowu zaczęli marznąć. Opatulali się szczelnie w koce i płaszcze, przytulali do siebie. Najgorsza jednak okazała się ciemność. Póki stali na stacji, przez szpary w deskach i okienko wpadało trochę światła od dworcowych latarni. Zniknęło, gdy odjechali. Dzieci, przerażone egipską czernią, jaka zapanowała w wagonie, wybuchnęły płaczem. Mężczyźni zapalili zapalniczki, ktoś znalazł świeczkę, ktoś inny podczepił ją na drucie do dachowej belki. Pojaśniało na tyle, że przynajmniej widzieli, kto gdzie siedzi.

Hagenowie i Korzycki znaleźli się w wagonie pierwsi, dzięki czemu zajęli najlepsze miejsce, po przekątnej od kąta ze śmierzącym wiadrem. Ułożyli pod ścianą swoje bagaże w równym rzędzie i usiedli na tej zaimprovizowanej ławie. Reni i Lisel, bardzo już zmęczone, przytuliły się do wciąż milczącej i nieobecnej duchem Frau Marty. Obie wkrótce zasnęły, ale nie stara, wpatrzona w mrok ślepyimi oczami. Wciąż poruszała ustami, pewnie się modliła. Jan i Karl nie mogli spać. Skręcali coraz to nowe papierosy i ćmili je, gapiąc się na sennych współpasażerów, kiwających się w rytm monotonicznie stukających kół pociągu. Niemcy rozmawiali ze sobą półgłosem, ale wkrótce zmęczenie wzięło górę i zaczęli zasypiać.

Karl, którego widać senność się nie miała, poruszył się raptownie, sięgnął w bok i przyciągnął do siebie plecak. Chwilę grzebał w środku i wyciągnął zielonkawą, pękatą butelkę. Korzycki poznał markowy koniak.

- Heinrich załapał się na Francję - wyjaśnił Niemiec. - Przywiózł prosto z Paryża, mieliśmy się napić przy wielkiej okazji. Ale potem pojechał na front wschodni i więcej go nie widziałem. Tak sobie myślę, że teraz jest ta okazja. Większej już w moim życiu nie będzie.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i wydlubał z szyjki korek. Odruchowo sam chciał pociągnąć pierwszy łyk, ale się zreflektował i oddał flaszkę Janowi. Ten pociągnął zdrowo,

czując, jak do żołądka spływa ognista strużka. Od razu zrobiło mu się ciepłej.

Karl, nim sam się napił koniaku, popatrzył na wagon, na gibające się w rytm pociągu, ledwie widoczne w migotliwym blasku świecy sylwetki śpiących wygnańców.

- Nie wiem, czy dobrze robisz, że z nami jedzieszpowiedział niespodziewanie. - Nam zabierają, ale wam dają! Dlaczego nie bierzesz jak tylu innych? Wiecznie cię przecież ścigać nie będą. Z czasem pewnie byś się z bolszewikami dogadał, z każdym można się dogadać. Tak sobie myślę, że właściwie mógłbyś wziąć mój dom. Nawet wołałbym, żebyś to ty tam siedział niż ten chłop z Polesia. Tam, za Odrą, dla mnie będzie obca ziemia. Nie wiem, co mnie tam czeka. A ciebie?

Jan też się nad tym sporo ostatnio zastanawiał. Na zdrowy rozum cokolwiek go tam, na Zachodzie, czekało, wydawało się lepsze od ubeckich kazamat. Karl utracił swój śląski Heimat, ale przecież jego Polska także przestała istnieć. Rozdarta na pół przez Hitlera i Stalina, zgruchotana w czasie okupacji, wydawała się raczej widmową ideą niż bytem rzeczywistym, którym przecież była całkiem niedawno, przed paroma laty zaledwie. Ale już jej nie było, bo czy można nazwać Polską to, co komuniści klecili z zostawionych przez Sowietów resztek, sztukując ubytki na mapie ziemiami zabranymi Niemcom? Konrad powiedziałby pewnie, że nie, a rektor Kulczyński, że tak. Który z nich miał rację? I czy w ogóle jest prosta odpowiedź na to pytanie? A kto będzie żył w tej PolsceniePolsce? Jacys nowi niePolacy? Tylko skąd ich czerwoni wezmą? Mieszkańcy Piotrowic mieli się przecież za jak najbardziej rdzennych Polaków, katolików. Martyniuk przywiózł ze sobą z Polesia święty obrazek z Matką Boską i kiedyś Korzycki podpatrzył, jak się do niego wieczorem, przed pójściem spać, modlił. Zbolszewizować tych ludzi nie będzie łatwo. A więc może ta stara Polska nie całkiem umarła, tkwi gdzieś głęboko, w prostych, lecz naturalnych odruchach. Może zbyt czarno to wszystko widzi? On wyjedzie z Reni, zacznie nowe życie w nowym świecie, ale co mają zrobić ci, którzy wyjechać nie mogą i muszą tu zostać, w takiej Polsce, jaka została im dana?

Koniak uderzał mu do głowy, a on nie mógł się opędzić od myśli, że jednak jest kimś w rodzaju dezentera. Bo ucieka, zostawiając innych na pastwę czerwonych. Tłumaczył sobie bardzo rozsądnie, że przecież i tak nic im nie pomoże. Człowiek z kulką w głowie nikomu pomóc nie może, to przecież racjonalne. Lecz mimo to czuł w sobie gorzki niesmak, którego nie mógł splukać koniakiem.

Dopiero teraz zauważył, że, pogrążony w ponurych myślach, wypił sam prawie pół butelki. Z przeproszającym uśmiechem oddał ją towarzyszowi. Ale Karl nie miał o to pretensji. Upił łyk i wytarł usta wierzchem dłoni.

- Wiesz, że jest w ciąży? - Wskazał szyjką na Reni wtuloną w bok Frau Marty, która wreszcie zamknęła oczy i zdawała się drzemać. - Lisel mi powiedziała. Reni zwierzyła się jej, baby zawsze mówią sobie o takich rzeczach. Już była, jak do nas jechaliście. Wychodzi na to, że będziemy jakby szwagarami.

Dopiero teraz Korzycki poczuł, że robi mu się naprawdę gorąco. Spojrzał na dziewczynę, która spała wtulona w bok starej. Wyglądała na bardzo zmęczoną i bladą, choć w chybottliwym świetle świeczki nie widział wyraźnie jej twarzy. Kiedy chciała mu o tym powiedzieć? Aż dojadą na miejsce? To dlatego ostatnio wydawała się taka niemrawa, szybko się męczyła i często odpoczywała. Powinien sam się domyślić, co się dzieje.

Wagon dygotał na rozjazdach, podskakiwał i zgrzytał przy hamowaniu, ale wymęczonym ludziom przestało to już przeszkadzać. Rozmowy cichły i wypędzeni zapadali w głęboki sen, przytuleni do najbliższych lub umościwszy się jakoś na bagażach. Karl też, dokończywszy butelkę, przysnął, kładąc się na plecaku. Wagon wypełniały świst wiatru, klekot obluźowanych desek i przebijające się przez te odgłosy donośne chrapanie jednego z mężczyzn. Wisząca u sufitu świeczka wypaliła się i zgasła. Zapadła całkowita ciemność. Nocne godziny ciągnęły się niemiłosiernie. Korzycki, którego sen nie chciał ogarnąć, co chwila zerkał na zegarek, jakby to miało przybliżyć świt. Zauważył, że pociąg jechał bardzo dziwnie - często przystawał, raptownie skręcał i czas jakiś jechał w zupełnie przeciwnym kierunku. Domyślał się, że wykonywał te manewry w związku ze zniszczeniami torów, transport musiał omijać uszkodzone odcinki. W końcu i jego monotonia podróży zaczęła nużyć, coraz częściej zamykał oczy, otwierając je gwałtownie w momencie, gdy wagonem mocniej zatelepało na rozjeździe.

- Matkę w chorobie zostawiasz - usłyszał znajomy głos.

Bardzo blisko, jakby ojciec siedział tuż obok. Wytrzeszczył oczy, nagle otrzeźwiały i przytomny, gorączkowo wpatrując się w ciemność. Ale obok niego był tylko Karl, obejmujący ramionami plecak i głośno poświstujący przez sen. A przecież Korzycki przysięgłby, że słyszał głos ojca. Świetnie pamiętał jego stanowczy, belferski ton. Tyle razy go słyszał, gdy rodzic autorytarnie wygłaszał swoje opinie, z którymi Jan, w miarę jak dorastał, coraz mniej się zgadzał.

W pierwszym odruchu chciał odpowiedzieć tak jak dawniej: „Ależ tato, nie o to chodzi!” - ale zdał sobie sprawę, że ojciec przecież nie żyje, sam go zimą czterdziestego trzeciego chował na Powązkach. W żadnym razie nie mogło go być tutaj, w wagonie pełnym śpiących, wywożonych na zachód Niemców.

Pociąg, od pewnego czasu jadący dość szybko, zaczął wyraźnie zwalniać. Po dłuższej

chwili, wypełnionej zgrzytem hamulców, stanął. Korzycki zerknął na zegarek, dochodziła trzecia trzydzieści. Wstał i spojrział przez okienko pod sufitem. Na zewnątrz panowała całkowita ciemność, widział jedynie kilka gwiazd nisko nad horyzontem, żadnych świateł. Wyglądało na to, że transport zatrzymał się gdzieś w szczerym polu.

Stali tak może z kwadrans, Jan słyszał tylko rytmiczne sapanie lokomotywy spuszczonej parę. Coś mu tu nie pasowało, tak długiej przerwy w podróży jeszcze do tej pory nie było. W zapadłej ciszy w wagonie rozlegało się jedynie poświstywanie śpiących ludzi, chrapacz jakiś czas temu ucichł. Potem z zewnątrz dobiegł stuk, a po chwili szcęk metalu. Najwyraźniej ktoś manipulował przy blokującej drzwi zasuwie.

Szcęknięło jeszcze raz i drzwi ze zgrzytem z wolna zaczęły się przesuwac. Ktoś usiłował dostać się do środka wagonu. Przez powstały otwór wpadło trochę poświaty i Korzycki, który w lesie dostał niezłą szkołę nocnej walki i dobrze widział w ciemnościach, zobaczył na tle rozgwieżdżonego nieba sylwetkę człowieka niezdarnie gramolącego się przez próg. Intruz nie był sam, bo rozległy się stłumione szepty i tupot nóg ludzi biegnących wzdłuż pociągu. Zgrzytnęły zasuw, otwierano inne wagony. Do Korzyckiego dotarło, że to napad. Jeśli cokolwiek miał przedsięwziąć, powinien zrobić to natychmiast.

Włazący do wagonu zbir nic nie widział w egipskich ciemnościach panujących w środku, nie zapalił latarki albo jeszcze jej nie wyciągnął. I to był jego błąd. Jan wstał i ostrożnie manewrując między tobołami i śpiącymi ludźmi, podszedł do drzwi. Stał w nich krępy mężczyzna w maciejówce na głowie, jedną ręką trzymający się framugi, z głową obróconą w bok, jakby chciał zagadać do kogoś znajdującego się poniżej. Korzycki, gdy znalazł się tuż przed nim, zamachnął się i walnął go w szczękę mocnym prawym sierpowym. Bandyta nie tyle nawet wrzasnął, ile pisnął przenikliwie, puścił framugę i padł na plecy, z hurkotem staczając się po nasypie. Jan usłyszał zaskoczone głosy i przekleństwa, ale nie czekał na jego kumpli, tylko złapał za brzeg drzwi i przeciągnął je do przodu. Z hukiem walnęły o framugę, rygle wskoczyły w zapadkę, a on położył się wzdłuż progu i zablokował je wysuniętą stopą - na wypadek gdyby grasujący na zewnątrz ludzie znowu chcieli je odsunąć.

- Co się dzieje? - odezwał się zaspany kobiecy głos. - Już dojechaliśmy?

- Nie - odparł. - To napad, leżeć na podłodze i siedzieć cicho.

Podniósł się gwar, obudzili się inni wysiedleńcy, musiał głośno powtórzyć, aby się przymknęli. Widział przez szpary w drzwiach, że tamci na zewnątrz nie próżnowali. Pojawiło się światło latarek szperających po wagonach. Słyszał, że weszli do kilku. Rozległy się przerażone głosy i krzyki, to rozpaczliwe babskie „Hilfe”, znane mu z BreslauWrocławia,

ktoś nawet załomotał w garnek, w innych wagonach też zaczęli walić w co popadnie. Hałas narastał, wyrzucane z wagonów walizki uderzały głucho o ziemię, niemieckie błagania i protesty mieszały się z polskimi przekleństwami, rabusie latali wzdłuż torów, objuczeni worami ze zdobyczą. Gdzieś w ciemnościach stały wozy, słyszał parskanie koni. Trwało to kilkanaście minut, aż w końcu najwidoczniej załoga lokomotywy doszła do wniosku, że wystarczy i po ostrzegawczym gwizdzie transport ruszył. Co gorliwsi rabusie musieli wyskakiwać w biegu z jadącego już pociągu.

Do ich wagonu nikt więcej nie próbował się dobierać, nie strzelano też, czego Korzycki najbardziej się obawiał. Pomyślał nawet, że jest to jakiś dowód na humanitaryzm jego narodu - sami uczciwi złodzieje, żadni tam mordercy. Pociąg wyraźnie przyspieszył, a on zastanawiał się, czy tej nocy przewidziane są jeszcze jakieś atrakcje. Rozbudzeni napaścią współpasażerowie nie spali, słyszał ich przerażone głosy, byli przekonani, że to nie koniec i zaraz znowu staną. Pociąg jednak jechał coraz szybciej po prostym odcinku torów. Karl podniósł się, podszedł do okienka i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Potem usiadł i Jan usłyszał jego głośnie westchnienie.

- Co jest? - zapytał.

Hagen wyciągnął woreczek z tytoniem i zaczął robić sobie skręta.

- Nie jest źle - oparł. - Jedziemy na zachód. Bo już się zacząłem bać, że jednak na wschód... Tobie chyba nie muszę tłumaczyć, co to Syberia.

Korzycki też słyszał, że nie wszyscy wysiedleni trafiali do Niemiec, wiele pociągów pojechało na wschód, Sowieci wybierali reparacje wojenne także w niewolnikach. Za Uralem było sporo wolnych posiadłości w kopalniach. Wziął od Karla tytoń i ćmiąc skręta, wsłuchiwał się w rozmowy rozbudzonych współpasażerów. Nie mówili nic ciekawego, głównie narzekali na polskie władze, że wysłały transport bez eskorty, zastanawiali się też, czy będą jeszcze jakieś rabunki, wielu obstawiało, że tak, bo Polacy chcą ich wypuścić w samych koszulach. Radzili sobie wzajemnie, jak najlepiej ukryć najwartościowsze rzeczy. Upływały jednak kolejne kwadransy i nic się nie wydarzyło. O czwartej pięćdziesiąt rano transport dotarł do Waldenbergu, górniczego miasta na zachód od Glatzu.

Pociąg wtoczył się na długi, zadaszony peron, jasno oświetlony silnymi, stuświecowymi lampami. Było ich tak dużo, że wyglądający przez okienko Korzycki, oślepiiony blaskiem, musiał zamknąć oczy. Całkiem odwykł od światła po tych spędzonych w ciemnościach godzinach. Wagon znieruchomiał, po chwili szczęknęły zasuwki, drzwi ze zgrzytem przesunęły się i zobaczyli stojącego na peronie mężczyznę w kapeluszu, porządnym płaszczu i z plikiem papierów w ręku. Spojrzał na ich wagon i zaczął głośnie wyczytywać

nazwiska - kto się odezwał, mógł wysiąść. Widzieli przez drzwi, że na peronie ustawiono długie stoły, na nich stały wojskowe termosy z gorącą kawą i mlekiem dla dzieci.

Wymęczeni i spragnieni ludzie tłoczyli się w drzwiach, chcąc wysiąść. Nim odczytujący listę urzędnik doszedł do Hagenów, w wagonie podniosły się wzburzone głosy. Coś działo się pod ścianą, tą naprzeciwko drzwi. Korzycki precisnął się tam przez ludzi, którzy, czekając na swoją kolej, jeszcze nie wysiedli. Chodziło o dziewczynę z Breslau - leżała oparta o ścianę, dziwacznie, w nienaturalny sposób przekręcona na bok. Pochylał się nad nią starszy mężczyzna, który siedział obok niej podczas podróży. Jan od razu zauważył jej kredowobiałą twarz, rozchylone usta i szkliste oczy. Wciąż kurczowo trzymała oburącz walizkę. Dostrzegł ciemne plamy na jej płaszczu, sporo pociekło też na podłogę.

- Nie wiem, jak to zrobiła - powiedział mężczyzna, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nic nie słyszałem, nawet nie jęknęła. Lusterkiem się pocięła.

Obok stóp zmarłej leżały zakrwawione szklane odłamki. Nie żyła co najmniej od godziny, może dwóch. Kilka kobiet zaczęło szlochać, ktoś wymyślał na Polaków, przez których to wszystko. Odliczający wysiedleńców urzędnik spostrzegł, że coś się dzieje w wagonie, przerwał czytanie listy i zaczął wypytywać, o co chodzi. Ponieważ nikt nie chciał mu nic wyjaśniać, musiał pofatygować się do środka. Przepchał się przez tłum i popatrzył na leżącego pod ścianą trupa. Przyklęknął przy zwłokach i dotknął szyi, szukając pulsu.

- Dlaczego to zrobiła? Nie chciała jechać? Czy ta wasza ojczyzna jest aż tak straszna? - zapytał po niemiecku.

Nikt mu nie odpowiedział, więc po chwili wstał, pokiwał głową i wrócił na peron. Zaraz zjawili się dwóch żołnierzy z noszami, którzy zabrali ciało. Urzędnik, wyraźnie wytrącony z równowagi tym, co zobaczył, szybko odhaczył pozostałych na swojej liście i mogli wreszcie wyjść na peron. Wtedy zauważyli, że z innego wagonu też wynoszono nakryte kocem zwłoki.

- Pójdę tam, zobaczę, kogo jeszcze... - powiedział Karl. - Coś mi się zdaje, że to nasz sołtys...

Reni i Lisel podeszły do stołu, za którym urzędował młody, szczerbaty i bardzo wesoły żołnierz rozlewający kawę. Dostały po kubku i dmuchając na gorący płyn, patrzyły z ciekawością na to, co działo się na peronie. Przy noszach z drugim ciałem - zmarły musiał być potężnie zbudowanym mężczyzną, bo pod kocem nie zmieściły się stopy w ciężkich butach - klęczała stara, szlochająca kobieta. Stało przy niej dwóch urzędników i coś jej tłumaczyło, ale ona wciąż kręciła przecząco głową. Złapała nieboszczyka za rękę i mówiła do nich, cały czas płacząc, lecz tym razem to oni nie chcieli się na coś zgodzić. Karl



przysłuchiwał się im przez moment, potem machnął z rezygnacją ręką i wrócił do Korzyckiego.

- Tak jak myślałem, to Stueber - powiedział. - Chyba zmarł zaraz po odjeździe z Bad Landeck. Jego żona nie rozumie, że musi dalej jechać z transportem. Nie może zostać na pogrzeb, tak twierdzą ci z urzędu.

Jan rozejrzał się po dworcu. Teren obstawiało wojsko, co najmniej pluton, żołnierze pilnowali wszystkich wyjść z peronu, rozstawiono ich też wzdłuż jego przeciwległego skraju. Uwagę akowca zwróciło dwóch wysokich oficerów w niepolskich mundurach, jak mu się wydawało, angielskich. Przyglądali się uważnie wysiadającym z wagonów Niemcom. Jeden miał aparat, małą leicę, którą co chwila robił zdjęcia. Obok nich stał wysoki cywil w doskonale skrojonym, długim, jasnym płaszczu i z notesem w ręku, w którym co chwila coś zapisywał. Pewnie ktoś z prasy. Cała trójka rozmawiała w ożywieniu, z zaciekawieniem obserwując raczących się kawą wysiedleńców.

A więc dlatego urządzono to przyjęcie - pomyślał Korzycki. Władze zorganizowały w Waldenbergu przedstawienie dla zachodnich obserwatorów i nie szczędziły kosztów. Na peronie przygotowano nawet punkt medyczny z lekarzem i pielęgniarkami. Sołtys Stueber i dziewczyna z Breslau zepsuli to starannie wyreżyserowane widowisko, widział to po minach kręcących się przy transporcie urzędników, którzy popędzali noszowych. Polscy oficjele chcieli, aby zwłoki jak najszybciej zniknęły z peronu. Pewnie dlatego, że trupy źle wypadają na zdjęciach.

Poklepał się po kieszeniach, szukając pudełka z tytoniem, ale przypomniał sobie, że w nocy wszystko wypalił. Pomyślał, że może dałoby się coś kupić, zostało mu jeszcze całkiem sporo złotych. Popatrzył wzdłuż peronu. Tam gdzie dochodził do dworca, znajdowało się wejście do budynku. Duże, dwuskrzydłowe drzwi wydały mu się niestrzeżone, nie zauważył koło nich żadnego żołnierza. Pewnie w poczekalni siedzieli ludzie, przynajmniej w części handlarze. Na pewno da się od nich kupić parę paczek. Zerknął jeszcze w stronę stołu. Widział, jak Reni z Lisel leją kawę do kanki, którą zabrały z domu. Karl wrócił do wagonu, zaniósł matce kubek gorącego mleka. Kobiety postępowały rozsądnie, bo nie wiadomo, czy po drodze przydarzy się jeszcze przystanek. Kiwnął im ręką, ale go nie zauważyły, zajęte napełnianiem kanki, i zaczął powoli iść wzdłuż peronu w stronę drzwi. Nikt go nie zatrzymywał, urzędnicy pilnujący transportu byli zajęci rozmową z angielskimi oficerami, bardzo niezadowolonymi, najwidoczniej nie spodobały im się wyniesione z wagonów zwłoki. Między pociągiem a stołami z kotłami wciąż kręcili się ludzie. Do nalewających kawę i mleko żołnierzy ustawiały się kolejki kobiet z naczyniami. Korzycki przeciskał się z

przepraszającym uśmiechem między wysiedleńcami, zerkając w stronę drzwi. Nadal nikt nie zwracał na niego uwagi.

Żołnierz jednak był. Jan go nie zauważył, bo tamten stał schowany za słupem podpierającym osłaniający peron dach. Kiedy, już pewien, że zdoła niepostrzeżenie wśliznąć się do budynku, łapał za klamkę, usłyszał szcęk repetowanej broni. Odwrócił się i zobaczył wymierzoną w siebie lufę pepeszy.

Mundurowy miał najwyżej dwadzieścia lat i dodawał sobie powagi marsowym obliczem. Korzycki znał takich kozaków z lasu, prostych chłopaków ze wsi, którzy garnęli się do partyzantki nie tyle z miłości do ojczyzny, ile chęci przygody. Strzelali szybciej, niż myśleli. Ten na dodatek wyglądał na bardzo przejętego swoją rolą.

- A ty, Niemiaszku, gdzie? - zapytał ostro. - Na spacer się wybrałeś? Jazda z powrotem do wagonu! - Wskazał lufą kierunek.

I wtedy Jan, zamiast pokornie wrócić na peron, odezwał się do niego po polsku:

- Spokojnie, panie wojskowy. Ja myślałem, że to pociąg do Wrocławia, od trzech godzin czekam, aż go podstawią. Ale widzę, że ta ciuchcia jedzie nie w tym kierunku. - Uśmiechnął się i puścił porozumiewawcze oko do wojaka. - I kompania jakaś dziwna.

- Ano nie do Wrocławia. - Żołnierz patrzył na niego uważnie, ale broń opuścił. - Kręcenie się tutaj jest wzbronione, idźcie do poczekalni. Oni zaraz odjadą.

Korzycki uchylił skrzydło drzwi i wszedł do środka. Uderzyło go zatęchłe powietrze nasycone wonią niemytych ciał. W holu, oświetlonym jedną słabą żarówką, przebywało na oko ze stu ludzi skulonych na kafelkowej posadzce, pod ścianami i zamkniętymi na głucho okienkami kasowymi. W mieszczącej się na lewo poczekalni spano pokotem na podłodze, nie dałoby się tam wetknąć nawet szpilki. Większość podróżnych targała ze sobą ogromne, powiązane sznurkiem toboły. Chyba naprawdę mieli podstawić jakiś dalekobieżny pociąg, może nawet do Wrocławia. To dlatego żołnierz uwierzył w jego wymyślone naprędce tłumaczenie. Zalegający na podłodze podróżni wyglądali na handlarzy urzędujących na szaberplacu, wydawało mu się nawet, że rozpoznaje kilka twarzy.

Zaczął iść w głąb holu, rozglądając się, kogo by tu obudzić i zapytać o papierosy.

\* \* \*

Koła stukotały monotennie, zdezelowany wagon skrzypiał i klekotał. Korzycki, mimo że był potwornie zmęczony, nie mógł zasnąć. Wyciągnął papierosy i zapalił, egipskie smakowały nadzwyczajnie po tygodniach kurzenia samosiejki, poza tym trochę zabijały smród czosnku, którym musiała raczyć się na kolację siedząca obok kobieta, grube babsko wbite w wyliniałe futro z lisa. Zakasłała, pewnie zakrztusiła się od dymu, ale nie obudziła się.

Po chwili znowu usłyszał jej miarowe chrapanie.

Wszystko poszło nie tak. Dopiero trzecia obudzona przez niego osoba skierowała go do właściwego handlarza, faceta w wytartym wojskowym szynelu, który spał na ławce pod oknem. Papierosy trzymał w wielkiej jak kufer walizce obwiązanej parcianym pasem zamykanym na kłódkę. Trochę trwało, zanim Korzycki go dobudził. Zaspianemu człowiekowi otworzenie swego obnośnego kramu zajęło kolejnych kilka minut. Jan nie targował się z nim, wziął sześć paczek egipskich i dwa pudełka zapalek. Kiedy pakował zakupy do kieszeni kurtki, usłyszał przeciągły gwizd lokomotywy. Wiedział, co to oznacza, transport za chwilę ruszał dalej.

Rzucił się przez hol ku drzwiom na peron, nie zważając na deptanych ludzi, którzy, wyrwani ze snu, obrzucali go przekleństwami. Z peronu dobiegały głosy nawołujące wysiedleńców do wsiadania do wagonów. Zostało mu mało czasu. Złapał za klamkę i zaczął ostrożnie uchylać drzwi...

Żołnierz ciągle tam był. Korzycki spodziewał się, że wartownik odejdzie, a on zdoła niepostrzeżenie przedostać się na peron.

Chłopak poprawił wiszącą na piersi pepeszę i uśmiechnął się, rozpoznając go.

- A co, pewnie nie możecie spać i chcecie sobie popatrzeć, jak Niemiaszki odjeżdżają do Vfaterlandu? - zapytał. - To zabronione nie jest, tylko nie włączcie dalej na peron. Macie może co zapalić?

Jan sięgnął do kieszeni i podał żołnierzowi pudełko egipskich. Ten pokiwał z uznaniem głową i wziął dwa papierosy, jednego włożył do ust, drugiego za ucho na później.

Korzycki przypalił mu, cały czas patrząc na peron. Przedstawienie dla zagranicy dobiegało końca. Niemcy, energicznie popędzani przez urzędników z komisji wysiedleńczej, wsiadali do wagonów. Kilka kobiet, które nie zdążyły napełnić butelek kawą i mlekiem, dyskutowało z dwoma żołnierzami, pokazując na puste naczynia. Jeden z nich w końcu machnął ręką i wręczył im pełny garnek, który porwały ze sobą do wagonu. Lekarz i sanitariuszki zwijali punkt medyczny, angielscy oficerowie i dziennikarz zniknęli, został tylko polski major. Popatrywał na zegarek i ponaglał spóźnialskich. Lokomotywa znowu zagwizdała, wypuszczając kłąb pary.

Żołnierz stał ciągle przy drzwiach i coś do niego zagadywał, ale Korzycki go nie słuchał. Patrzył na ich wagon. Lisel nie widział, pewnie już wsiadła do środka, przed drzwiami wciąż stali Karl i Reni. Rozglądali się, najwyraźniej go szukając. W pewnym momencie dziewczyna zauważyła, że stoi na krańcu peronu przed wejściem do budynku dworca, w towarzystwie żołnierza. Uniosła dłoń do ust, jakby tłumiąc okrzyk, wtedy

dostrzegł go też Karl. Niemiec patrzył na niego dłuższą chwilę, a potem, ze spokojną, wręcz kamienną twarzą nieznacznie skinął mu głową.

Nie mógł nic zrobić. Żołnierz nie chciał odejść, cały czas gadał coś o tym, że służba trudna i wciąż po nocach strzelają, niezrażony tym, że Korzycki odpowiadał monosylabami, wyraźnie niezainteresowany rozmową. Pewnie liczył na wysepienie jeszcze paru fajek. Aby wrócić do wagonu odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów, Jan musiałby jakoś unieszkodliwić natrętnego chłopaka, na przykład walnąć od dołu w szczękę. Na oczach jego kilkudziesięciu kolegów z plutonu było to niemożliwe, natychmiast by go zastrzelili. Sterczał więc dalej przy drzwiach, patrząc bezradnie, jak do dwójki Niemców podchodzi urzędnik i z poirytowaną miną wskazuje na wagon.

Reni nie chciała się ruszyć, coś do niego mówiła, ale urzędnik nie chciał słuchać, wściekał się coraz bardziej i kiwnął na jednego z żołnierzy, wzywając go do siebie. Rozległ się trzeci gwizd lokomotywy i wtedy zadziałał Karl, do tej pory stojący nieruchomo i wpatrujący się z natężeniem w Korzyckiego. Skinął mu jeszcze raz głową, jakby się z nim zgadzał, po czym szepnął coś dziewczynie do ucha i pociągnął ją za sobą. Nie opierała się, dała się wepchnąć do wagonu, stanęła w progu i odwróciła się w stronę Jana. Widział przez sekundę jej bladą twarz, nim żołnierz, ponaglany przez urzędnika, zasunął drzwi.

Oni byli ostatni, inne wagony już zamknięto. Stojący na peronie kolejarz machnął chorągiewką i transport ruszył.

Nigdy mi tego nie wybaczy - myślał, patrząc przez fragment ocalałej szyby na ciemny las, który mijali. I nie zrozumie, one nigdy nie rozumieją. Pewnie już ze sto razy zdążyła go przekląć, a potem samą siebie za to, że zaufała temu podstępnemu Polaczкови. Pewnie poniewczasie przyznała rację Lisel, tak gardzącej wszystkim, co słowiańskie. I z tą nienawiścią do niego wychowa dziecko, jakby jeszcze na tym spodlonym świecie było jej za mało.

Nie pojedą zatem do Kanady do jej kuzyna, tak jak sobie wymarzyła, nie będzie nowego początku w zamorskim edenie... Powinien odczuwać żal i zawód, ale jakoś nie czuł. A może tak właśnie miało się stać, o to chodziło ojcu w tym dziwnym śnienie o nieopuszczanie schorowanej matki? Czy chciał mu powiedzieć, że jego przeznaczeniem nie są szczęśliwe i wolne kraje Zachodu, lecz ta spopiелona, zrujnowana ziemia, pełna gruzów i dołów z trupami, przeklęta przez Boga i historię, która pewnie nigdy, ani za życia jego, ani jego dzieci - jeśli będzie je jeszcze kiedyś miał - w raj się nie przemieni? Gdzie na zawsze będzie obcym, wypędzonym, bo nigdy o tej starej Polsce nie zapomni, tak jak Karl o swoim Heimacie. To jest jego straszny los, jego kielich goryczy, przed którym małodusznie usiłował

się uchylić.

Papieros parzył mu palce, rzucił go więc pod nogi, na brudną, zabłoconą podłogę. Wpadające przez zakurzoną szybkę światło nieco rozjaśniało zatłoczony przedział. Mógł się przyjrzeć współpasażerom. Czy oni też będą chcieli pamiętać o tamtej Polsce? A może już o niej, przykrytej popiołem, zapomnieli? W otwartych drzwiach przedziału stał, bo brakło dla niego miejsca w środku, wysoki chłopak w jasnym prochowcu, sfatygowanym swetrze i z przywiązany do pleców workiem. Drzemał, kiwając się w rytm kolebiącego się wagonu. Obok siedziała na ławce szczupła, wręcz wychudzona dziewczyna w pocerowanym paltociku. Nie spała już, korzystając ze światła, czytała książkę w zniszczonej obwolucie. Przy niej spoczywał mężczyzna może czterdziestoletni o znużonej, pobrużdżonej twarzy, mimo prawie zimowej pory ubrany jedynie w wytartą marynarkę, pod którą założył wełniany serdak. Spał jeszcze, coś mu się śniło, bo kurczył co chwila wargi, jakby chciał kogoś ugryźć. Jego głowa co chwila opadała na ramię przysadzistej, tłustej kobiety o czarniawej cerze i policzkach tu i ówdzie pokrytych krótką szczecina. Ona też się rozbudziła i ziewała co chwila, rozdziawiając gębę jak foka i pokazując garnitur złotych zębów.

Miejsce przy oknie, naprzeciwko Korzyckiego, zajmował handlarz, od którego kupił na dworcu papierosy. Mężczyzna nie drzemał, co chwila czujnie rzucał okiem na górną półkę, gdzie położył walizę z towarem. Papierosy były łakomym kąskiem dla pociągowych złodziei.

Handlarz zauważył jego zainteresowanie, bo zapytał: - A pan czym obraca? Bo ja, jak pan wie, teraz w fajkach robię. Na razie idzie nieźle, póki Amerykance te paczki unrowskie przysyłają, ale co będzie, jak się to skończy? Bo przecież wiecznie przysyłać nie będą. Myślałem o zmianie branży, może na szaberplacu warzywniak otworzę? A pan pewnie z Wrocławia? Nie zna pan w okolicy jakichś rolników? Bo im bliżej kupisz, tym lepiej, chodzi o koszty transportu. No bo, jak by nie patrzył, jakoś trzeba sobie radzić.

Korzycki uśmiechnął się i znowu spojrział przez szybkę. Las się skończył. Zimne, blade słońce oświetlało płaski, opustoszały krajobraz. Góry zostały daleko za nimi. Zaczął padać drobny śnieg, pokrywając ziemię białym nalotem. Mijała trzecia godzina podróży. Zbliżali się do Wrocławia.

**KONIEC**

Wrocław 2008-2011

## OD AUTORA

Pamiętam, że był ciepły czerwcowy dzień 1978 lub 1979 roku. Stałem na ulicy Oławskiej, tuż przed skrzyżowaniem z Szewską. Przejeżdżał tramwaj i musiałem go przepuścić. Czekając, spojrzałem pod nogi, bo wydawało mi się, że kolebię się na czymś nie do końca stabilnym. Rzeczywiście, stanąłem na okrągłej żeliwnej pokrywie studzienki kanalizacyjnej. Nie było w tym nic dziwnego, studzienki znajdowały się na tej ulicy co kilkadziesiąt metrów, ale zastanowiły mnie ledwo widoczne, mocno już starte napisy na pokrywie - wytłoczone dziwnymi, łamanymi, kanciastymi literami z kropkami nad literą „u”. Uczyłem się wówczas w liceum i wiedziałem, że to niemiecki gotyk. Przypadkiem trafiłem na jeden z ostatnich śladów „tamtego” miasta.

My, mieszkańcy Wrocławia, niby wiedzieliśmy, że przed wojną był niemieckim miastem. Lecz była to właśnie taka „niby” wiedza, naskórkowa, niepodlegająca głębszej refleksji - co prawda często zdarzało nam się używać przymiotnika „poniemiecki” w stosunku do różnych przedmiotów i budowli, ale brzmiał on dla nas równie abstrakcyjnie i bezkontekstowo jak „pomarsjański” czy „poeskimoski”. Nikt nie zastanawiał się nad przeszłością, zadowalaliśmy się oficjalnymi komunałami o odwiecznie piastowskim Wrocławiu i Dolnym Śląsku, liczyło się wyłącznie ówczesne PRLowskie „teraz”. Oczywiście, gdzieś po drodze w dziejach miasta zdarzyli się Niemcy, ale ich bytność nie miała istotnego znaczenia, przegalopowali przez historię niczym koczownicy i zniknęli we mgle.

Wtedy, stojąc na tej pokrywie, przez moment pomyślałem o ludziach, którzy ją tutaj zainstalowali, trochę nawet się zdziwiłem, że jeszcze się zachowała (jak wiele „poniemieckich” rzeczy została bardzo solidnie wykonana). Potem tramwaj przejechał, ja przeszedłem przez skrzyżowanie i z powrotem pogrążyłem się we wrocławskim „teraz”.

Powazna refleksja przyszła wiele lat później, gdy przeczytałem Mikrokosmos Daviesa i Moorhouse’a oraz Obce miasto Thuma. Wtedy zdałem sobie sprawę, że żeliwnej płyty nie pozostawili na wrocławskiej ulicy przypadkowi koczownicy, lecz wielowiekowi mieszkańcy tego miasta, którzy całkiem niedawno - w historycznej skali - musieli je opuścić. Dla pisarza tego rodzaju moment przełomu, diametralnej zmiany, to temat na powieść.

Wypędzony jest oczywiście fikcją literacką, choć wiele fragmentów książki zostało zainspirowanych źródłami historycznymi, zwłaszcza pamiętnikami pionierów, także kilka postaci to osoby rzeczywiście działające w opisywanym czasie. Nie chodziło mi jednak o dokumentalną relację, lecz o literacki rozrachunek z tamtą epoką - gdy po upadku

hitlerowskiej twierdzy zanikał Breslau, a rodził się Wrocław. Zdaję sobie sprawę, że dotykam w tej powieści bolesnej sprawy, której od dziesiątek lat staramy się zbyt wnikliwie nie roztrząsać. My, Polacy, mamy problem z przyznaniem, że w połowie zeszłego stulecia na tej ziemi, gdy miliony ludzi zostało wyrzuconych z własnych domów, dopuszczono się wielkiej niegodziwości. Bo z czysto ludzkiego względu tym w istocie było „odzyskiwanie” ziem zachodnich, nazwane eufemistycznie przez komunistów „sprawiedliwością dziejową”. Oczywiście, wypędzenie Niemców poprzedziła wywołana przez III Rzeszę wojna, a ich exodus był logiczną kontynuacją tego kataklizmu. Gdyby Hitler nie napadł na Polskę, Breslau zapewne istniałby do tej pory. Naród niemiecki zasiał wiatr i zebrał burzę. Za nazistowski obłąd zapłacili zwykli ludzie, którzy nie poczuli się do żadnej winy, choć Niemcy - jako państwo i naród - były jak najbardziej winne. Lecz zbiorowa odpowiedzialność nie powinna być automatycznie przerzucana na każdego członka społeczności. Odczucie bólu i krzywdy wysiedlanego mieszkańca Breslau czy Waldenbergu jest tak samo prawdziwe i godne współczucia, jak Polaka zmuszonego do opuszczenia Lwowa, Wilna czy Grodna.

Przyznanie wszystkim uczestnikom tego historycznego dramatu prawa do wyłożenia swych racji wydało mi się - z punktu widzenia dzisiejszego, tak już innego „teraz” - czymś oczywistym. Pragnąłem opowiedzieć, co naprawdę zdarzyło się z „tamnym” miastem, zastanowić się nad jego dramatycznym schyłkiem, w którym odegraliśmy niezbyt chwalebny rolę. Breslau bowiem nie przestał istnieć jednego dnia, 6 maja 1945, w dniu kapitulacji twierdzy. Konał jeszcze przez wiele miesięcy i to my, Polacy, pomagaliśmy mu umierać.

O tym chciałem napisać tę powieść.

Melchior Medard

CARSKA ROSZADA

Opowieść prawie sensacyjna, momentami romansowa, częściej zagadkowa, niekiedy erotyczna. wmmmt Koniec XIX wieku, Warszawa. Miasto IH1 niespokojne, dopiero co spacynkowane po kolejnym spisku antycarskim. Miasto wielkich interesów i ekskluzywnych hoteli, ale też dzielnic biedy i zawszonych burdeli. Miasto, w którym ktoś w okrutny sposób morduje kobiety...

Estar Pawłowicz Van Houten, tajny urzędnik do zadań specjalnych, przyjeżdża ze stolicy Imperium, by wyjaśnić sprawę zabójstw młodych kobiet. Musiał radzić sobie już z podobnymi wyzwaniem, nie tylko w Rosji. W pracy śledczego wykorzystuje najnowsze zdobycze nauki i techniki. Czasem wywołuje to podziw, a czasem niesmak kolegów z policji.

Dopiero w Warszawie Van Houten orientuje się, że sprawa ma drugie, a nawet trzecie dno. Zaczyna się rozgrywka sięgająca szczytów władzy i europejskich dworów monarszych.

Szpiedzy, mordercy, zbrodniarze, piękne kobiety, spiski, zabójstwa - oto świat tajnego radcy Estara Pawłowicza. Carska rozszada jest nie tylko emocjonującą, trzymającą w napięciu opowieścią kryminalnospiegowską. To także bogaty, soczysty i chwilami szokujący obraz dawnej Warszawy, w której krzyżowały się interesy największych ówczesnym mocarstw.

Melchior Mateusz Medard, syn Marty, pojawił się na świecie w 1964 roku, w Saint-Vincent-la-Commanderie. Po powrocie pod ojczyzną, czerwono-białą strzechę, zdobył w swoim czasie laury akademickie. Mimo to otworzył „francuską” knajpę, a brak problemów (gł. finansowych) spowodował, iż zechciał parać się literaturą.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tomasz Bochiński

PAN WHICHER W WARSZAWIE

PAN WHICHER W WARSZAWIE

Książki detektywów Scotland Yardu na tropie zbrodni w ogarniętej powstaniem gorączką XIX-wiecznej Warszawy

Ostatnie miesiące roku 1862. W Warszawie spokój - zostaje odwołany stan wojenny. Jednak obie strony - polscy spiskowcy i rosyjscy okupanci - wiedzą, że to cisza przed burzą. J.L. Służby carskie zrobią wszystko, by wyłapać i przywódców polskiego podziemia. Na zlecenie II cesarza do Warszawy zjeżdżają najlepsi angielscy policjanci. Jednym z nich jest słynny detektyw Jonathan „Jack” Whicher (postać i misja autentyczne), zwany „księciem detektywów”. Tymczasem w niewyjaśnionych okolicznościach znika krewna cesarza. Pan Whicher zostaje odwołany od spraw politycznych i skierowany do odnalezienia zaginionej... Chłodny umysł inspektora Scotland Yardu musi przeniknąć mroczną tajemnicę, nie tylko zniknięcie arystokratki. Okazuje się, że ktoś morduje i masakruje swoje ofiary, tak by nikt nie był w stanie ich rozpoznać. Śledztwo przenosi się z wytwornych salonów stolicy Królestwa do podłych zaułków Powiśla i straszliwych mordowni Pragi. Detektyw, by przeżyć, będzie musiał swój sprawny umysł wesprzeć pewnym okiem i ręką zbrojną w rewolwer.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics - z wykształcenia inżynier mechanik, zatrudniona jako wysokiej klasy specjalista od baz danych, jest także tłumaczką z języków rosyjskiego i angielskiego. Jako pisarka niedawno debiutowała w prasie publikacjami opowiadań. Uwielbia dobre, klasyczne kryminały - i takie też zawsze pragnęła pisać.

Tomasz Bochiński - pisarz, autor tworzący różne gatunki prozy: od horroru, przez hard sciencefiction, aż po opowieści obyczajowe podszyte legendami miejskimi oraz humoreski dla dzieci. Publikuje od ponad ćwierci wieku. Uwielbia historie i tajemnice przeszłości, dlatego z entuzjazmem podjął się opowiedzenia przygód Mr. Whichera w



Warszawie.

Podsumowując: autorzy - prywatnie pozostający w związku małżeńskim - kochają klasyczne kryminały, zagadki i sforę hodowanych przez siebie mopsów - co nie jest bez znaczenia w świecie opisanych w powieści zdarzeń.

Rok 1933, Hitler dochodzi do władzy. Niemcy mają się dopiero przekonać, jakie będą tego konsekwencje... Wprowadzaniu nowego porządku towarzyszą terror, przemoc i gwałt. Szaleją grupy szturmowe SA, członkowie partii nazistowskiej stają się wszechwładni, a to przyciąga wielu łaknących władzy ludzi do wstąpienia w szeregi NSDAP. Jednym z nich jest Konrad Breitbach, który uczy się na pamięć wersów z „Mein Kampf” i staje się gorliwym wyznawcą nowej wiary. Jednak w przeciwieństwie do innych karierowiczów gotowych sprzymierzyć się z samym diabłem dla odniesienia osobistych korzyści, działania Konrada w szeregach zwolenników Hitlera nie są jednoznaczne przynoszą wiele zaskakujących zwrotów...

08/15

## W PARTII

08/15 to najsłynniejszy cykl powieści obejmujący historię powstania i upadku III Rzeszy, a także czasy powojenne. Kirst pokazuje w jaki sposób rozpoczęło się nazistowskie szaleństwo i jak możliwe było tak ogromne poparcie Niemców dla Hitlera. Przedstawia straszny, bo prawdziwy obraz społeczeństwa niemieckiego, gdzie niewielu Niemców sprzeciwiało się zbrodniczemu systemowi, który zgodnie z intencją Hitlera miał trwać tysiąc lat.

Pozycja obowiązkowa dla każdego! Powieść o tym, jak było naprawdę. Jak cały naród dał się ogłupić i omanić nazistowskiej władzy Adolfa Hitlera i jego wizji świata.

Hans Hellmut Kirst - urodził się w 1914 roku w Osterode (obecnie: Ostróda) w Prusach Wschodnich, zmarł w 1989 w Bremie. W latach 1933-1945 był zawodowym żołnierzem armii niemieckiej. Brał udział w kampanii wrześniowej, walczył we Francji i na froncie wschodnim. Był świadkiem powstania i upadku III Rzeszy.

Za swoją twórczość uzyskał wiele nagród, m.in. amerykańską nagrodę literacką imienia Edgara Allana Poe. Był członkiem Związku Pisarzy USA i amerykańskiego PENClubu. Napisał 59 książek, z których wiele zostało sfilmowanych.